

JÓZEF MASKOFF.

ZASZUMI LAS.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

W 3 CZĘŚCIACH.

TOM DRUGI.



LWÓW.

NAKŁADEM „SŁOWA POLSKIEGO“.

CZĘŚĆ TRZECIA.

NASTĘPCA.

Z Drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie
pod zarządem Z. Hałacińskiego.

**I. Za co pochowano Grzegorzewskiego. — Nieprze-
widziany cios. — Jeszcze jeden dowód wolności
francuskiego republikańskiego rządu.**

Po wyjściu ze szpitala na ulicę — Mazia, Barumzwajg, Władek, Leon i Wilhelmina stanęli pod bramą, przez którą wyjeżdżały karawany.

Barumzwajg zwrócił się szybko do Leona.

— To już wy... — rzekł śpiesznie — ja mam egzamina, głowa mi po prostu pęka... jutro siadam do egzaminu...

Władek szlochaniem swem głosem zaczął zwracać uwagę przechodniów.

— Proszę się uspokoić! — wyrzekła dość ostro Mazia — nie potrzebujemy dawać ze siebie widowiska obcym ludziom. Najlepiej proszę iść do mnie i tam czekać aż ja wrócę...

— Ja nie odejdę od tych murów, — jęczał chłopak — chyba mnie przemocą oderwiecie!

Leon uczuł nie litość nad tą głośną boleścią, ale pewien wstręt i gniew.

— Proszę iść natychmiast na Glacière! — wyrzekł rozkazującym oschłym tonem, którego dawniej nie znał u siebie.

I po chwili dodał.

— Ja każe!

I Władek cały zaszlochany posłuchał tego głosu komenderującego nie tylko fizyczną ale moralną jego istotą i odszedł w stronę Glacjery z opuszczoną głową.

Wzrok Leona padł teraz na stojącą obok niego Wilhelminkę.

Piękna panna zakrywała ciągle chusteczką oczy i nos, jakby się lekła, aby nie ujrano jej twarzy, z której lzy puder obmyły.

Leon uczuł to samo wrażenie, jakiego doznał spoglądawszy na Władka. Było to jednak jedno mgnienie oka. Rozkochanie wzięło górę. I wydało mu się bardzo naturalnym postępkim ze strony studentki, gdy ta złamanym głosem zawołała na przejeżdżającą dorożkę i odwróciwszy się ku Mazi, wyrzekła:

— Jestem tak złamana, że muszę powrócić do siebie... i pozostać samą z mem cierpieniem. Wieczorem — przyjdę do was. Bądźcie zdrowi!

Wsiadła do dorożki z trudnością i natychmiast opadła w sam róg powozu, rzeczywiście przybita bólem. Leon uściskał gorąco jej rękę. Wyobraził sobie ogrom jej cierpienia. Nie miał w sobie ani cienia zazdrości. Było mu łatwo być szlachetnie bohater-skim, teraz gdy Grzegorzewski nie żył. Lecz on nie zdawał sobie sprawy z rodzaju tego uczucia. Współ-czuł z Wilhelminką i rozumiał jej smutek po stracie tak wielkiej. Natychmiast rzucił dorożkarzowi adres Wilhelminki. I gdy dorożka ruszyła z miejsca — z brzękiem i łoskotem starego żelazstwa, on stał chwilę, patrząc z współczuciem na pudło karety.

— Biedna! — myślał w duchu.

Przy nim stanęła Mazia.

— Trzeba się nam zająć pogrzebem — wyrzekła cichutko.

Lecz dorożka, wioząca Wilhelminkę, zatrzymała się. Leon podbiegł, sądząc, iż siedzącej w dorożce kobiecie zrobiło się słabo.

Lecz Wilhelminka wysunęła głowę przez okienko powozu i nie widząc Leona, rzuciła woźnicy:

— Allez aux grands magasins du Bon Marché, vite!*)

Dorożka ruszyła rażniej i za chwilę zniknęła na rogu ulicy.

Wtedy Leon spojrzał dopiero odważniej na stojącą przed nim Mazię.

Zauważył że była blada, jak opłatek, zmieniona strasznie, z oczyma podkrążonemi szarą obwódką. W skurczu ust, w oczach suchych, bez łez miała wyraz strasznego ukrywanego cierpienia.

Nigdy nie wydała mu się tak biedną, tak zmaltretowaną życiem, jak tego dnia prawie już wiosennego, w swym zniszczonym żakietu i barankowej czapeczce, wtłoczonej prawie na gładko zczesane włosy.

Zauważył również, że jej wargi drżą, że ręce mają niepewne ruchy istot, które nagle jakiś straszny cios moralny wyprowadził zupełnie z równowagi.

— Niech pani idzie się spać położyć... — wyrzekł zdjęty wielką litością.

Ona podniosła na niego swe wielkie, tragicznie smutne źrenice.

— Spać? ja? — zapytała.

*) Bon marché — magazyny specjalnie konfekcyi i strojów damskich.

Wszystko było w tem odezwaniu się. Cała przyszłość nocy bezsennych, wśród których lzy płyną gorącym różańcem po nieruchomej w ciemności nocnej, twarzy.

— Odpocząć!... — poprawił się pod tym wzrokiem Leon.

— Nie, nie!... — odparła Mazia — pan wie, on tam czeka na pogrzeb. Nie możemy pozwolić, aby go chowano w *fosse commune**). Trzeba mu grób osobny kupić!

I było to więcej znów, niż dziwne, ta trwoga studentki medycyny przed wspólnym dołem, w którym rozpadają się w proch jednakowo wszystkie trupy. Wszakże dla niej trup Grzegorzewskiego winien być tylko już trupem, kawałkiem rozpadającego się w zgniliznę mięsa, podobnego do tych trupów, które krajała codziennie w amfiteatrze. Dlaczego więc zapragnęła osobnego grobu? dlaczego ten trup wiązał się jeszcze dla niej z pojęciem żyjącego i ukochanego? dlaczego pragnęła oddzielić go od wszystkich innych trupów i pozwolić mu spać cicho i spokojnie... wiecznym snem? Czy zbudziła się w jej duszy wątpliwość co do nieczułości pośmiertnej trupów? Czy nie chciała, aby on cierpiał tam pod ziemią, mieszanym z innymi, nie mający nawet po śmierci szmatu ziemi dla siebie?

I Leon odczuł to samo wrażenie, bo powtórzył jak echo.

— Trzeba mu grób osobny kupić!

*) Wspólny dół dla biednych zmarłych w paryskich szpitalach.

I w tej chwili oboje zaczęli liczyć swe zasoby. Ona miała siedm franków, lecz mogła zastawić bielezną, sukienkę i zebrać jeszcze dziesięć. On sprzeciwił się tej ofierze i nagle prawie dumnym, podniesionym tonem dodał:

— Ja się tem zajmę, to do mnie należy.

Dziewczyna z pewnym rodzajem posłuszeństwa pochyliła głowę.

— Dobrze... jak pan każe. My teraz wszyscy będziemy panu posłuszni. Będę na pana czekać wieczorem u siebie. Musimy się naradzić nad wszystkim... A potem...

Urwała — wreszcie dodała z wysiłkiem:

— Muszę panu przedstawić resztę partyi. Teraz pan już... nami będzie rządził...

Podala mu rękę i cała wzruszona odeszła, zostawiając go samego pod murem szpitala.

Gdy Leon wreszcie wszedł do kantoru, Kręcki, załatwiający korespondencję przy biurku, wszystko z jego twarzy wyczytał.

— Grzegorzewski umarł?

— Umarł!

— No... no!...

Porzucił zaczęty list, wstał, podszedł do drzwi i oparł czoło o szybę. Stał tak długo, nie mówiąc ani słowa. Wreszcie zwrócił się ku Leonowi i wyrzekł na wpół zmienionym głosem.

— Szkoda!...

Lecz Leon był tak nagle rozżalony i przepelniony goryczą na myśl, że nie miał ani centima na pochowanie zwłok Grzegorzewskiego, że odparł drżącym od ironii głosem:

— Szkoda!... doprawdy nie poznaję pana! Według pańskich burżuazyjnych przekonań, praca Grzegorzewskiego dla Polski była nie tylko bezużyteczną, ale nawet szkodliwą! Powinieneś się pan raczej cieszyć, a nie żałować zmarłego. To byłoby logicznym następstwem pańskich przekonań...

Kręcki nie poruszył się nawet na te słowa. Stał ciągle przy drzwiach, z głową odwróconą w stronę Leona i przez chwilę patrzył na mówiącego ze smutnym jakimś nieokreślonym uśmiechem.

— Dziwiłbym się! — wyrzekł wreszcie — gdybyś pan inaczej mówił. W tej chwili jesteś pan zanadto rozdrażnionym, więc i niesprawiedliwym. Ja zawsze szanowałem samą istotę Grzegorzewskiego, siłę jego i dobrą wiarę. Gdyby zechciał inaczej dla kraju pracować, byłbym dziś jeszcze smutniejszy — choć i tak... bardzo, bardzo mi przykro.

Odstąpił od drzwi, podszedł do biurka i przewracając swe korespondencje, dodał:

— Ten człowiek się zamorzył głodem — i zabił prywacyami.

— O, tak! — przerwał Leon — on po dwie porcje gęsiny z knedlami nie jadł...

Kręcki znów uśmiechnął się smutnie.

— Chcesz mnie pan pognać za to, że ja dużo jadam... Ale ja pracuję, jak wyrobnik fizycznie i dlatego jeść także muszę...

— Grzegorzewski także pracował.

— Wiem — i to wiem, że praca umysłowa więcej fizycznie wyczerpuje, niż fizyczna. I dlatego Grzegorzewski padł ofiarą, musiał zginąć, bo chciał, aby ciało wyniszczone przez duch nie domagało się praw swoich...

— Umarł, jak żołnierz na posterunku...

— Panie drogi — odparł Kręcki — gdybyśmy wszyscy przez miłość dla kraju padali na posterunkach, któżby wreszcie w kraju pozostał?

— Nie wszyscy mogą być Grzegorzewskimi!

— Och!... utopiści!

W Leonie nerwy targać się zaczęły.

— Tak... utopiści, jeśli pan chcesz, ale utopją naszą my żyjemy... istniejemy.

— Przez nią umieracie...

— Droga, kochana ta śmierć!...

Ostatnie słowa wymówił Leon z najwyższą egzaltacją.

Kręcki popatrzył na niego chwilę i wreszcie, zmieniając ton, zapytał.

— A macie za co go pochować?

Sekundę Leon się zawahał. Miał ochotę przyznać się Kręckiemu do fatalnego położenia, w jakim się znalazł, lecz duma przed „burżuazją“ przemogła. Podniósł hardo głowę i odparł krótko:

— Mamy!

— Daj mi pan znać, kiedy będzie pogrzeb.

— To co?

— Pójdę.

— Pan?...

Całą ironię i pogardę włożył Leon w to zapytanie. — „Pan — powtórzył — za trumną socjalisty? wicherzyciela? propagandyzisty?“

— Za trumną... Polaka — brzmiała odpowiedź.

I głos Kręckiego tak był stanowczy, męski, dźwięczny, że Leon umilkł i starał się zatrudnić mechaniczną pracą i choć na chwilę odpocząć umy-

słowo i odetchnąć po tak nużących i strasznych przejściach.

Gdy Kwiatkowski wszedł do kantoru, Leon był zdecydowany poprosić go o pięćdziesiąt franków à conto swej pensyi. Lecz wchodząc do pokoju, w którym był Kwiatkowski, drzwi za sobą przymknął. Nie chciał, aby Kręcki słyszał to, co mówić będzie. Nie poszło mu to jednak tak gładko, jak się spodziewał. Kwiatkowski był w złym humorze z powodu sceny, jaką mu urządziła żona, nazywając go pijakiem i porównywując go do owych klasycznych „*lancier polonnais*“, którzy w pamięci „wdzięcznych“ Francuzów pozostali do tej pory w formie obelżewego dla naszego narodu przysłowia.

Na żądanie Leona, Kwiatkowski uchwycił się za głowę i rozpoczął głośno się użalać na bezwzględność swych urzędników, na rozpustę młodzieży, wreszcie zakończył daniem dwudziestu franków z surową admonicyą i przysięgą, że po raz ostatni mija się ze swoimi zwyczajami.

Leon, wyszedłszy pod pozorem załatwienia interesu kantorowego, uczuł się jeszcze więcej zrozpaczonem, niż poprzednio, gdy nie w kieszeni nie miał. Co znaczyło te 20 franków wobec kosztów trumny, grobu i pogrzebu?...

Nagle błysnęła mu myśl.

— A Voltaire?

— Ach, tak... należy przedewszystkiem sprzedać Voltaira.

Pobiegł do domu, pochwycił dwa tomy i zaczął wędrówkę po antykwarniach, zalegających ulicę Proreuce, Châteandun i całe quartier loretańskie.

Lecz od razu uczuł prąd zimnej wody po plecach, gdy pierwszy antykwaryusz powiedział, oglądając książki:

— To jest wydanie nadzwyczaj pospolite i nie przedstawiające wartości... a potem jedynie ryciny mogłyby mieć tu jakieś znaczenie, lecz ryciny... powydzierano — i to świeżo powydzierano. Patrz pan!

I rzeczywiście Leon mógł skonstatować fakt, że Durosier wydarł ryciny przed odesłaniem mu książek do domu.

— Ileż pan jednak dałbyś mi za to? — zapytał zgnębiony.

— Ja starego papieru nie kupuję — ale niech się pan zwróci do gałganiarzy, oni kupią na wagę. Do gałganiarzy!...

Leon wyszedł ze sklepu i nagle przyszła mu myśl, że może antykwaryusz chce tylko wyzyskać sytuację i okłamuje go, sądząc, że Leon ustąpi mu twego Vollaire'a za parę franków.

I zmęczony, zgnębiony włókł się dalej wzdłuż domów z owemi różowemi książkami pod pachą, które powoli zaczynały mu ciężyć, jak kamienie wlokące na dno topielca.

Wszędzie odpowiadano mu w ten sam sposób, lecz on upierał się i szedł dalej — nie widząc, że już wyszedł w taką dzielnicę, w której antykwaryuszów nie było, tylko eleganckie, nowe księgarnie zarzucone właśnie świeżo pojawioną książką Prervosta.

Gorączka trawiła Leona. Był głodny, mimo to nie zdawał sobie sprawy, że głód szarpie mu wnętrzności. Całą myśl swoją wyteżył, tylko w kierunku wydostania pieniędzy. Ściemniało się powoli — dzień ustępował jakby z żalem. Tu i owdzie błysnęły już

światła mimo błękitnej jeszcze mgły przepelniającej powietrze. Leon z nagłem ściśnieniem serca pomyślał, że tam, w szpitalu, w prosektoryum za białymi frankami leży trup Grzegorzewskiego i domaga się trumny. I było mu tak strasznie, tak rozpacznie na duszy wśród tych setek ludzi, powozów, psów, omnibusów i kawiarnianych stolików, przy których aż czarno było od próżnujących — że zaczął tulić rękę do ust, aby nie jęknąć głośno, nie zacząć krzyzczeć swego żalu, swej troski, swojej nędzy i smutku.

Był teraz przed jedną z księgarń, lecz już nie śmiał wejść, bo wiedział, co mu odpowiedzą.

Snopy elektrycznego światła lały się na rozłożoną na ulicy wystawę. I tu były setki książek Prerovosta w żółtych okładkach jak cała łąka jaskrów świeżo rozwiniętych. Ludzie, a zwłaszcza kobiety stały i przerzucały kartki nie rozcięte książek. Niektóre kupowały, inne przeglądały nuty leżące w gablotkach.

Leon stał — nie mogąc już iść dalej. Zrobiło się z nim coś dziwnego. Zdawało mu się, że doszedł do kresu naznaczonej mu drogi i że musi czekać na coś, co jest przeznaczone.

I nie drgnął nawet, gdy usłyszał śliczny, dzwiczny głosik kobiecy, mówiący do niego po polsku.

— Ach! to Pan!.. Jaka jestem kontenta, że pana wreszcie spotykam!

Leon odwrócił głowę i ujrzał przed sobą śliczną, krągłą, zdrową twarzyczkę kobiecą, fryzowane jasne włosy, duże podkreślone oczy, małe bardzo czerwone usta. To wszystko okryte było białym tiulem woalki i wysuwało się z puszystego szarego boa, związanego na jasną popielatą wstążkę.

Dokoła pachniała biała róża — na tle czarnego pluszowego wspaniałego okrycia, jaśniały dwie małe rączki, okryte perłowymi rękawiczkami, o szerokich czarnych wyszyciach. Poznał ją od razu.

W jednej chwili stanęła mu w oczach nadgraniczna miłośnica, policmajster, dragoni, Władka, pies aptekarza i ta aktorka, która tam w łoży na próbie przytuliła się do niego raz jedyny, tak, jakby on dla niej był kimś na świecie.

I w zgnębieniu swoim odczuł dziwną radość na myśl, że ta dobra, pocziwa dziewczyna, która tyle mu zrobiła w życiu dobrego — jest znów koło niego i uśmiecha się życzliwie, rada z tego spotkania.

Pochwycił ją za rękę i rękę jej gorąco całować zaczął.

— Panna Jabłońska! — mówił radośnie — to Pani... i ja jestem bardzo, bardzo szczęśliwy...

— No to chodźmy razem, bo ludzie się na nas patrzą...

Wsunęła swą rękę pod jego ramię i skierowała go w stronę Chaussée d'Antin.

I zaraz zaczęła mu opowiadać, że przybyła do Paryża w celu kształcenia się w śpiewie.

— Uczę się u Viardot! — mówiła — stara strasznie ta Viardot, ale pan wie, jaka ona była sławna. Mówi, że ze mnie będzie operowa śpiewaczka... A jakże! Ale pan nie wie, że ja po wyjeździe pana, zaraz pojechałam do Warszawy i tam strasznie się uczyłam śpiewać. Całymi dniami, aż mi migdałki puchły, a lokatorowie wymawiali gospodarzowi mieszkania. Ale Viardot mówi, że już mam

technikę... Dała mi Małgorzatę w Fauście. Chciałam sobie kupić właśnie partyturę...

— Może ja pani przeszkadzam...

— Pan? Co znowu!.. Pójdziemy razem do mnie. Mieszkam na pensyi, na bulwarze Batignolles. Tam mnie umieścił mój... stryj. On jeszcze jest w Paryżu, ale wyjeżdża jutro. Och! to bardzo dobry człowiek. On jest doktorem. Bardzo bogaty.... To... stryj mojej matki. A jakże!

I zaraz zaczęła się troszczyć o Leona, wypytując się, co robi, jak mu się powodzi. Miała w tonie swego głosu wielką, uczciwą serdeczność dobrej kobietki, starszej siostry, która odnalazła nagle swego młodszego brata, o którego troszczyła się bardzo. Leon z całą radością poddawał się miłemu uczuciu, jakie go ogarniało na myśl, że ktoś się o niego troszczy i interesuje tem, co się z nim dzieje. I gdy doszli wreszcie do drzwi mieszkania aktorki, Leon był w usposobieniu dziwnem — pragnąc z całej duszy opowiedzieć tej dziewczynie wszystko, przez co przeszedł, przez co w tej chwili przechodził, chciał zrzucić ze swej piersi ciężar, jaki go ugniatał, chciał uczuć wreszcie na swej głowie dłoń miłą, kobiecą, tulącą go w strasznej rozterce, jaka nim szarpała.

I uczucie to spotęgowało się, gdy Jabłońska zapaliła lampę i ukazał się oczom Leona pokój elegancki i czysty, pokryty dywanem jasnym, z łóżkiem okrytem jasnymi, kretonowymi frankami, podbitymi kremową gipiurą.

Aktorka zdążyła już temu hotelowemu pokojowi nadać pewien *cachet personnel*. Bombonierki, figurki, cacka, flakony, masa fotografij, kwiaty w do-

niezkach zalegały stoły i puleczki. Powietrze przesiąknięte było perfumami i zapachem pudru. Przed łóżkiem leżała duża biała niedźwiedzia skóra. Na tualetcie pokrytej gipiurą, widniało śliczne lustro w srebrnych ramach, które Leon zapamiętał w garderobie teatralnej, tam — w pogranicznym mieszcisku.

I gdy Jabłońska, rozebrana z okrycia, stanęła przed nim w bardzo pięknej i modnej sukni, strojonej w pasmanterye, z grubym łańcuszkiem złotym, na którym wisiała długa szyldkretowa lornetka — on ujął ją znów za ręce, i nie zdając sobie sprawy z tego, kim jest ta kobieta — ręce jej pocałunkami gorąco okrył.

— Pani zawsze taka dobra dla mnie! — wyрекł z wdzięcznością.

— Ja? miły Boże! ja nie dla pana nie robiłam... Gdybym mogła, gdybyś mnie pan kiedy pozwolił być sobie użyteczną, byłabym bardzo rada.

Zadzwoniła — i za chwilę wniesiono herbatę, szynkę, ciastka.

Widocznie gościnna kobieta nie mogła się pozbyć przyzwyczajęń polskich w Paryżu.

— Stryj jutro wyjeżdża... zostałabym samiutka jedna, gdyby nie pan. Teraz jestem szczęśliwa, będę miała do kogo po polsku przemówić, wreszcie już nie będę się czuła tak samą w tym olbrzymim Paryżu.

I z nadzwyczajnym wdziękiem potrafiła skłonić Leona do jedzenia, picia herbaty, odgadując z subtelnością kobiety, przebywającej często o b o k nędzy — głód dręczący Leona.

— Tak mi się dziś jeść chce! — mówiła, zmuszając się do jedzenia — widocznie Paryż tak na ludzi działa, ja tu zawsze jestem głodna...

Gdy Leon przestał już jeść, usunęła z ręcznie tace z przyborami i przez chwilę patrzyła na niego z jakąś smutną przenikliwością.

— Ale pan nie jesteś szczęśliwy... — wyrzekła wreszcie, siadając z nogami na kanapie — pan jesteś jakiś smutny i znękaný,

— Ja!...

Tak! Nie próbuj pan przeczyć. Ja się nigdy pod tym względem nie mylę. Ja zawsze widzę gdy ktoś ma zmartwienia. Ja to umiem... wyczuć. Stryj mówi, że to u mnie przechodzi w manię... Może stryj ma słuszość. On mówi, że się z tej manii powinnam wyleczyć. Ale ja nie chcę. Przecież to przyjemnie mózdz komuś w smutku bodaj słowami przynieść ulgę.

Leon przymknął oczy i słuchał jej głosu, który dźwięczał prześlicznie, jak śpiew — jak piosenka.

Zdawało mu się, że ktoś kołysze go do snu.

— Co panu?

I delikatna, mięka dłoń aktorki leciuchno przesuwiała się po czole chłopca. Była to pierwsza pieszczota, która go spotkała od tej chwili, gdy tam w łoży — ta sama kobieta przytuliła się do jego ramienia. I w duszy tego „działacza“ zbudziło się... dziecko. Pochylił głowę i z pod rzęs spływały mu dwie duże łzy.

Ręka kobiety szybko osunęła się i delikatnie te łzy mu z twarzy zebrała, a głos cichutko powtórzył znowu jak prośbę.

— Co panu?

— Umarł mi... umarł mi rano, ktoś bardzo, bardzo... drogi...

— Kobieta?

— Nie! mężczyzna. Wielka, wzniosła dusza — pełna abnegacyi, poświęcenia... umarł dziś rano w szpitalu!

Aktorka aż uklękła na kanapie i złożyła ręce.

— W szpitalu? dlaczego?... czy był taki biedny?

— Tak! on oddał wszystko, co miał, dla drugich...

— A ci... drudzy — dlaczego mu oni dali umrzeć w szpitalu? gdzie oni?

Leon wyciągnął ku niej ręce.

— Ci drudzy?... ależ to ja, to pani — to my — wszyscy, to cały kraj... całe nasze społeczeństwo... czy pani to rozumie?

Duże, inteligentne, dobre oczy dziewczyny rozwarły się szeroko.

— Nie rozumiem! ale... pragnę zrozumieć. Powiedz mi pan, kto to był taki?

— O tak... opowiem.

I Leon opowiedział jej wszystko. Z instynktu ominął nazwiska osób, należących do partyi i bliższe określenia działań. Lecz Jabłońska zasluchana w jego słowa, nie pytała, nie badała nic. Widać było, że cała jej dobra dusza tak skora do pomocy bliżnim — była tam przy tym trupie, który próżno na trumnę czekał w szpitalnej kostnicy.

Mileząc, sięgnęła po bombonierkę, stojącą na stole. Wyjęła z niej pięćdziesiąt franków i z nad-

zwyczajną prostotą i pewną nieśmiałością podała pieniądze Leonowi.

— Weź pan to... proszę... oddacie mi później — rodzina jego mi odda. Pan teraz nie masz prawa mi odmówić! Ja to nie dla pana — dla niego robię. On by mi nie odmówił — już ja panu za to ręczę.

Leon zawahał się. Miałże wziąć te pieniądze od tej prawie nieznanym, przypadkowo spotkanej w życiu. Lecz — czyż miał dla jakiejś, źle zrozumianej delikatności pozwolić, aby wrzucono Grzegorzewskiego do wspólnego dołu?

I w tym samym prostym tonie, w jakim Jabłońska ofiarowała mu tę pożyczkę — odparł:

— Dziękuję pani... — wybawiłaś mnie pani z ciężkiego kłopotu... my to pani zwrócimy.

— Nie mówmy o tem. Jeżeli za mało, ja w każdej chwili jestem na wasze rozporządzenie. O jedno pana proszę. Daj mnie pan znać, kiedy będzie pogrzeb. Chciałabym być na cmentarzu.

Zapukano do drzwi.

Wszedł rosły mężczyzna, szpakowaty, bardzo przystojny, ubrany warszawską modą.

Jabłońska porwała się z kanapy i trochę zmieszana wyrzekła:

— Mój stryj... a to... pan, pan —

Szukała chwileczkę w głowie nazwiska Leona, które uleciało jej z pamięci i z ogromną przytomnością umysłu i swadą dodała:

— Pan Malicki z Kiele — którego spotkałam w księgarni na bulwarach... Jestem bardzo z tego szczęśliwa, bo pan Malicki zna dobrze Paryż i będzie dla mnie przewodnikiem po tych wszystkich

Luwra i Luksemburgach, gdzie zginęłabym bez jego pomocy.

„Stryj“ obrzucił badawczym wzrokiem Leona, lecz jego ubogie odzienie, zmartwiona mina, nie obudziły w nim żadnych podejrzeń, bo natychmiast zrobił się nadzwyczaj uprzejmy, grzeczny i zaczął traktować Leona bardzo poufale, polecając mu tę biedną „Dolcię“, która tak bardzo lękała się pozostać sama w Paryżu.

Lecz Leon uczuł się nagle strasznie skępowanym i upokorzonym obecnością tego grzecznego pana, który nie miał dostatecznie słów uprzejmych, aby polecić mu swą siostrzenicę i oddać Dolcię w jego opiekę.

Jabłońska równocześnie z przybyciem stryja straciła także jakąś fantazyę — zamyśliła się i usiadła na fotelu z miną na wpół smutną i na wpół znudzoną.

Po kilkunastu minutach Leon powracał do kantoru na wpół uspokojony, lecz równocześnie jakiś niepewny, jakby czyn, który popełnił, nie był w zupełności w zgodzie z jego sumieniem. W kantorze zastał Kręckiego samego, który oznajmił mu, że Kwiatkowski prosił Leona, aby Leon dziś ani na objad, ani na lekcye nie przychodził.

— Ja byłbym i tak nie poszedł! — odparł Leon.

Kręcki ciągle miał zafrasowany wyraz twarzy i po chwilowem milczeniu odezwał się trochę nieśmiałym głosem.

— Ja wiem, że wy wszyscy jesteście tam nie bardzo praktyczni. Kto się zajmie pogrzebem?

— Ja — odparł Leon.

— Pan? skąd pan wiesz, jak się to robi. — To cała awantura z policją, z prefekturą — z historyjami. A kupowanie grobu... a karawan...

Wstał i zbliżywszy się do Leona, wyrzekł przyjaźnie:

— Wiesz Pan... do tego wszystkiego, to nie trzeba propagandzistów, ale... ot — handlowca, burzua. Już niech tam Juliś się tem zajmie!

Leon aż usta otworzył ze zdziwienia.

— Pan? pan byś chciał?

— Tak! co tam! Za życia ja koło Grzegorzewskiego nie tańcowałem, ale po śmierci to już mu ja tam tę trumieneczną wysztytuję... Cóż tam macie pieniędzy — pewno nie dużo?

W Leonie już serce zmiękło zupełnie. Ujęła go serdecznie Jabłońska, teraz Kręcki tak pocziwie chciał mu zdjąć kłopot z głowy.

— Mamy siedmdziesiąt franków, a panna Mazi ma jeszcze siedm...

Kręcki brwi zmarszczył.

— Hm!... trzeba mu kawalek ziemi kupić, choć na dwanaście lat... Na Bagueux to kosztuje pięćdziesiąt franków, trumna, karawan... ha, no... trzeba latać — a co zabraknie, to się nie troszczcie... już tam Juliś jakoś coś... Tylko... uważaj pan... nie mów nic w kolonii... Ja tam zaraz z panem pojedę na tę Glacière.

— Ale pan musisz zjeść obiad...

Kręcki pokręcił głową.

— Nie! trzeba się nim zająć. Jutro musi już być w trumnie. Dziś Juliś przetrąci co bądź po drodze. Kupi się łokciowy chleb i tam co jeszcze... nie, nie — zwłóczyć nie można, nie należy... Kto wie!

nuże on jeszcze myśli, może on przypuszcza, żeśmy go w tej kostnicy opuścili!

I szybko zaczął składać papiery, zbierać się do wyjścia i będąc już na progu, dodał jakby w formie pocieszenia:

— Jutro Juliś zje za to dwa dobre śniadania

I pojechali na tę Glacière — tylko Kręcki udał się dalej omnibusem, mającym połączenie w stronę szpitala — Leon zaś poszedł do Mazi.

Przechodząc mimo drzwi Grzegorzewskiego doznał strasznego ściśnienia serca. Zamknięte były, jak drzwi grobowca. Nigdy może smutek rzeczy, które mijają, nie przedstawił mu się tak wyraźnie. Na dole spotkał Władka, konferującego z dwoma synami konsierżki, w których jeden był robotnikiem w garbarni, a drugi uczył się grać na trąbie, mając zamiar wstąpić do orkiestry wojskowej.

Byli to rośli, tężcy chłopcy z minami zawadyaków francuskich o dużych inteligentnych oczach. Pytali się o zgon Grzegorzewskiego, którego nieźmiernie lubili i w wyrazie ich twarzy przebiegał się duży żal i smutek. Szczególniej ów garbarz, zdecydowany socjalistą, nieraz konferował z Grzegorzewskim i mając swój własny robotniczy rozum, starał się wiadomościami technicznymi rozszerzyć horyzont swój umysłowy. Był on internacjonalistą, lecz nieźmiernie szanował przekonania Grzegorzewskiego.

— Pour sur! — mówił — gdybym należał do *nation oprimeé**), jak Polacy — byłbym nacjonalistą.

*) Narodu ciemzonego.

Grzegorzewski lubił owego Roberta i często chodził z nim razem na konferencye Jouresa, Guensde'a, Sebastjana Faure'a i innych. Młodszy Jules był jeszcze prawie dzieckiem i stawał się echem słów swego starszego brata.

Leon powitał owych chłopców krótko, bo i oni przedstawiali mu minioną przeszłość i wspomnienie Grzegorzewskiego. Wzruszony, wszedł do pokoiku Mazi i zaraz zatrzymał się na progu, zdziwiony wielką ilością osób, znajdujących się w pokoju. — Wszystkie te osoby zajęte były około całego stosa cierni, leżących na środku pokoju. Jakiś mężczyzna malował na czerwonym kretonem obciążonej tarczy białego orla z rozpiętymi skrzydłami.

Gdy Leon wszedł, nastała cisza i prawie wszyscy powstałi z miejsc z pewnego rodzaju zaciekawieniem i prawie subordynacją.

— Pan Orlicki! — wyrzekła Mazia, podając rękę Leonowi i zwracając się do obecnych — zmarły w ostatniej chwili sam powierzył mi kierownictwo naszej pracy dalszej... Mówiłam wam o tem przed chwilą...

Przesunęła rękę po czole, jakby te słowa kosztowały ją wiele.

— A teraz... pozwólcie, że was przedstawię!

Skąd Leon od razu znalazł i postać i wyraz twarzy, która jego wielką młodość i niedoświadczenie zatarła i nadała mu pewną powagę a nawet surowość w gościach, w słowach, którymi bardzo oględnie i z taktem szafował?

Czuł jednak, że ta chwila jest decydująca, że ci mężczyźni, te kobiety, o tyle starsi i wykształceńsi

od niego, patrzą w tej chwili w jego twarz i z niej starają się wyczytać przyszłość partyi, jego dążenia, jego myśli. Z uścisku ich rąk poznawał, że wszyscy witali go życzliwie, bez cienia zazdrości, poddając się wyborowi zmarłego, lecz czuł także, iż oczekują od niego wiele, spodziewają się i spodziewać się mają poniekąd prawo.

Gdy wreszcie obszedł wszystkich, zbliżył się do Mazi i uczuł się nad wyraz dumnym i szczęśliwym, mogąc powiedzieć:

— Wszystko będzie załatwione!

— Ach! co za szczęście!

Zbliżyła się ku nim Wilhelminka, blada, ubrana ciemno, z twarzą zbolalej Madonny.

— Może wam brak pieniędzy — zaczęła — dlaczego nie powiedzieliście mi rano. Wydałam wszystko na kupno żaloby, ale ja zatelegrafuję do domu, przyślą...

— Nie potrzeba — odparła sucho Mazia — pan Leon już wszystkiemu zaradził.

— A!

— Tak! — Kręcki zajął się formalnościami — rzekł Leon — ja nie mam do tego głowy.

Brzydkie uczucie pychy każało mu dodać jakby od niechcenia:

— Złożyłem na jego ręce potrzebną kwotę a on obiecał mi wszystko załatwić.

Mazia zafrasowana spojrzała na niego uważnie.

— To pan dałeś te wszystkie pieniądze?

— Tak... ja... ale to drobnostka. Nie mówmy nawet o tem.

— Trzeba jednak będzie wszystkie rachunki pozbierać. Rodzina Grzegorzewskiego zwróci panu tę sumę.

Lecz Leon chciał być wspaniałomyślnym do ostatka.

— Oddamy ją w takim razie na pomnik, który wzniesiemy na grobie Grzegorzewskiego.

Mazia aż złożyła ręce.

— Och pomnik... jakby to dobrze było.

Lecz Wilhelminka przerwała ich rozmowę.

— Pozwólcie, pomnik do mnie należy. Ja się tem zajmę. Zdaje się, że mam do tego prawo.

I po chwili dodała:

— Smutne prawo!

Interwencja jej pozostała bez odpowiedzi.

Mazia pokazała Leonowi stos cierni i wyrzekła:

— Chcieliśmy złożyć na trumnie wieniec, ale sądziliśmy, że ciernie i biały orzeł toć chyba najstosowniejsze... więc staramy się to zrobić, jak umiemy i możemy. Kolega — tu wskazała malującego pod oknem mężczyznę — maluje orła. Zresztą, dobre chęci nasze wystarczą za czyny, prawda?

Leon zauważył, iż Mazia miała gorączkę i całym wysiłkiem woli trzymała się silnie i starała się zajmować drobiazgami. Oczami poszukał znowu Wilhelminki. Siedziała w kącie, na fotelu — w postawie pełnej tragicznego wdzięku. Na opuszczonej ręce, w świetle lampy, migotał pierścionek w formie łańcuszka.

Leon rozejrzał się po osobach, będących w pokoju. Oprócz Jaskulskiej i Barumzwałgowej siedziała koło stołu jakaś niemłoda studentka, świeżo przybyła z Genewy, i dwóch młodych ludzi, którzy stali pod ścianami i palili papierosy w milczeniu.

Jeden z nich, nazwiskiem Chodzik, był wysoki, tęg, przystojny, z dużymi blond włosami.

Miał na sobie, pomimo ciepła panującego w pokoju, długie watowane palto. Natomiast pod paltem Leon nie dostrzegł ani kurtki, ani tużurka. Chodzik miał w sobie jakąś niedbałość w postawie i pochylenie ramion człowieka, który przywykł „leniuchować” dzień cały.

Drugi, przedstawiony Leonowi przez Mazię, jako kolega Farbach, był znów niskiego wzrostu — z twarzą zepsutego dziecka, z postacią karłą i krzywymi dziwnie nogami. Jakkolwiek nie był podobny właściwie do żyda, jednakże coś w nim przypominało niedorosłego żydka, zmęczonego angielską chorobą. Odziany był w czamarkę popielatą z oberwaniami potrzebami z czarnej tasiemki. Włosy kędzierzawe nosił zaczesane w górę, odsłaniając olbrzymie, wypukłe, uparte i samowolne czoło.

Ręce miał małe i drobne, jak u kobiety, a stopy prawie dziecięce, obute w kobiece buciki zapinane na guziczki.

Mazia przyklękła przy stosie cierni i zaczęła pomagać Jaskulskiej i Barumzwałgowej w wiciu wienca. Leon chwilę wahał się, nie wiedząc, czy mu nowa jego godność pozwala pracować wspólnie z nimi. Przez drzwi wsunął się do pokoju Władek i usiadł w kąciuku. Cisza zaległa dokoła. Ludzie ci robili wrażenie opuszczonej przez pasterza na polu trzody. Nie śmiali mówić i myśleć bez tej duszy, która ich do czynu pobudzała.

Leon z trwogą myśleć zaczął, jaką siłą on teraz zdoła pchnąć w ruch zatrzymaną maszynę? Sam potrzebował podniety i sugestyi do działania a na barki jego niedoświadczone spadał ciężar tak wielki i odpowiedzialność tak ciężka.

I powoli, w tem milczeniu, w tej ciszy wsunął się duch zmarłego i zaciężył w przestrzeni. Każdy go czuł, widział nieledwie i lękał się spłoszyć drogiego zjawiska obojętnem słowem. Duch ten napełnił serca i piersi milczących ludzi — i mówił do nich ich myślami, badając najskrytsze tajniki, które wiązały ich w wspólnej pracy i jednoczyły w jednej idei. I nigdy może Grzegorzewski nie był tak bliski nich, jak w tej chwili, gdy zdawał się być tak daleki, że już prawie nie istniejący.

Mazia klęcząca przy stosie cierni, opuściła ręce i pochyliła głowę. W niej widocznie jeszcze cierpiała kobieta, która straciła oprócz światła swej duszy, światło całej swej istoty. Drobnie jej serce płakało teraz krwawemi łzami szalonej rozpacz i tęsknicy za człowiekiem, który był szczęściem jej życia. Leon tak zrozumiał tę milczącą boleść, że przeraził się tem zapatrzeniem się w własne nieszczęście opuszczonej dziewczyny i zbliżył się ku niej delikatnie i ostrożnie.

— Panią te ciernie ranią! — wyrzekł cicho, wyjmując z jej rąk gałęzie, których kolce rzeczywiście poraniły jej biedne ręce.

— O to nic... nie czułam...

Z kąta podniosła się Wilhelmina.

— Pozwólcie i mnie dopomóż wam w pracy.

Wciągnęła na ręce rękawiczki i ujęła ciernie. Właśnie Jaskulska podniosła w górę cały wieniec skończony. Chwilkę trzymała go wysoko i spytała:

— Czy dobrze?

Jej blada twarz okolona siwiejącymi przedwcześnie włosami, ukazała się w ramie cierni. Natychmiast Wilhelmina odebrała jej wieniec z rąk, mówiąc:

— Ja potrzynam!

I ukazała się sama blada w swej ciemnej sukni — bardzo piękna, z włosami gładko uczesanemi w pasma, zakrywającemi jej uszy. Malujący orla mężczyzna przestał malować i patrzył na nią, jak na obraz. Wszyscy zresztą zwrócili uwagę na czarujące zjawisko, jakim była ta młoda i uroczą twarz w obramowaniu tragicznem cierni.

Ona zwróciła się ku Leonowi i wyrzekła, wskazując mu leżącą na stole czarną krepę.

— Niech pan weźmie tę krepę i owinie nią ciernie. Zobaczymy, jak to będzie wyglądało.

Leon posłuchał jej rozkazu, lecz gdy się zbliżył do niej, uczuł wielki niepokój, który go ogarniał. Ona stała spokojna i wciąż przez ciernie na niego patrzyła. I spotkali się teraz oboje wzrokiem i sekundę przed ich żrenicami mignęła jakby biała zasłona. Do serca Leona krew nagle zbiegła. Dojrzał na ustach Wilhelminy bardzo lekki, ledwie dostrzegalny... kokieterijny uśmiech. Dokoła niej były żalobne ciernie, usta jej już rozchyłaly się do żalobnego wyrazu.

Leon cofnął się z przestrachem.

Gdy spojrział ponownie, uśmiech znikł i Wilhelmina patrzyła obojętnie w przestrzeń, mówiąc:

— Wiąż pan prędzej tę krepę, bo mi ręce zemdleją.

Zapukano do drzwi.

Mazia otworzyła.

Na progu pojawiły się dwie męskie postacie. Byli to synowie odźwiernej, Robert i Jules.

Weszli, zamykając starannie drzwi za sobą.

— Pardon! — wyrzekł Robert przyciszonym głosem — kto z państwa ma klucz do pokoju biednego pana, co umarł?

— Ja — odparł Barumzwajg — a nawet...

I zwrócił się do Leona, oddając mu klucz, który przed chwilą wyjął z kieszeni.

— Weźcie, to już do was należy!

Robert postąpił kilka kroków i robiąc znak bratu, aby pilnował drzwi, wyszeptał!

— Czy tam jest w tym pokoju coś... ważnego... coś, no to, co mogłoby... was kompromitować?

Wszyscy doznali jakby olśnienia.

Z nieogłębnością, właściwą Polakom, pozostawili wszystkie papiery, korespondencje Grzegorzewskiego na miejscu, zajmując się pogrzebem, wieńcami, wszystkim, tylko nie tem, co było najpilniejsze i domagało się natychmiastowego zabezpieczenia.

— Trzeba tam zaraz iść! — wyrzekł Barumzwajg.

Lecz Robert pokiwał głową.

— To na nie... tam już nikt z was nie wejdzie. Oni i zapieczętowali drzwi.

— Kto?

— Ale... policja... nasza... Niby to ze względu na formalności sądowe.

— O!...

Zapanowało grobowe milczenie.

Wszyscy zbliżyli się do środka pokoju i otoczyli Roberta. Tymczasem Jules co chwila zaglądał na kurytarz, czy kto nie podsłuchuje pode drzwiami.

— Kiedy oni to zrobili? — spytał Barumzwajg.

— Przed chwilą — odparł Robert — przyszli cichutko, jak koty, zawołali mamę i zakazali jej

dawać wam znać o ich zejściu. Mama znów zakazała nam ostrzedz panów i panie... Nie trzeba się jej dziwić... boi się policyi... kobieta stara... ot... zwyczajnie...

— Czy wchodzili do środka?

— Mama mówi, że nie... ale...

Robert zniżył jeszcze głos i dokończył prawie szeptem:

— Ale... ja jestem pewien, że oni dziś albo jutro w sekrecie powrócą. Jeśli tam jest coś... o co może rządowi rosyjskiemu chodzi... to oni to zabiorą, oddadzą ambasadzie... a potem takie same pieczęcie przyłożą i kto im co dowiedzie? Gdy spadkobiercy tego pana się zgłoszą, to zastaną pieczęcie nie tknięte... a papiery — czy tam listy — czy co, znikną!...

Było to bardzo logiczne i zupełnie w rodzaju postępowania republikańskiego rządu.

— Takie jest moje zdanie... może ja się mylę... — kończył Robert — wołałem panów i panie ostrzedz. Ja tam... kpię sobie z aliansów i wiem, że to wszystko są wymysły rządu, aby dalej ogłupiać naród...

Teraz — po chwilowem osłupieniu — nastąpił nerwowy wybuch w gromadce Polaków.

— Co teraz będzie! co teraz będzie! — powtarzali, bezradnie łamiąc ręce.

— Tam są wszystkie listy, adresy! — wołał Barumzwajg. — Jesteśmy zupełnie odkryci, skompromitowani...

— Och! my to mniejsza — zawołała Mazia — ale ci wszyscy w kraju, — wezmą ich — ześlą... och!...

I potem febrycznie dodała:

— Należy ich ostrzedz... ktoś z nas musi dziś jeszcze jechać.

— Tak! tak!...

— Ale może być zapóźno. Oni dziś mogą papiery wyjąć, oddać i depeszami przytrzymać wskazane osoby...

— Co począć! co począć!

Bezradnie powtarzali słowa, wymieniali zdania, nie wiedząc prawie, co mówią, nie ukrywając się już wcale przed tymi dwoma Francuzami, którzy stali pomiędzy nimi równie strapieni i jakby zawstydzeni postępkami rządu narodu, do którego, pomimo internacjonalizmu, porządkiem rzeczy — należeli.

I wreszcie ubrany w czamarkę Farbach, zaczął krzyczeć, podnosząc pięście do góry:

— Oh! lâche nation!... lâche! lâche!...*) ces Français...

Groźnie nawet zwracał się teraz do Roberta, który przez chwilę ze zdziwieniem na niego patrzył.

— Nation? — zapytał — a cóż ma cała nacja do postępowania rządu...

— Każdy naród ma rząd, na jaki zasłużył — odparł Farbach.

Robotnik skrzywił się z pogardą.

— Paradoxs! — odparł — czyż w takim razie wy Polacy zasługujecie na rząd, który was gnębi?

Lecz Farbach był tak zirytowany, że posunął się aż do bohaterstwa.

*) Och! podły naród ci Francuzi!

— Kto wie... — wyrzekł, lecz półgłębko.

Robert machnął ręką.

— I to paradoxs... Pan daleko nie zajedzie, wojując takimi zdaniami. Biedny zmarły nigdy takich głupstw nie gadał.

Urwał — poglądził trzymaną w ręku czapkę i dodał z pewnym wysiłkiem:

— A to, co pan o nacyi francuskiej powiedział — niby, że jest podła cała — to pan nie miał racyi... Rząd może być zgniły, ale — podstawa, my... jesteśmy zdrowi!

Uderzył się ręką w piersi, aż jęknął.

— My jeszcze o tem pomówimy.

Zwrócił się do brata.

— Chodź Jules — dobranoc całej kompanii!

Wyszli teraz głośniejszym, niż przyszli i zaraz na wschodach odezwał się gniewny głos Roberta. Widocznie, że ten internacjonalista głęboko odczuł wyrażoną swemu narodowi obelgę.

W pokoiku Mazi — nad wiankiem z cierni i białym orłem na purpurowym tle, pozostała garstka strwożonych i bezradnych Polaków, powtarzająca ciągle z trwogą o całe setki ludzi, mogących jutro dostać się w kraju do cytadeli.

— Co robić? co robić?

I Leon mimowoli czuł, jak wszystkie spojrzenia kierowały się ku niemu i żądały stanowczej rady w chwili tak niepewnej. Czuł te spojrzenia i dusza jego aż drżała od wytężenia, aby znaleźć choć jakikolwiek frazes, mogący uspokoić choćby na kilka godzin strwożone umysły.

Wreszcie zdawało mu się, że znalazł coś, co uratuje jego godność w oczach całej partyi.

— Proszę mnie to zostawić! — wyrzekł z pewnością wyższością w głosie — ja pójdę jutro do prokuratora Republiki i pomówię z nim w tej kwestyi. Powiem, co uznam za stosowne i sędzę, że...

Nie dokończył, bo nie wiedział, jak dokończyć. Zauważył jednak, że jego słowa zrobiły dobre wrażenie. Ów prokurator Republiki wprowadzony bardzo szczęśliwie, wydał się im wszystkim zbawcą.

I powrócili znów do wykończenia wieńca na trumnę — na pozór uspokojeni.

Jedna tylko Mazia nie ukrywała swej troski. Przerazona usiadła na łóżku i ukrywając twarz w dłonie, siedziała tak nieruchoma, jakby oczekująca ciosu, który miał z ich winy spaść na tyle rodzin w kraju zamieszkałych i zapelnąć znów cele cytadeli świeżymi ofiarami, z których nie jedna już mogła żywa na świat nie powrócić.

II. Robert i Jules bronią honoru republiki. — Pogrzeb Grzegorzewskiego. — Ludwik Stroński.

Leon nie poszedł nazajutrz do prokuratora Republiki.

Nie poszedł, bo nie miał dosyć odwagi.

Starał się jednak dostać do gabinetu tego dygnitarza. Dowiedział się, że prokurator przyjmuje tylko w oznaczonych dniach tygodnia.

Dzień przyjęcia wypadł właśnie nazajutrz.

— Chyba ma pan jakąś nadzwyczaj pilną prośbę...

— Nie, nie — odparł woźnemu Leon — ja przyjdę jutro.

Do jutra nie nie zrobią — myślał idąc po ulicy nad brzegiem Sekwany — a ja namyszę się co i jak mówić...

Bał się bowiem tej wizyty u prokuratora, czuł że jest za młody, za nikły, za mały, aby reprezentować „partję“.

Chętnie byłby wziął ze sobą Barumzwajga, ale lękał się, że jego godność na tem ucierpi. Przytem prokurator mógł go przyjąć w lekceważący sposób. Wolał więc, że nie będzie miał świadka. Lecz wszystko to napelniało go bezmierną trwogą i niepokojem. Wogóle Leon zaczynał się więcej troszczyć

o swój własny sukces, o to, jakie on wywrze wrażenie na prokuratorze, niż o obrót sprawy. W gorączce jednak nie zdawał sobie sprawy z tego obrotu swych dążeń.

Zobaczywszy się z Krękim, wysłuchał sprawozdania Julisia, który w krótkim przeciągu czasu załatwił bardzo dużo i zakrzętnął się seryo koło pogrzebu.

— Pogrzeb będzie jutro o trzeciej ze szpitala. Karawan zaledwie jednokonny, bo i to kosztuje... dużo. Ale za to grób niezły, na Bagueux w ładnej alei na dwanaście lat. Trumna prosta, nawet nie pomalowana.

— Wczoraj — wyrzekł Leon — powstała w partyi myśl kazać pomalować trumnę na czerwono...

— Żeby paupry za nią biegły! — zawołał oburzony Kręki — a dajcież mu spać spokojnie. On był całe swoje życie prosty i tą prostotą ujmował i podbijał serca. Niechże więc z tą prostotą zejdzie do grobu.

— Tak... — odparł Leon — taka prosta szpitalna trumna...

— Jest według jego woli! — odrzucił Kręki — kiedyś bardzo dawno — na balu Łączności, rozmawiałem z Grzegorzewskim. Zgadaliśmy się o śmierci, on wtedy jak zawsze — poetyzował... mówił, żeby chciał leżeć na Wołyniu, skąd był rodem, w lesie — na ustroniu — w jakim uroczysku i w prostej, chłopskiej — drewnianej trumnie.

— Tak! ale co ludzie powiedzą!

Kręki aż ręce rozłożył, tak się zdziwił.

— Ludzie? ludzie przywykli widzieć Grzegorzewskiego w obszarpanym surducie i wytartej czapce. Dla nich taka trumna — to dopełnienie jego życia. Wierz mi pan, cała kolonia zdziwiłaby się, gdyby się dowiedziała, że Grzegorzewski będzie pochowany w posrebrzonym i wyłożonem pudełku dla sardynek z hermetycznym zamknięciem i złożonemi lwiami łapami u podstawy!

Zaczął biegać po kantorze i wzruszać ramionami.

— Że też pan tego nie czujesz! — wołał zirytowany.

Wreszcie zatrzymał się i rozwiązawszy plik papieru, złożony na stole, wyrzekł.

— Masz pan tu zawiadomienia o pogrzebie, które wyprosiłem wpół darmo w znajomej litografii. A tu jest kalendarzyk Reiffa z adresami, a tu członkowie Łączności wypisani przezemnie dziś w nocy. Wpisuj pan w zaproszenia nazwiska Polaków a na kopertach adresy. Ja powiem Kwiatkowskiemu, że pan wpisujesz korespondencję do ksiąg. Spiesz się pan.

Leon wobec Krękiego tracił wolę i energię. Przytem dopiero teraz uczuł się strasznie zmęczonym i poprostu „rozbitym“. To też wielką dla niego ulgą była wiadomość, że „madame Kwiatkowska“ ciągle jest zdenerwowana i nie chce widzieć cudzoziemców w „swoim“ domu.

Pójdę na Glaciere, myślał Leon — zajdę tylko na chwilę do domu i prześpię się pół godziny.

Zasypiając — postanowił powiedzieć na Glaciere, że prokurator naznaczył mu audyencję jutro o czwartej. Sądził, że to robi dobre wrażenie i podniesie go w oczach partyi.

Jak długo spał — nie wiedział sam. Czuł tylko, iż sen ten, zamiast odpoczynku, męczy go i dławi. Co chwila widział Grzegorzewskiego, który czegoś od niego chciał, szarpał go za ramię, wydając jakieś niezrozumiałe jęki. Chwilami twarz Grzegorzewskiego zmieniała się w trupa głowę, otoczoną tylko masą czarnych włosów. Palce u rąk klekotały sucho i bezdźwięcznie. Klekot ten zaczynał uparcie się powtarzać i Leon oblany potem na wpół zbudzony zaczął wsłuchiwać się w ten dziwny odgłos, który go szalenie przerażał. Mara Grzegorzewskiego znikła — klekot jednak trwał ciągle. W pokoju było zupełnie ciemno — widocznie — zapadła głęboka noc.

Wreszcie Leon zrozumiał, że to co brał za klekotanie kości szkieletu, było po prostu pukaniem do jego drzwi wchodowych.

— Qui est là? — zapytał wyskakując z łóżka.

— Ouvrez, ouvrez vite! — odezwał się przyciszony głos męski.

Leon zapalił ogarek świecy i otworzył drzwi. Przed nim stał Robert — syn starszy konsierżki z Glacery. Był ubrany w długie palto i cylinder silnie na oczy wcisnięty.

— Ubieraj się pan — wyrzekł szybko — i chodź pan ze mną.

— Co się stało? czy kto na Glaceryze chory?

— Nie!... ale...

Zajrzał na kurytarz i pokazując drzwi, prowadzące do kuchenki, zapytał.

— Czy tam, nie ma nikogo?

— Nikogo.

— Żadnych drzwi?

— Żadnych.

— Chodźmy tam, pan tymczasem się ubieraj.

Weszli, Leon odziewał się bardzo śpiesznie. Robert oparł się o ścianę, nie zdejmując ze siebie cylindra.

— Myśmy oderwali pieczęcie... — wyrzekł wreszcie, prawie szeptem — otworzyli drzwi... zabrali wszystkie papiery, jakie tam były, do najmniejszego skrawka i przywieźliśmy je do pana...

— Co?

Leon stał tak zdumiony, że z rąk mu wypadło ubranie.

— Wyście to zrobili?...

— Tak, ja i Jules, my dwaj! Nie mieszałyśmy w to nikogo obcego, bo to... pewna odpowiedzialność.

Umilkł i wreszcie przez zęby z pewną zaciętością dodał:

— Nie chcieliśmy, aby ten pan, ubrany jak poliszynel, miał prawo mówić o Francuzach, że są... podli. Teraz mam nadzieję, że potrafi rozróżnić naród od rządu...

Tak głęboko utkwiała w sercu tego robotnika obelga rzucona przez Farbacha, tam w pokoju Mazi.

— A teraz chodźmy na dół. Tam jest Jules z papierami i choć schował się w zaulek, ale mogą go agenci wytropić...

Leon dopiero teraz przyszedł do siebie ze zdziwienia i radości.

— Dziękuję wam, dziękuję! — wyrzekł gorączkowo, chwytając palto i czapkę.

— Nie ma za co — odparł z flegmą Robert — zrobiliśmy nasz obowiązek.

Zeszli cicho po wschodach i Robert przechodząc mimo łoży konsierza, rzucił:

— Nie deranżuj się pan, to ja, z telegramem powracam z czwartego piętra.

Drzwi otworzyły się i Leon z Robertem wydostali się na ulicę. Gdy byli już daleko od domu, Robert śmiać się zaczął.

— Powiedziałem wchodząc, że jestem telegrafistą. Inaczej ten szpieg konsierz byłby wstał i szpiegował nas... To wstrętny sort ludzi.

Nagle przypomniał sobie, że matka jego pełni tę samą funkcję na Glacierre.

— Są jednak między nimi i uczeni — dodał w formie uwagi.

I nie już więcej nie mówił aż do zaułka na końcu ulicy Coulaincourt. Doszedłszy do rogu gwizdnął cichutko, ale niezmiernie wyraźnie. Podobnie ciche, wyraźne gwizdnięcie odpowiedziało mu z oddali. I równocześnie jakaś obładowana postać zaczęła iść ku nim wolno, jakby uginając się pod ciężarem i oświecając sobie drogę małą latarką.

— Me voilà — wyrzekł wreszcie młodszy brat Roberta, doszedłszy do nich i wówczas Leon dostrzegł, że chłopak miał na sobie długą bluzę i czapkę, a na plecach duży kosz, taki, jaki mają śmieciarze paryscy, grzebiący nocami w kupach śmieci małym żelaznym haczykiem.

W jednym ręku trzymał Jules ślepą latarkę, doszedłszy do Leona oparł się na chwilę o obramowanie mostu. Z czoła spływał mu pot — widocznie ciężar owego kosza był nad siły młodego chłopca.

— Papiery są w koszu — wytłumaczył Robert — przebrałem Jules za gałganiarza, inaczej agenci

byliby nas zatrzymali, biorąc nas za nocnych złodziei, którzy okradli jakieś puste mieszkanie.

Jules oddychał ciężko, ale rysy jego dziecięcej twarzy aż śmiały się od uciechy.

— A co? jakiego figla im spletałimy? co? — mówił chrapliwym żargotem paryskiego ulicznika — pieczęcie? wielka awantura! my sobie tam dużo z ich pieczęci robimy!

Robert także parsknął śmiechem.

— Dużo dałbym za to, aby widzieć ich twarze, skoro zobaczą, jak wyglądają teraz te sławne pieczęcie...

— Oh la la! — zawtórował mu Jules, — mince de chie!*)

Gdy się dosyć nacieszyli, i napluli przez zęby w bardzo specjalny, paryski sposób — dzielne chłopaki zwrócili się do Leona z zapytaniem:

— Gdzie teraz zanieść te papiery?

On już od chwili o tem myślał. Mazia w pośpiechu dała Robertowi jego adres, znajdując naturalnem, że to on powinien przechować u siebie tę moralną sukcesję Grzegorzewskiego, lecz czy to było bezpiecznem? Wiedział, że podejrzenia policyi francuskiej zwrócić się na nich w pierwszej linii. Przyjdą, znajdą, zabiorą.

Myślał kilka sekund, wreszcie coś postanowił, bo odezwał się stanowczo:

— Chodźcie za mną, moi przyjaciele!

Jules zwrócił się do starszego brata.

— Idź już braciszku, ja sam pójdę za panem...

Lecz Robert wzruszył ramionami.

*) Specjalne wyrażenie paryskie, oznaczające wielki szyk.

— Oszalałeś? ja miałbym cię opuścić z temi papierami na plecach? Ja będę szedł po drugiej stronie ulicy i dawał na ciebie baczenie... a gdyby cię agenci chcieli niepokoić, to już ze mną będą mieli do czynienia!

Twarz jego nabrała dziwnego wyrazu dzikości. Oczy aż błyszczały w ciemni... Cała nienawiść robotników i proletariatu miejskiego do policyi odezwała się w jego głosie i uwidoczniła w zaciśniętej pięści, jaką pogroził w stronę uśpionego Paryża.

— A teraz... w drogę!

I poszli. Leon szedł pierwszy, za nim Jules. po drugiej stronie ulicy Robert, który w swym cylindrze i długim palcie wyglądał raczej na zapóźnionego eleganta, niż na robotnika, który wypłatał dobrego figla prefekturze paryskiej policyi.

Leon prowadził ich do kantoru. Postanowił ukryć papiery w szopie, w której robotnicy pakowali za dnia towary. Miał od tej szopy klucz i od kantoru także. Obydwa klucze były teraz w jego kieszeni. Zdawały mu się portem bezpieczeństwa dla niego i dla jego towarzyszy.

Gdy schodzili na dół ulicą Clichy, rozległy się dźwięki zegaru. Wybiła druga. Leon odwrócił się do Jules'a.

— Jakto! tak późno?

— Naturalnie... wcześniej nie można było z powodu policyi.

I nagle rzucił przez zęby.

— Attention... les fliques!*)

*) *Fliques*, nazwa agentów policyjnych w żargonie paryskim.

Szli rzeczywiście ci agenci, którzy w tej chwili wydawali się Leonowi groźnemi potworami, czyhającymi na wolność setek ludzi, śpiących teraz spokojnie jeszcze w odległych zakątkach zagrabionego przez przemoce kraju. Szli, po dwóch, ciężko, znużeni, jakby strwożeni, lękając się napotkać jakiegoś złoczyńcę, którego mieli pozbawić wolności choćby kosztem swego życia. Odziani czarno, mieli na sobie liberyę żałoby, a twarze ich były dziwnie do się podobne, zwiędnięte, zaniedbane, brzydkie w tej abnegacyi, jaką mimowoli widocznie razem z mundurami ci ludzie przywdziewali.

I teraz, im bliżej było centrum Paryża, tem więcej ich było, tem częściej przecinali drogę Leonowi i jego towarzyszom, lecz nawet nie oglądali się za temi spokojnie idącymi i na pozór niczem nie złączonymi ludźmi. Na Leona jednak były ciągle płomienie. Teraz zaczął czuć szaloną trwogę. Teraz dopiero zrozumiał, jak straszną odpowiedzialność brał na siebie Grzegorzewski, trzymając w swem mieszkaniu dowody materyalne związków swoich z osobami, mieszkającymi w kraju.

Jedna chwila — śmierć... i oto śmierć moralna setek a może tysięcy!

Doszli wreszcie na ulicę Buffault i Leon zatrzymał się przy bramie kantoru.

Zadzwoił i Jules milcząc przyczepił mu do guzika od palta swoją latarnię i rzuciwszy okiem na obie strony zupełnie pustej ulicy, kosz swój z pleców zsunął i przed Leonem postawił.

W tej chwili otworzyła się furtka w bramie i równocześnie zbliżył się Robert.

— Bonne chance! — wyrzekli obaj bracia, kłaniając się Leonowi.

On zaczął gorąco ręce ich ścisnąć.

— Dziękuję wam — dziękuję!

— Nie ma za co — odparł znów Robert — nie ma za co...

A Jules dodał:

— Byle tylko nasza mama jakich przykrości nie miała — to my jesteśmy bardzo kontenci, żeśmy mogli wam oddać przysługę!

I raz jeszcze ukłoniwszy się, oddalili się teraz już razem z minami zwycięzców.

Leon zebrał wszystkie siły i przeniósł kosz do sieni. Przechodząc mimo szybki, po za którymi zaczęła się sylwetka konsierzki, wyrzekł z całą swobodą, na jaką się mógł tylko zdobyć w tej chwili:

— To ja, pani Martin — idę do kantoru — zapomnieliśmy bardzo ważne papiery — muszę je wysłać pierwszą pocztą.

Konsierzka zamknęła szybkę. Leon wziął z kąta ów kosz i zaczął go taszczyć pod szopę, której oszklone okna dziwnie migotały w nocnej ciemni.

Wreszcie otworzywszy drzwi — zdołał się dostać do wnętrza.

Wtedy upadł prawie na klęczki i głowę na koszu położył. Papiery okryte były jakąś szmatą, aby miały pozór gałganów. Leon szmatę odgarnął i ręce w tę masę zanurzył. Były to przeważnie listy, manuskrypta, wycinki z dzienników z dopiskami — karteczki oderwane, zapisane adresami — koperty z markami poznaczonymi pocztowymi stemplami. — Wszystkie trzy rozszarpane kawały Polski były tam reprezentowane.

I to było wszystko — wszystko, co było trzeba aby potępić całe rodziny, rozerwać ich istnienie, okryć żalobą może pół kraju! Cały łańcuch dokumentów, z którego inteligentne i przebiegłe sfery płatnych rządowych służalców, potrafią zrobić wyroki potępienia, banicyi — zesłania, więzienia czasem na resztę życia!

I Leonowi mdlały ręce, gdy zapuszczał je coraz głębiej w otchłanie tych „dokumentów“, które milcząc, oskarżały, dowodziły, zdradzały gorzej, niż najczujniejsze i najbardziej płatne szpiegi.

Ogarnął go straszny, nieopisany lęk. Dokoła było prawie ciemno — tylko latarenka, uciepiona u guzika jego palta, rzuciła słaby ukośny promień na wierzch kosza i oświetlała początek owego stosu, wydobywając na jaw niektóre listy i papiery. Leon rozszerzonymi źrenicami wpatrywał się w tą biel pociętą plamkami marek i pieczęci i nie śmiał ruszyć się, tak wielką potęgą wydały mu się te groźne świadki przestępstw, za które ludzie drugich ludzi wiążą i jak dzikie zwierzęta za kraty wtrącają!

A były to przecież lepsze części dusz, które miały wyższe i promienniejsze ideały, jak zwykłą miarę życiowej mniej lub więcej rozkosznej vegetacji. Były to światełka tlące w duszach studentów, w sercach młodych dziewcząt — były to piękne, gorące, wspaniałe myśli głów, nie chcących ugiąć się pod jarzmem niewoli — pragnienia serc oburzonych niesprawiedliwością ekonomicznych stosunków — pragnących chleba i pracy dla wszystkich — i swobody dla kraju!

I zamiast jaśnieć jak kryształ, te myśli ludzkie kryć się musiały — bo one, które przynosiły zaszczyt

duszm, które je zrodziły — były w obecnym ustroju raną, którą się zakrywa, grozą, na którą zapada więzienna krata, gorączką, którą chłodzi wilgoć cytadeli, występkiem, za który oślepią śniegi Sybiru!

O wielka, dumna — bezczelnie dumna cywilizacyo, która raczysz ludzkość wspañiałemi ulepszeniami, pomagającemi człowiekowi znosić fizyczne nędzy swego istnienia — kiedy znajdziesz wreszcie dość siły, aby zapewnić myśli ludzkiej swobodę?

Kiedy przestaniesz więzić i nękać nam ducha? Kiedy pozwolisz głosić swe przekonanie bez trwogi, że myśl ta, obleczone w słowo, stanie się dokumentem, pozwalającym silniejszym rozciągnąć nad nami bat dozorczy menażeryi i zaliczyć nas do zwierząt szkodliwych, które więzienie lub banicja oddziela od reszty społeczeństwa?

Leon czuł, iż winien coś uczynić z tą masą papierów — spalić je... schować wreszcie tak, aby nikt nie ośmielił się znaleźć je w tem ukryciu.

Nie chciał pozbywać się od razu tej „historii partyi“, która była w tych papierach zawarta. Chciał ją poznać — czuł, że musi to zrobić. Długą chwilę bił się z myślami, wreszcie podszedł do kąta szopy — odsunął duży szlaban, na którym robotnicy składali przedmioty, mające być opakowane i znalazłszy szufłę do zesypywania trocin w paki łamliwych przedmiotów — zaczął kopać ziemię, dopomagając sobie rękami, paznogciami, gdy szufła w ziemię wchodzić nie chciała.

Szopa bowiem nie miała podłogi. Postawiono ją prosto na ziemi, na dziedzińcu, powyrywawszy naprzód kamienie, bo paki na nich równo stać nie

mogły. Zrównano potem ziemię, która cała była zarzucona dość grubą warstwą wiórów, trocin, waty i kawałków papieru.

Leon kopał ów dół z całą odwagą, ale chwila mi zatrzymywał się, bo brakło mu już sił i ręce mu mdlały. Lękał się, aby świt nie nadszedł i konsierżę nie przyszła ochota zajrzeć, co on też robi w kantorze. Z trwogą spoglądał w szyby, poza którymi jeszcze była ciągle noc czarna i wilgotna.

Wreszcie dół był dość duży i Leon wysypał w niego wszystkie papiery, wyścieliwszy wprzód dno i ściany gazetami i kawałkami waty. Wreszcie pokrył to wszystko szmatą i przysypał ziemią. Ubił ziemię i ugniótł nogami — pokrył znów warstwą gnijących wiórów i trocin.

I gdy przysunął do ściany szlaban — oparł się o niego i zaczął teraz aż jęczeć ze zmęczenia.

W kącie w latarence świeca dogorywała.

Z rąk jego pokrwawionych i czarnych od ziemi wypadła szufła — oczy z wyrazem osłupienia utkwili w ziemię. Nie mógł przemówić ani słowa — zrobić ani jednego ruchu.

Odpoczywał.

Mówią chłopci — „cztery deski i cały świat“. Na niskich, drewnianych marach, nie pokrytych nawet całunem, stoi drewniana, prosta trumna, cały świat, a w niej — trup.

Białe prześcieradło, zwyczajem francuskim, pokrywa całe ciało aż pod brodę. Na prześcieradle tu i owdzie rzucony jakiś kwiat ubogi i napół w tem zetknięciu się z trupem człowieka — uwieźdły.

Nie ma świec, nie ma zieleni, nie ma krepy. Nie — do czego oko nasze przywykło — całej tej dekoracyjnej części, którą w naszym kraju stroi się śmierć i odrywa od trupa oczy żyjących.

W tej nagiej poczekalni, zimnej, białej, otwartej na rozcierz — widnej, jak szpitalna sala — tragiczniej, groźniej zaznacza się majestat śmierci, niż wśród czarnych draperyj, srebrnych galonów i setek płonących świec.

— Proch jesteś i w proch się obrócisz!

Ledwo nędzne okrycie na zeszytniałe ciało i kilka desek, które razem z tem ciałem w proch się rozpadną.

Lecz kto raz widział takiego trupa, który wracał do ziemi prawie nagi — ubogi, pozostawiający za sobą daleko wszystko, co mu cywilizacja za życia narzuciła, nie zapomni go już nigdy i wiecznie będzie miał w myśli.

— Proch jesteś...

Leon stał, jak przykuty u wejścia poczekalni i wprost, w twarz Grzegorzewskiego patrzył.

Patrzył i poznać prawie nie mógł w tej masce zielonej, w tych oczach szklanych, strasznych, w tych ustach otwartych — czarujące rysy żywego, jego oczy czarne, pełne blasku, usta, które zdawały się zawsze płonąć, jak kwiat granatu.

I nie był to spokojny sen — o nie!

Grzegorzewski nie „usnął“, jak się mówi popularnie. — Grzegorzewski zdawał się być obalony w tę trumnę, związany — przykuty do śmiertelnego posłania, i chwilowo zapadłszy w niemoc, skarżył się wyrazem twarzy, rozpaczy pełnym jękiem, który uleciał przed chwilą z ust w pół otwartych na swą

śmierć przedwczesną, nie pozwalającą mu iść dalej, płynąć w górę i dźwigać za sobą słabszych i wątpiących.

Dziedziniec szpitalny tymczasem napełniał się ludźmi, którzy grupowali się według barw i przekonań, zupełnie jak w sali geograficznej na jakiegokolwiek uroczystości narodowej. Przyszli prawie wszyscy, z wyjątkiem wielkich matadorów z hotelu Lambert i solidnych głów, nie deranżujących się w swoich zajęciach dla tak nie znaczącej, a zbuntowanej osobistości, jaką był Grzegorzewski. I dziwnym układem (jednym z tych dzikich, monstualnych konwencyonalizmów świata) wszyscy wobec trumny grali wielką kurtuazję dla zmarłego. Boć przyjęte jest gryźć, dręczyć, zabijać istotę, wysuwającą się ponad tłum. Lecz gdy ta istota zdręczona, zabita — padnie, ci wszyscy, którzy byli pierwsi w rzucaniu kamieni, schodzą się na pogrzeb, otaczają trumnę, grając rolę szlachetnych przeciwników, wienieczonego.

I Leon widział, jak grupy ludzi, nienawidzące Grzegorzewskiego, zatrzymywały się na progu poczekalni i z minami hipokrytów, odziani ciemno, stali chwilę i patrzyli ze złe ukrytą ciekawością w twarz zmarłego. Niektórzy przynosili nawet kwiaty, wieniec i składali je u stóp trumny tak, jak za życia składali na cześć Grzegorzewskiego insynuacje i obelgi. Kilkakrotnie Leon poruszył się, chcąc odepchnąć te kwiaty, lecz Kręcki wstrzymywał go lekkim giestem i kilkoma słowami, wyszeptanymi uspakajającym tonem.

Opodał pod ścianą, kryjąc się przed wzrokiem ludzkim, stała Mazia i suchemi, zbolalymi oczami

zdawała się wpijać w twarz zmarłego, jakby pragnęła zabrać obraz tej drogiej, martwej twarzy, w źrenice swoje na resztę życia. Postarzała o jakie dziesięć lat, skurczyła się, zgarbiła. Rumieńce znikły. Twarzyczka wyciągnęła się i oczy przygasły.

Nagle zaszumiało u wejścia.

W towarzystwie Jaskulskiej weszła Wilhelmina, odziana czarno, prawie w grubej żałobie. Suknię miała nową, doskonale skrajaną, obcisłą na biodrach i szeroko rozkładającą się na dole. Lekka narzutka obrzucona była falbanami z krepy. Na głowie nieduży kapelusz, z kokardą krepową, w formie alzackiej kokardy.

Po za nią Leon dosłyszał wyraźnie szmer kilku głosów:

— To... narzeczona!

Więc ona była istotnie narzeczoną tego człowieka? On chciał swe życie, pełne gorączkowych marzeń, związać z istnieniem tej dziewczyny?

Jakaż to wielka, niepospolita musiała być dusza tej kobiety!

Wilhelmina podeszła do trumny i na piersiach zmarłego złożyła duży bukiet fiołków.

Leon zapomniał o fiołkach, rozsypanych przez tę kobietę u niego na pościeli i cały dał się porwać artystycznemu wrażeniu.

Ta smukła, królewska postać kobieca, cała prawie naga, w swych czarnych draperyach, pochyłona nad tą prostą, szpitalną trumną i składająca ciemne aksamitne kwiaty na piersi trupa...

Piękność tego kontrastu i giestu Wilhelminy odczuli wszyscy zebrani. Cały interes, całe zajęcie się zgromadzonych zwróciło się teraz ku nowo przy-

bylej. Trup Grzegorzewskiego schodził [na drugi plan. Szeptami pokazywano sobie piękną studentkę, która stała teraz wyprostowana obok trumny, jak wspinały anioł śmierci, cały czarny, z marmurowo-białą, piękną w swym smutku twarzą.

I Leon zapatrzył się w nią, jak w tęczę, odrywawszy myśl od trumny.

A przecież ciężył nad nim straszny dla niego obowiązek.

Rano — w kantorze — spytał go nagle Kręcki:

— Któż będzie mówił nad grobem?

— Kto będzie mówił?

— No tak. Przecież ktoś z waszej partii musi mieć mowę. Cóżby to był za pogrzeb bez mowy. Nie wiem, kto jest tam u was teraz „najstarszy“. Ten powinien przemówić.

Najstarszy! a więc... on, Leon, nikt inny. Nie może, nie powinien ustąpić miejsca innemu, młodszemu od siebie w hierarchii partyjnej. Lecz czyż on potrafi mówić wobec tylu osób?

Cofnął się do kąta i zaczął obmyślać i układać mowę. Powoli dobył ołówka i kreślił ciszące się zdania na ćwiartkach papieru. Był nadzwyczaj podniecony i sam zdumiał się nad łatwością, z jaką całe snopy słów biegły mu do mózgu i łączyły się w całość.

Zaczynając układać mowę, sądził, że zdoła za ledwie skleić kilka wierszy — teraz zaś snuł się cały poemat, który zdawał się od dawna drzeć na dnie jego duszy.

Odczytał kilkakrotnie mowę i uczuł się z niej dumny i zadowolony. Poszedł z nią do opustoszałej

w tej chwili szopy i oparłszy się o szlaban, próbował giestów i nawet starał się przybrać odpowiednią pozę.

— W tej trumnie leży część przyszłości naszego kraju! — mówił i uderzał lekko dłonią o wierzeh szlabanu.

W tej chwili przypomniał sobie, że tam pod tym szlabanem jest rzeczywiście taka mogiła, wykopana przez niego samego i pełna myśli tych, którzy także są częścią przyszłości kraju.

Odsunął się i teraz czytał swą mowę ciszej, ale usiłując znaleźć odpowiednie intonacje.

Gdy Kręcki przypomniał mu, że czas jest już iść na pogrzeb, schował kartki do kieszeni, jakkolwiek całość mowy wybornie objął pamięcią.

Koło trumny zrobił się nagle ruch i ciężki stukot butów karawaniarzy rozległ się dokoła. Wieko zasłonięto i nikt nie zbliżył się, aby zwyczajem francuskim złożyć pocałunek na czole zmarłego.

I nagle do trumny zbliżyła się Mazia. Szybko, z pod żakiecika dobyła kilkanaście broszurek w purpurowych okładkach i jak rozkwitłymi różami, obsypała nimi śmiertelny całun, kryjący zwłoki zmarłego. Jedna z tych broszurek padła na bukiet fioletów, pokryła go i teraz Grzegorzewski miał na piersiach otwartą krwawą ranę swej pracy i unosił ją do grobu, jak swój skarb i ziemski dorobek.

Było to jego wydawnictwo te purpurowe broszurki, to, w co włożył całe swoje życie, swego ducha, lepszą część swej istoty. Tymi kwiatami obsypała go Mazia w ostatniej pożegnania chwili i zdawało się, iż to cały kraj daleki, a tak zmarłemu bliski, rzucił na drogiego mu trupa garść maków

purpurowych, wyrosłych wśród łąków zboża, chłopskim i robotniczym potem zroszonych.

Karawaniarze zamknęli wieko, zabili je gwoździami i wynieśli na dziedziniec.

Na karawanie stał już Kręcki i Barumzwaig układając wieńce. Na samym froncie widniał ów wieńiec z cierni, okryty krepą, z po za której białął na purpurowem tle orzeł polski.

Gdy trumna została umocowana, Leon stanął tuż za karawanem, sądząc, że to on prowadzić będzie ów orszak pogrzebowy. Lecz — nagle z gromadki zupełnie na boku stojącej, odłączyła się wysoka postać siwowłosego starca. Był to jeden z najznakomitszych ekonomistów współczesnych, nieskalany charakterem, kryształicznej czystości człowiek. Z gołą głową podszedł ku Wilhelmince i pełnym szacunku giestem, ramię jej podał.

Ona zorientowała się natychmiast w sytuacji, przyjęła podane ramię i stanęła wraz ze starcem za trumną, zaznaczając w ten sposób swój bliski stosunek do zmarłego.

Kręcki spojrzał ze zdziwieniem na ten fakt, sankcjonujący niejako przez całą kolonię narzeczeństwo Wilhelminki. Pokręcił głową i wzięwszy Léona pod rękę, w tłumie starał się podążyć za karawanem, który niezmiernie szybko ulicami toczyć się zaczął.

Leon szedł w milczeniu, wsłuchując się w szmer setek nóg, idących dokoła niego. Teraz już nie zdawał sobie sprawy z faktu, że idzie za trumną Grzegorzewskiego. Szedł naprzód machinalnie, patrząc na kamienie, znikające mu ciągle pod stopami.

Nagle wyrwał go z tej zadumy głos Kręckiego.

— Mazette! a to szykowna paniuncia!

Leon instynktownie podniósł głowę i zobaczył na trotuarze Jabłońską, której przedtem nie zauważył. Nie znając nikogo z obecnych, Jabłońska szła sama, zwracając ogólną uwagę urodą i elegancją swego stroju. Ubrana była czarno i niezmiernie bogato. Na szyi miała śliczne bogate boa, na głowie aksamitny kapelusik, ubrany piórami. Tylko na twarzy miała zawiązaną zieloną woalkę w duże szafrowe grochy. Jej fryzowane włosy przesłicznie rysowały się pod tą delikatną modną zasłoną. Usiłowała przybrać minę poważną i być „dama” w każdym calu.

— Kto to? — szemrano dokoła.

Leon chciał powiedzieć Kręckiemu, że zna tę strojną kobietę, lecz jakiś nerwowy skurecz, powstrzymał go od tego zwierzenia. Co więcej, Leon odwrócił głowę, jakoś dziwnie zirytowany na to, że ta aktorka przyszła na ów pogrzeb. Posłał jej wprawdzie zawiadomienie, ale sądził, że nie przyjdzie.

Doszli już teraz w milczeniu do cmentarza i tam Leon, wraz z innymi młodemi ludźmi, ujął trumnę na ramiona. W domu myślał o tej chwili i zdawało mu się, że będzie to dla niego rozkoszą najwyższą, oddać temu, którego uważał za mistrza, choć taką przysługę.

Lecz deski zaczęły wpijać mu się w ramiona. Kręcki, który niósł z nim w parze, był znacznie od niego wyższy — cały ciężar mimowoli przechylał się w stronę Leona. Grób był bardzo daleko, prawie pod samym murem. Gdy doszli do otwartej jamy, Leon drżał cały od wyczerpania.

Trumnę ustawiono nad grobem.

Dzień miał się już ku schyłkowi. Oziębilo się nagle i jakiś wiatr dziwny poruszył bezlistne jeszcze gałęzie akacyi. — Dokoła pole zasłane biednymi nagrobkami. Tu i ówdzie świeża jeszcze mogiła. Wszędzie masy wieńców z czarnych paciorek. Obok otwartej jamy mogiłka dziecka, na niej wieńce białe z niebieskimi gwiazdkami.

Trumnę pokryto wieńcami. I Leon, który prawie martwy z trwogi, stanął obok niej, nie mógł oczu oderwać od fioletowego bibulanego wieńca, daru konsierżki, matki Roberta i Jules'a. Obok tego wieńca był drugi, mały, skromny. Na nim napis rosyjskimi literami:

Druhu od druziej.

I Leon sam nie wiedział, jak to się stało, że on szybkim, nerwowym gestem, usunął z trumny ten wieniec, który padł na żółtą gliniastą ziemię i pozostał tak odosobniony przez chwilę. Z tłumu, z po za Leona, wysunęła się nieśmiało chłopska i ordynarna ręka rosyjskiego studenta i wieniec ten podjęła z ziemi. Równocześnie Leon, który się odwrócił, spotkał się ze smutnem spojrzeniem dwóch wielkich źrenic płonących z pod brwi ściągniętych...

Leon przypomniał sobie z błyskawiczną szybkością, że on już te źrenice widział i stanęła mu przed oczyma kolumnada w prefekturze policyi i ów student rosyjski, wyczekujący pod deszczem na swą kolej zapisania się na liście cudzoziemców.

Lecz tak samo jak wtedy, tak i teraz, nie ich nie połączyło razem, choć na pozór winna ich była złączyć — trumna. Leon czuł, że powinien już zacząć mówić, a przecież zwłóczył z rozpoczęciem, jak

skazaniec, który chciałby odwlec chwilę zgonu. Potoczył wzrokiem po obecnych.

Wszyscy tłoczyli się dookoła mogiły, z minami zaciekawionych widzów. Obok niego Willhelminka, którą raczej przeczuwał, nie widząc dostatecznie. Lecz — naprzeciw siebie, po drugiej stronie grobu, spostrzegł Leon młodego człowieka, wysokiego wzrostu, o ciemnej cerze i rudawej brodzie dookoła bardzo brzydkiej twarzy.

Człowiek ten miał niskie czoło, uparte i niezmiernie samowolne. Oczy zapadnięte w głębi, były niezmiernie rozumne i miały tak szalony wyraz ambicji, energii i prawie chłoszczącej siły, że Leon czując ich spojrzenie na sobie, doznał jakby uderzenia moralnej szpicruty.

Przez chwilę źrenice tych dwóch młodych krzyżowały się po nad otwartym grobem i nagle ogarnęła Leona chęć zmiżdżenia tego zuchwałego wzroku, który mu zdawał się imponować, coś nakazywać, badać go całego.

I pod tem dziwnem wrażeniem Leon — mówić zaczął.

Odrazu głos miał stanowczy i pewny. Odrazu też uczul sam, że pójdzie wszystko dobrze i że rozentuzjazmuje tłum cisnący się dookoła. Cała mowa z szaloną jasnością rozwijała się przed nim tak, że zdawało mu się, iż czyta z jakiejś otwartej księgi. Lecz głos jego nie zabrzmiał ani razu rzewniejszą i serdeczniejszą nutą.

Był ciągle butny i wyzywający i śmiały. Zdawało się, że Leon chce mową swoją zgnieść i upokorzyć tych ludzi, którzy piotunem swych insynuacji karmili za życia zmarłego, a teraz przyszli jak na

widowisko, aby z hipokryzyą złożyć go do grobu. I powstał w nim szalony bunt.

Z mocą wielką starał się zaznaczyć, iż Grzegorzewski nie umarł, lecz żyje i żyć dalej będzie w swem dziele, które oni podejmują i prowadzić będą, choćby pod gradem prześladowania i wzgardy mieli padać jeden po drugim...

— Jest nas legion cały — mówił, a policzki mu płonęły i oczy zwykle spokojne gorzały teraz niezwykłym blaskiem — legion, który za tą trumną pójdzie i jeden z nas drugiemu służyć będzie za piedestał, aż dojdziemy do celu i zdołamy zapalić pochodnię, która rozświecili kraj cały i do czynu pobudzi! On wołał jeden: wstań Polsko — czas zrzucić z siebie twój całun milczenia, my za nim powtórzymy jego okrzyk zwycięski. I wstaną z nami i pójdą ci wyzyskiwani, ci pracujący, ci będący obecnie bydłem roboczym, często głodnym i nie mogącym zaspokoić swego głodu i głodu swych dzieci! A nad nami świecić będzie zawsze duch zmarłego. Jak ofiarna pochodnia wieść nas będzie w pożodze ofiarnych stosów, na których płonąć będą trupy rozpadającego się w nicłość wyzysku...

Już nie trzymał się teraz tekstu, napisanej przez siebie mowy. Improwizował, porwany nagle — uniesiony, przejęty wielkością chwili i wspaniałem brzmieniem własnych słów. Pływały mu z ust lawiną, kaskadą i coraz ich więcej snuło się przed nim, tak, że ledwo zdołał je chwytąć, wymówić, połączyć z sobą,

I nie była to stanowczo mowa pogrzebowa. Nie dzwoniła w niej pieśń żałoby, lecz grała pobudka do czynu z brzmieniem w niej już echem tryumfalnego

zwycięstwa. Słowa zdawały się mieć w sobie łopot skrzydeł młodych orląt, wyrrywających się z gniazda, aby płynąć w przestworza i dokoła rozjaśnił się cementarz cały życiem — nadzieją — siłą — młodością.

Nikomu nie zdawało się, że stoi nad trumną — nad mogilną jamą. Potęgą wymowy Leona porwani — obecni wierzyli, czuli, pragnęli żyć, działać — tak butna, czarująca siła młodości ożywiła w nich ducha i zbudziła odrętwiałe myśli.

I gdy Leon zwrócił się ku trumnie, nikogo nie zdziwiło, że w mowie jego nie było owego banalnego żegnania się z nieboszczykiem. Bo wszyscy czuli, że Grzegorzewski nie umarł, że tylko szmat ciała odrzucił od siebie i pozostał wśród tej garstki „swoich“, lub uleciał do kraju, aby tam żyć w swych czynach, w swych myślach, w rezultatach swej pracy. I każdy czuł, że odtąd wiele z tego, co się stanie, będzie już dziełem tego zmarłego i nikt go, jako wykreślonego z listy żyjących, uważać nie mógł.

Bo niezamierającą jest żywotność tych, którzy myślą żyli!

Gdy Leon skończył swą mowę, drżał jeszcze cały i teraz dopiero uczuł na jaki wysiłek zdobył się przed chwilą. Powoli wracał do równowagi i najpierw poszukał oczami owego nieznanego człowieka, którego wzrok tak go dziwnie mieszał.

Stał wciąż po drugiej stronie mogiły; brzydki, dziwny; a mimo to imponujący i patrzył ciągle na Leona z po za szkieł okularów.

We wzroku tym był rodzaj ironii, niedowierzania słowom, coś niepewnego, co Leona podrażniło do żywego. Odwrócił się i teraz wśród tłumu roz-

różnił w pewnej linii pułkownika Montalembert, odzianego czarno, w lśniącem cylindrze. Opodal — Farbach w swej czamarce, którą zapiął pod szyją broszką z białym orłem, zielona wualka Jabłońskiej, Kręcki wydający rozkazy grabarzom...

I cały tłum publiczności, który patrzył teraz w niego jak w tęczę. Leon czuł ten wzrok i dreszcz pelen rozkoszy i trwogi przebiegał jego ciało. Był nim upojony i lękał się go. Słyszał, jak dokoła szeptało jego nazwisko. I nagle jeden drobny fakt przywrócił go do równowagi. Ktoś go ujął za rękę i powiedział cicho, lecz na tyle, aby słyszano dokoła:

— Dziękuję w imieniu zmarłego...

Była to Wilhelmina, osłonięta krepą wdową i grająca dalej rolę pierwszej osoby w tym dramacie. Leon uczuł dziwnie fałszywość i jej i swego położenia. Oboje — myśleli o sobie — a nie o trumnie. I gdy wzrok jego napotkał jeszcze oczy Mazi, która ze smutnym wyrzutem patrzeć się na niego zdawała, serce ścisnęło się w nim gwałtownie.

W jednej chwili zrozumiał wszystko. I pragnął dowieść zmarłemu swojego za nim żalu. Lecz jak? Mowy zaczynać — niepodobna. Lecz gdy serce mówi — pomysły płyną jak lawa.

I Leon ślicznym, wdzięcznym — prawie chłopcym ruchem przykląkł przy trumnie w chwili, gdy grabarze opuścić ją w grób usiłowali i usunawszy kryjące ją kwiaty — biedne sosnowe deski gorąco ucałował. I był to czyn tak szczery, tak prosty, że pociągnął ze sobą całą garstkę młodzieży, tak łatwo przejmującej to, co rzeczywiście z serca pochodzi. Kilku przyklęкло także i całowali deskę

trumny. Pomiędzy nimi dostrzegł Leon pomierzwione, ciemne włosy.

Student rosyjski, rewolucjonista, klęczał także na piasku i brzeg trumny polskiego patrioty całował. Poczem szybko — jakby popełniał czyn karygodny, swój niezgrabny, ubogi wianek do otwartej jamy grobowej wrzucił. Padł tam jak zraniony ptak i zajaskrawił się purpurą wstążek jak krwawą posoką.

Poczem student cofnął się do grupy rosyjskich studentów i studentek, którzy stali trochę na uboczu i wszyscy mieli dziwny, odrębny charakter odzieży, rysów twarzy, całej postaci...

Teraz w mogilnej jamie, na przyjęcie trumny Grzegorzewskiego, czekał ten rosyjski wieniec z rozpostartem objęciem krwawych wstęg i Leonowi zdawało się świętokradztwem dozwolić trumnie spocząć na tej wrogiej podstawie.

Zwrócił się więc do grabarzy i wyrzekł po francusku, wskazując wieniec:

— Usuniecie to!

Lecz z drugiej strony grobu, dziwny nieznajomy powstrzymał grabarzy rozkazującym ruchem ręki.

— Zostawcie! — wyrzekł również po francusku.

Głos jego był niski, trochę gardłowy, ale jak dzwon harmonijny. I zanim Leon zdołał zaoponować, już trumna Grzegorzewskiego spoczęła na rosyjskich kwiatach rewolucyjnych, tak, jak na łonie matki, która ideę ukochaną przez zmarłego w sobie mieści, na równi ze skargą i pragnieniem oswobodzenia wszystkich dzieci — białego cara.

I teraz powoli z tym strasznym, żalobnym loskotem, padały grudki ziemi, które każdy z obecnych czuł się w obowiązku rzucać. Ściemniało się — i tylko w oddali, na samym kraju horyzontu widać było purpurową linię. Akacje stały nieruchome i wiatr nawet nie kołysał ich bezlistnymi gałęziami.

Mogila rosła, rosła i wreszcie przybrała formę małego kurhanu. Kręcki wraz z Wilhelminką okryli ją wieniecami. Zgromadzeni zaczęli się rozchodzić gromadkami, śpiesząc teraz ku wyjściu nagle obojętni — cali już oddani swoim własnym, egoistycznym myślom.

Przy mogile pozostał Leon, Wilhelminka, Mazia, Farbach, Barumewajg i Jaskólska. W oddali, pomiędzy grobami, czytając napisy, kręciła się strojna postać Jabłońskiej. I znów Leon uczuł, jakby złość do aktorki za to, że nie odeszła i zdawała się czekać, aby się do niej zbliżył. Odwrócił się i patrzył w przeciwną stronę. Nagle — z po za jednego z nagrobków wysunął się ktoś i stanął obok niego. Leon nie odwrócił głowy. Jakkolwiek nie widział kto był przy nim — jednak był pewnym, że to nie jest nikt inny, tylko ów nieznajomy. Przeszedł go jakby dreszcz nerwowej odrazy; nagle cały ochłodził, wyprostował gotując się jakby do walki.

Nieznajomy skłoniwszy się lekko, wyrzekł:

— Jestem Ludwik Stroński, delegat genewski. Pragnąłbym z wami pomówić...

Leon odparł sucho, krótko:

— Służę wam — mówcie!

III. Pierwsze strzały. — Leon zapoznaje się z działaniem partii. — Starcie z Kręckim. — Montalembert.

Stroński odciągnął Leona trochę na bok, pomiędzy mogiły.

— Cóż postanowiliście? — zapytał.

Leon spojrział na niego zdziwiony. Skąd ten delegat z Genewy śmiał mu zadawać takie pytania? A potem nie postanowiono jeszcze nic. Czyż należało mu się przyznać do tego?

Lecz Stroński widząc, iż czeka napróżno na odpowiedź — zaczął sam mówić dalej:

— Darujcie... ale ja dla waszej partii nie widzę teraz przyszłości. Sami już teraz stać nie możecie... Widziałem to z waszej mowy, że rzeczy sądzą jednostronnie, egzaltowanie i ciasno. Piękne to — ale bezpodstawne i bez przyszłości. Należy być trzeźwym.

Leon zmarszczył brwi i chmurnie spojrział na mówiącego. Odsunął się i przybrał ton wyższości.

— To już nasza rzecz! — odparł wyniośle i nikt nie skłoni nas do zmienienia programu. Będziemy się ściśle trzymali pozostawionych nam przez *marłego* wskazówek.

— Darujcie! — zawołał żywo Stroński — darujcie, ale zmarły był niewątpliwie człowiekiem dużego

talentu, ale był to utopista i trawił swe siły — i wasze dobre chęci na mrzonki egzaltowane, które mi rzucił ludziom, jak garściami piasku w oczy!

W Leonie zawrzał gniew. Ręką wskazał świeżą mogiłę.

— Jeszcze świeża mogiła, a wy go czernić się ośmielacie — odparł.

Lecz Stroński natarł jeszcze zuchwalej.

— Otóż to... romantyczna szkoła — zaczął — zaraz „świeża mogiła“ — i pełno frazesów. Nie nie- mi nie zbudujecie. Darujcie ale — nie!

— W każdym razie nie tu miejsce na podobną rozmowę.

— No, to zwołajcie zgromadzenie!

Leon ramionami wzruszył.

— Teraz nie. — Trochę później.

— Ja czasu nie mam siedzieć w Paryżu teraz dłużej.

— Wy, a cóż wy?

Leon podniósł zdziwione oczy na Strońskiego i cofnąć je musiał, taki hart bił ze źrenic genewskiego delegata.

— Chcę pomówić z partią i mój program przedłożyć...

— Wy? — po co?

Stroński cofnął się dumny i wyzywający.

— Ja?... chyba nie wiecie, kim jestem i jakie zajmuję stanowisko. W takim razie darujcie — ale widzę, że staliście bardzo daleko od spraw partyjnych.

Na Leona uderzyły ognie. Tego zarzutu bał się teraz strasznie. Rzeczywiście, znał wszystko tylko powierzchownie i zupełnie niespodziewanie został

zamianowany przez konającego „następcą”. Lecz za nic nie chciał, aby się domyślono, że tu tylko działał przypadek. Pragnął, aby przypisywano to jego wyniesienie się osobistym jego przymiotom i zasługom.

Szybko więc odparł, parując cięcia.

— Nie potrzebujecie mi przypominać swego stanowiska — znam je dobrze. Ale również wy chyba mego nie znacie... Grzegorzewski umierając, nazначzył mnie swoim następcą...

— A!...

W brzydkiej twarzy Strońskiego zagrała teraz cała masa rozmaitych uczuć z błyskawiczną szybkością następujących po sobie.

— Darujcie... — wyrzekł wreszcie... — nie wiedziałem.

I po chwili dodał zjadliwie:

— Więc dziedziczność tronu?

Po chwili zaś dodał:

— L... będziemy równie arbitralni, równie absolutni, jak... o n?

— Równie arbitralny i równie absolutny — odparł Leon.

Stroński skrzywił się pogardliwie.

— To źle... zresztą, zobaczymy!

I szybko dorzucił:

— Ja chciałem wam zaproponować pewne ustępstwo z owych nadto trójkolorowych, nacyonalistycznych idei. To trochę zaczyna razić i... sprawę psuje...

— Co? co?...

— Tak! my już w Genewie zrozumieliśmy to nakoniec. My tam na pewne małe ustępstwa się godzimy.

— Ale my nie zgodzimy się nigdy! — odparł Leon — i proszę... uważajmy w tym względzie naszą rozmowę za skończoną.

Sklonili się sobie, jak dwaj przeciwnicy, którzy wyszli z pojedynku obronną ręką, i którzy pomimo pozorów zgody nie zapomną nigdy chwili, gdy jeden drugiego trzymał pod grozą rewolwerowej lufy.

W tej samej chwili podbiegł ku nim Farbach i z ostentacją odwróciwszy się plecami od Strońskiego, wyrzekł do Leona.

— Panna Wilhelmina was prosi!

Leon odszedł i wtedy spostrzegł w grupie osób, stojących przy mogile, Montalemberta, który na jego widok ręce szeroko roztworzył.

— Jeune homme! — zawołał — chodź! niech cię uściskam... chodź.... mówileś cudownie. Choć nie rozumiałem ani słowa, ale cię odczułem...

I z żalobną miną wskazał na mogilę.

— Och! nieszczęśliwy! nieszczęśliwy! — wyrzekł — taki młody, taka perła rzadka, pełna świętej miłości ojczyzny!...

Obtarł oczy i zwrócił się ku Wilhelmince.

— Powóz mój na wasze rozporządzenie... proszę... wracajcie nim do domu, ja pójdę piechotą i wezmę doróżkę po drodze...

— Chętnie! — odrzekła Wilhelmina i przez chwilę zdawało się, że się nad czemś wahała i zastanawiała.

— Panie Leonie, podaj mi pan rękę? — wyrzekła nareszcie.

W alejach jeszcze stały grupy Polaków, oglądając pomniki, rozmawiając ze sobą. Wilhelmina widocznie chciała się pokazać, oparta na ramieniu

Leona, który przez mowę swoją wzrósł w tych dniach do rozmiarów bohatera. Lecz i pułkownik był bardzo dekoracyjny. Więc piękna panna zwróciła się ku niemu z uśmiechem.

— Pan z nami?

— Naturalnie, ale może jeszcze która z pań zechce korzystać z mego powozu.

— Nie! nie! — zaprzeczyła Mazia — ja jeszcze tu zostanę...

— A potem pojedziemy tramwajem... — dorzucił Kręcki — nam powozy niepotrzebne...

Barumzwałg, Jaskulska poszli już wolno aleją, zmierzając ku wyjściu.

Do grupy Wilhelminki przyczepił się Farbach.

— Ja z wami! — wyrzekł z arogancją, stając obok Leona.

Wilhelminka skrzywiła się dość widocznie.

— Zostałbyś pan lepiej z Mazią, możesz jej pan być potrzebny.

Lecz Farbach, dumny ze swej czamarki, nie chciał ustąpić z placu.

— Ja? na co? ja wolę pójść z wami.

I poszedł, mówiąc do Leona:

— Ja wam coś powiem. Trzymajcie się z daleka od tego Strońskiego. To łajdak, kanalia, zdrajca, internacyonal prawie, i Bóg wie, co on jest... Jak byłem w Genewie...

I poszli dalej ku bramie, nie mając już w sercu żalobnego nastroju, nie obejrzawszy się nawet na świeżą mogiłę.

Przy grobie pozostała tylko Mazia i Kręcki.

Oboje układali wieniec, przedłużali tę robotę o ile mogli, aby jeszcze dłużej pozostać przy tej mogile.

Wreszcie Kręcki powstał z klęczek pierwszy i westchnąwszy ciężko, wyrzekł bardzo prosto i bardzo serdecznie:

— Szkoda go!

I wówczas suche zrenice Mazi napelnily się łzami i biedne dziewczę przypadło do więdnących kwiatów, i całując je, płakało głośno.

Leon usiłował rozejrzeć się w sprawach partyjnych.

Wielką mu w tem pomocą była Mazia.

Teraz przekonał się, że ta dziewczynka stała najbliższą Grzegorzewskiego i była jego rzeczywistą, a może jedyną pomocą. — Umysł jej bardzo jasny i logiczny. — Widocznie Grzegorzewski cenił ją i przed nią jedną odkrywał wszystkie tajemnice.

Leon podziwiać musiał, z jakim talentem Mazia uczyła go — oświecała — kierowała nim, nigdy nie dając mu uczuć, o ile wyżej rozwiniętą była od niego umysłowo.

Takt ten rozjaśniony jakimś nieśmiałym wdziękiem, dodawał coraz większego uroku chwilom, które ze sobą spędzali.

W czasie tych długich, samotnych rozmów, rozumiał Leon jeszcze jedno.

Mazia kochała Grzegorzewskiego.

Kochała go silnie, stale i wiernie.

Dziś — razem ze śmiercią Grzegorzewskiego, zamknęła w swem życiu księgę miłosną i odtąd żyła wspomnieniem i myślami zmarłego.

I Leon nie mógł oprzeć się zdziwieniu na myśl, że Grzegorzewski przeszedł w życiu obok tej wielkiej miłości, nie widząc jej, nie odpowiadając wzajemnie.

A przecież on sam patrzył na Mazię, jak na dobrego kolegę, towarzysza, wiernego przyjaciela — nie więcej. — Nie widział jej urody, jej wielkiego wdzięku — jej wyjątkowej inteligencji. — Ciągnęła go tylko ku sobie Wilhelmina, a owe zagadkowe jej narzeczeństwo ze zmarłym, dodawało jej uroku w oczach Leona i podnosiło ją do godności jakiejś wybranej istoty. Postępowanie Wilhelminy z Leonem, zdumiewało go po prostu teraz i w kilka dni po pogrzebie, Leon otrzymał bardzo uprzejmy bilecik, zapraszający go na herbatę. — Wilhelmina ubrana czarno, siedziała przy kominku i w pełnej aluzji rozmowie (bez przyznania się jednak otwartego), opowiadała Leonowi o wielkiej miłości, jaką czuł dla niej Grzegorzewski.

— A pani? — zapytał Leon, prawie bezwiednie.

Wilhelmina wzniosła oczy do góry i uśmiechnęła się smutnie.

— Ja? mój Boże!... uwielbiałam jego moralną siłę, potęgę...

— Ale czy go pani... kochała?

Piękna panna odpowiedziała wymijająco.

— Ja? zaręczyłam się z nim! Byłabym bardzo dumna, zostawszy żoną takiego człowieka.

— A... więc... wyście mieli się pobrać?

— A cóż pan myślał innego?

Zapanowało milczenie.

Leon przypomniał sobie, że kiedyś Grzegorzewski srodze powstawał przeciw małżeństwu takiemu, jak jest obecnie, nazywając je targiem obopólnym, poniżającym godność, zwłaszcza kobiecą.

Zdawało się, że Wilhelmina sprytem swoim odgadła myśli Leona, bo zaczęła mówić wolno, kłyszcząc się na fotelu, tak, że z pod czarnej sukni Leon ciągle dostrzegał brzegi liljowej jedwabnej spódnicy i nóżki, obciągnięte czarnymi pończoszkami i wsunięte, mimo żaloby, w czerwone pantofelki wyszywane złotem.

— Ja wiem... — mówiła studentka — Grzegorzewski był przeciwny małżeństwu, ale co pan chce... w ostatnich czasach zmienił swoje poglądy, choć się do tego nie przyznawał. — Uczynił to przez wzgląd na mnie... Ja mam także swoje zapatrywania na małżeństwo, ale co pan chce... mam rodzinę, rodziców w Warszawie... muszę się z nimi liczyć. Słowem — należę do pewnej sfery towarzystwa, w której panują wszechwładnie przesady.

Urwała i z pewnym uśmieszkiem dodała:

— I ja nie zdołałam się mimo wszystko po części od tych przesądów uwolnić!

I tak dalej mówiła dużo i długo, przytaczała nawet gorętsze słowa zmarłego, jakby lękała się, by Leon nie powątpiewał o prawdzie jej słów.

On — przedłużał tę rozmowę i podsyczał ją, a to dla dwóch powodów.

Przedewszystkiem, zbliżała go ona do Wilhelminy i tworzyła między nimi jakąś tajemną spójnię.

Powtórę — to przeświadczenie, że Grzegorzewski kochał ją i był nawzajem przez nią kochany, sprawiało mu bolesną rozkosz, z której nie umiał sobie zdać sprawy.

Wszystko to zabierało mu bardzo dużo czasu i interesa handlowe kantoru Kwiatkowskiego i Sp. cierpiały na tem srodze.

Leon przestał dawać lekye dzieciom Kwiatkowskiego i obywał się zupełnie bez obiadu. — Żył chlebem, herbatą, albo mlekiem i był w ciągłym podrażnieniu i gorączce.

Przedewszystkiem sprawa rozerwania pieczęci na drzwiach mieszkania Grzegorzewskiego i wykradzenia papierów zaczęła przybierać groźne rozmiary. Wszyscy — cała partya była mocno podejrzana i trapiąca przez rząd francuski. Leon nie mógł wyjść ze swego mieszkania, aby nie potknąć się o agenta przebranego coraz to inaczej, a zawsze bardzo niezręcznie.

Gdyby nawet ów agent był drugim Lecoquiem, to jeszcze Leon byłby go przeczuł, tak miał teraz wyrobiony zmysł, odczuwający szpiegującą go kreaturę, przyodziałą w rozmaite suknie. Najwięcej dręczyła go tylko trwoga, aby nie odnaleziono ukrytych w szopie kanтору papierów. Wszystkie dzienniki paryskie opisały z werwą ów fakt wtargnięcia do pokoju zmarłego „spiskowca“, celem wykradzenia papierów. Niektóre dzienniki (nieliczne), przeciwnie aliansowi franco-russe, oskarżały wprost ambasadę rosyjską, że to jej agenci dopuścili się tej zuchwałej kradzieży pod okiem pobłażliwej francuskiej policyi.

Wywołało to polemikę pomiędzy dziennikami, a tymczasem Jules i Robert śmieli się — pluli przez zęby i z góry spoglądali na czamarkę Farbacha.

Finansowy stan partyi był po prostu rozpaczliwy. Nie było w kasie ani centyma, a wydawnictwo było poważnie zaangażowane w drukarni i u Duroziera. Drukarnia zwłaszcza nagliła i Leon tracił głowę, obiecując ciągle z dnia na dzień zapłatę.

Należało również przejrzeć koniecznie owe listy, kwity, manuskrypta, korespondencye, pogrzebane w szopie. Lecz — Leon tracił głowę, kiedy to miał uczynić tak, aby ani Kręcki, ani Kwiatkowski się nie domyślili.

Kręcki bowiem zaczął na seryo upominać Leona, aby wreszcie powrócił do równowagi i na seryo pracować zaczął. Prawie ciągle teraz spełniał podwójną pracę, gdyż swoją własną i robotę Leona. Raz jeden zagroził Leonowi przyjęciem innego pomocnika.

Leon zachnął się niecierpliwie.

Chciał odpowiedzieć: „a to pan przyjmuj“, lecz przypomniał sobie papiery i pozostał na miejscu, bez ruchu, tylko z pod brwi ściągniętych chmurnie na Kręckiego patrzył.

— Skończ pan z tą Głaciera! — mówił Kręcki. — Grzegorzewski umarł — mówiłeś pan pięknie nad jego grobem i teraz powinienes na tem krzyż położyć! Zabawiłeś się w agitatora i wróć pan do pracy na seryo!

— Ja się nie bawiłem w agitatora — rzucił Leon — ja byłem nim, jestem i będę!

-- Ładna perspektywa!

Leon porwał się z miejsca i zbliżył do Kręckiego z założonemi na piersiach rękami.

— Ja pana nie pojmuję — wyrzekł — pan tak gorąco się zajmowałeś pogrzebem Grzegorzewskiego, nawet go tak żałowałeś... a dziś znów...

— Ho! ho! mój panie!.. — odparł Kręcki — trumna ma swój wielki urok, widzi się tylko jej wieko, a po za nią nic. Zresztą — to był Grzegorzewski — a nie pan!

Leona ubodła do żywego ta różnica.

— Dlaczego ja nie mam kiedyś zostać Grzegorzewskim? — zapytał.

Kręcki milczał przez chwilę, wreszcie wyrzekł z wielkim spokojem:

— Bo — nie.

— Ale dlaczego?

— Nie wiem! ale pan nie masz w sobie nie z Grzegorzewskiego.

Umilkli, bo wszedł Kwiatkowski pod „dobrą datą“, tak, jakby wracał w Warszawie z handelku, od Stępkowskiego, albo z innej podobnej oazy. Był to właśnie wiosenny przejazd warszawskich klientów, którzy zwyczajnie „śniadańkowania“ przenosili ze sobą na bruk paryski.

Wreszcie Leon znalazł sposób zaznajomienia się z treścią zakopanych w szopie dokumentów. — Wieczorem powracał do kantoru, opowiadając konsierżce o nadliczbowych godzinach pracy i szybko wyjmował z jamy po kilkanaście sztuk papierów, a przeniósłszy je do kantoru, tam kopiował.

Na ten cel wynalazł sobie sam cyfrowany alfabet i choć z wielkim mozolem i nakładem pracy, jednak wszystko dokumentnie i gorliwie przepisywać zaczął. Spieszył się i nieraz świt zastawał go pochylonego nad biurkiem. Wówczas dopiero zrozumiał, jak wielkie rezultaty wydawała energia Grzegorzewskiego. Równocześnie wnikając w głąb sprawy, rozwijał w sobie zmysł agitatorski i dziwić się zaczynał samemu sobie—tyle projektów i pomysłów palił mu się zaczynało pod czaszką.

W miarę przepisywania najpotrzebniejszych dokumentów palił oryginały w piecu i długo jeszcze

poruszał pozostały popiół, lękając się, aby Kręcki lub Kwiatkowski nie napotkali jakieś resztki papierów. Nad ranem zmęczony, z głową rozpaloną, z ustami spieczonemi, gasił gaz, zamykał szopę, kantor i powracał do domu, aby rzucić się na łóżko i przespać się godzin parę.

Lecz sen najczęściej nie przychodził i Leon długo leżał z otwartymi oczyma, snując całe siatki najzuchwalszych projektów, które zaczynały mu здаwać się zupełnie możliwymi do wykonania. I widział sam w sobie olbrzymią siłą, potęgą imponującą słowem i czynem, zwracającym ku sobie uwagę i nadzieję kraju. I tak, jak tam na cmentarzu, gdzie istotnie wymową swoją zaimponował tłumowi, odczuwał dreszcz jakiejś rozkoszy i zrywał się, siadał na brzegu łóżka, gorączkowo pragnąc jakiejś okazji, w której mógłby okazać nie tylko agitatorską zdolność, ale i wielką młodzieńczą odwagę.

Jakkolwiek czuł, że nie może być inaczej, jednak podziemna robota niecierpliwiła go i nie była zdolna zadowolnić jego pragnienia młodzieńczej wyobraźni. Dopiero teraz rozumiał, ile sprytu, przebiegliwości — zimnej i chłodnej rozważałości należało rozwinać i dołączyć do gorących porywów ducha. I cała ta kuchnia agitatorska, cała ta techniczna strona, w której celowała Mazia, dręczyła go i ochładzała gorączkę jego myśli.

Jedną osobą go niepokoiła. Była to odzwierciadlająca dom, w którym się mieścił kantor. Trudno mu było nie dostrzedz, że ta sucha i zawiedła Francuska, na pozór wiecznie zajęta smaženiem swego *mironton*, od którego zapach cebuli napelniał sien, a nawet dziedzińce przejmującym zapachem — patrzy na je-

go nocną pracę w bardzo podejrzliwy sposób. Kilkakrotnie nawet pod jakimś blahym pozorem zaglądała późną nocą do kantoru i zawsze dziwiła się z miną hipokrytki pracowitości Leona. On odpowiadał jej, siląc się na żart — lecz czuł, że to długo nie potrwa, że lada chwila Kręcki albo Kwiatkowski dowiedzą się o jego nocnych wizytach. I tak — wydatek gazu powiększył się, co wprowadziło w zdumienie Kręckiego i odtąd Leon przynosił zawsze ze sobą kawalki świec, które chował do kieszeni. Pewnego dnia spotkał się na bulwarze Batignolles z Jabłońską i aż drgnął cały, tak go jakoś dziwnie to spotkanie dotknęło. Ona już cała wyświeżona, ubrana w śliczny jasny żakiet, w kapeluszu, który pokryty gazą fioletową i zieloną, robił wrażenie bańki mydlanej — przywitała go bardzo serdecznie i natychmiast obrzuciła całym potokiem pytań: — Przedewszystkiem — dlaczego do niej nie zajrzał. Czekala na niego, aby mu powiedzieć, że jego mowa na ementarzu była wspaniałą i że wogóle ten pogrzeb miał swój sznitter i zrobił na niej wielkie wrażenie.

— Słakałam się, jak na jakiej tragedji — mówiła — i bardzo panu dziękuję, iż mi pan przysłał zaproszenie...

Lecz on zaprotestował. Przecież to było jego obowiązkiem. Jeżeli nie był do tej chwili, to rozliczne zajęcia są tego przyczyną. Zwłaszcza, że chodzi tu przecież o wyrównanie pewnego rachunku...

Aktorka podniosła protest. Ona bynajmniej nie żąda zwrotu owych pieniędzy. Owszem, prosi najusilniej, aby zrobiono z nimi, co on, Leon, osądzi za stosowne. I nagle zatrzymała się na środku bulwaru,

ładna, szykowna, różniąca się jednak czemś od Paryżanki, czem, trudno było Leonowi określić.

— Ale z pana byłby doskonały aktor! — wyrzekła, opierając się na parasolce.

— Dlaczego?

— Słuchałam, jak pan mówiłeś tam na ementarzu. Intonacye wspaniałe... pauzy artystyczne... wyraz twarzy...

Lecz suchy giest Leona przerwał jej mowę.

— Pani daruje... Ja tam nie grałem, ja byłem szczerzy...

Ona zaraz spokorniała, bojąc się widocznie, aby nie obrazić człowieka, który jej był coś winien.

— Ja nie mówię, że pan grał... — zawołała śpiesznie — broń Boże! ja wiem przecież, że to wszystko jest bardzo seryo, ale ja zachwycalam się pana wymową...

A widząc, że stoi ciągle chmurny i nadęty, ujęła go za rękę.

— Nie chciałam tego powiedzieć w złej myśli. broń Boże...

Podobała mu się ta rola „obrażonego“ i niemal bezwiednie przybrał minę mężczyzny teroryzującego kobiety.

— Ja też do pani żalu nie mam! — odparł chłodno.

I po artystycznej pauzie dorzucił:

— Pozwoli się pani pożegnać... Za dni kilka będę u pani w wiadomej sprawie.

I skłoniwszy się, odszedł w przeciwną stronę, pozostawiając na środku bulwaru Jabłońską szczerze zmartwioną i bardzo smutną.

Szedł w kierunku domu. Miał wieczorem być na Glacierre i chciał odpocząć jeszcze przez chwilę i napić się herbaty. Dziś miał z Mazią pomówić o materyjalnej stronie wydawnictwa, które bądź co bądź, choćby za cenę krwi, chcieli dalej ciągnąć. Drukarnia nasyłała ciągle swoich inkasentów, których Mazia, jak mogła, zbywała. Lecz dalej ten stan rzeczy trwać nie mógł. Należało coś postanowić. Lecz co?

Leon tracił głowę i wybierał się dziś na Glacierre, jak na ścieganie.

Dochodząc do domu dostrzegł, jak jakaś jednokonna karetka zatrzymała się przed jego bramą. Zdawało mu się, że zna tego konia i tę liberyę. Na wschodach dostrzegł wysoką postać mężczyzny, pnącą się ku górze.

— Une visite pour vous! — rzekł konsierż do Leona.

Równocześnie mężczyzna odwrócił się i Leon poznał w swym gościu pułkownika Montalemberta.

— Ah! vous voilà! — zawołał pułkownik, chwytając dłoń Leona w swe ręce — bałem się, czy pana zastanę.

— Pan pułkownik do mnie?

— Naturalnie. Prowadź mnie, młody człowieku.

Leon poskoczył naprzód i otworzył szybko drzwi swego mieszkania.

Pułkownik wszedł, obrzucił baczny spojrzeniem wszystkie kąty i wreszcie porwał Leona w swe objęcia.

— Biedni wy!... biedni! — zawołał — pozostaliście sami, bez... niego!

Głos mu drżał od wzruszenia — kilkakrotnie acałował Leona w głowę.

— Jakże wy sobie teraz radzicie? — zapytał — nie pojmuję...

— Musimy!

— Tak, tak — rozpoczętego dzieła nie należy rzucać. On był wielkim, genialnym umysłem, ale u was w kraju widocznie niewola wyrabia u was tę genialność, tę siłę, tę potęgę... O! ty naprzykład młody człowieku — wówczas na cmentarzu z elektryzowałaś wszystkich. Panna Wilhelminka opowiadała mi później treść twojej mowy! Ależ to wspaniałe, wzniosłe, natchnione! Ogluszał niemal Leona potokiem słów. Z ojcowską dobrocią trzymał znów jego rękę i patrzył w jego oczy z wyrazem wielkiego uwielbienia. Nagle — przybrał minę nadzwyczaj poważną, prawie proroczą.

— Młodzieńcze! — wyrzekł powoli i dobitnie — młodzieńcze!... ty jesteś stworzony na to, aby objąć miejsce po Grzegorzewskim! I partya powinna zawołać...

Wyprostował się, oczy mu zaświeciły nagle.

— Le roi est mort... vive le roi!

Ścisnął teraz tak mocno rękę Leona, że zdawało się, iż zgniecie ją w tym serdecznym uścisku. Egzaltacya tego starca zaczęła oddziaływać i na Leona. Przytem miłość własna, podbudzona silnie, zaczęła w nim grać nie na żarty.

— Oh, ten okrzyk byłby przedwczesny... — wyrzekł, walcząc jeszcze z resztą woli, która mu nakazywała utrzymać partyjną tajemnicę.

Lecz pułkownik przerwał mu, uśmiechając się dobrotliwie.

— Po co ze mną te tajemnice i wykręty! — zapytał — ja wiem dużo... panna Wilhelmina mi coś napomknęła o waszem... następstwie. I naprawdę, trudno o lepszy wybór. Umierający był po prostu natchniony w tej chwili, gdy pana wybierał... Teraz dopiero partya zakwitnie i naprawdę działać rozpocznie.

— Jakto? — obruszył się Leon — pan pułkownik krytykuje działalność mego poprzednika?

— Co znowu! — zaprotestował gorąco pułkownik. — co znowu... tu chodzi tylko o stronę czysto materyalną. Jakież mogło być wasze działanie, skoro nie mieliście żadnych funduszów. Prawda?

— Zapewne!

— A no widzisz... Grzegorzewski był genialnym, ale co do administracyjnej strony daruje... nie nie zrobił dla sprawy.

— Oddawał jej wszystko, co posiadał.

— To nie nie jest. To zero. Ażeby partya była rzeczywiście potęgą imponującą innym i mogącą rozporządzać wszystkimi możliwymi środkami a przez to samo największą w kraju potęgą, powinna nie liczyć się z groszem... Wiercie mnie staremu! Grzegorzewski nie chciał mnie słuchać, a tyle razy ofiarowałem mu swą pomoc. Ale on miał jakieś do mnie uprzedzenie i bardzo mnie to bolało!...

Leonowi przykro się zrobiło, gdy spojrzał na zasmuconą twarz starca, który teraz usiadł na pobliskim krzeselku i wsparłszy się na lasce, w ziemię patrzył.

— Być może, iż Grzegorzewski niesprawiedliwie z panem postępował — wyrzekł gorąco — ale on był

nerwowo i bał się skępować jakimiś zobowiązaniami, aby mu potem ten ktoś swej woli nie narzucał.

— Ależ ja byłbym tego nigdy nie czynił. Proszę mi wierzyć — nigdy! — Byłbym tylko dyskretnie złożył jakąś sumę i potem cofnął się na cień. Co najwyżej — poprosiłbym o kilka egzemplarzy waszych dzieł, jeżelibyście takowe wydali. Ale... jedno! Musielibyście mi dawać najpierwszy egzemplarz, a nawet korektę — pierwszej, nimby się w świat rozeszło...

I z miną zdzienniałego starca dodał.

— Mnie to sprawiałoby wielką rozkosz, że ja pierwszy mam w ręku waszą pracę, choć niestety jej czytać nie mogę. Ale kto wie... zacząłbym się uczyć, może i ja mógłbym z wami pisać... Ho! ho!

Śmiał się dobrodusznie i Leon uśmiechnął się także już cały podbity przez tego dobrego człowieka, który tak gorąco się ku nim garnał i tak zdawał się rozumieć duszę polskiego narodu.

— Ja tu... — zaczął znowu pułkownik — przychodzę do ciebie, moje dziecko, jako do nowego przewodnika partyi i oto... ponawiam moją prośbę. Oznaczcie sami sumę potrzebną wam na interesa sprawy — a ja regularnie takową na ręce twoje ją złożę... Nie odpychajcie ofiary starca, który stoi nad grobem! Proszę was o to!

Wyciągnął błagalnie ku Leonowi rękę i Leon stał zmieszany, nie wiedząc, co zrobić z tą ręką, która tak przyjaźnie ku niemu się zwracała. Pewna subordynacja jeszcze przed zmarłym Grzegorzewskim wstrzymywała go przed wymówieniem przychylnego słowa, a z drugiej strony sama myśl możliwości uzyskania funduszów stałych, na prowadzenie sprawy.

ośniewała go! Wszystkie prawie „zuchwale“ projekta, które snuły się w jego zgorączkowanej głowie, mogły się urzeczywistnić... jakiś tryumf, gdyby wydawnictwo dorywcze zmienić na stałe, peryodyczne, uporządkowane... jakie upokorzenie dla tych, którzy sądzili, że razem ze śmiercią Grzegorzewskiego, działalność partii ustanie...

Wszystko to z szybkością błyskawicy skrzyżowało się w umyśle Leona, lecz usta jego mimowoli wyszeptały:

— Daj mi pan czas do namysłu...

Pułkownik w lot zrozumiał, że tę duszę opanowała chęć rozszerzenia horyzontów działalności. Ten chłopak, stojący przed nim, z gorączkowymi wypiekami na twarzy, to nie był Grzegorzewski, pracujący na swoim zagonie i zadowolniający się skromnymi środkami. To była wielka ambicja i ta przebijająca się mimo wszystko w zmieszanych zreniciach chłopca.

I pułkownik zaczął gwałtownie nacierać.

— Ale dlaczego? Po co się namyslać? Ja gotów jestem natychmiast...

Był jednak tyle subtelny, że nie sięgnął po pugilares, czując, że ten trywialny giest może znieweczyć wszystko.

Z czoła Leona zaczęły spływać krople potu. Potrząsnął jednak głową, jakby chcąc powrócić do równowagi i pewniejszym już głosem odparł:

— Przedewszystkiem muszę się naradzić... uprzedzić...

Pułkownik przybrał minę zrezygnowaną.

— Jak chcesz! — wyrzekł, powstając — muszę cię jednak uprzedzić, że zasięgając rad i pozwo-

lenia partii, od razu abdykujesz ze swego stanowiska...

— Jaktó?

— Naturalnie. Nominalnie będziesz przywódcą, ale faktycznie.... Skoro raz się ich w czymś poradzisz, zechcą, ażebyś zawsze swe postanowienia poddawał ich decyzjom. — To cię zgubi i odbierze najzupełniej wagę w ich oczach. Jeśli chcesz rzeczywiście stać u władzy, to postępuj tak, jak Grzegorzewski. Bądź arbitralny, despotyczny. On nikomu nie zdawał rachunku ze swych czynności. Robił, co chciał. I ty masz to samo prawo. Nie wyzuwaj się go dobrowolnie!

I przybierając znów ton dobronudszny, przyjacielski, zaczął gorąco się żegnać z Leonem.

— Do widzenia, młodzieńcze! — pozwól mi... niech się tobie przypatrzę. Przypominasz mi... mego siostrzeńca, który umarł młodo na południu Francji. Był tak samo, jak ty, młody, szlachetny, piękny i zapalczywy! Może dlatego ja czuję taką wielką dla ciebie sympatię.

I będąc już na progu, dodał:

— A pamiętaj mój adres — Passy, ulica Reineigh, nr. 32. — Będę czekał na twą odpowiedź. Wyszedł i Leon pozostał sam z wielką pokusą, która go porwała, jak wiedźma w swe szpony.

Gdy wieczorem dnia tego Leon pojawił się na Glacierre, Mazia przeraziła się zmianą, jaka zaszła w jego twarzy. Wewnętrzna walka, którą z sobą toczył, strawiła go w kilka godzin i spaliła prawie.

Mazia sądziła, że jest to wyczerpanie i łagodnie, po siostrzanemu upominała go, aby był trochę więcej dbałym o swe zdrowie.

On nie słuchał jej prawie, ciągle zajęty jedną myślą i trzymając jeszcze w ręku czapkę, rzucił się na krzesło chmurny i zasepiony.

Mazia, która dnia tego była w szczególnie smutnem usposobieniu, starała się pokonać swe zgnębienie i wywołać trochę ożywienia na twarzy Leona.

Nagle — on podniósł się i zaczął gorączkowo chodzić po pokoju. Bezwiednie przybierał teraz chód Grzegorzewskiego.

Snać i Mazię to uderzyło, bo zamilkła i stała patrząc, jak Leon chodził tam i z powrotem po ciasnej przestrzeni, a głęboka bruzda przecięła jej czoło.

Nagle Leon stanął i odezwał się z wielką energią w głosie:

— Zdaje się, iż znajdę potrzebne fundusze na prowadzenie wydawnictwa!

Wymówił te słowa i czekał chwilę, czy z ust Mazi wyjdzie jakie zapytanie, żądanie objaśnienia. Lecz ona milczała i tylko twarzyczka jej rozjaśniła się wielką radością.

Nic — żadnego badania, żadnej indagacji. Widocznie władza jego była nieograniczona.

Zapukano do drzwi i natychmiast wszedł H. Farbach. Z narzucającą się poufałością przywitał się z Mazią i Leonem, poczem obejrzawszy się dokoła, zajął najwygodniejsze krzesło.

— Cóż postanowiliście? — zapytał.

Leon czuł jakiś rodzaj odrazy do tego małego pokracznego stworzenia, które parodjowało na pa-ryskim bruku strój narodowy, więc udał zajętego przeglądaniem pism, leżących na stole. Lecz Farbach nie dał za wygraną i zwróciwszy się ku niemu, za-pytał:

— Macie tabakę?

Leon już wiedział, że „tabaka“ znaczyła równie dobrze tytoń, papierosy lub cygara. Odpowiedział, że nie pali, na co Farbach westchnął i wzięwszy się pod boki, wyrzekł.

— Ha, no!... nie ma co, pójdę znowu do Hall!

Mazia uśmiechnęła się lekko.

— Cóż znowu?

— Naturalnie. Żadna praca człowieka nie hańbi. Bo — może wy nie wiecie, (tu zwrócił się do Leona), że ja właśnie jestem ten, który wózek w Hallach woził.

Ostatnie słowa wymówił z tak komiczną pychą, że aż Leon zdziwiony podniósł głowę.

— Tak, tak! — ciągnął dalej Farbach — przyszedł na mnie złe chwile, nie było panie co jeść, więc zrzuciłem pychę z serca i temi oto rękami wozilem przed halami wózki z jarzynami!

Wyciągał ręce — małe, chude, z zakrzywionymi palcami i wtykał je teraz przed nos Leona. Z całej jego małej figurki biła aż luna pychy z heroicznego według niego postępu.

— Bo to inni, to mają zasady tylko w gębie! — mówił ironicznie — ale ja mam je w rękach. Co? Dałem dowód, że się pracy nie ulękne — no — i nie ulękłem. I to jakiej pracy! Wózek wozić i to w biały dzień... co?

— Czy nie mogliście rzeczywiście wziąć się do innej pracy? — zapytał Leon.

— To już moja rzecz! — odparł Farbach, wykrzywiając usta.

I po chwili wyzywająco dodał:

— Żadna praca nie hańbi!

Lecz nikt nie miał ochoty mu przeczyć — i Mazia, chcąc odwrócić rozmowę, zapytała:

— Gdzież teraz mieszkacie?

— A no... u Barumzwejga. Ale on, egoista, mówi, że mu przeszkadzam w przygotowaniach do egzaminu i nie chce, ażeby w jego pokoju przyjmował swoich przyjaciół. Nie są to diuki i arcyksiężęta, ale uczciwi ludzie i niejednemu z nich Barumzwejg nie wart butów czyścić!

I nagle, bez żadnej widocznej przyczyny, uderzył się w piersi i krzyknął falsetem:

— A ja moją czamarkę z dumą noszę!

Znów zapukano do drzwi i weszła teraz Wilhelmina, a Leonowi zrobiło się zaraz jaśniej i przestrzeniej na duszy.

— Tak mi smutno w domu — zaczęła, — że musiałam przyjść do was... choć każde przejście obok drzwi tamtego mieszkania powiększa jeszcze mój smutek.

Niemniej jednak z wdzięcznym uśmiechem podała rękę Leonowi, Farbachowi skłoniła się lekko, z Mazią przywitała się w szablonowy sposób.

Lecz Farbach wysunął się znów na plan pierwszy i nie dając nikomu przyjść do słowa, „gadać“ zaczął.

— Wicie... nowina... Stroński, no... ten z Genewy, nosi się z zamiarem przeniesienia do Paryża.

Ale to jeszcze nie. Ja wam co powiem. On chce założyć tu wydawnictwo peryodyczne, a nawet to będzie nie wydawnictwo, ale prosty dwutygodnik. On powiedział, że to będzie dopiero właściwy, partyjny organ. Będzie się nazywać *Hajnal*, czy *Sygnal*, czy coś... nie wiem dokładnie.

W pokoiku zapanowało milczenie. Farbach, rad z uczynionego wrażenia, podjął znowu:

— Stroński ma podobno fundusze.

— Zkąd? — spytała Wilhelmina.

— Hm! to już jego rzecz... do tego on ma głowę na karku.

Leon hardo spojrzał na mówiącego.

— U nas są też fundusze — wyrzekł powoli i dobitnie — ja także ureguluję daty wydawnictwa i zmienię je na peryodyczne pismo.

I po chwili dodał z pewnem rozdrażnieniem w głosie:

— I nie radziłbym się zbyt entuzjazyzmować dla takich panów Strońskich, których program przedstawia się więcej, niż niejasno!

FARBACH aż porwał się z miejsca, tak go wiadomość o „funduszach“ oślepiała.

— Mnie weźmiecie za stałego współpracownika? co? — nalegał nawalnie — ja mam już zaczęty artykuł o stanie umysłowym proletariatu paryskiego. Gdy wozilem wózek w Hallach, studiowałem wówczas stan inteligencji moich wózkowych kolegów. Bardzo mam ciekawe studjum.

— Być może! — odrzucił Leon — lecz ten temat nie nada się dla mego pisma. Nam trzeba będzie co innego.

— Ale ja mam, mam... całe stosy! — zaczął Farbach, lecz Leon go nie słuchał. Ku niemu podeszła Wilhelminka i cała rozpromieniona pytać zaczęła:

— Jakto? naprawdę? znalazłeś pan fundusz? Ależ z pana czarodziej... Pan ratujesz honor partii, pan jesteś naszym zbawcą... naszą dumą... naszą chwałą...

Leon skromnie schylał głowę, serce kolatało mu radośnie, a już mało piersi nie rozsadziło, gdy Wilhelminka dodała:

— Naprawdę! Pan mi... imponujesz!

On! — jej! — Ależ te słowa olśniły go tak, że czuł, iż w tej chwili nie cofnąłby się przed przyjęciem pomocy pułkownika za żadne skarby świata.

Wreszcie — nietylko zrównał się z nią, ale — imponować jej zaczynał!

Nadeszli jeszcze Barumewajg i Jaskulska. Już taki był teraz zwyczaj zbierania się co wieczór w pokoiku Mazi. Kiedy ci ludzie się uczyli, kiedy czytali — kiedy przygotowywali się, to było prawdziwie zagadką.

Barumewajg i Jaskulska, powiadomieni przez Farbacha o znalezieniu funduszków, gorąco uścisnęli dłoń Leona i dziękowali mu w imieniu sprawy. I tak Leon uwikłał się prawie bezwiednie w sieć zobowiązań, które teraz dopełnić bądź co bądź musiał. Inaczej czułby się zniesławionym w oczach tych wszystkich ludzi.

Dokąd oni otaczali go zwartem kołem, dokąd czuł na sobie roziskrzony wzrok Wilhelminki, słyszał szelest dziękczynnych słów i miał wrażenie, że stoi na jakiejś wyżynie po nad wszystkich i wszyst-

ko — do tej chwili nie zdawał sobie sprawy z tego położenia. Lecz gdy znalazł się na ulicy sam jeden i szedł coraz wolniej pustymi placami i ulicami Paryża, ogarniał go przestach przed tem, co zrobił i do czego się zobowiązał. Zdawało mu się, że ktoś mu zarzucił stryczek na szyję i dusi go, ciągnąc w przepaść.

Nazajutrz w kantorze znalazł list, wysłany miejską pocztą i zaadresowany do niego. Otworzył go z jakimś gorączkowym niepokojem. Był to list jednego z Polaków, zamieszkających w Paryżu i trzymających się na uboczu od wszystkich „partii“, rozdzielających kolonię na całe masy nienawidzących się części. Polak ów, nazwiskiem Zagórski, proponował Leonowi lekcje języka polskiego w swym domu, ofiarowując mu za to 50 fr. miesięcznie.

— Mówisz pan tak pięknie — pisał on — że mnie porwałeś, bo taką jak pan, rozumiem młodzież i pragnę, aby moje dzieci miały ten sam zapał i mówiły tak pięknie, jak pan!

List cały był pisany trochę egzaltowanym stylem, ale Leon, doczytawszy go do końca, uczuł straszne uczucie ulgi i zdawało mu się, że już jest w przedeniu wydobyć się z więzienia, w którym od długiego czasu się znajdował.

Za chwilę wszedł Kręcki i nie przywitawszy się z Leonem, w kapeluszu i rękawiczkach po kantorze chodzić zaczął.

Wreszcie stanął przed biurkiem i zapytał stłumionym głosem, nie patrząc na Leona:

— Czy to prawda, że pan tu do kantoru co noc przychodzisz?

Jakkolwiek głos Kręckiego był cichy, jednak Leonowi krew nabiegła do głowy.

Od wczoraj tak był przejęty własną wielkością, że ta indagacja „starszego“ podrażniła w nim jego wygórowaną ambicję.

— Któż to panu mówił? — zapytał z ironią.

— Konsierżka!

— Powinienem być się domyśleć tego... Pan masz ładne źródła do zaczerpywania wiadomości.

Kręcki brwi zmarszczył i teraz już głośno bez żadnych ogródek zapytał:

— Co pan robisz nocami w kantorze?

— Co mi się podoba.

— To nie jest odpowiedź!

— Jakiem prawem żądasz pan innej?

Kręcki postąpił kilka kroków.

— Prawem zwierzchnika, rozumiesz pan! Ja odpowiadam przed Kwiatkowskim za pana. Chcę wiedzieć, do jakich celów używasz pan kantoru!

W Leonie zakotłowało.

On, zwierzchnik! on, ten ślimak handlowy, zwierzę, pasące się podwójną porcją knedli, karyerowicz z aspiracyami na filistra, kapitalistę, wyzyskiwacza...

I cała nienawiść, jaką Leon miał nie tylko do Kręckiego, ale do całego legionu Kręckich, zalegających świat zwartymi szeregami, ocknęło się w nim z niebywałą siłą. Rzucił okiem dokoła i ten kantor także wydał mu się nienawistnym, niktzemnym potworem, który wyżerał mu duszę i krępował jego wolę przez tyle miesięcy.

— Nie masz pan prawa pytać mnie o nic — krzyknął, patrząc prosto w oczy Kręckiemu — i ja

nie myślę panu zdawać rachunku z moich czynności. Nie panu nie jestem winien... Pan jesteś i byłeś moim złym duchem, moją zmorą, ale nie moim... zwierzchnikiem! Nienawidzę pana i pogardzam pańskimi zasadami.

Kręcki cofnął się i zbłądł pod tą obelgą. Chwilę widoczne było, iż walczył ze sobą, lecz zima krew i rozsądek przemówiły. Widząc, iż Leon chwyta za kapelusz i kieruje się ku wyjściu, wyrzekł niskim, drżącym głosem:

— Gdybyś pan nie był w tej chwili chory, zdałbyś mi sprawę ze słów swoich... ale pan jesteś chory na... Glacière i napadła pana mania wielkości! Zastanów się pan... Kwiatkowski powiedział, że jeśli pana i dziś w kantorze nie zastanie, oddali pana z pewnością!... a ja...

Wybuch śmiechu, ironiczny, gryzący przerwał mu mowę.

— Oddali mnie? oddali? proszę... co za nieszczęście! Zginę już z głodu bez waszej nędznej płacy? co? Nie jestem niedołęgą, który musi wisieć tylko przy jednej kłamce. Świat szeroki... pracy dosyć... Są ludzie, co pod Hallami wózki wozili...

— A są! są! nawet chodzą, jak pajace i tym wózkiem ludziom oczy mydla... — odrzucił Kręcki.

— Bądź pan zdrow! — szydreczo krzyknął Leon — ucałuj pan swego patrona... najlepiej w but, to panu podwyższy pensję!

Powiedziawszy te słowa, wybiegł na dziedziniec i wpadł do szopy. Tam gorączkowo odsunął szlaban — wygrzebał niewielką resztkę papierów, które jeszcze pozostały i wyladował nimi zannadrze. Potem rzucił się ku drzwiom. Uczuł, że ktoś je od

dziedzińca przytrzymuje. Pchnął je mocno i ujrzał, jak Kręcki od nich odskoczył.

— Podpatrywałeś pan? — wyrzekł Leon ironicznie.

Lecz Kręcki uśmiechnął się i spokojnie głową kiwać zaczął.

— Ja — wyrzekł wreszcie — drzwi przytrzymałem, aby kto nie wszedł. Z pana taki wielki spiskowiec, że aż drzwi zapominasz zamknąć, gdy masz c u d z e tajemnice w ręku. To panu gotowe jeszcze złego figla w życiu wypłatać.

A gdy Leon był już w bramie, krzyknął jeszcze w ślad za nim:

— I panu i tym drugim, pamiętaj pan, to Juliusz panu przepowiada.

IV. Hajnal.

Od trzech tygodni mieszka już Leon na Głacierze.

Początkowo chciał wziąć mieszkanie po Grzegorzewskim — lecz stało się z nim coś niepojętego. On, który dawniej chciał bezwzględnie iść tylko wskazaną przez zmarłego ścieżką — buntował się przeciw niewolniczemu naśladownictwu i choć to był jeszcze bunt niewyraźny i ledwo kielkujący, on go już czuł i zaczynał się nim kierować w swem postępowaniu.

Słowo „drugi Grzegorzewski“ nappełniało go jednak jeszcze dumą. Słyszał je nieraz, czy to od członków partyi, czy to w drukarni, czy to od Duroziera, który teraz czuł przed nim wielki respekt. Leon bowiem, jak każdy z gruntu nieśmiały człowiek, zaczął być nagle brutalnie arbitralnym, pomagając sobie w ten sztuczny sposób do osiągnięcia powagi. Gdy nie wiedział, co odpowiedzieć na jakieś pytanie — krył się w despotyczne milczenie i to mu się udawało najzupełniej. W przeciągu tych kilku tygodni wyrobił się w niepojęty sposób. Chód jego, ruchy, sposób trzymania głowy — słowem wszystko, miało cechy człowieka, idącego śmiało i pewno przez życie. Ton jego mowy był urywany,

suchy — oczy staraly się bystro patrzeć w twarz mówiącego. Wyrabiał się na inny typ agitatora, zupełnie różny od Grzegorzewskiego. Tamten porywał, pociągał — roztaczał urok, który ciągnął ku niemu serca i dusze ludzkie, ten choć młody, choć prawie dziecko, przejmował jakimś lękiem, niespokojem. Stawało się przed nim, jak przed żyjącą zagadką, Sfinksem pełnym ukrytych zamiarów i myśli.

Pierwsze pieniądze, jakie Leon wziął od pułkownika „na sprawę“, sparzyły mu moralnie ręce. Działo się to w saloniku pułkownika w Passy, jasnym, czystym i widnym pokoju, umeblowanym elegancko, ale z pewnym, jakby hotelowym smakiem. Było tam coś z pośpiesznej instalacji, świadczącej jeszcze świeżo o przejściu tapicerów. Pomimo drobiazgów, rozłożonych tu i ówdzie, fotografii, książek, fajek; widać było, iż pułkownik nie częstym musiał być gościem w domu. Montalembert przyjął Leona z całą serdecznością. Aż zaświeciły się od radości jego niewielkie, siwe oczy. Ugościł go cygarami, za które Leon podziękował i sam z drugiego pokoju wyniósł butelkę wina i kieliszki.

— Podobno to u was taka moda! — mówił dobroduszenie — zaraz gościowi dawać jeść i pić... U nas w Paryżu przeciwnie. Chowa się przed gościem jedzenie... Więc po waszemu... po polsku... a raczej po naszymu!

Nalał wina, trącił się z Leonem i natychmiast do rzeczy przystąpił.

— Namysłileś się wreszcie, młody człowieku, i przychodzisz do łapy Montalemberta? Ślicznie! Doskonale! W to mi graj. Za dwie godziny mieć będziesz pieniądze. Ile ci trzeba? Nie żenuj się...

Testem bogaty... a dla was, wszystko nawet, własną skórę oddam.

Leon wyliczył już sobie wszystko dokładnie; wiedział, ile są winni drukarni, ile jeszcze potrzeba na doprowadzenie do skutku druku wszystkich broszur. Potem, rozliczył wraz z drukarzem i Durocierem koszt miesięcznego pisma, wysyłkę, część administracyjną i spisawszy to wszystko na kawałku papieru, do osądzenia Montalembertowi przedłożył. Naturalnie, czynił to wszystko w jak najskromniejszych rozmiarach i starając się obyć jak najmniejszą sumą. Nie liczył ani centyma na honorarya autorskie, mając nadzieję, że współpracownicy zechcą darmo pracować w piśmie.

Mimo to jednak, według niego, cyfra była dość poważna, pułkownik jednak przeczytawszy ją, roześmiał się z lekceważeniem i wzruszył ramionami.

Taka bagatelka! Nie ma o czym mówić. Leon może wracać do siebie i on, pułkownik — przyniesie mu pieniądze najdalej za dwie godziny.

— Nie mam ich w domu! — tłumaczył się — samotny starzec... boję się, aby mnie nie okradziono.

Rzeczywiście, w dwie godziny później, ubrany bardzo elegancko, w jasny popielaty garnitur, z fiolkami w butonierce, przyjechał na Glacière i stanął przed domem, w którym mieszkał Leon. Ten ostatni z bijącym sercem śledził z okna przybycie pułkownika. Szalona radość ogarnęła go, gdy zobaczył nadjeżdżający powóz. Obejrzał się jednak dookoła z wielką trwogą. Nie chciał, aby ktokolwiek z partyi odgadł, skąd pochodziły pieniądze na wydawnictwo. Nie dlatego, aby nie ufał pułkownikowi, lecz dlatego, aby sam nie stracił uroku. Wówczas

bowiem, cała wdzięczność partyi, przeniosłaby się na Montalemberta i on zszedłby tylko na rolę zręcznego pośrednika, któremu powierzają przeznaczone z góry na jakiś cel pieniądze. Tego on nie chciał i nie życzył sobie wcale. Dlatego też, gdy pułkownik wszedł do jego pokoju, natychmiast Leon zaczął go zapewniać, że to po raz ostatni trudził go do siebie. Od tej chwili obowiązkiem jego będzie jeździć do Passy po odbiór zasiłku. Montalembert protestował, mówiąc, że najszcześliwszym jest, mogąc znaleźć się na Glacierre, gdzie koncentruje się to całe życie kształcej się polskiej młodzieży.

Mówiąc te słowa, wyjął z kieszeni nieduży portfel i ten przed Leonem położył. Czuć w tem było subtelność i delikatność. Portfelem zakrył brutalność pieniędzy. Leon dłoń na portfelu położył i natychmiast ją cofnął. Zdawało mu się, że ktoś mu tę dłoń niewidzialnym płomieniem sparzył. Lecz — prędko wrócił do równowagi i przypisał otrzymane wrażenie rozigranym nerwom.

Po odejściu pułkownika schwycił za kapelusz pobiegnął czempredzej zapłacić drukarzowi i Durosierowi. Długo się wahał, czy wliczyć owe pięćdziesiąt franków za nieszczęsnego Voltaire'a w koszt wydawnictwa. Przyszedł jednak do przekonania, że tak należy uczynić. Wszakże były to sprawy nie jego prywatne, ale — wydawnictwa.

Widok pieniędzy zaś imponował wszędzie.

Drukarnia ofiarowała kredyt — Durosier zgłą się w pół i kwadrans mówił o swych gorących socjalistycznych przekonaniach.

Leon szybko zgodził się na warunki podanie mu w liście i objął lekye u pp. Zagórskich. Oboje

byli ludźmi pracy — prowadząc handel sztucznymi kwiatami, mieli głównie na względzie zapewnienie sobie i dzieciom niezależnego stanowiska. Nie udając emigrantów, nie bawili się w niepotrzebne pozy, lecz starali się nie zrywać łączności, jaką z krajem utrzymać pragnęli. — On sam był trochę egzaltowanym, mówił zawsze „Boże coś Polskę“ przy pacierzu wieczornym i na wszystkie rocznice narodowe pilnie do Sali geograficznej uczęszczał. — Dusza prosta, nieskomplikowana, nie zdawał sobie sprawy z różnicy partyjnych przekonań. Wystarczało mu, gdy w czyich ustach usłyszał słowa „Ojczyzna, kraj, niewola“.

Gdy partye burzyć się zaczynały i wszczynala się awantura, on uśmiechał się pobłażliwie.

— Polska krew — mawiał — czubią się, jak za dawnych czasów... nie szkodzi, nie szkodzi...

Jedną miał manię, ale tę dzielił ze swoją żoną. Zbierał broń i to rozmaitego kalibru. Mieszkanie Zagórskich przedstawiało się, jak skład przeróżnego żelaziwa a całe stopy halabard, pistoletów, rewolwerów, jataganów, pik, szabli, pałaszów, szpad, floretów, tarcz, hełmów, buzdycanów, łuków, noży, tasaków, słowem wszystko, co rozkoszna i łagodna dusza ludzka mogła wymyśleć dla kaleczenia i zabijania bliźnich, znajdowały się w pokojach pomieszczone z kwiatami, które dziwnie barwą i delikatnością swych motyli listków odbijały od rdzy żelaza i śmiertelnego polysku stali.

Gdzie tylko był kącik wolny, tam można było ujrzeć stopy zbrojnych rupieci, skupowanych na straganach przekupniów imitacją starej zbroi lub w sklepach tańszych rusznikarzy.

To połączenie handlu i rycerskości nadawało domowi Zagórskich komiczny wygląd i pewną oryginalność. Sama Zagórska doskonała kobieta, zręczna kwieciarka i wzorowa matka, dzieliła manię męża i często wychodząc za zakupnem aksamitów, batystów i atlasów, z których powstawały stosy bratków, róż, gwoździków i lilij, wracała tryumfalnie z całą masą halabard na koźle doróżki, lub wkraczała do mieszkania potrząsając tarczą i buzdyganem.

— Na có pan zbiera tyle zbroi? — zapytał Leon, obejrzawszy owe zbiory.

Zagórski mrugnął znacząco i prawie szeptem odpowiedział:

— Niewiadomo panie dnia tego, co się tam przecież w kraju... u... tego... To też, panie dziu, na pierwsze zawołanie u mnie małeńki zapasik, no i puleczek panie dziu wysztyftowany i uzbrojony — jak od potopu. Zawiedzie pistolet, jest panie dziu łuczek, lanca się złamie, jak przytrokowana do siodła halabarda. Jedna ręka zostanie, to kordelas, nóż... jata-gan też nie od parady... tarcza osłoni, helm choć nie w modzie, ale panie dziu praktyczny... No i tak dalej. Wszystko jest! Ja i Wandzia tak sobie... ot, jak mrówki ściągamy po trosze, po trosze...

Prędko Leon zawładnął całym domem.

Ton ostry, wyższy, jaki teraz przybrał, dopomógł mu bardzo. Zagórski a zwłaszcza Zagórska uczuli się od razu podbici i wcale nie usilowali reagować przeciw temu wzięciu ich pod władzę. W Zagórskiej zwłaszcza odezwało się względem Leona jakieś macierzyńskie uczucie. Najstarszy jej syn chował się w kraju, więc ona, kobieta w każdym

calu zaczęła ubolewać nad losem Leona, opuszczonego i samego na bruku paryskim.

— Pan mi przypomina naszego Antosia! — mówiła z pocziwym uśmiechem. — Mój Boże, on tam tak samo, jak pan, sam jeden, daleko od rodziny...

I napatrzwszy się na Leona, szła zwijać róże lub czyścić halabardy.

Mimo wszystko handel wiódł się im nadzwyczajnie, zapewne wskutek pracowitości Zagórskiej i wielkiej uczciwości Zagórskiego. Francuzi umieją cenić te dwa przymioty. Zagórscy żyli jednak „po polsku“, nieopatrznie, nie odkładając nic na czarną godzinę. I wszystko szło trochę w tym domu na opak. Godziny obiadu, śniadania, udawania się na spoczynek. W handlu rozumieli tylko akuratność. Leonowi podobny układ domu był nadzwyczaj na rękę. Przychodził więc na lekcye kiedy chciał, pewny, że nigdy go nie spotka wymówka. Unikał tylko „pogawędek“ z samym Zagórskim, który rad, że ma przed kim się wywnętrzyć, łapał go w przelocie i trzymał czasem godzinami całemi, przypartego do muru. Była to jedna niewygodna strona owych lekcyj, lecz po za tem wolność i swoboda zupełna.

Leon zajmował teraz średniej wielkości pokój o dwóch oknach, wychodzących na ogród i poprzeczony małym przedpokoikiem. Brat Grzegorzewskiego przyjechał i darował mu wszystkie książki po zmarłym, wraz z pulkami. Było to wszystko, co ów brat zrobił, gdyż, pominąwszy milczeniem napomknienie Barumzweiga i Leona o wzniesieniu pomnika bratu, zapytał tylko o rachunki z pogrzebu, dodając:

— Brat mój otrzymał znaczniejszą kwotę pieniędzy niedługo przed śmiercią. Chciałem, aby jechał na południe. Przysłałem mu à conto jego schedy. Nie mógł przecież zdażyć wydać te wszystkie pieniądze. Coś musiało zostać...

Leon i Barumzwajg nie uznali za stosowne wtajemniczać owego „brata“, na jakie cele pieniądze owe wydane zostały. Ten człowiek był bardzo daleki od nich, od zmarłego, i miał wygląd egoistycznego osobnika, głównie zajętego rachunkową częścią życia. Niemniej jednak przegłównawszy rachunki i rozporządziwszy pozostałymi gratami, które mu przypadły jako sukcesorowi w udziale — zapowiedział, że jeszcze przyjdzie przed wyjazdem, „tylko musi Paryż obejrzeć“. — Oglądał jednak Paryż długo i skrupulatnie, bo widziano go w dziesięć dni potem jadącego w towarzystwie jakiejś szwaczki na Imperialu omnibusu.

Na Glacierre jednak nie pokazał się już więcej. Leon więc wszedł w posiadanie całej biblioteki zmarłego i tych drobiazgów, które remanent administracyjny stanowiły.

Ustawił to wszystko w swoim pokoju o ile możliwości, nadając mu cechę czysto osobistą i odrębną. Mimowoli — wkradła się tu jakaś elegancja — a jeśli był nieład, miał on pewne artystyczne cechy.

Przebywał teraz u siebie chętnie i zaprowadził zwyczaj, że nawet kobiety, należące do partii, przychodziły do niego w razie jakiejś sprawy. On — pod pozorem nawału zajęć, siedział przeważnie w domu.

Zaczął kształcić się i czytać, czytać, a właściwie chłonać w siebie te książki, które pozostały po Grzegorzewskim i noce całe spędzał teraz na czytaniu i robieniu wyciągów. Nie żądza wiedzy tak go gnała ku owym foliałom, ale chęć zabłyszczenia erudycją, pokonaniem takich Strońskich, skoro przyjdzie im spotkać się razem. A że przyjdzie spotkać się, o tem Leon był przekonany. Stroński odjechał do Genewy — a jednak Leon czuł go ciągle, dokoła siebie. Ten wzrok ironiczny, chłodny, to spojrzenie inteligentnych zielonych oczów były dla niego różgą, która go gnała do pracy. Przeczł tam wyższość i lękał się jej. I zapragnął zgnieść swego przeciwnika. Należało być dobrze przygotowanym.

I wśród nocy bezsennych Leon się przygotowywał.

O kilka domów od niego mieszkała Mazia, nieco dalej Wilhelmina. I gdy Leon wychylił się poza bramę, widział jej dom, okna zasłonięte różowym jedwabiem i ta myśl, że ona jest tak blisko niego, była mu nadzwyczaj miłą.

Od chwili, gdy Wilhelmina powiedziała mu owe pamiętne „pan mi imponujesz“, jakieś rozkoszne uczucie, pełne różnorodnych przeczuć zapelniało mu duszę. Sformułować ich nie mógł, nie śmiał jeszcze, ale nie mniej były one i tlały w jego duszy głęboko.

Spotykał się z piękną dziewczyną teraz często, codziennie prawie i ona zawsze witała go czarującym uśmiechem. Chodziła jeszcze zawsze w żałobie, ale twarz miała już nie żałobną, owszem rumieńce zaczęły zakwitać na policzkach.

Jednego wieczora wsunął się nagle do pokoju Leona ktoś i skurezony stanął przy ścianie.

Leon siedzący przy stole, odwrócił się i poznał Władka, którego od śmierci Grzegorzewskiego prawie nie widział.

— A to ty? — zapytał prawie obojętnie, gdyż nie czuł wielkiego pociągu do tej zagadkowej postaci.

— Przyszedłem się spytać, co będzie teraz ze mną?

— Jakto?

Władek wciąż stał przy ścianie.

Był bardzo blady i znużony. Odziany był bardzo nędźnie, bez śladu bielizny.

— Tak! — wyszeptał wreszcie — chcę wiedzieć, czy mam odpłynąć do Afryki, czy pan mnie pozostawi przy administracji jak dawniej.

— W jakim charakterze?

— No... niby chłopca redakcyjnego, tak jak byłem przy... nim.

Ostatnie słowo wymówił cicho i natychmiast lzy zaszklily się w jego oczach.

Leonowi zrobiło się żal tego opuszczenia i smutku i odezwał się ciepłej.

— Naturalnie — zostań przy mnie. Mam niewiele, ale podzielę się z tobą. Gdzie teraz mieszkasz.

— Nigdzie.

— Ależ...

— Właściwie chodziłem po przytułkach nocnych, ale ci złodzieje Francuzi koniecznie chcą papierów. Dałem tym oberwańcom jakiś stary Waffenpass, com go kiedyś znalazł, kiedy jeździłem po Niemczech i oni wzięli to za jakieś legitymacje, bo bestye czytać żadnym obcym językiem nie umieją. Ale długo to tam nie można po tych noclegach, a potem, z przeproszeniem pana, takie robactwo...

— No dobrze! dobrze! — przerwał mu Leon — wynajdę ci jakieś mieszkanie, a tymczasem prześpij się tu u mnie.

Władek nagle się zmieszał i śpiesznie zawołał:

— Nie! to już ja jeszcze po noclegach pocho-dzę, dopóki mi pan coś nie wynajdzie. A co dzień to ja się stawię. Może potrzebny będę.

— Dlaczego nie chcesz tu zostać? Możesz spać w przedpokoju.

Władek nie odpowiedział nic, tylko z pod oka na Leona patrzył.

— Za pana Grzegorzewskiego spałeś przecież w administracji — ciągnął Leon.

— Och, to było co innego! — zawołał z całą szczerością Władek.

Gdy nazajutrz Leon zobaczył się z Mazią, zapytał ją, prosto patrząc jej bystro w oczy:

— Kto to jest ten Władek? Zdaje się, że mam prawo wiedzieć, skąd się bierze tu to stworzenie.

Mazia spuściła oczy w ziemię, wreszcie po chwili wyrzekła:

— Niech mnie pan od odpowiedzi uwolni. To nie moja, ani partyjna tajemnica. To jego osobista sprawa. Może okoliczności się tak złożyły, że pan się o wszystkim dowie. Co do mnie, chciałabym, aby Władek jak najprędzej i Paryż i nas opuścił. Ale... co robić! Zdaje się, że to nie prędko nastąpi.

— Mówił, że ma jechać do Afryki. Po co?

— Podobno do kawiarni, na kelnera. Niech pan będzie dla niego wyrozumiały i pobłażliwy. On ma tę dobrą stronę, że ma nadwyczajne serce, wierne i kochające. On dla nas wszystkich w ogień i wodę się rzuci, a to bardzo wiele taki charakter...

— Zapewne... ale ja wolalbym mniej fantazyi a więcej podstaw w osobach, które mnie otaczają.

Mazia otworzyła szeroko oczy.

— Prawie nie poznaję pana. Dawniej cenileś pan tak bardzo serdeczne porywy.

— I teraz je cenię, ale muszę być ostrożny. Dlaczego n. p. Władek nie chce u mnie mieszkać?

— A!...

Nastąpiła chwila milczenia, wreszcie Mazia dodała:

— To już jego tajemnica. Niech pan się z nas o to nikogo nie pyta.

— Więc wy wiecie?

— Ja... tak, o innych nie wiem.

Leon uczuł się do żywego dotkniętym. Więc było coś, o czym on nie wiedział. Dlaczego? I od tej chwili nienawidził Władka, który stał się dla niego zagadką. Nie chciał go jednak wypędzać od razu, aby nie zrażać sobie partyi.

Powoli dokoła Leona utworzył się rodzaj dworu, jak koło Grzegorzewskiego.

Co rano odwiedzali go Farbach i Chudzik, którzy beczynn timer siedzieli w Paryżu, gotując się niby ciągle do jakiejś pracy.

Często wpadał Barumcwajg, ale zawsze na krótko, ciągle teraz zajęty egzaminami, które mu przychodziły z wielką ciężkością. Zwykle wtedy Leon pił herbatę i częstował nią swych gości. Z początku Farbach i Chudzik pili dyskretnie, jedząc kawalczki chleba, które łamali z bochenka, leżącego na stole.

Lecz stopniowo ośmielali się i teraz wypijali takie porce, że często dla Leona nie starczyło

ani wody, ani esencji. Chleb także znikał, jak w czeluściach i szczególnie żarłocznością odznaczał się Chudzik, mężczyzna młody, rosły, zdrowy i żyjący beczynn timer cały dzień, snując się po ulicach miasta. Leon jednak przywykał do ich gadaniny i czułby się już osamotniony, gdyby rano wstając z łóżka nie widział przed sobą tych dwóch postaci, siedzących koło stołu i zalewających się gorącą herbatą.

Jakkolwiek gadanina ich była nieraz jałowa — ale Leon tak bardzo potrzebował i pragnął obzajmować się z wszystkim, co się partyi tyczyło, iż z każdego ich słowa tworzył sobie odpowiednie o rzeczy pojęcie.

Był to rodzaj świty, który mu teraz był konieczny, jak konieczne mu były odwiedziny Mazi, Wilhelminki, Jaskólskiej i nawzajem chodzenie do tych pań i przesiadywanie u nich godzinami całemi.

Było coś w tym trybie życia, pomimo ciągłej umysłowej pracy — coś próżniackiego. Ciągłe podrażnienie miłości własnej i chęć utrzymania się na wyżynie, denerwowała Leona szalenie. Był teraz ciągle zgorączkowany. I teraz, gdy mógł rzeczywiście pracować tak bardzo dla kraju i zbliżyć się doń całem sercem i duszą, dziwił się sam sobie, jak serce jego powoli chłodziło się i jak w drobiazgach materjalnej roboty zagrzebany, tracił duchowe porywy, egzaltację — to wszystko, co rwało w nim tak cudownie w tym małym pokoiku hotelowym i sprowadzało szubieniczne wizye, z całą teorią dzwoniących kajdanami mar, okrążających go dokoła.

Natomiast — występowały teraz statystyczne dane, cyfry i choć Leon pragnął prowadzić dalej partyę w płomiennym duchu Grzegorzewskiego, nie

mógł przecież zaprzeczyć, że i z cyframi liczyć się należało i to liczyć z matematyczną ścisłością.

Pułkownik, dawszy pieniądze, cofnął się w cień i niepokazywał się na Glacierre. Gdy pierwsze wydanie broszur Leona przyniesiono z drukarni, Leon zadrżał cały radośnie i z wielkim wysiłkiem wziął spokojnie broszury do ręki, aby nie ośmieszyć się w oczach obecnego Farbacha i stojącego przy nim Władka. Lecz gdy pozostał sam, porwał stos książeczek w obie dłonie, i zanurzył w nich twarz, całował je i cieszył się nimi, jak młoda dziewczyna świeżo otrzymanymi kwiatami. Ujrzał wreszcie w druku swoje słowa wolne, nieskrępowane, jak rozpalone żelazo gorące. Nie było tam owego sakramentalnego „*dozwoleno cenzuroju*“, które jest najwyższem urągówiskiem wolności ludzkich istot. Nie, te broszury nie były „*dozwoleno cenzuroju*“ i zdawały się być wolnemi orłętami, spadłemi na ziemię ze szczytów niedostępnej skały.

Dziewicze myśli! dziewicze ptaki szemrały purpurowemi skrzydły i zrywały się, aby lecieć tajemniczo przez granice i tam w Polsce wkraść się do domów, a potem do dusz ludzkich i budzić, szepać, wskazywać, wołać...

Leon pochwylił kilka egzemplarzy i pobiegł z nimi do Mazi. — Nie zastał jej w domu, ale wsunął jej pod drzwi jedną broszurkę. — Naturalnie wpadł i do Wilhelminki. — Studentka siedziała w fotelu i studiowała jakieś dzieło. Na stole leżały szczątki ludzkiego mózgu, które sobie Wilhelminka przyniosła z Salpetrierie. Zobaczywszy Leona, narzuciła na owe trupie szczątki trochę gałązek mimozy zmieszanych z fiołkami.

Leon podał jej broszurki i w tej chwili pozbył się swej „imponującej“ sztywności, którą teraz obnosił po świecie. — Patrzył w oczy dziewczyny i rad był z nich wyczytać podzielenie się radością. — Ona z uprzejmą ciekawością oglądała książeczki i najdłużej zatrzymała wzrok na winietce, przedstawiającej białego orla, rozpiętego na czerwonym tle.

— Bardzo gustowne — wyrzekła wreszcie — i dobrze pomyślane. To uderzy imaginację i podziela na umysł ludu! Pan masz dziwny instynkt i znów muszę powtórzyć... Pan mi imponujesz!...

Wyciągnęła ku niemu rękę i Leon pochwylił ją i do ust podniósł.

— Te broszurki... dla mnie? — spytała.

— Tak! wszystkie... jedną tylko zabiorę, muszę ją komuś zanieść natychmiast.

Wilhelminka zmarszczyła brwi groźnie.

— Kto to ten „ktoś?“ Ja muszę, muszę wiedzieć!... Czy to kobieta?

W głosie jej brzmiał taki dziwny ton, że Leon aż cofnął się i spojrzał na nią zdziwiony.

— Nie — odparł zmieszany — to nie kobieta...

Lecz ona ciągle się chmurzyła.

— Czy słowo? że nie kobieta...

— Słowo!

— Bo widzi pan, ja jestem zazdrosna!

Słowo to padło tak niespodziewanie i nagle, że Leon nieprzygotowany, nie wiedział, co nań odpowiedzieć.

— Tak, jestem zazdrosna — ciągnęła dalej Wilhelminka — nie chciałabym, aby jakakolwiek ko-

bieta miała większe odemnie prawo do... do... pańskiej...

Zacięła się, i dla Leona te kilka sekund wydały się wiekiem.

— Do pańskiej przyjaźni — dokończyła wreszcie, lecz ton jej głosu, zamiast przyjaźni, podsuwał inne słowa, które już prawie zadźwięczało w powietrzu pomiędzy niemi dwojgiem.

Leon powstał z miejsca i zaczął chodzić po pokoju. Nie chciał teraz patrzeć na Wilhelminkę, bo nagle stosunek jej do Grzegorzewskiego stanął mu z dziwną dokładnością przed oczami. I widział zmarłego, jak w tym samym pokoju, na tych samych meblach, w tem różowym dziwacznym świetle zamieniał z tą śliczną dziewczyną słowa miłości i zobowiązania, a ona nie tylko, że mu tych wyznań miłosnych nie broniła, ale sama dobrowolnie ofiarowała mu związać swą przyszłość z jego istnieniem.

I cóż stąd, że tamten już umarł, kiedy on był tu tak żywo obecny, kiedy Leon czuł go na każdym kroku, kiedy złoty łańcuszek połyskiwał na palcu żalobnie ubranej dziewczyny.

Ona musiała czuć, co się dzieje w tej chwili w sercu Leona, bo z nadzwyczajnym taktem zaczęła mówić o rzeczach obojętnych, o egzaminach, o Barumzwajgu, o siostrze Michasia, która powróciła na Litwę.

— Wszysey się rozjeżdżają! — wyrzekła, kłyszac się lekko na fotelu — szczęście, że nowi przybywają...

On ośmielił się spojrzeć teraz na nią, i gdy spotkał się z jej twarzą, zauważył, iż dokoła jej ust igrał taki sam uśmiezek, jak tam, w pokoiku Mazi,

gdy przez kilka sekund zjawiła mu się wśród cierni grobowego wieńca, patrząc nań kokieteryjnie wyzywającym wzrokiem.

— Ona go nie kochała! — pomyślał i w tej chwili przeraził się tej myśli, jakby przeczuwał, że duch zmarłego jego myśl usłyszał.

Wilhelminka zamknęła oczy i siedziała tak przez chwilę, jakby wsłuchana w coś bardzo dalekiego.

I nagle, nie otwierając oczów, wyrzekła:

— Kiedy słyszę pańskie kroki, zdaje mi się, że to jeszcze on chodzi po moim pokoju.

Leon stanął jak wryty i z nagłą złością zawołał:

— Niech pani tak nie mówi, proszę panią bardzo.

Wilhelminka spojrzała na niego zdziwiona.

— Dlaczego? czy to panu nieprzyjemne?

— Może!

— Sądzę, że sprawię panu przyjemność, mówiąc, że mi Pan w czemkolwiek jego przypomina.

— Dziękuję pani! Ja mam swą własną indywidualność i nie chcę być cieniem cienia!

— A!...

Umilkli oboje.

On był przerażony prawie sformulowaniem tak nagle i głośnie tego, co mu ledwo, ledwo przez myśl się przemknęło, tak gdzieś głęboko na dnie duszy były zbiegłe razem ze złymi instynktami. Ona zaś, widocznie rozumiejąca instynktem kobiecym, ile wyznania ukrytej a namiętnej zazdrości kryło się w tych słowach.

— Przepraszam pana — wyrzekła wreszcie studentka — nie znałam pana z tej nerwowej

strony... Im więcej pana poznaję, tem więcej mnie zaciekawiasz...

— Zaciekawiam?

Stanowczo rozdrażnienie jego trwało dalej.

— I ciekawość mą przykuwasz! — dokończyła dziewczyna.

— Och!...

W tej chwili dzwonek odezwał się w przedpokoju. Leon uprzedził Wilhelminę i drzwi otworzył. Na progu stał ów delegat z Genewy i z pod okularów przenikliwymi oczyma prosto w twarz Leonowi błysnął.

— Czy tu mieszka panna Wil...?

Leez Wilhelminka już porwała się i poskoczyła ku nowo przybyłemu.

— Ależ tu... tu... wejdź pan — zawołała przyjaźnie.

Stroński wszedł i krótkim skinieniem głowy powitawszy Leona, gorąco po męsku, po koleżańsku, dłoń Wilhelminki uściśnął.

— Panowie się znają? — spytała studentka.

— Miałem przyjemność — odparł krótko Stroński — na pogrzebie.

I odwróciwszy się ku Wilhelmince, usiadł na brzegu szeslonga.

— Na długo? — pytała panna.

— O!... na stałe.

— Czy być może? Jakto, pan osiada w Paryżu?

— Tak! — odrzekł Stroński — Tu teren o wiele lepszy i podatniejszy do działania, jak w Genewie. Jesteśmy tam nie w centrum, a Paryż wyborne ognisko. Do tej chwili nie wyzyskano tych dodatkich stron.

Wilhelminka uznała za stosowne zaprotestować.

— Daruj pan — wyrzekła żywo — Grzegorzewski i my z nim robiliśmy dużo.

— Nie wyzyskano — powtórzył twardo Stroński. — Działania tak rozstrzelone i dorywcze są niczem. Należy skoncentrować wszystkie siły i pozbyć się pewnego zastoju. Ale to już rzecz moja.

I obejrzawszy się po pokoju, dodał z udaną swobodą:

— Bardzo pani ładnie mieszka.

— A pan?

— Ja się osiedliłem także na Glacierre, mieszkam o kilka domów, 112 numer.

— A!... to naprzeciw domu pana Leona.

— Czy tak?... bardzo mi będzie miło, mieć pana za sąsiada.

Leonowi zdawało się, że w głosie Genewczyka brzmiała lekka nuta ironii.

— Zdaje mi się — odparł wyniośle — że „naprzeciwko“ nie jest sąsiedztwem. Będziemy zawsze rozdzieleni i to zdaje się, nie tylko ulicą!

— Och! — wyrzekł Stroński — gdyby odemnie zależało, pragnąłbym, aby ten rozdział nie istniał...

— Ja zaś... — odparł Leon — nie lubię sąsiadów. Pragnę być sam u siebie i mieć moje drzwi dobrze zamknięte. Przez szpary bowiem wkradają się czasem zgubne powiewy i te mogą paraliżować najlepsze chęci i zamiary.

Stroński, czując ton zaczepny w głosie Leona, wyprostował się i teraz już nietajony, ironiczny uśmiech okrażył jego brzydkie usta.

— Niewiele muszą być warte takie chęci i projekta, skoro byle powiew może je rozwiązać, jak

plewę w stodole!... — wyrzekł, patrząc wprost w twarz Leona.

— Każdy powiew może zniszczyć plony i chęci, bo te są jeszcze cieniem — odparł Leon — ale wstrętą jest rzeczą, jeśli owe powiewy zdołają zmienić przekonania, które powinny być niewzruszone i przekonania płamić propozycją ustępstw...

— Tylko ludzie nieinteligentni trwają uparcie przy swych przekonaniach — wyrzekł Stroński — czas, ewolucye, wypadki oddziaływują na każdy wyzszy umysł... to już chyba musicie przyznać.

I jakby chcąc przerwać niemiłą dla siebie rozmowę, zwrócił się znów do Wilhelminki.

— Wziąłem trochę większe mieszkanie, bo prowadząc redakcyę, muszę mieć odpowiedni do tego lokal.

— A!... więc istotnie pan zakłada nowe pismo?

— Jakto, istotnie, czy pani sądziła, że to są żarty?... Ja siedmiomilowe mam buty... idę prosto, ostro i szybko do celu. Znajduję, że życie nasze jest krótkie, a społeczeństwo czeka. Przytem za długo obalamucano naszych utopiami, należy nałożyć trochę zdrowego rozsądku do tej fantazyjnej kaskady, jaką zatapiają nas pewni pseudo-działacze. Przystępuję więc od razu do celu. Pismo zaczynam wydawać od 1 lipca. Będzie to miesięcznik w formie dziennika średnich rozmiarów. Współpracownictwo mam zapewnione. Londyn, Genewa, Galicya, ba... zakordonowe kraje będą silnie reprezentowane. Przystępuję do redagowania z całym arsenałem manuskryptów. Wiele cenionych nazwisk... Mam kilka artykułów w niemieckim i francuskim, języku specyjal-

nie dla mego pisma napisanych. Damy je w przekładzie. Nazwiska są imponujące...

W miarę, gdy mówił, brzydka twarz jego ożywała się, oczy błyszczały jeszcze więcej, z po za warg bielaly zęby młode, zdrowe i białe, jak u wilka. Wilhelminka patrzyła nań z ciekawością i Leonowi zdawało się, że dostrzegał w jej wzroku, jakby miłe zdziwienie.

— Słyszałem... — ciągnął dalej Stroński — że pani doskonale włada angielskim językiem, czy nie zechce pani przyłączyć się do nas i pracować z nami! Mam właśnie kilka artykułów do streszczenia i...

Lecz zanim Wilhelmina zdołała odpowiedzieć, Leon wystąpił i spoglądając na Strońskiego z wyrazem nieokreślonego lekceważenia, wyrzekł:

— Panna Wilhelminka w piśmie waszem pracować nie może, a to dla tej prostej przyczyny, że będzie miała zbyt wiele do czynienia u mnie. Ja także potrzebuję jej pomocy.

— Och! — zawołał Stroński — wasze wydawnictwo dorywcze, niepewne, nie wiele czasu zajmuje...

— A któż to was tak objaśnił? — zapytał Leon i zbliżył się tak ku Strońskiemu, że stanął prawie na wprost jego krzesła. — Któż to wam powiedział, że nasze wydawnictwo niepewne? U nas trochę się więcej działa, a mniej mówi! My nie mamy siedmiomilowych butów, ale za to mamy oprócz wydawnictwa jeszcze... pismo, które nam zabiera także trochę czasu.

I podnosząc jeszcze głos, jakby tem, co powie, chciał zmiażdżyć niespodziewanego przeciwnika, dodał:

— Pismo to będzie bowiem... dwutygodnikiem, a nie miesięcznikiem, jak wasze...

— Czy tak?...

W głosie Strońskiego było trochę podrażnienia, które widocznie Genewczyk ukryć usiłował.

Słyszając to Leon, zatryumfował. Z miną lekceważącą wziął kapelusz i podając Wilhelmince rękę, wyrzekł głośno i dobitnie:

— Czekam na panią dziś wieczorem. Odbędzie się właśnie sesja redakcyjna i cały skład redakcyi będzie obecny. Przyszedłem właśnie, aby panią zaprosić.

I skłonił się kurtuazyjnie, ale bardzo chłodno przed Strońskim.

— Żegnam!

Stroński ukłon mu oddał.

Gdy Leon już był na progu przedpokoju, Stroński go zatrzymał.

— Przepraszam was! — wyrzekł, jak nazwicie wasz dwutygodnik. Boję się, ażebyśmy się nie zesзли...

— Och! wątpię! — odparł ironicznie Leon — moja nazwa jest na wskrós narodowa — ja mój dziennik nazwę Hejnałem...

V. Noc zawiści.

Rozpoczęło się teraz dla Leona życie, pełne szarpania, niepokoju i gorączki.

Słowo się rzekło i znów z pomocą pułkownika ukazały się dwa pierwsze numera Hejnału.

Arkusz zaledwie druku — artykuły jednak dobrane starannie, treść dość obfita, korespondencje z kraju ciekawe. Brakowało trochę pogłębienia i ładu i to nawet tak dalece, że niekompetentnym brak ten rzucił się w oczy. Żerantem pisma podpisywano Durosiera. Lecz — w całej już kolonii wiadzano, kto był redaktorem *en chef*. Farbach i Chodzicki mieli teraz wiele pracy, gdyż oni załatwiali pantoflową pocztę. Przy tem Zagórscy aż się do łez rozrzewnili, zobaczywszy pierwsze numera pisma i widząc jak wielkimi literami w formie *motta* wypisano:

Jeszcze nie zginęła!

Wstępne artykuły pisał sam Leon i w nich dawał polot w swej ognistej fantazyi i nadzwyczaj ostrej a prawie brutalnej formie, w jakiej swe myśli i projekta wypowiadał. On — dość uważny w mowie, nie przebierał w wyrazach, piętnując władze prześladowujące rozebrane części Polski. Pierwsze artykuły zrobiły wrażenie tą straszną śmiałością,

która siekła do krwi i zdawała się dyszeć całą ogniem zemsty. Rozesłano prawie cały nakład — i to wysokim kosztem, lecz Leon postanowił nie cofnąć się przed niczem. Jakkolwiek pułkownik szczerze pieniądze dawał, jednak Leon czuł się w obowiązku zapewnić go, że to jedynie tylko początkowo pismo pociągnie za sobą znaczniejsze koszty.

— Niech przyjdą prenumeratorowie! — mówił — zobaczymy... staniemy o własnych siłach! Pułkownik dobrodusznie zapewniał, że fundusze zawsze się znajdą i czekał cierpliwie, aby mu Leon sam pierwszy numer i to jeszcze w korekcie przyniósł.

— Nie rozumiem nic! — mówił, gładząc papier i przyciskając go do serca — ale tak się cieszę, widząc te czarne literki! Może to przyniesie wam pożytek w kraju...

I zaraz zaczął się troszczyć.

— A wyszłecie dużo egzemplarzy?

— Ile tylko starczy.

— No, to dobrze... dobrze... Byle tylko nie złapali — bądźcie ostrożni.

Był wciąż bardzo dyskretny, nie narzucał się — nie przyjeżdżał do Leona, który dał mu poznać, iż nie chce, aby wiadano, kto daje partyi pieniądze.

— Dla pana samego lepiej! — tłumaczył mu Leon — teraz ów alians franko-rosyjski w całej pełni, mogłoby to panu spowodzić nieprzyjemności z waszym rządem.

A pułkownik potakiwał dobrodusznie.

— Prawda, prawda — masz rację młody człowieku!

I obaj patrzyli w przeciwną stronę, jakby lekali spojrzeć się sobie w oczy.

Owa tajemnicza potęga materyalna Leona nadała mu wielkiego blasku i powoli przyćmiewać zaczęła pamięć Grzegorzewskiego.

Cóż? Tamten był w porównaniu nędzarzem, wydającym mozolnie jakieś świstki, wiecznie zadłużony w drukarni i u Durosiera.

Tymczasem Leon płacił, płacił gotówką i nawet współpracownikom od czasu do czasu dał parę franków.

W całej kolonii zawrzało jak w garnku. Ulice Claude Bernard, St. Jaques, Bertholet, Scipio — otaczające Glacière aż błyszczały od żur-fixów, na których mówiono ciągle i wytrwale o tych „socyalistach“, którzy zdaniem „trzeźwo“ biorących życie, powinni byli po śmierci Grzegorzewskiego „rozlecieć się na cztery wiatry“ — a tu — partya prosperuje, imponuje, wydaje pismo — słowem... awantury arabskie!

Ile na to konto wypito herbaty, ile zmarnowano czasu... kto może zliczyć?

Nikt!

Koleżanki Rosenzwajg, Rosenduft, Rosenberg, Rosenheim i t. d., nawet dyssekując, miały o czym rozmawiać, a Leon urastał już teraz do legendowych rozmiarów.

Rozporządzał podobno milionami. „Hajnal“ był subwencyonowany przez jakieś tajemnicze potęgi i Leon był przedstawicielem tych potęg. Przytem opowiadano sobie, że jest bardzo ładny i ma na łóżku niebieską koidrę. Co więcej, nosi szaszet heljotropowy w kieszonce od kamizelki. Gdy przechodzi, pozostawia po sobie smugę heliotropu...

Koleżanka Rosenheim zapytała raz Wilhelminkę, spotkawszy ją przed bramą szpitala Maternité.

— Gdzie możnaby zobaczyć tego waszego Orlickiego?

Wilhelminka brwi zmarszczyła i spojrzała wrogo na pytającą.

— Dlaczego?

— Opowiadają o nim takie ciekawe rzeczy, że chciałabym obejrzeć go z bliska.

Wilhelminka dumnie podniosła głowę.

— Pan Orlicki nie jest przedpotopowym okazem, aby go chcieć oglądać... jest to człowiek seryo wielkich zasług i proszę niech koleżanka o tem pamięta!

Koleżanka Rosenheim zarumieniła się aż po brzeg rozfryzowanej grzywki i natychmiast zaprotestowała.

— Ależ koleżanko! koleżanka się myli... ja tyle dobrego słyszałam o tym panu, że chciałam poznać.

— Być może! — rzuciła Wilhelminka — my jednak nie lubimy zawierać nowych znajomości. To nam przeszkadza w pracy!

I odeszła z pompą, szeleszcząc podszewkami nowej sukienki.

Koleżanka Rosenheim popędziła do koleżanki Rosenduft, która właśnie w szpitalu doglądała nowonarodzone bliźnięta, aby opowiedzieć, że „koleżanka Wilhelmina jest głupia, zarozumiała i prawdopodobnie kocha się w tym Orlickim i boi się, aby która z innych studentek go nie skokietowała!”

Co wyraziwszy, zabrały się obie do zapisania wagi bliźniąt, które z całej siły protestowały przeciw tej kupieckiej operacyi, witającej w ten sposób ich przybycie na ten świat Boży.

Wilhelminka tymczasem poszła do Leona i zastawszy go w domu, już od progu śmiać się zaczęła.

— Wyobraź pan sobie... — wołała — wyobraź pan sobie, urosłeś na bardzo, bardzo interesującą osobistość. Koleżanki moje zajmują się panem i pragną cię oglądać z bliska, jak jakie dziwo!...

Leon patrzył na nią z uwielbieniem.

Nigdy nie wydała mu się jeszcze taką świeżą, ładną, szykowną, jak w tej bladej liliowej muślinowej sukni, ściśniętej w pasie fioletową aksamitką.

Zrzuciła już czarne krepy żałobne i teraz była cała jasna, wiotka, wesola, tak, że ani śladu już nie było w niej z łez przed dwoma miesiącami wylewanych.

— A pani co opowiadała koleżankom? — zapytał.

— Ja?... naturalnie odmownie.

— Dlaczego?

— Czy pan nie wie, że jestem zazdrosną?

— O mnie?

— A o kogóż?

Rzuciła to pytanie zalotnie a nawpół naiwnie. Nagle ściągnęła rękawiczkę z ręki i zbliżając dłoń do ust Leona, zawołała:

— Pocałować!

On ustami do jej dłoni przylgnął, ale w kątku warg uczuł nagle zimno.

To łańcuszek złoty, noszony na palcu przez Wilhelminkę, zmroził mu tak delikatnie pragnieniem pieczy rozpalone usta.

Odsunął się szybko.

Grzegorzewski stanął mu na myśli. I porwał go gniew na nią i na tamtego, który był już zakopany w ziemię.

Ona patrzyła na niego zdziwiona i wciąż rękę w górze trzymała.

— Co się panu stało? — spytała.

— Mnie, nic! To nerwowe!

— A!...

Zbliżyła się do stołu i zaczęła uważnie przeglądać manuskrypta. Nagle zebrała ją ochota brać udział w redagowaniu pisma i choć nie właściwie nie robiła, jednak wtrącała się do wszystkiego. Szczególniej krytykowała zawsze bardzo ostro działalność Mazi, tak, że Leon musiał brać Mazię w obronę.

— Ja wiem... — wyrzekła wreszcie Wilhelmina, z brzydkim spojrzeniem — ona pana swoją słodką minką kokietuje... Obrzydliwa nituszką!

— Co też pani mówi?!

— Ta! ta! ta! Ona zagięła parol i na Grzegorzewskiego. Podobało się jej być żoną, albo... może co innego lidera partyi. Ale, nie udało jej się!...

Zaczęła śmiać się teraz przeciągle i mrużyła oczy.

— Zapomniała, że ja tu jestem! — dorzuciła wreszcie z przechwałką.

Leon ramionami wzruszył.

— Skąd pani ma takie myśli? Może panna Mazia była przywiązana do Grzegorzewskiego, nie przeczę...

— Była przywiązana nie do samego Grzegorzewskiego, ale do jego stanowiska i uroku, jaki wywierał na ludzi...

Lecz Leon nie dał się przekonać.

— Nie... nie... panna Mazia nie dała się olśnić próżnością...

— E, co pan wie. Każda kobieta, jak éma do światła, biegnie za błyszczącymi zaletami mężczyzny!

Skoro ktoś jest na świeczniku, jak muszki na lep kobiety biegną do niego!

Serce Leona zabiło gwałtownie.

Wszak i on był teraz na świeczniku.

— A pani?

— O, ja nie różnię się wiele od innych kobiet. I mnie wyższość pociąga!

Patrzyła teraz przeciągle w twarz Leona.

— Mnie wyższością to można przykuć do siebie na całe życie! — szepnęła.

On milczał.

Lękał się rozumieć.

W powietrzu, za oknem aż szumiały drzewa starych klasztornych ogrodów od całej masy liści jasnych, młodych, świeżych. Zapach orzechów płynął przez otwarte okno. Leon patrzył na liliową sukienkę i czuł że drży cały.

Wilhelmina zupełnie spokojna i pani swych nerwów, przeglądała dalej papiery i nagle tupnąwszy nogą, zawołała:

— Ale niech Mazia pana zostawi w spokoju... bo ja jestem bardzo zazdrosna!

I wyciągnąwszy rękę, dodała:

— A pan jest mój — niczyj inny!

On o mały włos nie upadł jej do nóg, wołając „twój“, ale w tej chwili bez stukania wszedł Farbach, ciągle w czamarcie tylko zamiast barankowej czapki, miał teraz na głowie słomiany marynarski kapelusz, z pod którego w komiczny sposób wystawały jego duże uszy.

— Wiecie — zawołał — już przyjechał na stałe. Jutro zaczynają redagować... widziałem meble znosili.

— Kto?

— No, Stroński!

— A!

Zapomnieli o nim wszyscy, bo Stroński, wynajawszy mieszkanie, wyjechał na dwa miesiące w Poznańskie. Teraz dopiero powrócił i widocznie miał zamiar w czyn wprowadzić swe słowa.

— Jak organ będzie się nazywał?

— Moc. — Skąd pan wie o tem? — spytała Wilhelmina.

— Ja wiem, jak trawa rośnie. Wiem, że Stroński ma już czterdziestu dwóch prenumeratorów i że...

Lecz Leon nagle wybuchnął wielkim gniewem.

— Zakazuję wam chodzić i dowiadywać się o takie szczegóły! Nas pan Stroński i jego Moc nie nie obchodzą. Zrozumieliście?

Farbach aż usta otworzył z podziwu.

— Czego się zaraz cisnąć? — zapytał. — Możecie mi to delikatnie powiedzieć.

— Z wami delikatnie nie można.

— Ja temu nie winien. Ja mieszkam teraz u Sobkowskiego. On jest dobrze ze Strońskim, będzie jego współpracownikiem, więc rozmawiam z nim, choćby przez grzeczność za to, że mi daje mieszkanie.

Leon brwi ściągnął.

— Dlaczego mieszkanie u Sobkowskiego? Przecież to człowiek po za naszą partją?

Farbach uśmiechnął się ironicznie.

— A cóż niby mam robić? pod mostem spać, czy co? W naszej partyi teraz sami egoiści, którzy nie lubią dzielić się z biedniejszą bracią. Im trzeba salonów!

Krzywym gościem ukazał na pokój Leona, w którym było czysto, widno i przytulnie.

Leon gość ten i wymówkę zrozumiał. Uczuł także, że Wilhelmina z uśmiechem patrzy na Farbacha i uśmiech ten źle sobie wytłumaczył.

— Nie będziecie od tej chwili mieszkali u Sobkowskiego! — wyrzekł porywczo. — Od dziś, przenoście się do mnie!

Farbach przybrał układną minę.

— Jak każecie!

Farbach wyszedł po kilku minutach rozmowy i wieczorem dnia tego „taki, który woził pod Hallami wózek“ — sprowadził się na rezydencję do Leona. Przyniósł ze sobą kilka papierowych kołnierzyków, jedną parę gumowych mankietów, jedną chustkę koronkową do nosa, wziętą „na pamiątkę“ z jakiegoś balu i całą torbę papierów, którą położył pod łóżkiem Leona z bardzo tajemniczą miną.

Leon tego dnia wyjął z łóżka materac, położył go na ziemi, zwinął pod głowę swoje zimowe palto i tak przygotował posłanie dla Farbacha. Ten położył się natychmiast, prawie ubrany i zaczął bawić Leona całą masą kłamliwych opowieści na konto Strońskiego.

Według niego Stroński był niepewny człowiek, mający stosunki czasem z ambasadą rosyjską. Byli tacy, którzy widzieli, jak Stroński wchodził do ambasady na rue de Grenelle. To było ważne. I według niego należało od razu zgnieść Strońskiego, nie pozwolić mu nawet wydać pierwszego numeru „Moc“.

— Zwolać trzeba sąd honorowy — majaczył Farbach, rozciągnięty jak poczwara na materacach. —

Sąd orzeknie, kto on i skąd on i czy możemy mu rękę podawać, czy nie... Z pewnością pokaże się, że to jest coś podejrzanego...

Lecz Leon surowo nakazał mu milczeć. Jakkolwiek ta myśl, że Stroński jest tam, przez ulicę i może w tej chwili pisze tak, jak on artykuł wstępny do swego pisma, przejmowała go dreszczem dziwnym, którego znaczenia na razie zrozumieć nie mógł, gadanie bezpodstawne Farbacha było mu niemiłe i wstrętne.

Żydek, znużony snem, zasnął, pomrukując dziwnie i Leon teraz pozostał sam ze swymi myślami.

Tak, stanowczo ten Stroński działał na niego w dziwny, paraliżujący sposób.

Oto siedzi już godzinę nad pustą éwiartką papieru i złatać nie może dwóch zdań, on, tak tworzący łatwo i niemogący nadażyć piórem w ślad za cisnącemi się myślami.

I nie — nie — pustka teraz pod czaszką i ciągle wrażenie, że tam, z tyłu — po za nim, jest ten drugi, ten brzydki a silny, o wpadniętych w głab żrenicach, świecących po przez szybki okularów, i że ten mu zabiera wszystko: myśli, siłę, znaczenie, że mu druzgoce to rusztowanie, które on z takim mozolem i wysiłkiem wznosił.

Po co tu ten intruz? Po co? Dwóm im za ciasno będzie na tej Glacierre i jeden z nich musi zginąć. Leon to wie i czuje. Lecz który? który ustąpi?

Leon powstał i zaczął chodzić po pokoju, tłumiąc odgłos kroków. Nie czynił to z wrodzonej delikatności, ale jedynie dlatego, że nie chciał słyszeć w tej chwili skrzeku Farbacha.

Krew nabiegła mu do skroni — ręce łamały się kurczowo.

Wyglądał jak wódz w chwili wydania wojny. Obliczał swoje siły i środki. Lecz ten drugi miał bezwarunkowo więcej wykształcenia, praktyki — kto wie, może pieniędzy! I z wrażliwością, nerwowym naturom właściwą, Leon obniżał się dobrowolnie w swych oczach i czynił się słabym, głupim, nędznym.

Za to tamten drugi potężniał, rósł, olbrzymiał — zagarniał wszystko w swe wielkie, kościste ręce. Cała władza wymykała się z rąk Leona z tej strony Glaciere, i szła na drugą stronę ulicy — a on bezsilny, patrzył na pogrzeb swej własnej wielkości i tryumf swego nieznanego jeszcze przeciwnika.

Nafty w lampie zabrakło i ściemniało się powoli, a Leon wciąż jeszcze chodził po pokoju prawie nieprzytomny od tej jakiejś dziwnej trwogi i rozpaczliwego zwątpienia, które go ogarniać zaczynało. I po raz setny powracał myślą do tych czterdziestu trzech prenumeratorów, o których mówił Farbach, podczas gdy Leon miał do tej chwili płatnych tylko pięciu. Nie szło mu o stronę materyalną, ale o moralne zwycięstwo Strońskiego, który nawet przed wydaniem okazowego numeru znalazł już odbiorców. Jakież więc zaufanie, jaki moralny kredyt musiał posiadać ten interes, jeżeli wierzone mu na słowo i oczekiwano jego pisma, jak słów Mesyasza.

I w bezpłodnej tej rozterce poznał teraz Leon całą gorycz trwożliwej zawiści, jaką stwarza sobie wygórowana ambicya i chęć zablyszczenia samemu na szerszym horyzoncie. Była to ciężka noc i świt niepewny, powstający nad Paryżem, zastał Leona

bladego znużonego, siedzącego nad pustymi ćwiartkami papieru.

W serce jego wżarła się hydra zazdrości i trwogi przed abdykacją, a nawet pierwsze promienie słońca nie zdołały z serca jego tej trwogi, tej zawiści wygnać.

I Leon, rozłożywszy przed sobą książkę swych prenumeratorów, zaczął wpisywać fałszywe nazwiska i fikcyjne adresy osób wraz z podaną cyfrą zapłaconej niby prenumeraty.

Kogo w tej chwili oszukiwał? Samego siebie, bo przecież on jeden tylko miał prawo kontrolować księgę.

Lecz Leon, dokonawszy swego dzieła i dociągnawszy listę nazwisk do trzydziestu ośmiu, powstał i pozostawił rozłożoną ową książkę na stole w najwidoczniejszym miejscu. Był przekonany, że Farbach nieomieszka popełnić niedyskrecyi i zajrzy do książki, a przekonawszy się o ilości prenumeratorów, rozgłosi o niej po Glacierre.

Wiadomość ta dojdzie do uszu Strońskiego i popsuje mu jego tryumf i upokorzy dumę intruza.

Ta myśl pocieszyła Leona.

Rzucił się na łóżko i zasnął w ubraniu, gorączkowym, chorobliwym półsnem.

VI. W a l k a.

W dwa tygodnie później do Leona wpadł Chodzik, wywijając trzymaną w ręku dużą płachtę zadrukowanego papieru.

— Macie! — krzyknął prawie tryumfująco, rzucając Leonowi płachtę na stół.

Leon spojrział i w tej chwili dużemi literami ujrzał wydrukowane jedno słowo:

„M o c“.

Doznał jakby uderzenia pięści. Od dwóch tygodni wrzało na Glacierre od owej Moc, która kryła się jeszcze we mgle tajemnicy, jak motyl, mający zabłysnąć świetnemi barwy. Wrażenie, wywołane ukazaniem się Hejnału, bladło i nikło zupełnie. Z polską prawdziwie niestałością biegli teraz wszyscy ciekawi ku nowemu „sitku“ i cieszyli się zapowiedzianą nowością. Na tej Glacierre kwitnęły wspańiale małomiasteczkowe, gminne i banalne uczucia. Nie pragnienie dowiedzenia się, jakiej idei służyć będzie Moc i czy wyniknie stąd jaka korzyść dla kraju budziła chorobliwą ciekawość studentów i studentek, lecz radość z nowej „afery“, czegoś, co dostarczy żeru do pogawędek na fiksach i pretekstów do latania z wiadomościami po Glacierre — ba — nawet po salach szpitalnych.

Gdy więc owe pismo, o którym znów potworne zaczęły krążyć bajki, ukazało się w świetle dziennym, wyrwano je sobie z rąk do rąk. Przychodziło to z trudnością, gdyż Stroński przyjął taktykę zupełnie różną od tej, jaką się posługiwał Leon.

Zamiast zasypywać wszystkich setkami numerów okazowych, nie posłał prawie nikomu pierwszego numeru. Ograniczył się tylko do rozesłania lakonicznego zawiadomienia, iż dnia tego i tego ukaże się nowe pismo pod jego redakcją. Zawiadomienie to rozesłał wybranej ilości osób. Ci, którzy nie dostali owego zawiadomienia, powinni byli czuć się tem dotknięci. Lecz Stroński znał widocznie ludzi i wiedział, że ciekawość będzie silniejszą od miłości własnej. Stąd powodzenie pierwszego numeru Mocy było wielkie i niespodziewane. Leon z goryczą przyznać to musiał. Od dwóch dni szarpał się w chęci zobaczenia i przeczytania tego pisma, lecz lękał się zajrzeć temu wrogowi w oczy. I teraz, gdy Chodzik rzucił mu na stół ów szmat papieru, przymknął na chwilę oczy, jakby doznał olśnienia. Lecz czuł na sobie ironiczny wzrok Farbacha, który pił już czwartą szklankę herbaty i siedział na brzegu materaca w nocnej koszuli Leona. Oparłszy więc głowę na rękę, Leon czytać zaczął powoli, z początku nie rozumiejąc nic, tak silnie mu krew napływała do mózgu. Chodzik tymczasem nalał spirytusu do maszynki i zjadał chleb, który Leon przygotował dla siebie na brzegu stolika. Z ustami pełnemi wykrzyknął wreszcie stentorowym głosem:

— Co to czytać!... spalić to bezceństwo! przecież to internacyoniści!

Tak! tak! internacyoniści — zaraz wstępny artykuł, pisany z nadzwyczajną logiką i wyrozumowany, wskazywał to dokładnie. I Leon pochwycił się tej myśli z radością tonącego. Internacyoniści! a więc zdrajcy, odstępcy — negujący potrzebę własnego kraju, miłości własnej ziemi, ojczyzny, odrodzenia Polski.

Ach! on im da, on im pokaże, co to jest Polakowi zapomnieć o swych obowiązkach. Internacyoniści! Ależ w ten sposób łatwo takiego wroga zdusić, łatwo go zniszczyć. On lękał się tylko, aby Stroński nie wywiesił tego, co i on sztandaru i nie odebrał mu popularności i prawa zabierania pierwszemu głosu na tej drodze.

Tylko teraz należało natomiast wspaniale, z całą wzgardą i mocą pluć w twarz odstępcom i zde-maskować ich w oczach tłumów, które pociągają mają pozorną logiką ogólnego braterstwa i prawdziwego na pozór zrównania całej ludzkości.

On — Stroński, walczy siłą logiki i argumentów — on, Leon, będzie porywał uczuciem i całą falą entuzjazmu. Tamten, internacyonista, będzie rozumował składowo i starał się trafiać do rozsądków ludzkich, on zaś targnie sercem, duszą — obudzi wspomnienia grozy, zemsty — krwawe widziadła wskrzesi z grobu i jak geniusz Grotgerowski wlece będzie uśpione duchy po cmentarzyskach kraju.

I Leon szybkim ruchem powstrzymał rękę Chodzika, który chciał zniszczyć Moc i spalić ją przy płomieniu spirytusowej lampki.

— Zostawcie! — wyrzekł Leon — ja temu panu odpowiem!...

— Wczoraj znów dwóch prenumeratorów mu przybyło...

— Skąd o tem wiecie?

— Mieszkam u Sabowskiego, więc słyszę miwoli co mówią.

Leon aż wzdrygnął się niecierpliwie.

— Dlaczego mieszkacie u Sabowskiego?

Chodzik roześmiał się, odkrywając dwa rzędy wspaniałych bieluchnych zębów.

— A gdzie mam mieszkać? Przecież wiecie, że pieniędzy nie mam. Czekam ciągle, aby mi nadesłali (czekał już dwa lata). Sabowski jeden, który ma drzwi i serce otwarte dla wszystkich, więc...

— Nie wróćcie więcej do nich, ja sobie tego nie życzę! — zawołał hardo Leon. — Będziecie tu, u mnie mieszkać...

— Macie już Farbacha!

— Mniejsza z tem, zmieściecie się. Proszę się do mnie wprowadzić!

Teraz tak lękał się, aby mu kto nie odebrał jakich członków partyi, że byłby najchętniej ściągnął do siebie wszystkich i podzielił się z nimi nietylko mieszkaniem, ale ostatnim kawałkiem chleba. Mimo to, gdy wieczorem Chodzik, który zbytniem porządkiem i czystością nie grzeszył, wprowadził się na dobre i przyniósł ze sobą dwa gumowe kołnierzyki, wytuszczoną poduszkę i trochę bielizny, zawiniętej w dziurawy dywan, Leon aż usta do krwi zagryzł i podszedł do okna, aby nie widzieć tej instalacji.

Słońce powoli zachodziło po nad jasną zielenią drzew i było coś dziwnie delikatnego i uroczego w przejrzystej jasności tego zakątka, szumiącego

zielenią pośród obramowania piętrowych kamienic, zimnych, banalnych i nieprzystępnych.

Coś z poezyi wiejskiego zachodu słońca płało się w tej chwili w powietrzu.

Niebo miało subtelną, różowo-niebieską barwę, której najgenialniejszy malarz oddać nie jest w stanie. I wszystko cichło i zamierało powoli w przeczuciu zbliżającej się nocy.

Leon odczuł w tej chwili jakiś straszny żal, szarpący mu duszę. Zdawało mu się, że jest na czyimś pogrzebie, że stoi nad świeżą mogiłą, że w oddali ktoś sercu jemu drogi żali się i płacze. A płacze dlatego, że już ani czuć miłości dla tych szemrzących liści, dla tego błękitnego nieba nie umie. Po sercu jego przesunęło się rozpalone żelazo i pozostawiło głęboką bruzdę. Bruzda ta, niby rana, zasklepiała się, a mimo to coś tam nurtuje i boli. To reszta wspomnień chwil spokojnego, kojącego zachwyty i cichej modlitwy do jasności i przeźroczystości słonecznych, gasnących promieni...

Dziś — serce Leona spalone żądzą ambicji, stargane pożądaniem władzy — płacze i ogląda się po za siebie, nie mogąc tak nagle wyrzec się i zapomnieć swych dawnych, artystycznych pragnień i porywów.

— Dla kraju to robię... dla kraju — przechodzi myśl przez umysł Leona.

A równocześnie coś dziwnego się z nim dzieje — bo zdaje mu się, że chyba dawniej ten kraj był mu bliższy i droższy niż teraz, kiedy dlań „działać“ zaczął. Dla kraju, czy dla siebie?

Porywa go jakiś lęk. Rozdrażnienie wzrasta, słyszy po za sobą plusk wody. Odwraca się i widzi

Chodzika, jak rozebrany do połowy myje się w jego miednicy i jego mydłem.

Na sienniku leży brudny i rozczochrany Farbach. Wieczysta maszynka pali się na rogu stołu i w niej syczy woda na herbatę.

Leon postanawia sobie kupić inne mydło i schować szczoteczkę do zębów.

Tymczasem Chodzik, skończywszy pluskać się w wodzie, odwraca się ku niemu:

— Pożyczcie mi czystą koszulę, S. dawał mi zawsze swoje koszule...

Ten ostatni argument podbija Leona. Idzie do kufra, wydobywa dwie koszule i podaje Chodzikowi.

— Proszę! — mówi krótko, starając się być uprzejmym.

— Po cóż dwie?

— Dla zmiany, jak się ta zbrudzi...

Chodzik przybiera postawę Hidalga.

— Cóż to? chcecie mi darować koszule? Ja nie przyjmuję jałmużny. Ja chcę tylko koleżeńskiej wspólności. Skoro mamy żyć pod jednym dachem, niechże to będzie możliwe *modus vivendi*. Nawzajem, jeśli wam coś będzie ode mnie potrzeba, służę wam, weźcie!

Wspaniałym gościem wskazał na swój podarty dywanik, tobołek z brudną bielizną, zatłuszczoną poduszkę i dwa gumowe kołnierzyki.

Niemniej jednak obejrzał uważnie obie koszule, wybrał lepszą i skrzywił się, widząc, że jest trochę w szyi za ciasna.

— Jak będziecie kupować nowe! — wyrzekł, zapinając mankiety — kupujcie o dwa numery szersze, ja jestem tęższy od was!

Ubrał się zadowolniony, tęgi, zdrow, wypasiony i usiadłszy do picia herbaty, oznajmił:

— Konsierżka wasza ma przystojną córkę i sama jest niczego...

Wszedł Władek, który powoli zaczął odzyskiwać lepszą cerę i humor. Teraz często kręcił się koło Leona, jakkolwiek ten czuł ciągle do chłopca odrazę. Zwłaszcza oczy Władka przejmowały go jakimś niepokojem. Od pewnego czasu znajdował je często na swej drodze i te wielkie błękitne źrenice dziwiły go i mieszały. Było w nich coś z uległości kobiecej, jakiś zachwyt, który rósł powoli i aż tryskał z oczów chłopca. Przytem, Władek zaczął ubierać się czyściej w kolorowe krawaty, przeważnie błękitne, które podnosiły białosć jego cery i złotą barwę jego włosów. Chwilami robił wrażenie średnio-wiecznego pazia, zwłaszcza, gdy milcząc, stał przy ścianie i tylko ruchy Leona śledził.

Początkowo oporny i niechętny, cały oddany tylko myśli o zmarłym, powoli zaczął lgnąć do usług Leona i teraz coraz gorliwiej, aż chwilami z podziwieniem godnym zapalem biegał na posyłki, nosił pakiety na pocztę, sprzątał w mieszkaniu Leona i zajmował się wszystkim, co tylko mogło leaderowi oddać jakkolwiek usługę.

I teraz Leon nie protestował, bo było coś w tych usługach Władka delikatnego, miłego, prawie artystycznego. Na stole znajdował Leon często świeże wiązanki polnych kwiatów przetykanych koronką mietlicy, łóżko jego było zawsze zasłane czysto, kołdra podszyta, maszynka wyczyszczona, bielizna wyprana.

Można było przypuszczać, że to ręka kobieca przeszła tędy, tak coś ciepłego było w tych staraniach, które Leona powoli otaczać zaczęły. I cały sposób obejścia się Władka zmieniał się stopniowo. Dawniej, rwący się, fantastyczny, nieokiełzany, wiecznie podniecony, w obecności zgorączkowanego Grzegorzewskiego, z którym pomimo szalonego przywiązania staczał ciągłe sceny, teraz układał się, miękł, nabierał pokornych prawie tonów.

Mówił do Leona cicho i spokojniej, nie wspominał o swej cyrkowej przeszłości — usuwał się i wysuwał z pokoju jak cień. Dawniej miał chwilaми zuchwały sposób trzymania rąk w kieszeniach, głośnego stukania butami o podłogę — teraz zmodyfikowało się to wszystko i Władek drepcił na palcach jak dziewczynka, aby Leonowi nie przeszkadzać.

Po śmierci Grzegorzewskiego niecierpliwił często Leona ciągłymi słowy „pan Grzegorzewski robił tak, pan Grzegorzewski kazał mi to i to“ i — zwykłe jakaś zuchwała wyzywająca iskra migotała w jego oczach. Czuł i wiedział, że Leona to ciągle stawianie za wzór Grzegorzewskiego sekretnie doprowadza do złości. Powoli jednak Władek przestał wspominać Grzegorzewskiego. I teraz „jak pan każe“, zastąpiło dawne słowa.

Raz jeden tylko Władek szarpnął się i zbuntował prawie niecierpliwie.

Było to wtedy, gdy Farbach wprowadził się do pokoju Leona.

— Pan go tu będzie trzymał? — zapytał marszcząc brwi groźnie.

— Tak... kolega Farbach będzie razem ze mną mieszkał!

Władek zaczął przestępować z nogi na nogę, co u niego oznaczało wewnętrzne wzburzenie.

— Ja... prosiłbym, żeby pan tego nie robił — wyrzekł wreszcie z trudnością.

— A to dlaczego?

— Bo w takim razie... ja muszę przestać zajmować się pana... gospodarstwem.

— Z powodu...

— Bo ja... żydowi nigdy usługiwać nie będę!

Wymówił te słowa hardo i widoczne było, że Władek był z krwi i kości antysemitą.

Leon ironicznie spojrzał na chłopca. Rad był, że teraz może mu odplacić za wieczne jego zachwyty nad Grzegorzewskim.

— Czy to Grzegorzewski cię nauczył antysemityzmu? — zapytał — zdaje mi się, że on był innego zdania. Dla niego byli tylko Polacy — prawda?

Władek machnął ręką.

— Nieboszczyk tak mówił, ale to nieprawda, on musiał tak mówić dla idei, ale w głębi on myślał inaczej. On był szlachcic, on nie mógł cierpieć żydów... ja to wiem!

Leon przybrał surowy wyraz twarzy.

— Nie czernić pamięci zmarłego! — wyrzekł ostro — Grzegorzewski zawsze to mówił, co myślał.

— Jemu się tak zdawało — upierał się Władek — ale to inaczej być nie mogło. Jakże pan będzie z tym Farbachem żył w jednym pokoju... a potem ja... nie... to prawdziwie niepodobna...

— Ha! to w takim razie musimy się rozstać!

Oczy Władka napęłniły się łzami i z po za tej srebrnej rosy wyglądały jak z pod tafli stawu niezabudki.

— A jakże to można? — spytał wreszcie hamując z całej siły wybuch nerwowego płaczu, cóż wtedy się z panem stanie?

— Konsierżka mi usłuży.

— Ta głupia baba? Nie doczekanie tej psiej krwi, żeby tu weszła... Już niech będzie jak pan chce... Przełknę i tego Farbacha...

Spojrzał z całą wściekłością w stronę materaca, na którym spał rozciągnięty Farbach.

— Tylko butów mu czyścić nigdy nie będę.

Potem już, zgodziwszy się na owego Farbacha, traktował go ciągle z góry i z pewną pogardą. Odzywał się do niego rzadko, czasem jednak nagle pytał go o ów wózek z pod Hall i podawał w wątpliwość rzeczywistość faktu. Wynikały ztąd zatargi, które kończyły się furją Farbacha i tryumfem Władka.

Lecz, zobaczywszy zainstalowanego Chodzika, Władek prawie skamieniał na progu. Pytającem spojrzeniem obrzucił Leona. Ten, pragnąc od razu przeciąć wszelkie kwestye, wyrzekł sucho:

— Kolega Chodzik będzie także tu mieszkał!

Tyle było stanowczości i suchości w głosie Leona, że Władek nie wdawał się już z nim w żadne dyskusye. Szybko tylko wybiegł z pokoju, jakby nie mógł patrzeć na sprofanowanie mieszkania Leona.

Przez kilka tygodni trwało dziwne wzburzenie i naprężenie całej Głaciery. Zdawało się, że wszyscy gotują się dopiero do jakiejś walki, czy to w charakterze walczących, czy widzów. Tych ostatnich była cała falanga i można było widzieć ciągle studentki, biegnące jak na kółeczkach z jednej kamienicy do drugiej. Tylko, gdy przechodzono koło do-

mów, w których mieszkali Leon i Stroński, ciekawe noski zadzierały się w górę. Może coś dojrzą przez mury, może coś się posłysz z nowinek, które zrobiłyby sensację. Lecz kamienice stały wciąż milczące i tajemnicze, a tylko od czasu do czasu, to z jednej, to z drugiej bramy wypadali satelici, wzburzeni, czynni, rozgorączkowani i biegli gdzieś, w dal z minami zaaferowanemi. Nacyonaliści i internacyonaliści tylko ulicą oddzieleni, mierzyli się groźnie i rozbiegali w przeciwne strony. Sami leaderowie wychodzili przeważnie o zmroku. Często byli otoczeni świtą, czasem szli sami, gdy spotkali się, uchylali kurtuazyjnie kapelusze. Tylko Leon bardziej nerwowy, bladł i zaciskał zęby, Stroński zaś uśmiechał się ironicznie i zdawał się nie doznawać żadnego wrażenia.

Po stronie Leona stanęły teraz przeważnie kobiety. Nacyonalizm poruszał struny sercowe, nie więc dziwnego, że gromadził kobiece serca z większą łatwością. Mazia, Wilhelminka, Jaskólska, dwie świeżo przybyłe z Genewy młode panienki, jakaś starsza i siwa już kobieta, tłumaczka Ibsena, osiadła w Paryżu, stanowiły grono dość pokażne na ilość i jakość. Tymczasem Stroński miał przeważnie dokola siebie otoczenie złożone z mężczyzn, którzy mieli wszyscy miny zdecydowane, logiczne i pragnęli mieć wyraz twarzy o ile można najinteligentniejszy. Mówiąc o partyi Hajnału, śmieli się, ruszali ramionami, nazywając ją „babskim klanem“, a dość było, aby na ulicy pokazał się Farbach w swej czamarce, aby internacyonaliści parskali mu śmiechem prawie w same oczy.

Nigdy bowiem Farbach nie był bardziej „rogatywką“, jak w tej chwili. Czamarękę wyczyścił i u Mazi wyprosił sobie trochę sznurów od spódnicy, aby

z nich sobie zrobić nowe „potrzeby“. Cierpiał bardzo na tem, że nie ma butów z cholewami, ale wynagrodził sobie, dostawszy niewiadomo skąd konfederatkę błękitną, obszytą barankiem.

— Skoro będę miał buty — będę wyglądał, jak Mazepa — mawiał, rozprostowując swe pokręcone włosy przed lusterkiem.

— Nie wiem tylko, co pan zrobisz z nosem! — machnął Władek, który sprzątał całe stopy śmieci i popiołu, zalegające obecnie pokój Leona.

— Co ja mam robić z nosem? — zawołał Farbach. — Co ja mam z nim zrobić! Niech on rośnie dalej zdrów na mojej twarzy. To ładny nos, orli nos, sarmacki nos!

Obracał się profilem, wspinał na palce, aż głośny i huczący śmiech Chodzika przerwał mu te krygi.

— A cóż się tak kręcicie, jak małpa w nowej kacabajce? — zapytał.

Lecz jemu znów przerwał Władek, który z impetem ku niemu poskoczył.

— Niech pan zlezie z łóżka, niech pan nie wygniata panu Leonowi pościeli.

Chodziki ani się ruszył.

Kładł się zawsze na łóżko, ile razy Leon z domu wychodził.

— Milczeć smarkaczu... — rzucił tylko Władowi, ty mi nie masz nic do rozkazywania.

— Mam... bo to moja praca. Ja świeżo koldrę podszylę. Pan ją buciskami rozrywa i wala. Pan by lepiej czem się zajął, a nie tak cały dzień leżał z założonemi rękami.

— Milczeć smarkaczu!

— Chodziłby pan na tę dentystykę... albo co. Już dwa lata się pan zbiera. Ciągłe pan mówi, że pan czeka na pieniądze, aby sobie nowy garnitur sprawić i pójść do szkoły. I bez tego można kurs skończyć... O! panna Krasucka z odznaczeniem skończyła dentystyczną szkołę i dwa lata chodziła w starej, wytartej sukience... Pan gorszy, niż kobieta...

— Milczeć smarkaczu!

— Naturalnie... wygodniej jest cały dzień nie robić, tylko plotki...

Lecz Władek już nie mógł dokończyć swych moralów, bo nagle znalazł się w sieni. Chodziki porwał się z łóżka i schwyciwszy jedną ręką za kolnierz delikatną figurkę chłopca, wyniósł ją za drzwi.

Poczem — dokonawszy tej bohaterskiej pracy, powrócił na łóżko, które aż jęknęło pod jego ciężarem.

Farbach tymczasem zaczął gotować wodę na nieśmiertelnej maszynie i szukał wszędzie herbaty, której na razie zabrakło.

Nie mogąc znaleźć, zirytowany odezwał się wreszcie do Chodzika.

— Przedstawcie sobie, nie ma nawet herbaty... Ja nie wiem, co on sobie myśli, czem my żyć będziemy, to już najwyższa niedelikatność.

Lecz Chodziki wzruszył obojętnie ramionami.

— Cóż łatwiejszego, jak mieć herbatę. Zejdźcie do episjera, gdzie on zwykle bierze i weźcie na jego rachunek. Potem zapłaci...

Farbach uderzył się w czoło i podskoczył radośnie.

— Macie rację... wezmę zaraz chleba u piekarza i trochę masła.

Był już na progu, kiedy Chodziki wrzasnął.

— A weźcie także na kredę trochę tytoniu.
On to ureguje!

Od chwili wprowadzenia się tych dwóch, Leon już nie był „u siebie”. Początkowo chciał się przezwyciężyć, zabierał się do pracy pomimo nich, usiłował pisać, czytać — gdy oni swarzyli się, plotkowali albo chrapali, każdy na swoim sienniku. Bo Leon wystarał się teraz o dwa sienniki, ułożył je na ziemi jak w przytulku noclegowym, pragnąc w ten sposób ocalić choć swoje łóżko od inwazyi ich groźnych butów. Niewiele to pomagało. Ci dwaj „towarzysze” włązili wszędzie, nietylko w jego łóżko, bieliznę, odzież, pożywienie — ale w jego mózg, w jego myśli, w jego pracę, w jego nerwy.

Gdy szedł ulicą, nie mógł się otrząsnąć z ich obecności — oni byli ciągle przy nim, skrzeczeeli, huczeeli, rechotali jak żaby — rwali jego nerwy na strzępy. Od pewnego czasu zaczął często chodzić do Biblioteki narodowej i tam pracował, pisał swoje artykuły, robił wyciągi z pism i książek, które ze sobą przynosił. W tych widnych, czystych salach, wśród uroczystej niemal kościelnej ciszy, było mu lepiej, spokojniej i umysł jego pracował raźniej. Czasem przypominał sobie tych dwóch rozwalonych na siennikach, lub pojących się herbatą i czuł dziwny niesmak moralny i fizyczny na to samo wspomnienie.

Najwięcej bolała go ta myśl, że to oni reprezentowali męską stronę partii i gdy przeciwstawił im stronników „Mocy”, brał go poprostu wstyd, pomimo, że Chodziki fizycznie przedstawiał się pokaźnie. Lecz tamci byli przeważnie studentami i to wcale zdolny-

mi, pracowali, zdawali egzamina, niektórzy nawet zaczęli praktykę — on zaś, miał koło siebie dwóch próżniaków i gdyby nie Barumzwajg, którym się Leon pysznił, jak czemś wysoce niezwykle, nie byłoby w całej partii ani jednego pracującego mężczyzny.

W umyśle Leona zaświtał projekt zwerbowania Zagórskiego i ta myśl uśmiechała mu się coraz bardziej. Nie była to inteligencya, ale przedstawiała pewną już indywidualność, kogoś z tych, co doszli, którzy czemś się stali i mieli t. zw. imię „nieposzlakowane”. Byłby to tryumf wielki dla partii, gdyby udało się im wciągnąć ojca rodziny, człowieka pracy i tem samem zamknąć usta tym, którzy w partii widzieli tylko samych próżniaków, dzieciaków i warchołów. Ostrożnie więc rozpoczął Leon swą działalność. Podsunął Zagórskiemu pierwsze numera „Hajnalu” i gdy ten krzyknął, zobaczywszy w nagłówku „Organ narodowo-socjalistycznej partii”:

— Socjaliści? panie dziu!... komuna? co oni mają wspólnego z narodową świętą sprawą?...

Leon cierpliwie, hamując o ile możności swe nerwy, rozpoczął długą konferencyę.

Natrafiał na ów prześliczny a tak u nas rozpowszechniony argument, że „socjaliści panie dziu czychają tylko na cudzą własność”, że on, Zagórski, który tyle lat ciężko i uczciwie pracował, musiałby takiemu „psia krew socjaliście próżniakowi oddać swoją krwawicę”, lecz Leon już nabrał pewnych dyplomatycznych zdolności i wreszcie wymową swoją zachwiał ów gmach „panie dziu”, przekonanych anti-socjalistycznych, jakkolwiek nie wzbudził jeszcze zbyt wiele entuzjazmu w właścicielu zbrojowni dla socjalizmu wogóle.

Nie tracił jednak nadziei i każdego dnia po lekcjach z dziećmi szedł na „lekcję“ z ojcem i wśród halabard, pik, łuków i jataganów rozwijał swe poglądy, przebijając powoli skorupę pleśni, jaką całe wieki powoli gromadziły.

Czasem przysłuchiwała się słowom Leona sama Zagórska i stała tak we drzwiach, zwijając całe gałęzie bzu lub róż, prawie machinalnie z oczyma wlepionymi w mówiącego. Widoczne było, iż ta kobieta daleko szybciej pojmuje i odczuwa wielkie prawdy, wygłoszone często w zbyt fantazyjnej i entuzjastycznej formie. Lecz nie mówiła jeszcze nic i odchodziła z oczyma błyszczącymi i z bólem głowy.

Leon dostrzegł, iż w żonie zyskał już sprzymierzeńca, lecz jemu szło głównie o męża — dość miał już kobiet w partyi.

Wracając z biblioteki, wstępował zwykle do Mazi lub Wilhelmini, tak bardzo ociągał się z powrotem do domu. Lecz u Mazi (skoro nie wymagał tego interes partyjny), bywał rzadko i siedział krócej. Ona jedna była ciągle smutną i choć nie odziewała się w kiry, widać jednak było wiekuiłą żalobę jej serca. Przeciwnie, Wilhelmina nie wspominała już nawet o zmarłym, jakkolwiek łańcuszek nosiła zawsze na palcu.

Pewnego dnia Leon dostrzegł, jak Wilhelmina zamykała pospiesznie lakową szkatuleczkę, pełną listów i drobiazgów, w chwili, gdy wchodził do pokoju.

Szalona zazdrość szarpnęła nim całym. Pewien był, że to są pamiątki po Grzegorzewskim i że ona, pomimo pozornej obojętności, ciągle jeszcze myśli o swym dawnym narzeczonym.

— Co pani ma w tej szkatulce? — spytał brutalnie, patrząc jej bystro w oczy.

Ona, zamiast się obrazić za to pytanie, roześmiała się i natychmiast otworzyła wieko, jakby nie tylko kryć się nie zamierzała, lecz przeciwnie, pochwalić pragnęła.

— Patrz pan... listy, drobiazgi różne, kwiaty — akwarelki, fotografie...

— Czyje?

— Moje, moje własne.

I zaczęła mu podsuwać pod oczy fotografie rzeczywiście jej własne, zdejmowane w rozmaitych pozach, otoczeniach i strojach. Były to fotografie amatorskie, robione pospiesznie, aparatem rewolwerowym i przedstawiające Wilhelminę idącą ulicą, wyglądającą oknem, siedzącą na ławce w ogrodzie obserwatorium, robiącą dyssekcję, siedzącą na półokrągłej ławce sali St. Anne na wykładzie Balleta, lub stojącą obok estrady, na której demonstrował tuberkuły pacierzowe — Charcot.

— Kto panią tak ciągle fotografuje? — spytał porywczo Leon.

— Nie wiem! — odparła studentka — nie mam pojęcia, tak, jak nie wiem, kto do mnie od dwóch lat pisze miłosne listy, przesyła kwiaty, akwarele...

I z całego stosu listów wyciągnęła jeden i pokazując go Leonowi, dodała:

— Patrz pan — bez podpisu, bez nazwiska, i to już trwa lata całe...

Leon wzruszył ramionami.

— Pani, nie wiesz kto? — wyrzekł ironicznie — to dziwne! W każdym razie jest to jakiś kolega pani, widać to z momentów, które pochwycił na fotografii.

— O! to jeszcze nie nie rozjaśnia. Tylu mam kolegów.

— Którzy się w pani kochają...

— Którzy się we mnie kochają — dokończyła niedbale dziewczyna.

Leon gryzł wargi z bezsilnej wściekłości i patrzył na list, który trzymał wciąż w ręku.

Poznał dokładnie pismo. Widział je na liście, który mu Wilhelmina pokazała podczas owej dziwnej, śnieżnej nocy, którą spędzili razem w jego mieszkaniu przy ulicy Damremont.

Tymczasem Wilhelmina z dziwnym uśmiechem układała drobiazgi w szkatułce i nagle wyjęła z niej pierścionek, przedstawiający węża, trzymającego w paszczy nieduży brylant.

— Ten ktoś... — wyrzekła — jest o tyle szalonym, że przysłał mi pierścionek zaręczynowy. Mówi, że za rok się zdeklaruje jasno, a od tej chwili uważa mnie za swoją narzeczoną.

Odsunęła cokolwiek rękę, przymrużyła oczy i patrzyła przez chwilę na migocący brylancik.

— Bardzo ładny ogień! — wyrzekła, powoli wsuwając pierścionek na palec, na którym już był łańcuszek zmarłego. — Mam ochotę go nosić!

Leon rzucił list do szkatułki i odsunął się od studentki. Dnia tego upał był straszny i żaluzje okien były szczelnie przymknięte. Zupełny półmrok panował w pokoju.

Tylko jasna postać studentki bielila się w miękkich, długich draperyach szlafrocza, ściągniętego na biodrach sznurem.

— I wie pan? — ciągnęła dalej Wilhelmina — ja mam dziwne szczęście... Każdy, kto mnie zo-

baczy, w tej chwili ma ochotę zenić się ze mną... Ot — Stroński!...

Leon porwał się jak podcięty szpicruta...

— Co, Stroński? — zawołał groźnie.

Lecz jej nic nie mogło wytrącić ze spokoju i z równowagi.

— No... — odparła — Stroński mówił niedawno do koleżanki Rosenduft, że pomimo jego wrodzonego wstrętu do małżeństwa, ja jestem jedyną kobietą, z którąby się ożenił i...

Nie mogła dalej dokończyć, bo oto Leon poksoczył ku niej i porwał jej rękę.

— Nie wolno... nie wolno... — zaczął prawie chrapliwym głosem — nie wolno ci nawet tych słów powtarzać! Niewolno!

I brutalnie ściągnął, a raczej zerwał jej z palca oba pierścionki.

— Zrzuć to! — krzyknął. — Nieczyją być nie możesz, moją albo nieczyją...

Ona, czy obyta z podobnymi scenami, czy doskonale na nią przygotowana, ani drgnęła i tylko z po za zaciśniętych zębów spytała:

— Jakto... pańską... nie rozumiem...

— Ależ moją żoną! — krzyknął, prawie nieprzytomny Leon.

— A!...

Sekundę jedną zamilkła, brwi ściągnęła i teraz dobrowolnie, bardzo wdzięcznie wyciągnęła ku Leonowi rękę.

— Chętnie — wyrzekła.

On porwał ją w swe objęcia i ścisnął tak mocno, że zdawało się, iż ją udusi. Lecz ona z rozkoszą poddawała swe wiotkie ciało tym gorącym uści-

skom młodzieńca. Nie stawiała wcale oporu i uśmiechała się, gdy on obsypywał jej oczy, usta, czoło pocałunkami, mówiąc:

— Moja! moja! moja!

Z cichutkim brzękiem potoczyły się na ziemię dwa pierścionki, i ten ze lżą dyamentową, nieznany i tajemniczy i ten drugi — łańcuszek łączący ją jeszcze niejako ze świeżym grobem na odległym cmentarzu. Potoczyły się — zabłysły chwilę i zagasły w cieniu — dywanów.

W szkatułce otwartej wędły barwne płatki listów miłosnych, mniej gorących od pocałunków, jakimi Leon twarz swej niespodziewanej narzeczonej okrywał.

I gdy Leon dnia tego powrócił do domu, zdało mu się, że jeszcze jakiś ciężar więcej przywiesił się do rąk jego, jeszcze jeden lokator zajął nie jego mieszkanie, ale jego myśl, duszę, serce. Coraz więcej tych ogniw przybywało do łańcucha, którym się krępował stopniowo i tylko Leon dziwił się sobie, że miłosne pęta, to jest takie, które przynoszą promień nadziei i szczęścia, wydawały mu się ciężkimi i zaczęły indetyfikować się w jego wyobraźni z natrętną obecnością Farbacha i Chodzika w jego pomieszkaniu.

Dziwił się i zżymał. Nie takiego stanu duszy spodziewał się od siebie samego. I z wielką urazą zrzucił to wszystko na tych dwóch, których obecność przepełniała pokój zaduchem i wrzawą, a egzystencję jego niesmakiem i żalem. W dodatku, z poezji pocałunków wpadł w rzeczywistość fatalną.

Na progu sklepu stojąca piekarka powitała go uprzejmym uśmiechem i zapytaniem, kiedy „rachunek“ wyrównany zostanie.

Rachunek? Leon bardzo się zdziwił. Owe pięćdziesiąt franków, brane od Zagórskich, a stanowiące źródło jego utrzymania, było bardzo szczupłą sumką i Leon, gdyby nie obiady i śniadania u Zagórskich, mógłby zginąć z głodu, chcąc zapłacić pomieszkanie, świece, pranie, kupić herbatę, cukier, spirytus, którego nadmierne ilości wychodziły od chwili sprowadzenia się Chodzika i Farbacha. Zwykle Leon za gotówkę daną Władowi, kupował duży bochenek chleba, wybierając czerstwy, bo tańszy i mniej go owi „satelici“ spożywać mogli. Słyszac zapytanie piekarki, Leon sądził, że Władek dopuścił się sprzeniewierzenia i nie płacił za chleb, lecz prędko wyjaśniła się cała sprawa.

To ów „compatriote“ w ubraniu „national“ — codziennie brał obfite ilości chleba i rogalików na rachunek Leona. Piekarka sądziła, że Leon wie o tem i upoważnia swego „compatriotę...“ jeśli jednak jest przeciwnie, piekarka więcej chleba dawać nie będzie...

Leonowi uderzyła krew do głowy. Rachunek wynosił kilkanaście franków. Szło mu o pieniądze, ale głównie lękał się, aby Stroński, który brał chleb w tej samej piekarni, nie dowiedział się o jakichkolwiek rozterkach lub brakach w łonie ich partji. Z uprzejmym więc uśmiechem zapewnił piekarkę, że temu wszystkiemu jest winien on, który rzeczywiście prosił swego przyjaciela, aby pieczywo brał według woli i na razie zapomniał. Gdy kończył mówić, do sklepu wszedł Sabkowski — ów satelita Strońskiego i zaczął w koszyku z rogalikami wybierać pieczywo. Leon Sabkowskiego osobiście nie znał, imponował mu jednak ten suchy, kościsty i wiecznie namarszczony chłopak. Był młody — miał jednak już twarz prawie

starą, rozumną, spokojną i dziwnie chłodne spojrzenie. Właśnie piekarka podsuwała Leonowi książkę rachunkową z wykazem jak, kiedy i ile Farbach wziął pieczywa — Sabkowski, wybrawszy rogaliki, zbliżył się do kantoru i nalawszy sobie szklanę wody, powoli rogalik zjadał, popijając wodą. Stał tak blisko Leona, że mógł dokładnie słyszeć, co piekarka mówiła. Leon postanowił czempredziej skończyć tę niemiłą sprawę. Odsunął książkę i sięgnął ręką do kieszeni. Jedną sekundę — zawahał się.

Miał jeszcze dwadzieścia franków, ale te były resztą kwoty, danej mu przez Montalembarta na cele wydawnicze.

Do tej chwili nigdy Leon nie użył ani centyma z owych pieniędzy na inne cele.

Lecz piekarka otwierała znów książkę i zabierała się do dowodzenia prawdy owych rachunków, Sabkowski słuchał — Sabkowski mógł powiedzieć Strońskiemu, że w partyi Leona — członkowie partyi nie mając co jeść, dla chleba dopuszczają się niedelikatności i nadużywają nazwiska lidera... Nie — to być nie mogło.

I tak, jak Leon zaręczył się z Wilhelminą, aby Stroński tego nie uczynił, jak zaczął wydawnictwo *Hejnalu*, aby Stroński nie był jedynym wydawcą — tak teraz zapłacił pieniędzmi partyjnemi za chleb, który on sam jadł razem z Chodzikiem i Farbachem. Gdy wyszedł z piekarni, zdawało mu się, że popełnił czyn bardzo lekkomyślny i karygodny.

Wechodząc na schody, Leon pragnął z całej duszy, aby jego lokatorowie spali i on mógł pozostać w ciszy ze swemi myślami. Lecz było jeszcze

wcześnie, dziewiąta godzina zaledwie i panowie Farbach i Chodzik leżeli na swych siennikach, rozmawiając głośno. Lampa paliła się jasno, a na rogu stołu gotowała się nieśmiertelna herbata. Pomimo nadludzkich wysiłków Władka, brud i śmiecie zalegały kąty. Szczególniej Farbach celował w robieniu ciągłych śmieci, które fabrykował w iście cudowny sposób. Chodzik zaś do perfekcyi doprowadzał sposób rozbijania szklanek, spodeczków, łamania krzeseł i przewracania wogóle wszystkich sprzętów.

Podzieliwszy się tą pracą — panowie ci wykonywali ją sumiennie i z talentem, zwykle w południe, gdy decydowali się wreszcie opuścić swe legowiska i umyć bardzo prowizorycznie twarz i ręce. Chodzik miał czasem porywy elegancyi — ubierał się w białiznę Leona, mył się i czesał, a nawet dostał gdzieś żelazko kobiece do fryzowania włosów. Ufryzowawszy wąsy i włosy schodził na dół i wdawał się w długie konferencje z córką konsierki, niezmiernie symbolistycznie uczesaną szwaczką, albo kładł się na łóżku Leona i śpiewał całemi godzinami:

„Dziewczę z buzią jak malina“.

I teraz Leon, otwierając drzwi, posłyszał piosenkę Galla, która podziałała na jego nerwy, jak zgrzytnięcie noża po talerzu.

W dodatku zobaczył, że Farbach porozrzucił mu na biurku papiery. To wszystko doprowadziło go do ostateczności. Hamując się jednak, wszedł do pokoju i zwrócił się natychmiast do rozśpiewanego Chodzika:

— Proszę was... nie śpiewajcie!

Chodzik zdziwił się bardzo.

— Nie lubicie muzyki? — zapytał.

— Dlaczego?...

— Bo nie chcecie, żebym śpiewał.

— Może właśnie dlatego, że lubię, proszę was, abyście nie śpiewali.

Chodzik aż uniósł się na sienniku.

— To znaczy, że ja źle śpiewam? — krzyknął. — Słyszane rzeczy!... Ja byłem drugim tenorem w Dru-mli i zawsze stałem na estradzie drugi z kraju. Tam byli tacy także, którzy mówili, że ja wyję, ale to był fałsz i zazdrość, bo wszystkie panie tylko się na mnie patrzyły. Ja nawet jeszcze nie wiem, czy jak przyjdą mi pieniądze z kraju, nie zacznę kształcić się na śpiewaka. To intratniejsze, niż być dentystą... Choć znów z drugiej strony głos można stracić, a ludziom, dzięki Bogu, zęby zawsze pruchnieć będą...

Leonowi aż drżały ręce, gdy układał porozrzu-cane papiery. Tubalny głos Chodzika aż huczał w powietrzu. Na sienniku, pokrzywiony jak małpa, paląc papierosa, leżał Farbach.

— Ja znowu — podjął Farbach — miałem zawsze zacięcie zostać aktorem, ale jakoś do tego nie przyszło. Jak wróć do kraju, to pójdę na dziennikarza i to na polityka. Pokompiluję różne *Pressy* i *Figara* i mam artykułik wstępny. A dziennikarzowi w Warszawie — raj. Każdy się go boi. Potem, jak przyjadę z Pa-ryża, to niby... *imposé*, coś tego — paryżanin...

Leon zdmuchnął palący się spirytus i zgasił lampę. Farbach porwał się aż z siennika.

— My nie piliśmy jeszcze herbaty!

Leon chciał powiedzieć „to mnie nie obchodzi“, ale nie śmiał. Tak samo nie śmiał powiedzieć im o chlebie branym na jego rachunek. Delikatność

zamykała mu usta. Sceny o jedzenie, i to o tak nędzne pożywienie, jak chleb suchy i trochę trawą zafarbowanej wody, wydawały mu się okropnie upo-karzającymi. Miał ochotę zacząć płakać i krzyczeć, dławilo go po prostu w piersiach.

Drżącą ręką poszukał zapalek i spirytus pod lampką zapalił.

Chodzik leżał teraz milczący i rozmarzonym wzrokiem błdził po suficie, zdawało się, że myśli o czymś niezmiernie ważnem. Nagle odezwał się jakby sam do siebie.

— Ten Stroński to musi mieć duży majątek.

— Dlaczego? — spytał szybko Leon.

— Bo tam codzień u niego są fixy i to nie z chlebem ale z sardynkami, z masłem, ze serem a raz nawet był koniak.

— Codzień nie — zaprzeczył Farbach — ale trzy, cztery razy na tydzień.

— Darujcie — upierał się Chodzik — przy-pomnijcie sobie... jakeśmy mieszkali u Sabkowskiego, to codzień były befsztyki. Choć... końskie, ale były. I czasem śledzie — pomarańcze... Oni tam już taki mają zwyczaj.

Leon usiadł przy stole i zatkawszy uszy, uda-wał, że czyta. Myśli jednak wirowały w jego mózgu. Gdyby mógł, zastawiłby w tej chwili Farbachowi i Chodzikowi ucztę Lukullusa, aby i w ten sposób pogłębić Strońskiego.

Lecz równocześnie ogarnął go wstyd wielki. Rzeczywiście — jakże on żywił tych swoich dwor-zan? kazał im się sprowadzić do siebie i dawał im tylko trochę herbaty a o chleb musieli sami się pō-starać bez jego wiedzy.

I nie przyszło mu do głowy, że oni obaj są młodzi, zdrowi i że powinni sami na swoje pracować utrzymanie. Zaczął nabierać chorobliwego przekonania, że on musi o nich myśleć i starać się o środki ich utrzymania. Za tę trochę pracy, jaką nieśli partyi, a zwłaszcza za stosunki szeroko rozgałęzione Farbacha, należało się im widocznie coś więcej, jak moralne zadowolenie, które stanowiło całą nagrodę pracy Leona, Mazi, Grzegorzewskiego...

Leon zaczynał teraz poznawać naturę ludzką w rozmaitych jej przejawach. Co do Farbacha, Chodzika, nie czuł się nawet zbuntowany ich bezwzględnością. Przyjmował ich takimi, jacy oni byli.

Po półgodzinnej refleksyi doszedł Leon do przekonania, iż należy Farbachowi i Chodzikowi otworzyć kredyt na chleb i od czasu do czasu dać im befszytk z koniny albo trochę wędlin. Na mięso — myślał, wezmę pieniądze partyjne... to trudno! ale za to chleb opłacać będę ze swoich pieniędzy...

W ten sposób uregulowawszy swe sumienie, chciał teraz myśleć o Wilhelmince, o tem, że jest niespodziewanie zaręczony, że w życiu jego nastąpił taki straszny, niezrozumiany, nieoczekiwany przełom.

Nagle wrzask Farbacha rozległ się tak głośny, iż Leon mimowoli ręce od uszów oderwał.

— Wiecie! — krzyczał Farbach do drzemiącego już Chodzika — ten Stroński zakłada bezpłatną czytelnię... słowo honoru! Wynajął dwa parterowe pokoje na Cardinal Lemoine i tam będą wszystkie krajowe i co się uda zagraniczne pisma...

— Nie może być — bąknął Chodzik.

— A jakże! Taka bestya przemysłna... rozpiął listy do wszystkich redakcyj, a do paryskich

znów pism wyróżzał się w surdut i poszedł prosić, aby mu darmo przysyłano po jednym egzemplarzu pisma. *Figaro, Gaulois, Journal, Temps, Libre parole, Intransigeant* — wszystkie się zgodziły. Podobno poznał się z Drumontem i Rochefortem... Co do polskich pism, to będzie miał wszystkie, nawet... *Biesiadę literacką*.

— To macher — syknął Chodzik — on nie długo zawojuje wszystkich. Zobaczycie!

Leon już nie myślał o Wilhelmince, o zaręczynach, o miłosnych ekstazach, wąż zawiści owinał mu się dokoła serca.

Sluchał.

— I jeszcze coś wam powiem — ciągnął dalej Farbach ze swego siennika — w tej czytelnicy będą odczyty, konferencje, dyabli wiedzą, co. Stroński zaprosił straszne figury do współudziału... Jaures'a, Guesde'a, potem mają mówić i Moskale studenci. Strasznie się tem wszyscy zajmują i są zaciekawieni. Podobno mają być porozsyłane programy.

I rzeczywiście na drugi czy na trzeci dzień wszyscy z partyi Leona dostali rodzaj programu odczytów, konferencji i pogadanek, jakie miały mieć miejsce w owej czytelnicy. Kilkanaście nazwisk znanych, szumnych, figurowało z pompą na froncie. Socjaliści francuscy hulaśliwi i mniej hulaśliwi, byli dobrze reprezentowani. Jeden z delegatów londyńskich (Polak), jeden z Niemców bardziej znanych, i kilku Moskali dopełniało liczby. Pod tą wieżą Babel widniał wspaniały podpis prezesa czytelnicy: „Ludwik Stroński“.

Obok niego drobniejszemi literami jako sekretarz — Sabkowski.

Leon długo wpatrywał się w podpis Strońskiego.

Było to energiczne, śmiałe, imponujące pociągnięcie pióra. Nic nie wahało się, nie drżało w tej ręce, gdy kładła to nazwisko.

Mimowoli Leon porównał pismo Strońskiego ze swoim pismem. Różnica była znaczna.

Widoczne było, iż siła Strońskiego stanowiła podstawę jego moralnego ja, podczas gdy Leon siłę swą czerpał w nerwowem podnieceniu i ten stalowy pancerz agitatora, jaki przybrał na siebie, krył w sobie biedną, często już upadającą ze znużenia duszę.

Pierwsza konferencya, zapowiedziana przez program, miała się odbyć za tydzień o piątej popołudniu. Miał mówić Feliks Arrucaud o Herzenie. Nazwisko Arrucaud znane ze szpalt *Revue verte* przez pewien czas wstrząsało prawie całą Francję. Arrucaud, młody — zdolny socjalista, wystąpił nagle z artykułem zatytułowanym „Chleb dla wszystkich“.

Arrucaud w artykule tym domagał się, aby chleb rozdawany był darmo przez państwo tak, jak darmo korzystać mogą biedacy z oświetlenia ulic, z wody, z bruku, z muzeów, z przytułków noclegowych. Propozycya była zarazem logiczna i umotywowana. Jeśli woda i światło są uznane za konieczne dla egzystencji ludzkiej, toć i kawałek suchego chleba winien wliczyć się w tę konieczność. Arrucaud urósł w oczach Paryżan do rozmiarów bohaterstwa. Chleb dla wszystkich... słyszano tylko ciągle i wszędzie. Lecz projekt ten zagasił jak fajerwerk. Izba nie wzięła go pod obrady, uznając, że deputowani mieli dosyć chleba, a co do reszty... niech sobie radzą, jak zechcą.

Niemniej przeto Arrucaud był już osobistością, z którą liczyć się poważnie należało. Konferencya jego o Herzenie, była świetnym sukcesem dla Strońskiego. Z pewnością wszystkie dzienniki francuskie zainteresują się nią i przyszlą swych sprawozdawców. Naturalnie wtedy pisać będą o Czytelnii, o jej założycielu Strońskim, o całej partyi, co podniesie wysoko jej znaczenie w oczach nie tylko kolonij, ale całego kraju.

Czemże będą oni wówczas? ta garstka nacjonalistów, wtłoczona w kąć i nieznana?

Tego rodzaju reklamy, jaką uprawiał Stroński, reklamy niezmiernie rozumne i silne, pociągały za sobą umysły ludzkie.

Leon uczuł silne zniechęcenie.

Zrozumiał, że Stroński jest sto razy niebezpieczniejszym wrogiem, niż przypuszczał. Ręce mu opadały wobec tej konkurencyi tak sprężystej i energicznej. Cały dzień nie wyszedł z mieszkania, nie chcąc spotykać się z kimkolwiek z partyi Strońskiego. Co więcej, czuł od rana na sobie złośliwy wzrok Farbacha i słyszał znaczące chrząkanie Chodzika, który bardzo dokumentnie odczytywał ów program.

W południe przybiegł do niego Barumcwajg i Jaskulska. Oboje mieli ze sobą owe programy i widoczne było, iż są silnie zaniepokojeni.

— Wszyscy wybierają się na tę konferencyę... — mówiła Jaskulska — obleciałam całą Glacière, Claude Bernard, Scipio, Bertholet — byłam nawet w Salpetrierze, gdzie w laboratorium spotkałam się z Mazią — zaszłam na chwilę do Maternité i zostawiłam karteczkę, prosząc, aby Wilhelmina tu przysłała...

wszędzie znalazłam takich i takie, którzy idą na konferencję...

Leon stał przy stole i udawał, że obojętnie przewraca papiery.

Naturalnie Farbach i Chodzik, którzy ze względu na Jaskulską przybrali na swych siennikach postawę siedzącą, nieomieszkali wmięszać się do rozmowy.

— Tak, tak — skrzeknął Farbach — kiedy rano chodziłem po bulki, Sabkowski mówił mi, że lękają się takiego napływu publiczności, iż trzeba będzie powtórzyć konferencję Arrucaud'a w jakiejś publicznej sali.

— To byłby dla nich tryumf — westchnęła Jaskulska.

— W łeb ich!!! — huknął nagle z siennika Chodzik.

Barumewajg nie mówił, tylko dużymi krokami chodził po pokoju. Skrzypienie jego olbrzymich butów świdrowało po prostu mózg Leona. Drzwi otworzyły się — weszła Wilhelminka. Była świeża, różowa, w ładnej bluzce ściśniętej w pasie białym paskiem, na którym ciemniały zielone liście koniczyny.

Leon powitał jej zjawienie się, jak powiew świeżego powietrza. Od kilku chwil czuł, że się dusi w tej atmosferze niemych wymówek, jaka go otaczała. Przytem, widzieli się po raz pierwszy od chwili zamienienia ze sobą przyrzeczenia małżeństwa. Poskoczył więc ku niej całe serce i duszę włożył w spojrzenie, jakim poszukiwał jej oczów.

Lecz ona cała zajęta także myślą owej konferencji, już od progu zawołała:

— A to się dzielnie wzięli do rzeczy... nie ma co! — Musimy przyznać, że Stroński bardzo szynownie się spisuje.

Podala rękę Leonowi zupełnie obojętnie i usiadłszy koło stołu zapytała:

— Cóż my będziemy robić?

Wszystkie oczy zwróciły się teraz ku Leonowi, lecz zanim on zdołał cokolwiek odpowiedzieć, odezwał się stentorowy bas Barumewajga.

— Przedewszystkiem — musimy iść na konferencję.

— My?

Okrzyk ten wyrwał się razem ze wszystkich piersi.

— Musimy! — powtórzył Barumewajg — tak każe kurtoazya. Inaczej padnie na nas zarzut ciasnoty pojęć i zawiści!

Leonowi niechętną była myśl pójścia tam, wśród tego tłumu, w których czuł samych nieprzychylnych dla siebie i dla sprawy ludzi, lecz czuł, iż Barumewajg ma słuszość.

— Tak jest! — wyrzekł, nadając swemu głosowi o ile możności najwięcej pewności i siły. Na konferencję iść musimy koniecznie i to wszyscy!

Mówiąc to, mimowoli potoczył wzrokiem dokoła i porwała go głucha rozpacz na myśl, że ta garstka będzie przedstawiała jego „partję“.

Dlaczegoż nie mógł w tej chwili wezwać wszystkich tych, którzy tam w kraju połączeni z nim byli w duchu, w pracy, w myśli. Byłaby ich moc tak wielka, że zgniotłaby ilość swoją internacjonalistów Strońskiego. — I wszyscy silni, dzielni, młodzi — ot... orleńta gotowe do lotu.

Na czele takich przedstawicieli partii wszedłby dumny, śmiały i mógłby spojrzeć w oczy Strońskiemu, lecz tak, jak być musiało! Zwłaszcza Farbach, rzucający się i niemożliwy w tej obszarpanej czamarce, Władek, wyglądający tak dziwacznie — ot — garść dzieci, niedorostków — nie więcej.

I w tej chwili postanowił Leon sprowadzić ze sobą na konferencję Zagórskiego. Tymczasem Barumcwajg znów zaczął chodzić po pokoju z miną zafrasowaną.

— Szkoda, że i my coś na zewnątrz nie robimy! — wyrzekł wreszcie.

Leon porwał się dotknięty do żywego.

— My nie robimy? — zawołał gorączkowo — jak wy wtajemniczeni w naszą działalność możecie mówić coś podobnego. A toż od śmierci Grzegorzewskiego zrobiliśmy tyle, poruszyli tyle, chodzili, złączyli, że chyba zarzut wasz pochodzi ze złej woli albo — darujcie... ze złego humoru.

Barumcwajg zatrzymał się i swe wielkie, pocziwe oczy uczciwego na wskrós człowieka utkwiał w źrenice Leona.

— Dlaczego się unosicie? — zapytał — pracowaliśmy wspólnie, więc chyba umiem ocenić to, co zrobiliśmy dla dobrej sprawy w kraju, ale ja mówię o zewnętrznej stronie partii.

— Wydajemy pismo...

— To nie dosyć. To za mało dla tłumów.

Leon zmrózł oczy i wyprostował się dumnie.

— Mnie o tłum nie chodzi.

— A... darujcie! — zawołał Barumcwajg — nie macie prawa gardzić żadną jednostką — a z jednostek się tłum składa. Partya musi żyć, działać, cią-

gnąć ku sobie, agitować, przekonywać... a nawet jeśli chcecie sugiestyonować swe idee. Siedząc w kącie, pozwolimy, aby tłum poszedł za tymi, którzy go obalamucą i zatrują. — Darujcie... ale w ten sposób nie spełniamy naszego obowiązku!

Leonowi zaczęła nabiegać krew do głowy.

Po raz pierwszy ktoś z partii czynił mu tak otwarcie zarzuty. Miał ochotę rozpocząć silną sprzeczkę z Barumcwajgiem i naszym (niestety) zwyczajem wszcząć niezgodę wtedy, gdy nieprzyjaciół u płota. Lecz w tej samej chwili odezwała się Wilhelmina.

— Ach Boże! nad czem właściwie się tu zastanawiać. Oni urządzają konferencje międzynarodowe, my urządzmy obchód narodowy. I niech to będzie coś nadzwyczajnego, imponującego — koncert, deklamacja, muzyka — teatr, w razie potrzeby bal... To łatwe i sięgnie od razu całą kolonię.

Urwała, poczem dodała z pewnością panny, która wyszlifowywała sumiennie posadzki warszawskich sal balowych w ciągu karnawałów.

— Ludzie zawsze wolą tańczyć i bawić się, niż siedzieć na konferencjach, dusić się jak śledzie i w dodatku ziewać! Zobaczycie, jakie będziemy mieli powodzenie.

Farbach zbliżył się natychmiast.

— Ja będę grał w teatrze! — zawołał. — Ja umiem bardzo dobrze grać w teatrze.

— I ja także! — ofiarował się Chodzik — ja będę śpiewał, ja umiem „Dziewczę z buzią, jak malina“ i „Ujrzałem raz! Będą mnie bisować.

Leon zwrócił się ku Wilhelmince.

— Projekt pani w zasadzie jest bardzo dobry — wyrzekł — musimy się nad nim jednak zastanowić.

— Co tu zastanawiać się? — zawołała Wilhelmina cała już uniesiona zapalem i myślą o scenicznych i balowych tryumfach. — Urządzimy coś szykownego... Udekorujemy salę orłami na czerwonych tarczach, scenę także — zagramy coś patryotycznego. — Zobaczmy, za kim pójdą tłumy. Za nami czy... (skrzywiła się wzgardliwie) za ich... konferencyą!

VII. Konferencya i bal.

Dwa pokoje średniej wielkości natłoczone tak publicznością, iż literalnie zdawało się, że nikt już nie może pomieścić się więcej. Mimo to przybywa ciągle i ciągle, i wszyscy mieszczą się po kątach, wciskając pomiędzy zwarte szeregi, przelaząc przez estradkę, którą dla symetrii ustawiono pod główną ścianą drugiego pokoju. Tłum ten, przepelniający czytelną, ciągnie się aż do sieni domu — ba — na ulicę, gdzie zbija się w gromadki, w grupy oddzielone od siebie kilkoma krokami i całą przepaścią przesądów, plotek i nienawiści.

Polacy przeważają i łatwo ich odróżnić można po ubraniu, po kapeluszach filcowych, po wąsach mniej lub więcej starannie noszonych.

I choć to mają być głównie... internacyonalisci, jednakże te zewnętrzne cechy nacyonalne, kształtujące się wedle warunków środowiska, w której zrodziła się i przebywać ma dana jednostka, nie mogą się zetrzeć i zniszczyć z ciał stronników Stronńskiego.

Dużo jest tu także i zwykłych „ciekawych“, korzystających z niedzieli i okazji spędzenia, jako tako godzin kilku. — Ci mają już zawczasu miny rozczarowane i znudzone. W oczach niektórych zno-

wu przebłyskuje małpia złośliwość na myśl, że może konferencya zrobi fiasko. — Pomiedzy publicznością zwykle na dziesięciu widzów przypadają dwie złośliwe małpki, cztery osoby rozczarowane i znudzone, dwie obojętne, jedna w złym humorze lub mająca zbyt ciasne obuwie, a jedna interesująca się tem, co się dzieje, czy to na scenie, czy na estradzie.

W pierwszym pokoju — stoi niedaleko drzwi grupa mężczyzn w nocnych koszulach haftowanych w koguciki, laleczki i kwiatki. Wszyscy mają mniej więcej długie włosy, brody i odznaczają się olbrzymim zarostem. Kilka kobiet w barankowych czapczkach pomimo upału, w żakietach źle wyczyszczonych, bez rękawiczek — z czołami bardzo wypukłymi i z rożnymi marzącymi żrenicami pod jasnymi brwiami. Jedna z nich ma długą kosę prawie złotą opuszczoną na ramiona. — Usta tych dziewczyn są bardzo małe i niektóre pasowe, jak kwiat granatu.

Niektóre znów wargi mają dziwne charakterystyczne skrzywienie, właściwe nałogowym palaczom papierosów.

Od razu można poznać, że to są Moskale. I ci mają być... internacjonalisci, a przecież ta ich nadośność aż bije od nich, jak sztandar. I pomimo, że są niby pomiędzy „swymi“, oni stoją na uboczu, trzymają się zdala, jakby ciągle nieufni i dziecy.

Tymczasem Stroński, Sabkowski i kilku jeszcze gospodarzy czytelnici krzątają się, wprowadzając znaczniejszych gości, robiąc miejsce, wchodząc ciągle na estradę, aby poprawić serwetę, karafkę, szklanę. Pomimo, że jest zupełnie jeszcze widno, ale Sabkowski wydaje rozkaz zamknięcia żaluzji. Dwie duże lampy palą się u sufitu, oświetlając żółtawem światłem

zgrupowanych. Gorąco jest straszne. Przez uchylone szczeble okiennic wpada trochę świeżego powietrza i promienie dziennego światła. Siedząca koło okna grupa, zostaje dziwnie oświetlona. Jest tam Robert i Jules, synowie konsierżki i kilku ich przyjaciół robotników, odzianych po świątecznemu.

Stroński stoi w tej chwili na estradzie i niespokojnym wzrokiem przebiega całe zgromadzenie. Widocznie, iż ten tłum, sprowadzony za jego sprawą i aż huczący w tych ciasnych pokojach gwarem i rozmową, nie zaspakaja go zupełnie. Stroński jest dziś brzydszy, niż kiedykolwiek. Ubrał się i to „ubranie“ uwidocznia jego szpetotę. Biel gorsu wykrochmalonej wbrew modzie koszuli, czyni jego twarz prawie czarną. Surdut leży na nim dziwnie, jak sutanna na księdzu. Tylko oczy są fatalne, groźne i dziwne, po za błyszczącymi szybkami okularów. Stojąc na estradzie, Stroński ma w sobie coś z jakiegoś nienasyconego i wiecznie głodnego zwierzęcia. Głodny jest władzy, imponowania ludziom, przewodniczenia nad tym całym tłumem. Z pod okularów śledzi ciągle drzwi wchodowe. Nagle wyprostowuje się, wzrokiem szuka Sabkowskiego i wskazuje mu nieznacznie w kierunku wejścia. Przytem uśmiech rozjaśnia jego twarz, lecz nie jest to uśmiech, a raczej jakiś grymas, który odsłania zęby, olśniewająco białe i nienasycone jak u wilka.

Poczem Stroński schodzi z estrady i bardzo kurtuazyjnie kieruje się ku nowo przybyłym. Publiczność cała odwraca głowy i wszyscy patrzą ciekawie.

To Leon wszedł ze swoją „partią“ i w tej strasznej ciasnocie zmuszony jest zatrzymać się prawie na środku pokoju.

Przyszli wszyscy razem, aby przedstawić się pokażniej. Mężczyźni mieli poczyszczone palta i włosy starannie uczesane. Chodzik nawet zafryzowany był, jak baran. Kobiety ubrane były, mimo starań, skromnie. Czuli, że przedstawiają się nie dość pokąźnie i starali się mieć swobodne, ale dość obojętne, wyrazy twarzy.

Leon cokolwiek blady stał pośrodku swej gromadki. Obok niego znajdował się Zagórski, który ogromnymi barami swemi zdawał się poprostu sięgać niskiego sufitu. Z chęcią przystał na propozycję Leona i teraz wszedł, jakby już ktoś należący do partii, budząc ogólny podziw tem zmanifestowaniem swych przekonań. Nie było to jednak podejście ze strony Leona. Chcąc być w zgodzie ze swem sumieniem, — Leon już na wychodnem ostrzegł Zagórskiego.

— Może pan wejdzie sam do czytelnii.

— A to niby dlaczego, panie dziu?

— Dlatego, że powiedzą, iż... pan... z nami trzyma.

Zagórski wyprostował się i węża podkręcił.

— A no, to niech powiedzą — wyrzekł energicznie — cóż to mnie obchodzi? Ja zawsze, panie dziu, idę ze szlachetną młodzią. Chodźmy!

I poszli.

Teraz stoją naprzeciw Strońskiego, który wyciąga rękę ku Leonowi zimno, chłodno, lecz bardzo kurtuazyjnie. Mimo całych wysiłków, Leon nie może sprostac mu w tej krwi zimnej.

Sam — potrafi być nawet brutalnie chłodnym i rozkazującym — tu, wobec Strońskiego, który ma

nad nim dużą przewagę siły moralnej — chwieje się i wychodzi z równowagi.

Szczęściem — pojawienie się nowej grupy w progu, odwraca uwagę całego zgromadzenia od powitania dwóch leaderów partyjnych.

Ciekawe oczy zwracają się znów do drzwi wejściowych.

Leon korzysta z tej chwili i usuwa się wraz ze swoimi pod ścianę.

Stroński biegnie znów ku nowoprzybyłym. Lecz tych wita tak życzliwie, z takimi honorami, iż od razu można poznać, że to są właściwie główne figury zgromadzenia.

A przedstawiają się więcej, niż dziwacznie.

Są oni przeważnie nadzwyczaj wysokiego wzrostu.

Mają twarze tak odrębne, tak indywidualne, że ujrawszy raz każdego z nich, już go zapomnieć niepodobna.

Jeden z nich długi, wysoki, chudy — przypomina indyjskiego fakira. Profil jego dziwny, niepokojący, kościsty, wrzyna się w oko widza z bolesnym jakimś niepokojem. Na szpiczastym podbródku rośnie rzadka kępka włosów. Usta wąskie, bez warg, ciągle zagadkowo uśmiechnięte. Oczy małe, z opuszczonymi powiekami, jak oczy Budhy.

Cała postać, głowa, wyraz twarzy, tchną fatalną jakąś i straszliwą siłą. Pomimo kościstej budowy, ten człowiek ma ruchy miękiego, dobrze wytresowanego tygrysa.

Gdy wyciągnie rękę białą, anemiczną, o długich bardzo palcach, zdaje się, że zeskalpuje czaszkę i rozedrze serce...

— To — Tevenon! — szepeczą dokoła.

Leon wpatruje się z całą siłą w twarz Tevenon'a. Tyle o nim słyszał, tyle czytał. To anarchista-esteta, wykwinny przechowywacz bomb w szufladzie biurka, które posiada w samem ministerjum wojny. Jest bowiem urzędnikiem i kryje niszczące piekielne narzędzia w rządowym gmachu, doświadczając widocznie rzadkiej a subtelnej rozkoszy, gdy niesie pod peleryną swego płaszcza materiały eksplodujące do wywoskowanych biur ministerjum.

Obok niego bardzo piękny mężczyzna Leo de Taxa, słynny swemi ciągłymi deportacjami i przebywaniami w więzieniu św. Pelagii, wsparty na ramieniu młodzieńczego chłopca o niespokojnych ciemnych oczach. Chłopiec jest blady, wątlý, delikatny, mimo to, patrząc na niego, doznaje się uczucia grozy i przestachu. Ciemne jego oczy przebiegły zgromadzony tłum, zawisły chwilę nad głowami wszystkich, jakby piekielną nienawiścią do zbiorowej masy ludzkich ciał i cofnęły się znów po za ciężkie powieki.

To Henry Emilion i jego dziwne, ciemne, groźne oczy.

Po za nimi jest jeszcze kilku, cała grupa i trzy czy cztery kobiety.

Młode, ładne i bardzo estetyczne.

Włosy zaczesane głęboko na twarz, nadają im wyraz jakichś mistycznych dziewic, zdjętych z kart starych wyzłoconych mszałów. Suknie mają króć dziwny, fałdzisty, kryjące ciało jakby oponą. Jedna, siostrzenica Tevenon'a, młodziutka brunetka, z włosami przyciętymi, jak u średniowiecznego pazia, ma

na sobie czerwoną płomienną sukienkę. Trzyma za rękę młodzieuchną dziewczynkę, ubraną w żałobę.

— To córka Vaillant'a — mówi do Leona Wilhelminka.

— Ach tak! Vaillant'a, anarchisty, zgilotynowanego za to, że w Izbie deputowanych rzucił garnek pełen gwoździ i kawałków żelaza. Czarno ubrana dziewczynka obnosi teraz po świecie wspomnienie ojca, którego trup bezgłowy rzucono ziemi na pastwę, dopóki nie wykwitnie znów na promienie słońca, jak żdźbło młodej trawy i delikatne kwiaty polnych, cmentarnych stokroci. Jedna z tych kobiet jeszcze więcej średniowieczna i estetyczna, niż wszystkie, zwraca się do Strońskiego.

— Pan Arrucaud idzie za nami.

— Ach, dobrze, dobrze — mówi Stroński i biegnie ku wejściu.

Anarchiści-esteci przeciskają się do estrady i obsiadają bez ceremonii jej stopnie, zamieniając pomiędzy sobą rzadkie i znaczące spojrzenia.

Wszyscy chłoną ich wzrokiem.

Słowem, sukces zupełny, lecz sukces, który zamiast smucić Leona i jego partyę, zaczyna ich cieszyć i serca napawać błogą radością.

Wbrew bowiem pragnieniom Strońskiego, aby owa Czytelnia miała cechy powagi i rozumu z wejściem tych długowłosych i dziwacznych Snobów, roznoszących śmierć i zniszczenie w kieszeniach swych długich ewangelicznych szat — pomimo grozy, jaką oni siali ze sobą — jakieś technienie komizmu zapawało dokoła. — Ci „zaproszeni“, którzy mieli dodać blasku internacjonalistom, dodali im śmieszności, tak byli sami dziwaczni i komiczne strony ich ze-

wewnętrznej istoty gubiły rzeczywisty tragizm, jaki tkwił widocznie w ich oczach współprzymkniętych, w ich gestach, jakby sennych, w ich zamiarach, które płynąć zdawały się przed nimi, wyprzedzić ich samych i siać postrach i trwogę.

Obsiedli estradę, jak pajace, tak, że nawet czamarka Farbacha wydawała się szlachetną wobec tej poniekąd karykatury płonistych mniszych szat i pielgrzymich kapeluszy. Zgromadzeni patrzyli na nich, śmieli się, zamieniali żartobliwe uwagi.

Oni — siedzieli nieruchomi, usiłując przybrać pozy sfinksów, fakirów, saitskich bożków lub lilij. Każde z nich miało pobłażliwy i zagadkowy uśmiech na twarzy a powieki opuszczone. Czasem tylko panienka czerwono ubrana, znudzona rolą Androgyny, zerknęła na prawo i lewo a zwłaszcza ku grupie rosyjskich studentów, którzy bawili ją swoim wyglądem tak, jak ona bawiła innych swą pozą, uczesaniem i fałdami sukienki.

Farbach urągał prawie głośno tym przybyszom a Chodzik chrząkał znacząco do chichoczącej się po za jego plecami jednej z genewskich studentek. — Wilhelminka wygłosiwszy, iż anarchiści-esteci są bardzo „szykowni“, zgromiona wzrokiem Leona, zaczęła teraz w ironii dopomagać Farbachowi.

— Wynajęli ich dla dekoracyi! — mówił Farbach i Leon musiał nakazać mu milczenie, gdyż kilka osób słyszało te słowa i głowy zaczęły się ciekawie odwracać znów w stronę „narodowców“.

Najwięcej zdziwiony był Zagórski, który o istnieniu owych „nadmudzi“ — nie miał nawet wyobrażenia.

— Cóż to panie dziu — pytał otwierając szeroko oczy — maskarada, czy co?

Widocznem było również, iż anarchiści-esteci robią sobie rodzaj przechwarki z owej sieroty po zgilotynowanym Vaillancie. Posadzili ją pomiędzy sobą w najwidoczniejszym miejscu, pieścili ją i zajmowali się nią bezustannie.

Ona, już jakby przyzwyczajona do tego, że była „okazem“, miała minę osoby czującej ważność swej roli i grała ją doskonale, pawiać się w swej żalobnej sukience.

I było to dworowanie żalobie, strojenie się w sławę trupa — coś odrażającego — komedia, na którą tylko „wyrafinowane“ dusze zdobyć się mogą.

Stroński był zbyt inteligentny, aby natychmiast nie zdał sobie sprawy z obrotu, jaki przybiera nastroj publiczności. — Słyszał szmery, szepty, śmiechy. Widział, że zgromadzeni bawią się, jak w cyrku — spojrzał w stronę Leona i spojrzenia ich złe nieprzyjazne, nienawistne prawie skrzyżowały się, jak dwie szpady.

Lecz już na estradę wszedł Arrucaud i znów nowy zawód spotkał publiczność.

Oczekiwano płomiennego mowcę, o silnem porywającym spojrzeniu, o słowie energicznem, głośnem imponującym. Tymczasem na estradzie stał młody Francuz, różowy, okrągły brunecik, żwawy, wesół, więcej wyglądający na subiekta w jednym z wspaniałych magazynów, niż na agitatora i wojującego socyalistę.

Usiadł i mówić zaczął.

Przez chwilę Leon przeraził się, czy Arrucaud, który widocznie był przyzwyczajony do mówienia

publicznie, nie zdoła porwać za sobą słuchaczy. Słowa jego płynęły łatwo, jak rzeka — mówił swobodnie i z wielką swadą. Widocznie zgłębił przedmiot i Herzena znał o ile możności najdokładniej. Lecz to nie był „przekonany“ i dlatego nie przekonywał nikogo. Słowa jego płynęły po wierzchu umysłów, nie sięgając do głębi. Olbrzymia postać Herzena malała, schodziła do powszedności w ustach tego grzecznego pana. Herzen zrobił to i to — powiedział to i to — napisał tak... ale to były jakoś małe, drobne, nie doniosłe fakty. *Polarna gwiazda* świeciła tu, jak światło drugorzędnej wielkości. Ktoś musiał Arrucauda informować dokładnie i dawać mu notatki. Żadnych osobistych zapatrywań się Arrucauda nie było. W ten sposób Czytelnia nie angażowała się i nie wyrażała swych zapatrywań. Była to poprostu biografia sprytnie napisana i ułożona z kilkoma wycieczkami w stronę nacjonalizmu i szowinistycznych idei.

Powoli uwaga słuchaczy odbiegała i wszyscy interesowali się teraz, co robią anarchiści - esteci, jakie mają miny i jakie przybierają pozy. Poczem zwrócono się ku Leonowi i jego grupie. Uroda Wilhelmina wzbudzała ogólną uwagę i kapelusz jej podobał się powszechnie.

Tylko pod piecem moskale marszczyli brwi i zdawali się być niezadowoleni. Dla nich Herzen pozostał bożyszczem. Sądziło, że posłyszają apoteozę, a tymczasem zadowalniać się musieli zdawkową monetą.

Nie taili swego niezadowolenia.

Leon oczyma poszukał Strońskiego i znalazł go jak stał pod ścianą z rękami założonemi i bystro z poza okularów na publiczność patrzył. Wyraz zło-

ści i pogardy do roztargnienia słuchaczy malował się na jego twarzy. Widocznem było, iż drżał aż z chęci wypowiedzenia tym ludziom, co o nich myśli. Czasem spoglądał ze złością na estradę, gdzie różowy Arrucaud wesoło opowiadał w niemal humorystycznej formie treść dzieł Herzena — krwawą tragedję ludzkiej myśli dążącej do słońca, do swobody, do zerwania raniących pęt. I Leon przypomniał sobie, jakiego doznał wrażenia, gdy po raz pierwszy Grzegorzewski dał mu do czytania „Rozwój idei rewolucyjnych w Rosyi“.

Przypomniał sobie zimny pokój w hotelu, noc nieprzespaną — myśl Herzena, wnikać w jego duszę — wizje szubienicy z trupami kołyszącymi się w przestrzeni.

Jaka to wielka była chwila... jakie to święte poznanie i połączenie się z duchem tamtego o szarym świecie, który powstawał powoli przed oczyma jego ciała i duszy.

I teraz — zrozumiał Leon, że — o wielkich duchach i o wielkich ideałach — „konferencyi“ poobiednich miewać nie można. Bo te duchy i te idee to stronią od zebrzań tłumnych, gdzie tyle głupoty, śmieszności, pychy, samolubstwa rozwija się jak kłosał pośród łanów zboża.

Myśl takiego Herzena zapukać tylko może do drzwi ludzi „samotnych“, takich, którzy wśród wieczornej ciszy trawia się pożarem pragnień wielkich, świętych oswobodzeń, ofiarnych wyzwoleń z wiekowych kajdan — i którzy wśród tej ciszy słyszą jęk uciśnionych dalekich a bliskich... bliskich...

Gdy Arrucaud skończył, nagrodzono go zdawkową monetą oklasków, lecz widocznem było, iż każdy z widzów spieszył, aby jak najprędzej opuścić salę czytelną i wydostać się na ulicę. Niektórzy oglądali się jeszcze za anarchistami, lecz i ci stracili już atrakcyjną siłę i przestali być nowością. Więcej zwracano się ku Leonowi, który w gorącu nabrał rumieńców i z oczyma błyszczącemi zadowoleniem, był rzeczywiście bardzo pięknym i bardzo klasycznym zjawiskiem. Obok niego czarnowłosa Wilhelmina, strojna i szykowna, promieniała cała. Zagórski nie czując nawet, jak ważną w tej chwili odgrywał rolę, prostował się i przybierał marsową postawę. Partya „narodowców“ brała górę i ciągnęła ku sobie magnetycznie wszystkie oczy. Mieli w sobie wielki wdzięk sentymentu, który wywiera zawsze urok większy na masy, niż suchy i logiczny rozsądek. Dokoła nich była aureola egzaltacji, poświęceń, wielkiej ofiarnej miłości, kto wie — może turmy męczennictwa... Patrząc na nich, mimowoli widziało się ich ręce skute kajdanami, a ich samych pomiędzy żandarmami, wiezionymi może w dal śnieżną. Takie cienie za nimi chodziły, cienie skute, łzawe, dręczone i te cienie zasłaniały rzeczywistość.

Międzynarodowcy szarżeli, bledli, nie mieli żadnej aureoli — byli, ot — niczem ze swoim rozumem i... trzeźwością. Tłum odwracał się od ich zwyczajnych, upartych, śmiałych, a inteligentnych twarzy. Stroński był brzydki i to mu szkodziło w oczach tłumu. — Przytem gnębił ich ten wzrok przenikliwy, bystry, zimny, jakim patrzył się na wszystkich. Woleli oczy Leona, który po za silnemi błyska-

mi miał jeszcze w sobie rozmarzenie szlachetnego utopisty.

Stroński odczuł wybornie to oddalenie się od niego, od nich — tłumu. — Podziękowawszy Arrucaudowi, zbiegł szybko z estrady i wmieszał się ze swymi satelitami pomiędzy publiczność. Chciał uratować sytuację — narzucić swe przekonanie, lecz teren usuwał mu się z pod stóp. Stracił na razie głowę i chcąc bądź co bądź salwować to pierwsze wystąpienie czytelną, zwrócił się ku — Leonowi.

— Jakże? cóż? — zapytał, popełniając ten błąd z niepojętym u niego brakiem przytomności umysłu.

Leon zdziwiony, nie umiał znów skorzystać z sytuacji, aby stać się wspaniałomyślnym i przegranej w oczy Strońskiemu nie ciskać.

— Sądzę — wyrzekł dość głośno — iż to wszystko, co Arrucaud mówił, jest płytkie, banalne i darujcie... nieporównaj.

Stroński wargi przygryzł i natychmiast ironicznie odrzucił.

— Och! to nie scena, ani kazalnica, aby ludzi „porwać“ — tu chodzi o poważniejszą stronę, niż sentymenta.

— Darujcie! — wyrzekł Leon — i poważniejszej strony nie dostrzegłem... Arrucaud nie pogłębił przedmiotu.

Stroński zaczął zupełnie tracić głowę, w miarę tego Leon nabierał siły, godności i silnie przeważał szalę na swoją stronę.

— Oh! to tylko próba — zaczął znów Stroński — my to urządzimy inaczej. Pragniemy, aby wszyscy mogli u nas głos zabierać. Mamy bardzo

szerokie poglądy. Nie zamykamy się w ciasnocie partyjnych przekonań... Jeżeli chcecie, urządzimy z wami konferencyę *contradictoire* *). Zabierzcie głos, estrada dla was otwarta...

Kurtuazyjnie wskazywał w stronę opróżnionej estradki. Twarz jego, pomimo zapraszającego tonu głosu, miała wyraz chytry i okrutny. Zdawało się, że to wilk zaprasza w gościnę upatrzoną ofiarę, aby ją potem zgruchotać, mszcząc się za urojoną znieprawę.

Dokoła ociągano się z wyjściem, słuchając skwapliwie rozmowy tych dwóch leaderów, którzy obecnie na Glacierre zabrali tak imponujące stanowisko.

Leon chwilę popatrzył prosto w oczy Strońskiego i aż przeraził się, tyle w nich dostrzegł ku sobie nienawiści.

— Dziękuję wam — odparł, siłąc się na obojętność — gdybym uznawał pożyteczność tych konferencyj, urządzałbym je u siebie — ale żdam od was, że to jest tylko strata czasu... a ja i moi mamy coś ważniejszego do czynienia, jak bawić się... darujcie... ale w przelewaniu z pustego w próżne...

I skłoniwszy się Strońskiemu, wyszedł wraz ze „swoimi“, pozostawiając prezesa czytelnik i jego satelitów na środku sali.

Stroński potoczył wzrokiem dokoła i dostrzegł na ustach otaczających go osób wiele ironii...

*) Konferencya, na której wolno każdemu zapisać się do głosu, oponować mówcy i wchodzić z nim w dyskusję.

Wyprostował się, odzyskał natychmiast zimną krew, przybrał na twarz maskę inteligentnego i wyższego człowieka, lecz wzrok, jaki posłał w ślad za odchodzącymi „narodowcami“, nie im dobrego na przyszłość nie wróżył.

W kilka tygodni później kolonia zawrzała znów jak w ulu.

Rozesłano zawiadomienie, że na dochód utrzymania grobów wychodźców polskich, które zwłaszcza na cmentarzu Montmartre domagają się naprawy i podtrzymania, odbędzie się przy ulicy Turgot w sali Moulin de la Villette uroczysty wieczór muzyczno-wokalnio-deklamacyjny w połączeniu z teatrem amatorskim.

Poczem — nastąpią tańce.

Od balu „Zgody“, stowarzyszenia studentów, nie tańczono jeszcze w kolonii. Panny-studentki aż zadygotały z radości na myśl, że między jedną a drugą sekcją wytańczą się do woli. Mężczyźni sceptyczniej zapatrywali się na tę sprawę. Wchodziły tu w grę tużurki, fraki, a potem — owo nieśmiertelne pytanie: Która to partya urządza ten wieczór? — Stowarzyszenie bowiem „Zgody“ było w niezgodzie z „Łącznością“, która pod żadnym pozorem nigdy i w niczem z „Zgodą“ łączyć się nie chciała. Oba zaś te stowarzyszenia były otwartymi wrogami towarzystwa „Jedności“, które to stowarzyszenie szło samopas, szło niezmiernie hardo i posiadało żelazny fundusz w kwocie siedmdziesięciu trzech franków i bibliotekę, złożoną z dwudziestu sześciu tomów.

„Łączność“ zatem „Zgoda“ i „Jedność“ były w ciągłej walce, obecnie już otwartej, uprawiając na

szeroką skalę pantoflową pocztę, którą pełniły przeważnie studentki, mając do pomocy kilku kolegów-studentów, oddających się sportowi rozszerzania plotek z prawdziwego i czystego zamilowania. Plotkowano więc z rozkoszą wszędzie, gdzie się dało — w Sorbonie, w Salpetrierze, w Maternité, na kurytarzach szpitalnych, w laboratoriach, w amfiteatrze i nieśmiertelne owe „koleżanka Rosenduft” powiedziała o koleżance Rosenblatt i t. d.“ — codziennie słyszeć się dawało, szeptane na rozmaite tony.

Łatwo więc było zrozumieć, że członkowie i członkinie tych wrogich sobie stowarzyszeń, które, prawdę mówiąc, powstały jedynie z odszczepieństwa niektórych członków dawno wygasłego i utlamszonego plotkami stowarzyszenia „Braterstwa“, nie mogli przybyć na wezwanie swych wrogów. Żądza jednak zabawy była olbrzymia. — Warszawianki przeniesione na bruk paryski, gdzie bawią się tylko albo w wysokiej arystokracji, albo... w podejrzanych kołach publicznych bali Bulliera i Moulin'u Rouge'u omdlewały na wspomnienie wesołych karnawałów, jakie spędzały w smutnym i pozbawionym wolności kraju rodzinnym.

To roztańczone cmentarzysko, jakim jest w chwili karnawału Polska, kołatało i po tej Glacierre wspomnieniem rozgrzechotanych flirtów i oberwanych pod obcasami falban u sukien. Z całą więc radością przyjęto do wiadomości, iż ową „zabawę“ urządza stronnictwo narodowo-socjalistyczne. Czytać ich wydawnictwa, zbadać cel ich pracy, dążeń — to było niemożliwe. Same słowa na czele hejnału wypisane „Organ socjalistyczno-narodowej partji“ odstraszał wszystkich. Wyraz „socya-

lizm“ działał tu, jak strach na wróble. Ale „zabawa“ — mój Boże!... to co innego — to rozgrzeszało sumienie. Przytem... cel — te groby zaniedbane na Montmartre! Przecież to cel wzniosły i bynajmniej nie socyalistyczny. Każdy mógł nadziać surdut i iść bić hołupce, każda mogła wyciągnąć z kufra balową sukienkę warszawską i biegnąć z gorliwością godną lepszej sprawy tańczyć do upadłego.

Tymczasem Wilhelmina, Jaskulska, dwie studentki z Genewy, Farbach, Chodziki zaczęły przygotowania do balu i przede wszystkim rozpoczęła się teraz serya posiedzeń komitetowych, narad, wybierania komisji i t. d. Studentki przestały uczęszczać na wykłady, Wilhelmina zapomniała o kupowaniu fiolków, a Jaskulska zdarła drugą parę trzewików, tyle miała biegania po całej Glacierre z opowiadaniem tego, co ma się stać i co już się stało. Jeden Władek zachowywał się odpornie, w ciągłej walce z Chodzikiem, który coraz częściej go za drzwi wynosił, rozpanaszając się coraz więcej w mieszkaniu Leona.

Doszło do tego, że Leon dniami całymi nie zaglądał do swego pokoju. Dym, śmiecie zalegały kąty. Raz powróciwszy wieczorem, cofnął się od progu. W pokoju — oświetlonym kilkoma świecami wętkniętymi w butelki, siedziało na ziemi, na łóżku, na siennikach kilkunastu mężczyzn. Palili, pili herbatę i śmieli się głośno. Pomiędzy nimi Farbach czynił honory domu i częstował swych gości chlebem i kawałkami cuchnącego sera. Na sienniku leżał Chodziki i wyl przeraźliwym głosem: „Ujrzałem raz!“

Leon, który miał pilny artykuł do wykończenia i obiecywał sobie, że spędzi cały wieczór na pisaniu, rozgniewał się na dobre.

— Proszę was na chwilę — zawołał do Farbacha i cofnął się do sieni.

Farbach wybiegł za nim rozpromieniony.

— Co to są za ludzie? — spytał Leon, brwi marszcząc.

— To są bardzo porządni ludzie — odparł Farbach — to są londyńczycy. Oni przyjechali zwiedzić Paryż. Ja się z nimi poznałem w Luwrze.

— Z jakiej są partyi? Ja ich nie znam!

— Oni do żadnej partyi jeszcze nie należą, ale ja ich do nas zwerbuję.

Leon aż nogą tupnął, taka złość w nim wezbrała.

— Nie potrzeba. Po ulicach będziecie teraz chodzić i werbować nam Bóg wie, kogo! Co to są za maniery? To dobre dla pana Strońskiego, a nie dla mnie! W tej chwili wyprosić ich z mieszkania.

Farbach aż za głowę się złapał.

— Co! jak? — wrzasnął. — Mam ich wyprasać, moich gości, z mego fixu?... Nigdy!

I majestatycznie zapiąwszy czamarkę, wszedł do pokoju, zamykając przed nosem drzwi Leonowi. Leon powstał chwilę i wreszcie zeszedł ze schodów.

Miał ochotę wejść, rozpędzić tę całą bandę razem z Farbachem i Chodzikiem, oczyścić swe mieszkanie, i pozostać sam jeden z myślami swemi. Lecz coś go krępowało, uczynić tego nie śmiał.

Późno już było, nie mógł iść do Wilhelminki, a nawet gdyby mógł...

Serce ścisnęło mu się gwałtownie.

Był narzeczoną, to prawda, lecz jakże mało upajające były chwile jego narzeczeństwa. Gdy byli sami, Wilhelmina pozwalała mu na pewną poufałość,

chętnie podawała usta do pocałunku, wyzywała niejako nawet te pocałunki.

Lecz marzycielska i wrażliwa natura Leona czuła, iż w tych pieszczotach gra rolę jakąś niewyraźna i trochę przez grzeczność udawana zmysłowość, prawdziwych porывów serca tam nie było.

— Czy ona mnie kocha? — powstało w jego umyśle niespokojne pytanie.

Zaręczyła się przecież ze mną.

— Tak, ale zaręczyła się także i z Grzegorzewskim, a przecież sama powiedziała, że go nie kochała.

I Leon tak chodząc nocą po tej Glacierre, która teraz była czarna od ciszy i snu ludzi, uczył się strasznie nieszczęśliwym, samotnym i zgnębionym.

A przecież miał na pozór wszystko!

Był na czele „partyi“ — pracował dla kraju, miał środki działania, wolność słowa i pióra a w dodatku kobieta, którą tak bardzo kochał, godziła się pozostać z nim przez całe życie.

Więc o cóż mu szło i dlaczego serce w nim rwało się jakąś bezbrzeżną szaloną tęsknotą? W powietrzu dawała się już czuć jesień i wilgoć rozpłaszczała się jakby płynąc od świeżych mogił, które deszcz ulewny zrosił.

— To.. nostalgia! szepnął i ręką uczynił gest, jakby chciał odepchnąć od siebie nieproszonego gościa, który się doń przybliżał.

Lecz to było napróżno. Nostalgia za krajem rodzinnym, to straszna choroba, na którą nie ma lekarstwa! Przyjdzie ona nagle wśród powodzeń i tryumfów największych — wśród radości i szczęścia. Przyniesie ją co bądź, powiew wiosennego wiatru,

przeciągły jęk katarynki, grającej gdzieś na dziesiątem podwórzu, albo — trochę śniegu, zbliżająca się Wigilia, zeschłe liście jesiennej doby, lub dzień imienin, w którym nikt nie poda kwiatka — nikt nie „powinszuje“...

I wtedy marzy, tęskni, wyciąga się ze skrytek pamięci wspomnienia, choćby najsmutniejsze. i błąka się w ciszy obcego miasta, jak w tej chwili błądzi Leon po flizach Glacjery, wlokąc za sobą, jak welon żalobny — nostalgię za krajem!

VIII. Jabłońska. — Zabawa. — Pijaństwo Chodzika. — Awantura na balu.

Gdy Leon dnia tego powrócił wreszcie do domu, zastał Chodzika, leżącego na sienniku z otwartymi oczami.

— Czekalem na was! — wyrzekł tajemniczo i kiwnął palcem, przywołując do siebie Leona.

— Cóż mi powiecie? — zapytał Leon niechętnie.

— Pst!... cicho!... Czy żydziak śpi?

Leon spojrział na Farbacha, który spał z otwartymi ustami, chudy, blady — podobny do trupa.

— Farbach śpi! — i Leon zbliżył się do siennika Chodzika.

Ten usiadł i zaczął coś z pod palta, które mu służyło za poduszkę, wyciągać.

— Macie! — wyrzekł wreszcie, podając mu trochę chleba i zgniecionego sera — schowałem to dla was... a to, cała ta hołota byłaby wszystko rozdrapała i zjadła... Powiadam wam, był tu sądny dzień Herbatę gotowali ze cztery godziny. Litry spirytusu wypalili... Słowo honoru!

Pociągnął ku sobie Leona za rękaw.

— Same żydy były... jak Boga kocham!... Czy to nie arogant ten Farbach, żeby sobie u nas urzą-

dzać żydowskie fiksy? Powąchajcie tylko, jak tu nadymione... A co oni gadali, żebyśmy chciał plotki robić... no!...

Widocznem było, iż te „plotki“ aż go dławią, lecz Leon przerwał mu rozkazującym gestem.

— Proszę was, nie powtarzajcie mi nie, to złe z waszej strony. Jeżeli ci ludzie mówili coś przeciwnego waszym przekonaniom należało wstać i wyjść...

— A co to, to nie — zaprotestował Chodzik — ja się nigdy nie ustępowałem nikomu, tembardziej z własnego domu. Zresztą — jak chcecie, ale ja wam radzę pozbyć się tego Farbacha za jaką bądź cenę... To leń, próżniak, a potem chytrość mu aż z oczu patrzy! Ja bym go tu nie trzymał...

— Pozwólcie — odparł Leon — to już moja rzecz, kogo ja chcę mieć u siebie a kogo nie...

Chodzik widocznie uczył się tem dotknięty.

— Naturalnie... — odparł — ale powinniście mieć trochę względów i dla mnie. Widzicie przecież, iż mnie jest niemiło mieszkać z żydem w jednym pokoju!

Leon nie mógł się powstrzymać od ironicznej uwagi.

— Ha... cóż chcecie — na antysemityzm mogą sobie pozwolić ludzie bogaci — to zbytek. My zaś musimy pozostać filosemitami!

Chodzik wydał wargi.

— Nikt nas do tego nie zmusza! — odparł układając się do snu.

— Przekonania!

— Ech!... To dobre na zewnątrz, ale w domu to się inaczej urządza, według własnej woli i chęci.

— To się urządza! Ja wam nie przeszkadzam...

Lecz odpowiedzi nie było.

Chodzik obrócony do ściany, udawał, że nagle zasnął. Widocznem jednak było po wyrazie jego twarzy, iż ostatnie słowa Leona rozumiał i pomimo zupełnego zdaje się zaniku ambicji odczuł ich znaczenie.

Następne dni zeszły Leonowi na ciągłych naradach z „komitetem“ nad urządzeniem balu. Wilhelminka zajęła się głównie urządzeniem przedstawienia i koncertu. Biegała, jeździła i całe dnie nie była obecną na wykładach i w szpitalu. Musiano jednakże zaniechać grania jakiejkolwiek sztuki dla braku „mężczyzn“ utalentowanych, gdyż dam, grających komedię (od urodzenia) nie braknie nigdy na świecie. Skończyło się więc na koncercie i żywych obrazach, według Grottgera.

Leon musiał uciekać się znów do pomocy pułkownika, gdyż właściciel sali zażądał całej zapłaty z góry, nie dowierzając widocznie tej „kolonii polskiej“ w wytartych paltach i bez „cylindrów“ na głowach.

— Szkoda, że nie mamy jakiego śpiewaka! — mówiła Wilhelminka podczas jednej z narad komitetu — kolega Chodzik wprowadźcie ma śpiewać pieśni Galla i Kratzera, ale zdalby się jeszcze kto inny.

— „Kolega Chodzik“ — wydymał piersi i chrząknął znacząco. Jemu zdawało się, iż on zdoła zastąpić wszystkich śpiewaków na świecie. Lecz komitet był innego zdania.

— Trzeba koniecznie kogoś fachowego... — powtarzała zakłopotana Wilhelminka.

Leon przypomniał sobie nagle Jabłońską. Był przekonany, że jeśli tylko aktorka znajduje się jeszcze w Paryżu — nie odmówi z pewnością swego współudziału.

Oznajmił o tem komitetowi i zawiadomił, że dziś jeszcze pójdzie poprosić pannę Jabłońską o przyjęcie udziału w koncercie.

Lecz ku wielkiemu jego zdziwieniu Wilhelminka położyła veto.

— Pan nie pójdiesz sam — wyrzekła rozkazującym tonem.

Leon spojrzał na nią zdziwiony.

Miała brwi chmurnie ściągnięte, lecz jakiś dziwny uśmieszek igrał dookoła jej ust różowych.

— Dlaczego?

Komitet wtajemniczony już w części w owe „zaręczyny“ — tych dwojga, zaczął pomiędzy sobą wymieniać znaczące spojrzenia.

Lecz Wilhelminka wybrnęła zwycięsko z sytuacji, która zaczynała być dla niej cokolwiek ryzykowna i śmieszna.

— Dlatego — odparła spokojnie, bawiąc się łańcuszkiem od zegarka — że gdy panna Jabłońska dowie się, iż w Komitecie zasiadały głównie kobiety, a proszoną została przez mężczyznę, gotowa się obrazić i odmówić współudziału.

Leon zaprotestował.

— O! panna Jabłońska jest bardzo prostą i nieskomplikowaną osobką. Ona chętnie będzie śpiewała czy w ten, czy w inny sposób proszona...

— Być może — sucho odparła Wilhelminka — ja jednak odpowiadam za taki nietakt komitetu i nie chcę, aby go spełniono. — Ja z panem pojadę dziś jeszcze do tej artystki.

— Pani ma dziś dyżur w Maternité — przypomniała Jaskulska.

Wilhelminka aż zaczerwieniła się ze złości.

— Daruje pani — wyrzekła z wyższością — ja wiem, co mam czynić. Są sprawy ważniejsze od dyżurów w Maternité...

Zapanowało niemiłe milczenie. To wystąpienie arbitralne zazdrosnej panny napelniło wszystkich niesmakiem. Leon zamiast czuć się dumnym z okazanej tak jawnie przez Wilhelminkę niewiary i zazdrości — uczuł się upokorzonym i dziwnie dotkniętym. W dodatku spotkał się z pytającym wzrokiem Mazi i milczeniem swoim niejako potwierdził pytanie w wzroku tym zawarte.

Mazia przeniosła powoli oczy na Wilhelminkę, poszukała wzrokiem na jej ręku złotego łańcuszka i zrozumiała. Straszny wyrzut zamigotał w źrenicach dziewczyny. To zapomnienie Grzegorzewskiego, tak szybkie, tak lekkomyślne, przejęło jej serce głębokim uczuciem smutku i odrazy do Wilhelminki. — O ileż byłaby wolą zastać tę wybraną, tę szczęśliwą na mogile zmarłego, spłakaną i stęsknioną! I tak było piękne to serce Mazi, iż nawet nie radowała się, że teraz ona je d n a pamięta o zmarłym i ma tę mogilę na wyłączną swą własność.

Około godziny czwartej po południu Leon i Wilhelminka pojechali omnibusem na bulwar Bati-gnolles, oboje jacyś nie swoi, skrzepowani i milczący.

W hotelu konsierżka powiedziała im, że Jabłońska jest u siebie. Wchodząc na schody, słyszeli przejmujący głos sopranowy śpiewający gammy.

Wilhelminka coraz więcej rozgoryczona i nieprzychylnie usposobiona, skrzywiła się, stając pode drzwiami.

— Nie śpiewa a wyje! — odezwała się pół głosem, tracąc swój takt i wykwintny sposób wyrażania się.

Niemniej jednak, gdy za chwilę znalazła się w obecności śpiewaczki, nie umiała dobrać słów, aby zachwycić się dźwiękiem głosu posłyszanego przed chwilą.

— Pani musi nam dać jałmużnę, tego srebra, — mówiła z czarującym uśmiechem, który mroził krew w żyłach Leona — przychodzimy w imieniu naszych wielkich zmarłych... pani nie ma prawa odmówić!

Aktorka, cała różowa z radości, kłaniała się skromnie, wymawiając się brakiem skończonych studyów, lecz widocznem było, iż przybycie Wilhelminki i ta prośba studentki, tak pochlebnie sformułowana, robi jej wielką przyjemność.

Leon stał pomiędzy nimi, słuchał ich słów, patrzył na ich miny i nie wiedział teraz, która z nich była lepszą aktorką.

Czy ta, co grywała naprawdę na scenie, czy ta, która nie wychodząc nigdy przed kinkiety, grała widocznie w tej chwili komedję uprzejmości, po za którą kryła się ta dziwna „nienawiść“, jaką czują niemal wszystkie kobiety-kokietki do kobiet-artystek. Jest to rodzaj *jalousie de metier* i Wilhelminka ule-

gała jej widocznie pomimo rodzaju pogardy, jaką odczuwała również zwyczajem kobiet dla aktorki.

I bezstronnie patrząc, Leon przyznać musiał, że Wilhelminka była lepszą aktorką, niż Jabłońska. Ta ostatnia bowiem nie umiała ukryć swej radości i zmieszania.

Niezręcznie zapraszała nowo-przybyłych, aby usiedli i szybko otwierała bombonierkę z cukierkami, podsuwając ją Wilhelmince. Ruchy jej całe, koloryt twarzy, wskazywał, jak bardzo rada była zaproszeniu, pomimo, że instynkt, każący jej grać już rolę artystki, kapryśnej w wyborze areny popisów, nakazywał jej ukrywać tę radość.

Wilhelminka natomiast doskonale grzeczna, impertynencko uprzejma, chłodna była i panią siebie zupełnie. Tylko jej oczy przebiegały kąty pokoju — zatrzymywały się na fotografiach, na drobiazgach, porostawianych dokoła, na łóżku, zasłanem z pewnym szykiem, elegancją — wykoronkowaną pościelą.

I w miarę uprzejmości aktorki, rosła jakaś arogancja studentki, która z pewną ironią odsunawszy pudełko z cukierkami, przyglądała się Jabłońskiej z pod zmrużonych powiek.

— Pani dawno zna pana Leona? — pytała Wilhelminka.

— O!... dawno... jeszcze w kraju... — odparła Jabłońska i zarumieniła się gwałtownie, przestraszona wspomnieniem granicy, przepustki, podejścia policmajstra... tysiącem drobiazgów, łączących się w jej umyśle z poznaniem Orlickiego.

— A... tak... jeszcze w kraju... — powtórzyła Wilhelminka — pewnie za kulisami?

— Tak... za kulisami! — powtórzyła prawie machinalnie Jabłońska, patrząc na Leona.

On uczył wybornie ironiczny ton w owym „za kulisami“ Wilhelminki, zrozumiał brzydką intencję i zabolalo go serce za sponiewieranie ładnego wspomnienia wielkiej i siostrzanej dla niego dobroci Jabłońskiej.

— Poznałem panią w bardzo ciężkich dla mnie okolicznościach... — odparł z przyciskiem — pani była dla mnie bardzo, bardzo dobrą.

— Czy ocaliła panu życie? — roześmiała się Wilhelminka.

— Prawie... — wyrzekł surowo Leon i spojrzawszy na swą narzeczoną, zdziwił się, że mu wydała się po raz pierwszy nie tak ładną — jak zwykle.

Powoli przeniósł wzrok na Jabłońską i ze zdziwieniem dostrzegł, że aktorka była prościej i szczerzej ładna, niż studentka. Włosy uczesane gładko, twarz bez pudru i różu — prosty, zwyczajny flanelowy, błękitny szlafroczek. Wilhelminka sztuczna, nastrzępiona piórami kapelusza i boa, silnie upudrowana, z rodzajem delikatnych zmarszczek naokoło oczów...

Teraz obie kobiety rozmawiały o koncercie i Jabłońska, oswoiwszy się, dawała Wilhelmince bardzo praktyczne rady co do ułożenia programu. Podjęła się także sprowadzenia akompaniatora, co znacznie uproszczało sytuację.

Po chwili Wilhelminka podniosła się i z wielką niedyskrecją zaczęła przyglądać się stojącym na pianinie fotografiom. Przedstawiały one niemal wszystkie owego „stryja“ w rozmaitych pozach — w fu-

trze, bez futra — z laską, bez laski — w jednej rękawiczce, w dwóch rękawiczkach. Pomiędzy fotografiami stały jakieś cała banalne, skupowane po bazarach, bez śladu artystycznego — wytwornego smaku.

Z wielką pompą i szykiem siedziała na samym środku duża lalka, ubrana w modną, różową sukienkę. Wyciągała grube rączki i miała przekrzywioną na bok, strojną w złote loki, głowę.

— Pani ma lalkę?... — zdziwiła się Wilhelminka.

Aktorka śmiać się zaczęła.

— Tak... to moja mascotte... mam ją już czwarty rok... Pani nie wie? U nas w teatrze każda z nas ma lalkę i ta jej szczęście przynosi. Ja wzięłam moją do Paryża. Przewiozłam ją przez granicę bez paszportu. Powiedziałam to panom żandarmom, tak się śmiali...

Wilhelminka zatrzymała się nagle zdziwiona.

— Cóż to znaczy? — spytała.

Lalka trzymała w jednej z rączek kawałek cierniowej gałązki.

— Dlaczego lalka pani ma w ręku ciernie?...

Twarz Jabłońskiej powlokła się smutkiem i śmiejące oczy przygasły.

— To... z waszego pogrzebu... Jak nieślicie wieniec za trumną pana Grzegorzewskiego, to odpadały gałązki cierniowe. Ja wzięłam jedną na pamiątkę... Założyłam ją lalce na rączkę, bo mi w ten sposób nie zginie... Ja bardzo żałuję, że nie widziałam za życia tego Grzegorzewskiego. Przeczytałam sobie w „Hejnale“ jego biografię i formalnie zakochałam się w nim... Co to za wspaniały człowiek...

— Pani ma „Hejnał”? — spytała Wilhelmina.

— Tak! tak! — zaczęła skwapliwie Jabłońska.

— Pan Leon mi widocznie przysłał, bo ja nie zaprenumerowałam... ale ja zaprenumeruję... I czytam, wszystko. Okropnie mnie to zajmuje. Czasem się aż spłaczę, takie cudne tam są rzeczy... Czasem spać nie mogę całą noc, tak mnie to weźmie...

I ręką wskazywała na stolik, stojący koło łóżka, na którym porządnie poukładane leżały wszystkie numery „Hejnału”, przyciśnięte jakimś brązowym djabłem, na którego zakręconym ogonie kołysał się motyl.

— Co pani chce? — mówiła dalej Jabłońska — na nas, gdy przyjedziemy z Królestwa, takie rzeczy robią okropne wrażenie. W Krakowie, gdy posłyszałam jak zagrali „Boże coś Polskę”, rozplakałam się jak dziecko. A pani z Warszawy?

Lecz Wilhelmina nie uznała za stosowne odpowiedzieć na to pytanie. Od kilku chwil złem, chmurnym spojrzeniem mierzyła Leona. On to czuł i niepokój zaczął mu szarpać serce. Czy źle robił, wpisawszy na listę odbiorców nazwisko Jabłońskiej? Wszakże za owe pieniądze, które dała na pogrzeb Grzegorzewskiego, należała się jej jakaś grzeczność.

Gdy wyszli na Bulwar, Wilhelmina szła chwilę mileżąca i nachmurzona. Przed niemi powoli zapalały się już gazowe latarnie i kawiarnie zapępniały się gośćmi, pijącymi przedobiedni absynt.

Jakiś smutek, tęsknota snuła się wśród ludzi, jakby bliski cmentarz nawoływał do grobu, do mogiły, do śmierci...

Och, to wieczne wspomnienie grobu, jak ono się duszy ludzkiej czepia... jak czepia!

Napadło teraz Leona w całej pełni i schwyciło go w szpony, a on szedł obok szeleszczącej podszewką sukni Wilhelminy i zdawało mu się, że idzie na jakiś pogrzeb, że trumna czeka otwarta tylko na niego, aby się wiekiem przymknąć na zawsze.

I nagle Wilhelmina przemówiła, a głos jej brzmiał teraz wielką ironią:

— Nie wiedziałam, że tak bliskie stosunki wiążą pana z tą panią...

Leon idąc, przymknął oczy tak jak ktoś widzący przed sobą cały rów pełen błota, w który jednak wejść musi.

Ona, nie czekała na jego odpowiedź.

— Gdybym wiedziała całą prawdę... — mówiła dalej — nigdy nie poszłabym do takiej kobiety. Mogę mieć tylko żal do pana, iż przymusiłeś mnie do podobnego skompromitowania się!

Leon czuł, iż musi mówić, powinien mówić, lecz ciężko mu było nad wyraz.

— Ja... ja panią zmusiłem? — wyrzekł w pół senny.

— Tak... nie słowami, ale postępkami swoim. Widząc, jak panu na tem zależy, aby być u tej pani, musiałam dla ochrony się przed śmiesznością w oczach całej kolonii udać, iż nie tylko aprobuję tę panią w programie koncertu, ale nawet sama ją o to proszę... Przeczuwałam bowiem, co się święci... Przeczuwałam, że to jakaś dawna, dobra, zakulisowa znajomość...

Leon nie poznawał Wilhelmini; ten ton, te słowa, ten brak taktu były tak różne od grzecznych manier pięknej panny. Mileczał teraz, nie znajdując słów w odpowiedzi. Nie czuł się bowiem obrażonym,

ale smutnym, zgnębionym — podobnem postępowaniem.

— Dlaczego pan nie nie mówisz? — krzyknęła prawie Wilhelmina, rozdrażniona tem mileżeniem do żywego.

Leon wzruszył ramionami.

— Cóż mam odpowiedzieć? — zaczął powoli. — Zarzuty pani są niesprawiedliwe. Znam pannę Jabłońską dawno, to prawda; ale — znam tak mało! Wyświadczyła mi wielką przysługę. Potem widziałem ją raz tylko, w dzień śmierci Grzegorzewskiego... Także i wtedy oddała mi przysługę...

— Jaką? jaką?

Leon wyprostował się dumnie.

— Daruje pani — wyrzekł — ale to już moja tajemnica.

— I... tej panny?

— Być może. W każdym razie nie mam prawa jej zdradzać.

Wilhelminka zatrzymała się na środku Bulwaru. Nadeszli właśnie na róg placu Blanche. Przed niemi zapaliły się w jednej chwili olbrzymie skrzydła wiatraku, stanowiące perystyl Moulin Rouge'u. Purpurowe światła zaczęły powoli kręcić się w przestrzeni. Resztki dziennego blasku walczyły z tem jaszkrawem oświetleniem. Na jego tle stojąca Wilhelminka wydała się Leonowi jakąś inną, złą, nieznana kobietą.

— Pan nie masz prawa powiedzieć mi prawdy? — zaczęła syczącym głosem — to dziwne... ale ja mam prawo zapytać pana o nią.

Leon zapragnął za całą cenę trochę spokoju. Wyciągnął rękę ku studentce.

— Masz prawo pytać mnie o moje prywatne sprawy — odparł — ale o inne, partyjne pytać ci nie wolno...

Lecz ani jego ton, ani ujęcie ręki, nie uspokoiły Wilhelminy.

— Więc pomiędzy tobą, a... nią, są sprawy partyjne? Wątpię — co taka kobieta może mieć wspólnego ze sprawą, albo z partją... Takie panie zresztą są najczęściej... szpiegami. Radzę się strzedz!

Leon nadzwyczaj silnie, prawie brutalnie, ścisnął rękę narzeczonej.

— Nie rzucaj pani potwarzy na jedną z najlepszych kobiet, jakie znałem w życiu — zawołał gorąco. — Panna Jabłońska jest wyjątkową istotą, szlachetną i pocziwą...

Wilhelminka szarpnęła ręką rozkazująco i podniosła hardo głowę.

— Proszę mnie puścić! — zawołała — pan do podobnych manier przywykł zapewne z paniami z teatru... Może właśnie ta panna Jabłońska, dlatego, że jest taka pocziwa, nie jest uczciwa, a z tego rodzaju kobietami ja nie nie mogę mieć wspólnego!...

I szybko, jak strzała, Wilhelminka pobięła w stronę stojących koło bulwaru dorożek i wskoczywszy do jednej z nich, rzuciła woźnicy:

— A la Glacière!...

Na bulwarze pozostał sam jeden Leon i szedł teraz powoli z opuszczonemi w ziemię oczami.

Cała ta scena nie zrobiła na niem takiego wrażenia, jakie przypuszczał. — Zdawało mu się, że spotkało go coś, na co on już dawno był przygotowany i czego się spodziewał.

Uderzyła go tylko zmiana, zaszła w urodzie Wilhelminki. Przed chwilą wydała mu się o wiele starszą i brzydszą, niż dawniej.

— Czego ona chce odemnie? — wyrzekł prawie półgłosem i nie znalazłszy na to pytanie odpowiedzi, szedł dalej, pograżając się w tęsknotę śmiertelną, w pustkę wśród setek przechodniów, w cień pomimo całych gierland gazowych światełek.

Gdy znalazł się na Głacierz, oprzytomniał nagle. — Przypominał sobie scenę z Wilhelminką, koncert, Strońskiego — wszystko I zdawało mu się, że po bardzo długiej podróży powraca do domu. Na dole czekał na niego Władek.

— Panna Wilhelmina już dwa razy przysyłała po pana! — wyrzekł przyciszonym głosem — podobno wróciwszy ze spaceru, zachorowała... tak mówiła... jej sługa...

Leon poruszył się niecierpliwie.

— Zachorowała?

Władek skrzywił się ironicznie.

— Och! mnie ona na to nie weźmie... ani mnie, ani Mazię... — wyrzekł z niesmakiem — ona wiecznie takie sceny urządza. Z panem Grzegorzewskim... co dzień bywały takie hece... Tylko on także miał rozum i czasem wcale do niej iść nie chciał, pomimo, że pisała i przysyłała sługę.

Leon zaczął iść w kierunku mieszkania Wilhelminy. Do niego przyłączył się Władek i ciągle mówił z żalem i goryczą w głosie.

— Takie panny... to najgorsze, to nie warto... to... proszę pana na zgubę ludzi uczciwych. Bo to lata po całym świecie i tylko się za męża chce wy-

dać... Ona, z panem Grzegorzewskim, żeby pan widział, co wyrabiała, nim go oplątała, to zgroza było...

Leon czuł, iż powinien Władowi nakazać milczenie, jednak nie mógł.

— Zgroza! — powtórzył Władek, i straszna nienawiść brzmiała w jego głowie — pan Grzegorzewski początkowo kochał się trochę w pannie Mazi, ale potem, jak się oddał sprawie, tak przestał nawet na kobiety zwracać uwagę. Panna Mazia zgodziła się na to w duszy, bo ona sama tak sprawie oddana, że ona poświęciłaby wszystko dla kraju... Ale ta Wilhelmina w ostatnich czasach, jak wzięła się koło Grzegorzewskiego kręcić, a fiołki mu znosić, a opowiadać, że ten się chce z nią żenić, a ten jakies tam do niej listy miłosne pisze, tak się na tem skończyło, że i pan Grzegorzewski wpadł w jej sidła...

Leon przyspieszał tylko kroku i mimo to słyszał najdokładniej cienki głosik chłopca, który mu tak fatalnie manewra Wilhelminy odslaniał.

— Ja wtedy myślałem, że umrę... jakem się o tem przekonał! — ciągnął Władek.

— Ty? dlaczegoż ty?

Władek milczał chwilę.

— Tak... z przyjaźni, bo ja wiedziałem, że to dla pana Grzegorzewskiego bardzo a bardzo niedobrze... Potem, zaczęły się sceny. Pan Grzegorzewski nie miał już nigdy swobodnej głowy... O to taka wiedźma, co to za narzeczonymi lata po całej Europie... U nas w cyrku to gorsze wypędzali...

I schwyciwszy nagle Leona za rękę — zawołał z gorącą, namiętą prośbą w głosie.

— Niechże pan chociaż się z nią nie zaręczy, mój drogi, brylantowy, złoty panie...

Stali już teraz przed domem Wilhelmini. Władek, oczy łzami zasłane, wlepił w twarz Leona — tyle było prośby, przywiązania, psiej uległości w tym wzroku, że aż Leon się przeraził.

— Czego ty chcesz odemnie? — zapytał — co tobie mieszać się do takich rzeczy... W ogóle zanadto się stajesz poufałym...

— Bo ja nie chcę, nie chcę... aby pan wpadł w ręce tej żydówki! Pan nie dla niej, ona znajdzie innych, pan niech się tak zostanie sam... ze mną, z panną Mazią... mój panie... proszę... ja bardzo! bardzo proszę!

I nagle potoki łez rzuciły mu się z oczu.

— Panie święty, ukochany, królu, wszystko na świecie... oni mówią w kolonii, żeś się pan z nią zaręczył?... czy to prawda?

Szarpał teraz za rękaw Leona a z oczu pomimo łez migotały mu złe ogniki.

Leon wydarł mu rękaw brutalnie tak, że odepchnął go od siebie.

— Czy może mam się ciebie pytać, z kim się mam żenić? — zawołał.

— Żenić? — roześmiał się ironicznie Władek — kto tu mówi o ożenieniu... To jest taka panna, co to się... zaręcza a za męża nie wychodzi.

— Milczeć! — krzyknął Leon — milczeć blażnie. Za długo cię słuchałem cierpliwie. Odczep się odemnie.

Wszedł do sieni cały wzburzony.

Przechodząc mimo łóż odzwiernej, dostrzegł w niej stojącego wysokiego, przystojnego mężczyznę

z krótko przystrzyżoną brodą, odzianego w modne palto i cylinder.

Wstępując na wschody, Leon uczuł silny zapach hiacenty i równocześnie potknął się o odzwierną, schodzącą z góry z rozradowaną i uśmiechniętą miną.

Na widok odzwiernej, Francuz stojący w łóż poskoczył, pytając:

— Et bien?

— Elle était enchantée — odparła dyskretnie odzwierna.

— Et la lettre?*)

Dalsze słowa utonęły we wspólnej rozmowie, która już zakończyła się w pomieszkaniu odzwiernej.

Gdy Leon wszedł do pokoju Wilhelmini, ujrzał całą masę hiacenty liliowych w żardinierze z delikatnej liliowej słomy, stojącą na kominku, a studentkę w białym szlafrocze z głową obwiązaną, leżącą na szesławie.

— O mało nie umarłam... — zaczęła Wilhelmina — głowa mi mało nie pęknie z bólu... I to wszystko przez pana...

Chciał jej odpowiedzieć, że ten ból głowy może pochodzi z owej masy hiacenty, zalegających marmur kominka, lecz bał się naśladować ją samą w wybuchu niewczesnej może zazdrości.

Ona wyciągnęła do niego ręce ładnym kobiecym ruchem.

I zdała mu się znów ładną, świeżą, młodą, miłą i bardzo kobiecą.

*) — I cóż?

— Ona była zachwycona!

— A list?

Tak zresztą potrzebował spokoju, iż w milczeniu pochwycił jej ręce, usiadł przy niej i głowę do jej szyi przytulił.

Tymczasem, ona cicho skarżyła się, zwalając na niego całą winę i czyniąc go po prostu zbrodniarzem, godnym średniowiecznych męczarni.

— Wszystko przez pana, przez ciebie! — powtarzała głosem męczennicy, podczas, gdy hiacenty wiedły w gorącym oświetleniu purpurowej lampy a przytulony do jej szyi mężczyzna nie protestował, tak mu dobrze i miło było na kąciku tego ciepłego, miękkiego, kobiecego ciała.

Sala długa i wąska, źle oświetlona, napęczniona jakąś blotnistą parą, zastawiona rzędami ławek, na których pełno osób przeważnie ciemno i skromnie odzianych.

Tu i ówdzie biała sukienka studentki, lub śnieżny gors frakowego stroju jakiegoś zabłąkanego artysty. W głębi scena — nędzna, mała, przypominająca wyglądem marne prowincjonalne teatru. Kurtyna zniszczona, malowana w sposób, urągający wszelkim artystycznym zachciankom. Nad kurtyną nieśmiertelna lira i maska, po bokach dwie potworne karjatydy, malowane imitacją *bas relief*u.

Po nad łóżami, urządzonemi na wzór przegród na bydłym targu i wypełnionemi „familjami“ o zaspianym wyrazie twarzy, poprzączepiano tarcze pąsowe, na których poprzączepiano białe orły, wycięte z papieru. Za tarczami pozatykano chorągwie trójkolorowe z taniego wiotkiego perkalu. Pomiędzy chorągwiami sterczą groźnie halabardy.

To już pomysł samego Zagórskiego.

Nad sceną, tuż pod lirą i tragicznie wykrzywioną maską rodzaj tablicy, dziwnie wykrojonej, obciągniętej czerwonym andrinoplem. Na niej polączone pogoń, orzeł i archanioł, a poniżej napis:

„Jeszcze nie zginęła“.

Tarcza opleciona całą bluszczem i liśćmi z zielonej bibułki, robi dziwnie przygnębiające wrażenie, jak wogóle i cała dekoracya sali. To, co w imaginacyi partyi wydawało się imponujące i wspaniałe, a nawet tam, na Glacierre, zgromadzone w małym pokoiku, zadziwiał bogactwem i wielkością, tu w tej ciemnej, zadymionej i długiej sali znikło, zmałało i zeszło do rozmiarów nędznych i biednych. Zwłaszcza te chorągwie zwieszały się rozpaczliwie w wąskie ubogie fałdy, jakby wstydziły się swej nędzy i drząc za lada podmuchem, za lada przeciągiem wyciągały się rozpaczliwie ku ziemi.

Przy wejściu do sali dwóch policyantów w pelerynkach z czapkami na głowach, z ordynarnymi minami znudzonych brutalów stało, patrząc pogardliwie na ciągle wchodzące grupy publiczności.

Ten „bal polonais“ nie imponował panom agentom, którzy z rozkazu władzy muszą zawsze znajdować się w sali, gdzie odbywa się jakieś płatne zgromadzenie. Francuzi nie umieją się bawić bez interwencji policyi. Dla tego i na „bal polonais“ wydelegowano dwóch parobków z minami zdecydowanych na wszystko ludzi.

Cisza panowała w sali dziwna i niewytłomaczona. Gdzie niegdzie tylko szeptało, oczekując podniesienia kurtyny. W ogóle — cała ta masa osób zebrana razem w celu wspólnej i wesołej zabawy, od razu przybierała złośliwo-żałobny nastrój i każdy

zdawał się chronić przed ciekawością sąsiada nie tylko swe słowa, stan tualety i stan kieszeni, ale nawet własne myśli, krążące wiecznie koło ciągłej satyry wszystkiego, co ujrzeć miano i wszystkich, którzy się w okolo znajdowali. Przytem to dziwne jakieś skrępowanie, ciągła chęć nie utracenia własnej wielkości w oczach drugich, to nadymanie się pawia na pokaz roztaczającego ogon — krępowało i paraliżowało tych, którzy radzi zrzuciwszy niewygodną pozę urojonych wielkości, bodaj roześmieliby się chętniej i głośniejsz — ot — jak ludzie zwyczajni, a nie jakieś istoty, przeznaczone do zbawienia świata. Nikt jednak nie był tyle odważnym i ponury nastrój panujący w sali razem z ciemną, źle palącego się gazem i ubóstwem dekoracji, wytwarzał już znudzony i przykry nastrój przed rozpoczęciem widowiska. Leon — stojący przy drzwiach w wypożyczonym fraku i białym krawacie, odczuwał najdoskonalej tę atmosferę gniotącą i przykrą i nie mógł nawet uciechy się materyalnem powodzeniem, jakie znaczny udział publiczności przynosił ze sobą. Międzynarodowcy przybyli prawie wszyscy, ubrani bardzo poprawnie w surduty i czarne krawaty. Stroński przywitał się z Leonem sucho i najwyraźniej zaznaczył, iż przybył tylko dla oddania złożonej przez narodowców w czytelną wizytę.

Kupił ostentacyjnie program, za który położył na tacy dwa franki i usiadł w jednym z ostatnich rzędów. Dokoła niego skupiała się powoli cała partya. Leon czuł całą potęgę nienawiści, płynącą ku niemu z tej grupy. Cierpiał teraz w głębi duszy wiele bólu, widząc, jak międzynarodowcy napozór obojętnymi spojrzeniami mierzyli tarczę, orły, halabardy.

Jemu samemu te dziecinne zabawki wydawały się w tej chwili małe, śmieszne i głupie.

Przeklinał w duchu tych, którzy mu poradzili pozwolić na udekorowanie sali. Szczególniej irytował go Farbach i Chodzik. Kazał im siedzieć za kulisami, lecz oni nie usłuchali tego rozkazu. Nadejci — z minami bardzo ważnych krasnoludków, biegali pomiędzy publicznością, prezentując swe olbrzymie trójkolorowe kokardy, które jako komitetowi przypinali sobie na piersiach. Chodzik był bardzo przyzwoicie ubrany, w surdut i czarne, cokolwiek za krótkie spodnie. Tylko buty pozostawiały do życzenia. Ubranie Chodzik pożyczył od Roberta, syna konsierżki i Leon dopiero przed samem rozpoczęciem balu dowiedział się o tym fackie. Rozgoryczony zaczął robić wymówki Chodzиковi, lecz ten natychmiast odpowiedział mu, iż nie jest jego winą, iż Redakeya „Hejnału“ zmusza swych „współpracowników“ do uciekania się do podobnych środków.

— Wy jesteście moim współpracownikiem? — krzyknął Leon. — Cóżecie kiedy napisali?

Lecz Chodzik nie raczył nawet nie odpowiedzieć, zajęty już cały swym głosem i stanem swego gardła, z którego miało wypłynąć owe słodkie „Ujrzalem raz“, Kratzera.

Dwie studentki genewskie i Jaskulska biegaly także wzdłuż krzeseł, sprzedając programy, fotografie grobu Słowackiego i inne drobiazgi. Był to pomysł Wilhelminki, lecz przeprowadzony bez dyskrecyi i bez wielkiego taktu na samym wstępie, jeszcze więcej mroził publiczność.

Uczuł to Leon i rozkazującym gościem przywołał do siebie Farbacha.

Farbach przybiegł, rad ze siebie, z butów nowych, które stanowiły najwspanialszą część jego ubrania, ufryzowany, jak Cherubin, bardziej charłakowaty i komiczny, niż w dni powszednie.

— Zakażcie kobietom sprzedawać po sali! — rzucił mu przez zęby Leon.

— Dlaczego... — zaprotestował Farbach — one już mają przeszło jedenaście franków...

— Zakażcie!... — syknął Leon.

Przed chwilą posłyszał, jak dwóch jakichś nieznajomych, świeżo widocznie przybyłych Polaków, mówiło, opuszczając salę.

— Chodźmy stąd... będą karotować... Na co się dać wyzyskiwać.

Leon pobiegł za kulisy.

Tam panował względny spokój.

Obrazy żywe musiano usunąć z programu, dla braku kostyumów. Natomiast Wilhelmina uprosiła jedną znakomitość, grającą na skrzypcach a zamieszkałą w Paryżu, do przyjęcia współudziału w koncercie. Baruneweiß miał wygłosić kilka poezyj. Słowem, od biedy, program się złatał, choć z wielką trudnością.

Za kulisami Wilhelmina promieniała radością. Mało subtelna, nie odczuwała tego, co tak gorzko na strunach duszy Leona grało. On podbiegł ku niej, pragnąc podzielić się z nią wrażeniem przykrego uczucia, jakie go gnębiło, lecz spotkał się z jej tak rozradowanym spojrzeniem, iż zamilkł zniechęcony.

Ona stała pomiędzy kulisami, na podwyższeniu sceny i widocznie oczekiwała słów zachwytu nad

swoją tualę, która była rzeczywiście prześliczna. Jakiś cały amalgamat różnokolorowych gaz, tęczyowych barw w połączeniu z przyćmionym, dyskretnym złotem paska i naramienników. Z tego wypływały ramiona cokolwiek chude, ale ładne i kształtne. — Twarz silnie upudrowana, ujęta była w dwa pasma włosów, spięte na karku nisko grzebieniem z jasnego szyldkretu. I ta prostota w uczesaniu włosów, z przepychem tualety, wytwarzała bardzo piękny kontrast, dodający wdzięku i tak już wdzięcznej postaci dziewczyny.

W ręku Wilhelmina trzymała przepyszny bukiet storczyków. Były to chorobliwe, smutne kwiaty, tak samo tęczowo barwne, jak jej suknia.

Storczyki były związane przepyszna gazową wstążką, na której wyhaftowano złotem enigmatyczny „znak zapytania“.

Lecz Leon nie zwrócił uwagi ani na suknię, ani na storczyki. Rozgorączkowany, zniecierpliwiony zapytał, czy wszyscy już przybyli.

Wilhelmina zmarszczyła brwi.

Duma pięknej kobiety zagrała w niej z całą werwą. Przez chwilę popatrzyła na Leona z rodzajem litośnej obojętności.

— Wszyscy już są!... — wyrzekła — tylko tej pańskiej primadonny jeszcze nie ma.

On spojrział na nią zdziwiony. Znów ten ton zły, trywialnej i zazdrosnej kobiety, który irytował go nad wszystko. Wszakże, po owej pamiętnej awanturze Wilhelmina cała we łzach zarzuciła mu ręce na szyję i przysięgła, że już nigdy go podobnymi słowami obrażać nie będzie.

Cheiał jej to przypomnieć, rad, że będzie mógł dać ulgę choć w ten sposób swemu rozdrażnieniu, lecz ona odeszła — wspaniała i wyniosła w tęczy swych gazowych sukien, z których wypływała wysoka, smukła i nad wyraz kształtna, jak grecka tancerka.

Leon poszedł w stronę garderób, które były nędznymi klatkami z desek oblepionych podartym papierem.

W jednej z nich chodziła owa „znakomitość“, z miną znudzonego lwa, skrzywiona i zniechęcona. Pan ten grywał czasem w Châtelet na koncertach Colonne'a, czasem brał udział w koncertach Lamoureux — dzienniki paryskie traktowały go chłodno, krajowe za to podawały wieczne sprawozdania pełne zachwyty. — To upoważniało artystę do ciągłego pozowania wobec rodaków na wielkość, na giganta, który raczył dobrotliwie rzucić nędzarzom garść swych łask i zstąpić z piedestału, na którym miał stałe siedlisko, chwilowo — na nędzny zagon rodzinny. Gdy Leon podszedł ku niemu, dziękując za punktualne przybycie, artysta skrzywił się, wzruszył ramionami i po chwili wycedził przez zęby:

— O to nie... ja lubię ludziom dobrze robić!

Lecz u wejścia na scenę zaszemrało, zaszumiało i oto — Jabłońska ukazała się prowadzona przez Barumewajga, który podawał jej ramię z ostrożnością niedźwiedzia, niosącego w swych łapach figurynkę z saskiej porcelany.

Z wielką swobodą, właściwą aktorkom, przywitała się ze „znakomitością“, którą już poznała u swego nauczyciela śpiewu i bez najmniejszego respektu odezwała się natychmiast.

— A to dobrze, że i pan będzie grał w tym koncercie.

Poczem, nie zważając na kwaśną minę wielkiego artysty, zwróciła się do Leona i śmiejąc się, spytała:

— Spóźniłam się? co?...

Zrzuciła ze siebie okrywkę i ukazała się w bajecznie bogatej i wspaniałej tualecie blado zielonej, haftowanej złotem i drobnymi kamieniami. Suknia ta podnosiła jej urodę a włosy, widocznie sztucznie doprowadzone do złotego koloru, całą kaskadą piły się do góry przytrzymywane mnóstwem szpilek, grzebyczków i strzał inkrustowanych imitacjami dyamentów, opali, rubinów, szmaragdów.

Mieniło się to wszystko, iskrzyło, drgało w powietrzu. Kobieta prawie nikła w tym przepychu. Należało podziwiać strój i te drobiazgi tak zajmowały i wyczerpywały uwagę, że na samą osobę czasu już nie pozostawało.

To samo stało się z Leonem. Patrzył na kamienie, na hafty, na szpilki, na złoto i zapomniał prawie o przemówieniu kilku grzecznych słów, jakie przemówić należało. A potem — ogarnęła go trwoga. Przedewszystkiem, czy Jabłońska nie jest za wspaniała, za kompromitująco piękna i strojna do tej sali, tych kulis, tej dekoracyi scenicznej i tej samej publiczności ciemnej, chmurnej, niezadowolonej, jak każda prawie publiczność polska.

Przytem instynkt ostrzegł go, iż Wilhelmina nigdy nie daruje mu sprowadzenia Jabłońskiej, która tualetą swoją zagasi zupełnie wdzięk studentki. Z trwogą pomyślał o spotkaniu tych dwóch kobiet. Lękał się, że Wilhelmina zrobi jakąś impertynencję, kto wie, może opuści sama bal, lub przynajmniej

będzie się starała dokuczyć aktorce. Lecz Leon był młody i nie znał jeszcze tajników kobiecego charakteru.

Z najwyższym zdumieniem dostrzegł, jak Wilhelminka po błyskawicznym zawahaniu się, poskoczyła ku Jabłońskiej i podając jej dłoń, zawołała z najwyższą uprzejmością.

— Cóż za szczęście, że pani nam zawodu nie zrobiła, koncert nasz byłby jak dzień pochmurny bez blasku słońca... Aż jaśniej się zrobiło, kiedy pani weszła... tyle od pani bije blasku... z tych kamieni...

Urwała, z niedostrzegalną prawie impertynencją mrużąc oczy, patrzyła na imitacje klejnotów, zdobiące głowę aktorki.

— I z pani oczów... — dokończyła z nadwyzczaj uprzejmym uśmiechem.

Jabłońska przyjmowała tę zdawkową monetę z radością widoczną, promieniając, oddychając znów zgnilem powietrzem kulis, które stanowiły konieczną dla jej płuc atmosferę.

— Tak się boję... — powtarzała prawie machinalnie, ściskając w ręku kosztowny wachlarz, złożony z trzech olbrzymich piór strusich, osadzonych w sztyldkretowej ręczce.

Po chwili podniosła się kurtyna i koncert rozpoczął się, dając całą seryę produkcji o rozmaitej wartości artystycznej.

„Znakomitość“ odniosła wielki sukces i słabem kiwnięciem głowy raczyła odplacić za gorące przyjęcie. — Leon był szczerze wdzięczny artyście za to niespodziewane rozgrzanie sali i przygotowanie jej chętne do wysłuchania następnych numerów. —

Lecz oto Chodzik o mało nie popsuł wszystkiego niefortunnym wystąpieniem i odwrzeszczeniem i tak wrzeszczącej pieśni, gdzie zakochany skarży się, że ujrzał raz — usteczka z róż i nie może ani rusz zapomnieć tej nadzwyczajnej wizji. Chodzik fałszował, miał tremę i ratował się krzykiem. Publiczność jednak obdarzyła go oklaskiem. Projekt na dentystę powrócił, kłaniając się poważnie i widocznym było, iż miał ochotę dorzucić coś na bis. Lecz bardzo szczęśliwie Barumewejg zajął jego miejsce z zapowiedzeniem „Roku 12“ — przygłuszył ironiczne szmery, jakie rozlegać się wśród widowni zaczęły.

Chodzik otarł spocone czoło i w formie uwagi wyrzekł:

— Nie wiem, czy byłem przy głosie.

Leon nie mógł się powstrzymać od ironicznej uwagi:

— Tak... byliście tuż obok.

— Jakto?

Lecz już uwagę Leona pochłonał teraz głos Barumewajga, donośny, dźwięczny, jak dzwon — potężny, gdy Barumewajg głosił cudze słowa a zwykle przytłumiony i cichy na tak zwany „swoją własną użytek“.

Barumewajg deklamował rzadko i kazał się długo prosić, zanim wypowiedział cokolwiek — raz jednak się zdecydowawszy, oddawał się poezji całą duszą, zapominając o swej szorstkiej, niedźwiedziej naturze.

Piękniał, łagodniał i głos jego z siły wielkiej przechodził w miękkość aksamitu. Umiał targać nerwami słuchacza, unikając instynktownie nadużywania jaskrawych efektów. Prostaczą, szlachetną duszą

czuł prosto, szlachetnie i był tak samo odczuty. Nie starał się dobywaniem zadziwiających nut i akcentów indywidualnych zacierać tego, co włożył mu w usta poeta, lecz czynił się niejako tylko odbiciem powierzonych sobie myśli. I była rzecz dziwna. Gdy Barumewajg mówił: „Rok dwunasty“ nikt nie myślał o nim, o tym roslym i silnym mężczyźnie, ubranym we frak i balowy krawat, lecz każdy słuchacz miał wrażenie obecności samego Mickiewicza gdzieś w bliskiej dali.

I powoli — powoli na skrzydłach tych słów splotywał nieśmiertelny a umarły i stawał się żywy, bliski, drogi, w milczeniu śmiertelnym tak bardzo wymowny.

Martwą, niezadowoloną i chłodną publiczność ogarnęło uczucie ciepła i niewypowiedzianej tęsknoty. Biegła ona od sceny — i wpływała w duszę każdego. W krzesłach tu i ówdzie widać było siwą głowę, która wznosiła się do góry, to znów opadała na piersi kogoś z tych, co już nadzieję stracili widzieć kraj, choćby ten „skuty“, w którym co wiosnę się marzy — ma nadzieję, spodziewa...

I jedna po drugiej biegła z ust Barumewajga pieśń bez muzyki, — a przecież grająca jak harfa złotostruna. Teraz Słowacki żalił się, że mu „smutno“ i znów tęsknił za krajem — choćby — za mogiłą. I coraz więcej, coraz hojniej spływały ze sceny słowa sercu drogie, w duszy wykołysane — nasze — polskie — kochane. — Genjusze zamarle powstawały — mówiły — żyły.

I nie było już papierowych orłów na szmatach z perkalu. Wszystko piękniało, szlachetniało, rosło. Te królewskie ptaki zmieniały się w srebro. Sztan-

dary biedne i skromne zdawały się szumieć i tyle wspomnień w tym szumie nieść za sobą.

Ludziom płonęły oczy i czoła.

Starzy mieli żrenice zaszele złą, u młodszych iskra chwilami błysnęła. A cisza była wielka, święta, kościelna, wśród tej ciszy dźwięczały jak dzwony na trwogę przepotężne słowa.

Leon sam porwany, prawie nieprzytomny oparł się o kulisę, wsłuchany, wzruszony.

Obok zaszeleściła jedwabiem suknia Wilhelminki. Wzdrygnął się zniecierpliwiony. Coś naksztalt wstrętu przebiegło mu koło serca. Ten szelest kieteryjnej sukni zdawał mu się profanacją.

— Nieznośna — pomyślał w duszy.

Barumewajg cofnął się za kulisy.

Był błąd zmęczony.

Na sali panowała cisza. Wszyscy czuli, iż wywoływać tego człowieka za wypowiedzenie „cudzych“ słów może być dla niego tylko obrazą. Przytem — o „brawach“ jakoś nikt nie myślał. Wszyscy mieli tyle tęsknoty i bólu w sercu, że siedzieli do miejsc swych jak przykuci.

Chodzik tryumfował.

— Klapa! szepnął do Leona — ja miałem przynajmniej brawa.

Leon usunął się i usiadł na stosie starych dekoracji.

Pragnął być sam, każda rozmowa była mu nad wyraz wstrętną.

Po chwili razem z dźwiękami fortepianu zadzwoniło coś jak skowronek. Jabłońska śpiewała — a instynktem wiedzona, wybrała same utwory Moniuszki, Szopena... To, co poezja rozbudziła, muzy-

ka rozentuzyzmowała do reszty. I szła znów pieśń za pieśnią, piosenka za posenką — bo aktorka chętnie i z pewną sympatyczną pokorą oddawała publiczności swój talent, głos — serdeczny i sympatyczny artyzm. Jej — publiczność biła brawa — wołała na nią, prosiła o „bisy“. — Ona wracała za kulisy, cała różowa pod pudrem i znów biegła przed rampę, aby wydzwonić swym rzeczywiście prześlicznym głosem mazurka lub piosenkę.

Powodzenie koncertu było wielkie i niezaprzeczane. Oklaski zmieniały się w huragan. Teraz powitano istną burzą braw pojawienie się ponowne „znakomitości“ skrzypkowej — i powtórne wejście Jabłońskiej. Chodzik miał wielką ochotę także powrócić na estradę, lecz Leon mu na to nie pozwolił. Pragnął, aby publiczność odniosła prawdziwe i pełne artystyczne wrażenie. Sam — uradowany, zgorączkowany, podniecony muzyką, wysunął się wreszcie ze swego ukrycia i gorąco dziękował Jabłońskiej, Barumewajgowi, skrzypkowi-artyście za ich współudział. Czuł, że tam na sali wrażenie musi być doskonale — więc cieszył się tym tryumfem i po raz pierwszy może od przybycia do Paryża uczuł się swobodny i lekki.

Gotował się właśnie do wejścia na salę, gdy zastąpiła mu drogę Wilhelmina. Była nachmurzona i miała brwi groźnie ściągnięte. Czuł w niej było jakieś nerwowe, silne podrażnienie.

— Przepraszam, że cię wstrzymuję — zapytała — ale co myślisz zrobić teraz z tą... panną?

— Jakto, co myślę zrobić. Barumewajg poda jej rękę i wprowadzi do sali balowej...

— Co?

Wilhelmina wyprostowała się dumnie.

— Czy pan przypuszcza — zapytała, mrużąc oczy — że panie zgromadzone w sali będą bardzo szczęśliwe, widząc tę panią w swym towarzystwie?

Leon spojrzał na nią zdziwiony.

— Dlaczego nie miałyby czuć się szczęśliwe? Widziałas przecież, jak ją przed chwilą przyjmowano.

— To na scenie, płacono jej w ten sposób za śpiew. Znajdować się z nią jednak razem... to zupełnie co innego...

— Ależ dlaczego?

Ona chwilę milczała i wreszcie wycedziła bawiąc się bukietem storezyków.

— Bo to musi być... osoba złego prowadzenia. Dostęć spojrzeć na jej ubiór i całe zachowanie się. Zresztą czyni pan, jak chcesz..., ja to wiem tylko, że skoro ona zejdzie do sali, ja będę musiała odejść do domu.

— Żartujesz?

— Nie, mówię zupełnie seryo. A teraz, wybieraj, czyni, co uważasz za właściwe.

I z temi słowy Wilhelmina cofnęła się znów w głąb kulis.

W tej samej chwili Barumewajg przeprowadził obok Leona Jabłońską, która rozpromieniona, uradowana odniesionym sukcesem, widocznie była rada, iż wprowadzają ją do sali balowej. Przybrała jak najpoważniejszą minę — mimo to oczy aż świeciły się, tak biła z nich radość i duma.

Leon usunął się i ze ściśniętym sercem patrzył, jak drzwiczki, prowadzące do sali, otworzyły się i aktorka znikła w nich, pozostawiając po sobie jakby smugę dość silnych perfum. Leon odwrócił się,

szukając Wilhelmini, lecz tej nie było już pomiędzy kulisami.

Zły i niekontent Leon wszedł na salę i dostrzegł, że służba zdążyła już usunąć ławki a przy dźwiękach fortepianu kilkadziesiąt par tańczyło walcą z taką skwapliwością, z jaką zgłodniałi rzucają się na jadlo po kilku dniach prawdziwego głodu.

Jabłońska tańczyła także, porwana od razu przez jednego z malarzy i strojna jej postać błyszczała wężową sylwetką na tle trochę ciemnej sali.

W bufecie, gdzie gospodarowała odziana w czarną welnę Mazia, dzwoniły kieliszki. Komitetowi nie mogli nastarczyć z podawaniem pączków i herbaty. Słowem, rezultat zapowiadał się świetnie.

Nagle ktoś schwycił Leona za rękę. Był to pułkownik Montalembert, wystrojony, we fraku, z dekoracją, który zdawał się jeszcze brzydszy przy śnieżnej bieli balowej koszuli.

— Jeune homme! — zawołał po francusku — ta feta jest wzruszająca, koncert był nadzwyczajny. Jesteście nie tylko narodem bohaterów, ale i narodem artystów...

Wsunął swą rękę pod ramię Leona i zdawał się być zupełnie zdecydowany nie opuścić go tak prędko. Unosił się nad urodą Jabłońskiej, nad jej ramionami, chwalił Barumcwajga, entuzjastycznie nad dekoracją sali. Leon idąc bezwiednie, kierował się w stronę bufetu — i doznawał dziwnego uczucia, jakby się wstydził iść tak z pułkownikiem pod rękę. Wszyscy jednak rozstępowali się przed nimi z szacunkiem.

Widoczne było, iż Leon miał więcej uznania i władzy, niż sam przypuszczał. Nawet „starzy“

przyglądali mu się z jakąś sympatyczną ciekawością.

Nie dziwnego — dał im dziś tyle wrażeń, a i za to, nad mogiłą stojąc, należy chyba być wdzięcznym.

Montalembert kłaniał się znajomym i nieznanym. Widocznym było, iż dążył do łoża, w której siedział Zagórski z rodziną. Zagórska zwracała powszechną uwagę, gdyż ustroiła się... w kontusz wiśniowy aksamitny, obszyty białym labędzikiem. Była śmieszna w konfederatce na bakier, lecz twarz jej promieniała taką dumą i radością, że nikt jej tego serdecznego wybryku za złe nie poczytywał.

— Oh, la belle polonaise!... — zawołał Montalembert, lecz Leon ciągle uparcie tak lawirował, aby Montalembert nie mógł się spotkać z Zagórskim. Bał się, iż pułkownik odkryje tajemnicę zasilku, jaką udzielał dla „Hejnału“. Wiedział, że Zagórski nie potrafi utrzymać reszty w tajemnicy.

I oto natknął się na grupę „międzynarodowców“, którzy ze Strońskim na czele stali milcząc niedaleko sceny i nie brali żadnego udziału ani w piću, ani w tańcu. Na ich twarzach zagadkowych nie nie można było wyczytać, ani ironii, ani zadowolenia. Byli tak *correct*, że to aż trąciło o impertynencję.

Leon czuł to doskonale, a przecież żadnego zarzutu ich postępowaniu nie mógł sformułować nawet przed samym sobą.

Chwilę tylko, gdy wzrok Strońskiego badawczy i przenikliwy spoczął na postaci pułkownika, Leon uczuł, że Stroński bada i mierzy wzajemny stosunek Leona do Montalemberta. Zawrzało w nim,

lecz była to myśl, przelotne wrażenie, do czego przyczepić się nie mógł.

Nagle — ktoś go porwał za łokieć.

Była to Jaskulska, która w zbyt dużych pantoflach latała ciągle po sali i w zbytnej gorliwości roztrącana przez tańczące pary, miała już oberwane faldy u sukni i kilka sińców na plecach.

Teraz porwała Leona za rękę i wyszeptala z przerażeniem:

— Chodzik się upija, a panna Wilhelmina odjechała.

Leon porwał się, porzucił ramię Montalemberta i zaczął biec ku wyjściu. We fraku, a odkrytą głową wybiegł przed bramę. Na ulicy było czarno i pusto. Deszcz padał ciągle i trotuary lśniły się, jak tafle czarnego marmuru.

Z daleka turkotała jakaś odjeżdżająca dorożka.

Leon postął chwilę, nie zdając sobie dokładnie sprawy z postępu Wilhelminy. Wiedział, że odjechała zagniewana na niego. Co mu teraz wypadało zrobić?

Pojechać za nią, sprowadzić prośbami i zakłeciami. Tak... ale jakże tu zostawić cały bal na łasce Chodzików i Farbachów. Należało przedewszystkiem pilnować honoru partyi i w razie czegoś niestosownego interweniować.

Przypomniawszy sobie, że Jaskulska ostrzegła go, iż Chodzik „się upija“. Obowiązkiem jego było pilnować, ażeby nikt z partyi nie popełnił jakiegś śmieszności. Powrócił więc do sali, drżąc z chłodu i nerwowego rozdrażnienia.

Pobiegł do bufetu i wśród gwaru, dymu, hałasu, brzęku szkła i porcelany, uczuł się jak oghuszony. Z trudnością odszukał Chodzika.

Śpiewał pieśni „Ujrzałem raz“, stał przy bufecie i perorował głośno, mając obok siebie Zagórskiego i Montalemberta. Ci dwaj zdawali się być w bardzo dobrym porozumieniu i popijali wódkę — przyczem Zagórski miał twarz rozpromienioną i gęsto zamaszystą, a Montalembert usiłował naśladować swego świeżo poznanego przyjaciela.

— Notre amitiè... — doleciało uszu Leona.

Widocznie Montalembert, skorzystawszy z nieobecności Leona, zapoznał się z Zagórskim i ten, obyczajem „starodawnym“, zaproponował oblać owe poznanie w bufecie. Chodzik pełnił obowiązki „kellnera“ i przy tej okazji pił z każdym, kto do bufetu podchodził i pił wódkę lub wermut.

Chodzik miał twarz chmurną i bladą. Usta nerwowo zaciśnięte, to znów wyrzucał ze siebie cały potok słów. Trzymał się jednak jeszcze bardzo dobrze — tylko miał wygląd cokolwiek „ekscentryczny“.

Leon podszedł ku niemu i zaraz bez ogródki odciągnął go na bok za bufet.

— Proszę was! — wyrzekł rozkazująco — proszę i żądam, ażebyście pić zaprzestali. Pamiętajcie, że kompromitując siebie, kompromitujecie partyę. Ja nie chcę, ażeby przez was miano nam cokolwiek do zarzucenia.

Chodzik zachmurzył się coraz więcej.

— Darujcie... — wyrzekł — ale widzę, że ktoś zrobił na mnie plotkę. Powiedźcie kto, a na środku sali strzelę go w mordę...

— Nikt nie zrobił plotki, stoję tu i patrzę na was od kwadransa... widzę sam, co się dzieje.

— Darujcie... — powtórzył znów Chodzik — ja wiem, kto to powiedział. To Barumewajg. Ja tego żyda nabiję, tu, wobec całej kolonii. On was zawsze na mnie buntował. Ja go mam już dawno na oku!

W Leonie zamarło serce ze strachu.

Jakto? więc tu — wobec całej kolonii mogła stać się awantura i to pomiędzy członkami! — Nie należało do tego dopuścić za jakąkolwiek cenę.

— Mylicie się! — wyrzekł gorączkowo — nie czepiajcie się Barumewajga, on was bardzo ceni i mówił właśnie, że macie prześliczny głos... To powiedziała jedna kobieta...

Lecz Chodzik nie chciał się dać rozbroić.

— Która? — zawołał — powiedźcie, to i na nią taką kalumnię lunę, że ruski miesiąc popamięta.

— Proszę was, odejdźcie od bufetu, idźcie do domu...

— Za nie!

I tragicznym krokiem Chodzik udał się na swoje stanowisko koło flaszek, reklamowany przez liczne żądania wielu „Zagórskich“, których widok kieliszka zawsze w stan przyjaźni i rozmarzenia wprowadza.

Leon uczuł, że traci grunt pod nogami. Niedawno dojrzał Farbacha, latającego z minami kłowna wśród stołów, tu znów Jaskulska z rozplecionym szynionem, czerwona, śmieszna, trzepotała się, podając pączki i faworki. I wzrok jego na chwilę odpoczął, zwróciwszy się na bladą twarzyczkę Mazi, która spokojnie ukazywała się nad samym środkiem

bufetu — zawsze jednak smutna, dziś tylko łagodnie uśmiechnięta.

Studentka miała na sobie czarną sukienkę, biały fartuszek i rączki jej drobne, trochę czerwone uwijały się zręcznie wśród szklanek i kieliszków. Wielka równowaga była w jej ruchach i wzroku. Widocznie na nią nie działała ani atmosfera balowa, ani denerwujący brzęk fortepianu, dochodzący z sali.

Leon przeszedł do kuchni, sąsiadującej z hotelem i tam dostrzegł Władka, stojącego koło komina z warząchwą w ręku. Ponieważ w bufecie wywieszono kartę, iż można dostać „bigosu i barszczu“ — tu, w kuchni, odgrzewano w wielkich kotłach te obie potrawy, które całymi masami odchodziły do jadalni.

Leona od progu owionął zapach barszczu i kapusty i nagle nader żywo przypomniały mu się nasze kuchnie krajowe, dziwne, smutne czeluście, w których „warzy się strawę“ wśród zaduchu i nieporządku.

Tu — muzyka balowa nie dolatywała zupełnie, ciemno nawet było, gdyż tylko jeden płomień gazowy syczał w kąciku.

Na razie w kuchni znajdowały się dwie stare posługaczki i Władek, mieszający bigos i opasany długim, białym fartuchem.

Władek od chwili dziwacznej sceny, wyrządzonej Leonowi pod domem Wilhelminki — chodził ciągle milczący, z oczyma widocznie napuchłymi od płaczu. Unikał spotkania się z wzrokiem Leona i nie odzywał się ani słowem, nie odpowiadając nawet na pytania.

W tej chwili jednak miał wyraz twarzy bardzo rozradowany i uśmiechał się — jakby do swoich myśli.

Leon chciał się cofnąć — lecz Władek położył warząchew i uśmiechnawszy się ironicznie, zapytał:

— Panna Wilhelmina odjechała?

Leon zdziwił się zuchwalstwem jego głosu.

— Odjechała — wyrzekł wreszcie — głowa ją boli, musi wrócić do domu...

Czuł, że źle robi, tłómacząc się w ten sposób przed tym zuchwałym malcem, lecz Leon często myślał dopiero po wymówieniu słów, których już cofnąć nie było podobna.

— O!... — odparł Władek — to nie z bólu głowy pojechała madmuazela do domu — ale — dlatego, że ta śpiewaczka utłukła ją zupełnie i suknią i wyglądem. Ona nie mogła znieść tego, że nie będzie brylować sama jedna...

I urwawszy, parsknął śmiechem — wreszcie dodał:

— A tak się wygorsowała... po pas... i nie nie pomogło!

Leon postąpił ku niemu gniewnie. Cała złość, całe rozdrażnienie wezbrało w nim teraz i pragnęło ujścia.

— Milez błaznie... — krzyknął — jak śmiesz mówić w ten sposób o kobiecie!

Lecz Władek blady i nagle bez uśmiechu, spojrzał na Leona tak dziwnie, że przed tym wzrokiem Leon cofnął się i sam pobił.

— To nie kobieta! — wyrzekł Władek — to jest *demiwierza* — a o takiej wolno mi mówić, co mi się podoba.

Leon pochwycił chłopca za ręce i wstrząsnął nim silniej może, niż pragnął.

— Milez... albo ci głowę rozgniotę!...

Lecz Władek coraz zuchwalej, coraz dziwniej na Leona patrzył.

— Ona tam się nie znudzi... — wyrzucił po chwili przez zaciśnięte zęby — ona tam... się dobrze zabawi... z tym, co jej dał dzisiaj storezyki... tak...

Nie dokończył, bo Leon cisnął nim tak gwałtownie o ścianę pieca, że Władek upadł na krawędź stalową i z bolesnym jękiem osunął się na ziemię.

— Ach! boli!... — jęknął chłopak i Leona przeszło zimno. Zdawało mu się, że popełnił jakąś wielką nikczemność i niesprawiedliwość, — coś jakby zbrodnię na kimś bardzo słabym, bardzo małym i bardzo bezbronnym. Coś ze skargi dziecięcej, kobiecej, było w tem „ach... boli...“ Władka, i Leon wybiegłszy z kuchni, miał ten głos bezustannie w duszy.

Leon schronił się teraz za scenę do garderób i tam pragnął uspokoić się choć trochę. Napróżno jednak przesiedział długą chwilę. Słowa Władka wpily mu się boleśnie w serce. Do tej chwili nawet na jedną sekundę nie śmiał i nie chciał podejrzewać Wilhelminki, ale raz zbudzonego podejrzenia uspić trudno. Leon był tak zdenerwowany, iż czuł, że niepewności nie zniesie, znieść nie jest w stanie. Postanowił pojechać na Glacière i powrócić natychmiast. W ten sposób przekona się przynajmniej naocznie, że Wilhelminka jest jego i tylko fantazyę będzie jej miał do wyrzucenia, nie zdradę, ani przენiewierstwo.

Wróciwszy do sali balowej, odszukał Barum-
cwajga i schwyciwszy go za rękę szepnął:

— Ja muszę na chwilę się oddalić...

— Gdzie? po co?

— Nie pytajcie. Czuwajcie, aby się nie nie
stało, nie takiego, co by nas mogło skompromitować...
Uważajcie na Chodzika... ja zaraz wracam!...

Wybiegł, potrącając tańczących. Zdawało mu się,
iż dostrzegł Montalemberta, walczącego z Zagórską,
lecz nie był tego pewny. Natomiast, w ostatniej
łóży zauważył kilku starych, bardzo z pańska wyglą-
dających mężczyzn, ubranych po balowemu, którzy
z zajęciem przyglądali się tańczącym. W jednym
z nich poznał Leon P., owego słynnego pisarza,
u którego był z listem polecającym po swoim przy-
byciu do Paryża. Ukłonił się prawie machinalnie
i zdawało mu się, że P. robi mu jakieś znaki i przy-
zywa do siebie. Lecz tak był zajęty myślą dostania
się na Glacière, iż wybiegł do ubieralni, porwał
swoje palto i wypadł na ulicę.

Biegł długo ulicami, nie mogąc nigdzie znaleźć
dorożki. Wydostał się wreszcie na plac Trinité i za-
czął się z całym natężeniem wpatrywać się w prze-
strzeń. I przypomniał sobie ową noc śnieżną, podczas
której z Wilhelminką na tym samym placu upatry-
wał także z upragnieniem pojawienia się dorożki.

Bezwiednie przystanął i oparł się o balustradę
w tem samem miejscu, na którym pod puchem śniegu
pytał bezradnie ślicznej panny.

— Cóż my pocniemy?

Deszcz ustał, lecz wilgoć była przejmująca
i Leon drżał cały. Posepnie patrzył w flisy trotuaru

i nie czuł odwagi iść dalej. Nagle, posłyszał ja-
kieś ciche kroki.

Ktoś szedł wolno, z widocznym wysiłkiem. Ten
ktoś zgarbiony przeszedł mimo Leona i postępował
koło balustrady w dół Paryża. Leon najdokładniej
poznał w idącym Władka. Chłopiec widocznie także
wraczał na Glacière a wracał z wysiłkiem, bo szedł
wolno a nawet chwilami zatrzymywał się, jakby dla
nabrania oddechu.

Leon miał ochotę krzyknąć „Władek!“ — lecz
głos zamarł mu w piersiach. Tylko przygasł okiem
śledził postać chłopca, niknącą w ciemnej przestrzeni.

I równocześnie przyszła na niego jakaś refle-
ksya, zastanowienie.

Na słowach głupiego waryata, narwańca, niena-
widzącego Wilhelminę, ufundował cały gmach oskar-
żeń i podejrzeń, krzywdzących jej część dziewczęcą.

Czy pojawienie się jego na Glacière, w tej
chwili, nie wywołałoby w Wilhelminie tak wielkiego
a zresztą słusznego oburzenia, iż zerwać by mogła
cały węzeł, jaki ich łączył. — Odjechała widocznie
wzburzona, lepiej przecież dać jej uspokoić się i na-
zajutrz poprosić o wytłómaczenie owego odjazdu.

I Leon sam przed sobą w ten sposób uspra-
wiedliwiać zaczął swoją niechęć udania się na Gla-
cière. — Nawet lęk go ogarniał przed możliwością
spojrzenia Wilhelminie w tej chwili w oczy. Lęk
przed „sceną“, przed jej łzami, wymówkami...

Możliwość zdrady odsunął zupełnie od siebie
i teraz czuł tylko nienawiść do Władka, który rzu-
cił ten cień na uczciwą i czystą dziewczynę.

Myśląc tak, oderwał się od balustrady i powra-
cał poprzednią drogą do sali balowej. Tak wielką

była jego przemoc nerwów nad wyobraźnią, że dochodząc, miał wrażenie, jakby rzeczywiście powracał z Glacjery, gdzie widok śpiącej spokojnie Wilhelminki uspokoił go zupełnie.

W sali tymczasem bal wrzał w całe jędrze.

Kończono właśnie tańczyć kadryla i gdy Leon stanął we drzwiach, prawie imponujący widok przedstawiały te zwarte szeregi pań i panów, tańczące w takt marsza, jak wojsko gotujące się wesoło do boju.

Tylko policyjanci znużeni i znudzeni stali wciąż przy wejściu do sali, gotowi do interwencji zbrojnej w razie jakiegokolwiek „awantury“.

Z bufetu płynął straszny hałas i kłęby dymu. Tam leżało niebezpieczeństwo kompromitacji i Leon, który przed chwilą stehórzył przed Wilhelminką, miał ochotę stehórzyć także i przed... bufetem. Lecz wejść musiał, pokazać się należało koniecznie.

Nagle posłyszał, że go ktoś woła po nazwisku. Obejrzał się — po nad nim była właśnie balustrada łoży, w której siedział P. w otoczeniu kilku siwych i z pańska wyglądających mężczyzn. Obok P. z oznakami pewnego szacunku, stał Stroński i to on właśnie widocznie na żądanie P. przywoływał Leona do łoży.

Leon zbliżył się do balustrady i uklonił się pisarzowi, który jowialnie, grzecznie ku niemu się przechylił.

— A, prosimy pana prezesa tu, na parę słówek... do nas! — wyrzekł z uśmiechem.

Równocześnie Stroński uklonił się i wyszedł z łoży. Mijając się z wchodzącym do łoży Leonem, nie wyrzekł ani słowa, tylko miał na ustach lekki ironiczny uśmiech.

Leon uśmiech ten zauważył i dobrze w pamięci zanotował.

— A no... ładny bal... — zaczął P. podając Leonowi rękę — przyszedłszy wszyscy — oto i hrabia Leszcz i baron Farenzberg... Nie żałujemy, bo ładnie mówili poezje i śpiewali. Dobrze, że nasze i swojskie... A to pan teraz niby prezes? co?

Leon wzruszył ramionami.

— Nie jestem żadnym prezesem — wyrzekł — ale czuję się w obowiązku, w imieniu komitetu, złożyć panom podziękę za zaszczytowanie nas swoją obecnością...

Powiedziawszy te słowa, uczuł się zły sam na siebie, za wypowiedzenie ich. Poważni panowie jednak widocznie byli radzi z tej grzeczności młodzieńca, bo przyjaźniej i łaskawiej spojrzeli nań i zaczęli z wielkim zainteresowaniem wypytwać się o dochód z przedstawienia i w jaki sposób zostanie użyty.

Lecz P. przerwał im i przywoławszy Leona bliżej ku sobie, wyrzekł, wskazując siedzącego w oddali pułkownika Montalemberta:

— Powiedz że mi, mój młody panie... co ta figura tu między wami porabia?

— Kto?

— A no... ten wysoki, siwy — z czubem a la Rochefort, z miną wojaka... ha?

— To... pułkownik Montalembert.

Hrabia Leszcz, siwy i niezmiernie otyły mężczyzna, z wyrazem wielkiej finezyi w siwych małych oczkach, roześmiał się cicho, ale niezmiernie ironicznie.

— To... pułkownik?... a jakiego pułku... chyba szulerów, albo takich panów w pelerynkach...

Giestem głowy wskazał na agentów policyjnych. Leon uczuł zimno, które mu przeszło plecy.

— Pułkownik Montalembert miał mowę na obchodzie narodowym w listopadzie, w sali Towarzystwa Geograficznego. Mówił pięknie i porywająco. Zawsze i wszystkim zaznacza swą miłość dla Polaków i daje nam dowody nieklamanej sympatii...

— Oh! oh! — śmiał się hrabia, nie tracąc ani na chwilę dobrego humoru.

— Przytem... pułkownik brał udział w powstaniu, bil się...

— I gdzie to? gdzie? — pytał hrabia.

— Nie wiem... zapomniałem... A zresztą... pułkownik ma krzyż legii honorowej. Niech panowie spojrzą — na czerwoną wstążeczkę w butonierce...

Ten ostatni argument pobudził już do wielkiej wesołości hrabiego Leszcza, P. i barona Farenzberga.

Wszyscy mieli czerwone wstążeczki w butonierkach i wszyscy śmieli się wesoło.

Leon zaniepokojony, patrzył na nich nieomal błagalnie, tak ten uśmiech szarpał mu serce.

Kto jest ten pułkownik? od kogo brałem na wydawnictwo pieniądze? Boże! Boże!... myślał.

Rozległy się dźwięki mazura.

— Mazur! mazur!... — westchnął hrabia — zawsze co nasze, to nasze...

Na dole, jakby iskra przebiegła przez salę. Z bufetu cisnąć się zaczęły rozmaite, trochę chwiejne postacie. Mężczyźni biegali po sali. Panowało wielkie zamieszanie. Farbach latał w swej czamarcie, ślizgając się po podłodze, która barwą przypominała podłogę stajenną.

Pod lożą ktoś przeprowadził Jabłońską.

Baron Farenzberg wychylił się i w ślad za aktorką patrzył.

— Rasowa kobieta! — wyrzekł z miną człowieka, który z obowiązku zna się na kobietach i koniach.

Lecz P. znów towarzyszków swoich przywołał do porządku.

— Czekaścież — wyrzekł — poprosiliśmy tu pana, aby go ostrzedz. Należy więc to niezwłocznie uczynić. Otóż — hrabio, powiedz, co wiesz o tym... pułkowniku.

Hrabia odwrócił się ku Leonowi, co mu przyszło z pewną trudnością, z powodu nadmiernej tuszy.

— Ja go znam — wyrzekł cicho i nagle, poważniejąc dyskretnie — ja go znam z Turcyi. Byłem tam po powstaniu. On mieszkał w Konstantynopolu, miał dom gry i — ładną żonę. Nudziliśmy się trochę, więc zaciągnięto nas tam. Byliśmy raz i drugi. Opatrzyliśmy się w sam czas, że to ordynarna spelunka... Uciekliśmy. Wtedy Aurier — bo on się nazywa Aurier, żył na wysokiej skale, dom prowadził bogato. W kilka lat później zgłasza się do mnie w Paryżu, nędzny, obdarty. Błaga, aby go odwiedzić. Idę na ulicę Mouffetard, zastaję nędzę, barlog — żonę obłąkaną, zamkniętą w maluchnej kuchence. Zostawiam trochę pieniędzy — odchodzę. Daleko później idę przez bulwary z Andrieux, ówczesnym dyrektorem policyi, przechodzi Aurier — ja mu się kłaniam, bo cóż? czemuż się nie mam uklonić. Andrieux mnie chwytą za rękę.

— Komu się pan kłaniasz? moim agentom? Prawda, że Aurier jest inteligentny i zręczny, ale kłaniać się mu, to trochę za dużo.

Opowiedziałem wtedy Andrieux, jak i gdzie poznałem owego pana. Prefekt policyi widząc, że powątpiewam o prawdziwości jego słów, dodał, iż Aurier nazywa się w tajnej policyi *le nez cassé**) i obecnie jest dodany do ambasady rosyjskiej w charakterze tropiącego agenta...

Na czoło Leona wystąpił pot.

Nie mógł ani na chwilę poddawać w wątpliwość słów hrabiego. Leszcz był znany jako człowiek bardzo „seryo” — i od tej poważnej postaci plotki zdawały się być bardzo dalekie. Leon ujrzał przed sobą całą, straszną przepaść, w jaką wpadł. Hejnał utrzymywany i wydawany kosztem agenta, będącego kreaturą rosyjskiej ambasady!

Tymczasem hrabia i jego towarzysze zajęli się głównie tem, co się działo na dole sali. Mazur już szykował się do boju. Pary stawały zbite w jeden kąt sali. Aranżer ochrypłym głosem numerował je i słychać było od czasu do czasu.

— Dwie ósme pary... potem — dwie dziewiętnaste... i tak dalej.

Jeden z doktorów, specjalista-okulista — dobrze pijany, podskakiwał na środku sali, bijąc w obcasy. Koło niego stała Jabłońska i śmiała się swobodnie, patrząc na jego piruety.

Leon widział to wszystko jak przez mgłę. Chciał pytać dalej Leszcza, chciał teraz mieć jak najwięcej szczegółów, dowiedzieć się o całym ogromie ciosu, jaki spadał na niego, a nie śmiał. Kurcz go chwytł za gardło, cierpiał niewypowiedziane męki.

*) Przełamany nos.

Nagle, Montalembert przesunął się tuż około ich łoży. Przez chwilę ukośne jego świdrujące oczy spotkały się ze wzrokiem Leszcza.

Hrabia śmiać się zaczął.

— Patrzenie, poznał mnie... ale nie kłania się, nie wie, co zrobić...

— Ukłoń mu się hrabio — wyrzekł P. — zobaczmy, jak sobie postąpi.

Lecz Montalembert już odchodził, przyspieszając nieznacznie kroku. Tylko ramiona ściągnięte w górę, wskazywały, że uczuł się tropionym i odkrytym. Szedł mimo to ku Zagórskiemu, który zdecydował się wreszcie opuścić bufet i wejść do sali.

— Cóż to! czy i on będzie tańczyć mazura? — spytał P. śmiejąc się ironicznie.

— Może... — odparł Leszcz — dla wzbudzenia entuzjazmu w kolonii nauczyli go skakać w ambasadzie. Nas zawsze można wziąć na piękne słowa, *pas* mazurowe i konfederatkę nasadzoną na ucho. Oni o tem w ambasadzie wiedzą.

Baron Farenzberg wmieszał się do rozmowy.

— Ale — gdyby tak znalazł się ktoś odważny i wyrwał mu książeczkę policyjną, którą taki agent ma zawsze przy sobie w kieszeni, byłoby to fatalne dla niego. Musiałby miejsce stracić i odsiedzieć więzienie za niezręczność.

— Phi!... — odparł Leszcz — przedewszystkiem do tego dojść nie może. Taki pan ma zawsze nabity rewolwer przy sobie i pierwszej zastrzeli, zanim pozwoli komuś wydrzeć sobie książeczkę. To wielkie ryzyko... Ale patrzcie, patrzcie, już zaczynają mazura...

I przechyliwszy się przez baryerę, starzec z najwyższym zajęciem śledził ów taniec, ze wszystkich tańców najwięcej energii i szerokiej poezyi w sobie mający.

Lecz gdy cała masa tańczących pobiegła krokiem mazurkowym w kąt sali, drzemający koło drzwi agenci powstali, spojrzeli na biegnących i obaj — jakby pociągnięci za sprężynę, rzucili się w stronę tańczących. Nie dobiegli jeszcze do kąta sali, gdy cała grupa tancerzy zwartym kłębem w holupcach i tupaniach przebiegła mimo nich i poleciała jak wichur w stronę drzwi.

Na samym przodzie pędził podcięty okulista z Jabłońską u boku. Lecieli i tupali, śmieli się, a on z głową pochyloną naprzód wykrzykiwał.

— Dziś, dziś, dziś — jutro! jutro!...

Agenci zawrócili się i popędzili w ślad za tańczącymi, ale ci odbiwszy się o ścianę i o drzwi, znów zmienili kierunek i teraz lecieli jak trąba powietrzna ku scenie. Agenci rozwiali pelerynki i znów biedz zaczęli, wołając:

— Messieurs! messieurs! aretez vous done!

Ale jęci mazurkowym szaleń, wołań tych nie słyszeli i obiwszy się o scenę, znów pędzili w stronę drzwi, tupiąc, podnosząc tumany kurzu, rozdzierając suknie, gubiąc kwiaty...

Agenci zatrzymali się na środku sali, niepewni i niezdecydowani — wreszcie po chwilowej naradzie — rozstawili szeroko ręce i machali niemi, zatrzymując w ten sposób pędzącą ku nim nawałnicę tancerzy.

Pierwszy potknął się o nich okulista i zdziwiony, podrygując, zapytał, jakim prawem wstrzymują wszystkich na środku sali.

Lecz agenci oświadczyli, iż obowiązkiem ich nie dozwalać awantur w lokalu publicznym. A ponieważ musiała się wydarzyć awantura, bo wszyscy latają, jak szaleni, z kąta w kąt sali, więc oni są zmuszeni interweniować i proszą, aby im opowiedzieć, co się stało, a nie kazać im latać za sobą, bo oni na to nie mają ochoty!

Długą chwilę trwało, zanim okulista wytłómaczył agentom, że to nie awantura, ale taniec narodowy, *danse national* — i że tak zwykle się biega po sali, zanim się rozpocznie „figury“.

Agenci przekonani, ustąpili i znów cała chmara popędziła tryumfalnie z tupaniem, holupcami, w tumarach kurzu, w stronę sceny, a głos okulisty rozlegał się coraz donośniej:

— Dziś! dziś! dziś! jutro... jutro...

W łóżu poważnych panów zajęto się teraz zupełnie mazurem. P. zwrócił się tylko do Leona, który bardzo błądzą stał już koło wyjścia, gotując się do zejścia na salę.

— A gdzie nasz młody baron? czy nie tańczy?...

— Nie widzę go — wyrzekł Leszcz.

— O! on jest za poważny do tańca — dorzucił Farenzberg.

— Bardzo... bardzo miły człowiek... tyle taktu ma w ułożeniu — chwalił P.

— Tylko nie wiem z jakich on Strońskich — odparł Leszcz — to dobra rodzina i wiem, że baronie mają, ale... chodzi mi o to, kto jego matka z domu.

Leon, mimo swego pomieszania, zrozumiał, że to o Strońskim była mowa. Więc ów pan socyalista międzynarodowy w razie potrzeby ubierał się w tytuł „barona“.

Tak — ten miał... takt i umiał się obracać na świecie.

Na Leona nikt już nie zwracał uwagi — mazar rozwijał się pięknie — koło formowało się — skręcało, uwijało, rozwijało — a Leszczowi rozjaśniała się tłusta i prawie biała twarz starego arystokraty.

— Śliczny taniec... — szeptał z westchnieniem.

Leon wyszedł z łoży i wydostał się na salę.

Co miał teraz uczynić? Czy iść wprost do Montalemberta i wyrzucić go z sali? Czy rozgłosić, że ten pulkownik, który „brał udział w powstaniu“ i mówił tak pięknie, jest agentem rosyjskiej ambasady, płatnym szpiegiem na korzyść Rosyi!

Lecz kto mu zaręczy, że wtedy Montalembert głośno nie rzuci mu w twarz, iż on, Leon, tak długo istnieje jedynie za pomocą jego pieniędzy i że za te wrogi — rosyjskie, szpiegowskie pieniądze, wychodzi „Hejnał“ — organ socyalistyczno-narodowej partii?

— Och! tego nie chce Leon, od tego choćby kosztem życia pragnie się ocalić... On jest czysty, on wie o tem, ale „Hejnał“ związać z takimi pieniędzmi, to już rzucić cień, już plama błota choćby bezwiednie rzucona.

— Dziś, dziś, dziś, jutro, jutro!... — woła przelatujący, jak cherubin, koło Leona pijany okuliś. Leon patrzy na tańczących.

Lecą, lecą koło niego radośni, upojeni.

Czego się cieszą ci ludzie? Zagrano im, dano dużą stajnię z zabłoconą podłogą, pozwolono im bić o obcas i podnosić pięty do wysokości pasa. I to wszystko wprowadza ich w zachwyt, odurza, każe zapominać, że tam w kraju nie wolno dziecku uczyć się we własnym języku, że na zapadłej mogile „pięciu poległych“ nie wolno złożyć garstki kwiatów, że cytadela istnieje jeszcze, a w nią jak w otchłań wpadają od czasu do czasu młode serca, opięte w ciemno-zielone studenckie mundurki.

— Dziś, dziś, dziś!...

Tak „dziś“ całe krepą zasnutę, krepą, co się od stu lat dokoła sere owija.

— „Jutro! jutro!“ — woła półpiany mazurzysta.

— Och!... to jutro!...

Leon błędząc, szuka Montalemberta. Musi go znaleźć, chce mu spojrzeć w oczy, chce mu cicho kazać wyjść, usunąć się preez, powiedzieć mu, że on, Leon, policzy się z nim jeszcze.

Lecz Montalemberta nie ma już na sali. Znikł, może jest w bufecie.

Leon boi się jeszcze jednego ciosu. Lęka się, czy P. i Leszcz nie opowiedzieli Strońskiemu, kim jest Montalembert. Jeżeli Stroński dowiedział się o jego szpiegowskiej misyi, jakże zapatrywał się na ową poufalskość, z jaką Montalembert chodził z Leonem po sali. Leon nie lękał się, aby Stroński podejrzewał jego patryotyzm, lecz bał się uchodzić za głupca.

A głupcem czuł się w tej chwili Leon, głupcem, który dał się omamić całej masie czecznych frazesów,

udanych lez i rozczeń i to do tego stopnia, że związał się ze szpiegiem tajemnicą pieniężną. I nagle mróz przebiegł jego ciało. Montalembert w ostatnich czasach przesiadywał często w drukarni, gdzie się „Hejnał“ drukował. Leon zajęty Wilhelminką, nie miał czasu przepisywać nadsyłane mu często i z kraju manuskrypty... Montalembert mógł fotografować, kalkować...

Tak, tak nawet przypomina sobie, że raz znalazł na ziemi kawałek cieniuchnej kalki, pasek waziotki i instynktownie zdziwił się, co ta kalka mogła w drukarni robić...

Śmiertelna trwoga ogarnęła Leona. Iluż on ludzi mógł skazać na zatrąę... ilu ludzi!

Mazur rozwinął się z taką werwą, iż zdawać się mogło, że ani jeden obcas nie ostanie się przed tą energią. Jabłńska latała z rąk do rąk z obszarpanymi fałdami u spódnicy, koleżanka Rosenduft miała rozplecioną kosę, koleżanka Rosenzwaig poodrapany łokieć, na koleżance Kosztupajtys pantofle cudem się trzymały.

Inne doktorki filozofii i „przyrodniczki“ skakały jak wróble na nitce. A nad wszystkimi hałasami dominował rozkrzyczany okulista, który bił teraz na tłum tańczących głową, jak taranem i krzyczał w niebogłósy:

— Dziś, dziś, dziś — jutro, jutro!

Nagle Leon uczuł się pociągnięty za łokieć.

Obok niego stała Mazia.

— Proszę pana! idź pan do bufetu.. Tam Chodziki jest zupełnie pijany. Stroński i jego klika z tego korzystają i naśmiewają się. Ja sobie z nimi rady dać nie mogę.

Leon wszedł do bufetu i od razu całe zdenerwowanie i śmiertelny niepokój, jaki miał w sobie, skoncentrował się w nim z ogromną, wybuchową siłą. Nienawiść dla Strońskiego była tu punktem, koło którego skupiła się cała jego wewnętrzna męczarnia. Widząc grupę ludzi w jednym z kątów bufetu i słysząc ochryply głos Chodzika, rzucił się tam z szaloną szybkością.

— Przepraszam! przepraszam panów!... — wycharczał, prawie usuwając internacjonalistów, którzy okrażyli stół, po za którym siedział zupełnie pijany Chodziki.

Gdy Leon znalazł się tuż koło stołu, miał przed sobą Chodzika, a obok niego siedzącego Strońskiego, który zwrócony twarzą do śpiewaka pieśni „Ujrzałem raz“, zdawał się wbrew swemu zwyczajowi bawić wesoło. Jego ponura, brzydka twarz była rozjaśniona uśmiechem, wilcze zęby błyskały wśród warg spieczonych. Oczy połyskiwały i cała postawa była drwiąca, rozbawiona, ironiczna. Niedaleko stał i ten śmiał się choć dyskretnie, ale śmiał się niewątpliwie — inni internacjonalisci widocznie wyzywali Chodzika, wyciągali go na koncepta i popisy, czemu Chodziki poddawał się chętnie z miną zadowolonego ze swej galeryi aktora.

W chwili, gdy Leon stanął przy stole, Chodziki opowiadał, jak on zamierza pojawić się na granicy Rosyi.

— Przyjadę... przyjadę na granicę... — mówił, wodząc dokoła zbiełymi oczami — i gdy mnie żandarm o paszport zapyta, powiem mu, całuj psa w nos kanalio... a potem pokażę mu kuferek i powiem znów

„nieść! nieść!“... — niech niesie pies jeden za mną kuferek...

Rozparł się — ujął pod boki i dodał:

— Tak, przejadę granicę! powiem... nieść!

Lecz Leon przerwał mu i rozkazująco zawołał:

— Wstańcie no — i chodźcie ze mną za kulisy. Potrzebni mi jesteście do robienia obra-
chunku.

Lecz Chodziki popatrzył na Leona szklanym wzrokiem.

— Nie mogę odejść od panów! — wyrzekł, obracając z trudnością językiem — panowie mnie grzecznie zaprosili, więc trudno im niegrzecznością płacić... potem... ja muszę pilnować bufetu...

— Musicie iść tam, gdzie ja wam każę! — zawołał Leon, czując wzrok Strońskiego i jego towarzyszy zwrócony na siebie.

— A bo to prawda! — rzucił ironicznie Chodziki.

Leon zrozumiał, że wdając się w dalszą dyskusję z Chodzikiem, może doczekać się jawnej niesubordynacji ze strony pijanego brutala, a chciał uniknąć tej śmieszności za jakąkolwiek cenę.

Postanowił więc pozostawić Chodzika w spokoju i zwrócił się ku Strońskiemu, który milcząc i nie zmieniając postawy, wciąż przy stole siedział.

— Nie wiem... — wyrzekł Leon wyzywającym i urywanym głosem — nie wiem, czy do honorowych i szlachetnych uczynków zaliczać należy, gdy kogoś mającego słabą głowę, trzeźwi ludzie dla zabawy poją, a potem wyciągają na żarty i drwiny.

Stroński uśmiechnął się szyderczo.

— Jeśli to do nas stosujecie — wyrzekł powoli i z nadzwyczajnym chłodem — mylicie się... Wasz towarzysz był już pijany, gdy przyszedł do bufetu, a komedje, które wyprowadza, nie są przez nas wywołane, ale przez jego wewnętrzne usposobienie i stan jego inteligencji. My temu nie jesteśmy winni, że pan Chodziki jest takim, jakim jest...

Ten ten podciął Leona, jakby uderzenie szpiczuty. Oparł się o stół zdeterminowany na wszystko.

— A ja czynię was odpowiedzialnymi za to, co się tu dzieje...

— To źle — odparł Stroński — ja was nie winię ani za postęпки Chodzika, ani za obecność... niektórych osób... Tak los widocznie zrzęda...

Oczy ich spotkały się teraz przez chwilę. Leon czytał w źrenicach Strońskiego aluzję do obecności Montalemberta.

— Ja odpowiadam za to, co wywołuję! — zawołał dumnie — i was czynię odpowiedzialnymi za wywołany skandal. Na próżno się wywijacie. Czy to w waszych zasadach leży zrzęcać ze siebie odpowiedzialność za spełnione postęпки?

Stroński wstał i zapiął szczelnie surdut.

— W naszych zasadach leży — wyrzekł wolno i dobitnie — unikanie skandalów i burd na balach i hula-
tykach. Wy, widzę, nie napróżno nosicie miano „narodowców“... Nie możecie się wyzbyć tego rodzaju przyjemnych tradycyjnych zwyczajów...

W Leonie krew zawrzała. Zapominając o godności, rzucił się naprzód. Chciał porwać Strońskiego za szyję, lecz ten usunął się i z nieustającą zimną krwią odezwał się.

— Chodźmy !... tu nie jeden pan Chodziki jest niepoczytalny.

Leon uczył, iż go ktoś bardzo silnie trzyma za rękę i nie puszcza za odchodzącymi. Była to Mazia, która nerwową siłą przytrzymywała go na miejscu, nie pozwalając mu na rozgłaszanie skandalu.

— Jutro mu pošlesz pan sekundantów! — szepnęła do ucha z przedziwnym taktem kobiety, wiedzącej, w jaki sposób uspokoić można rozszalałego ze złości człowieka.

Leon patrzył, jak za odchodzącymi internacjonalistami zamknęły się drzwi bufetu. Mały, wąski pokój był teraz pusty — bo wszyscy tłoczyli się we drzwiach sali, przypatrując się tańczącym. Przy stole spał Chodziki z głową opartą na rękach. Jakże go strasznie nienawidził w tej chwili Leon, jak chętnie byłby go obić i sponiewierał za uczy-niony wstyd i skandal.

Przed nim stała Mazia, lecz i ta wydała mu mu się natrętą i zbyt uczynną w tej chwili. Ulgą tylko była mu myśl pojedynku ze Strońskim. Ulgą i jakąś dziką radością.

Tak — bić się, bić za jakąkolwiek cenę i to na śmiertelnych warunkach. Wreszcie — mieć go będzie przed sobą tego znenawidzonego wroga, który wpędził go w matnię Montalemberta, zmuszając go do walki, w której Leon mógł zginąć, nie mając żadnych materyalnych środków.

Leon cofnął się do drzwi kuchennych i wyszedł z bufetu, pragnąc pozostać sam ze swymi myślami. Przeszedł przez kuchnię i udał się do teatralnych garderób.

Otworzył jedną i podkręcił ćmiący się gaz. — Usiadł na krześle i oparł głowę na desce, służącej aktorom za stół. Gaz syczał donośnie. Zresztą cicho tu było i chłodno.

Chwilę Leon tak siedział nieruchomy i znów rozpoczęła się w jego sercu śmiertelna męka na myśl sytuacji, w jakiej się obecnie znajdował. Co począć z Montalembertem? Należało zerwać w tej chwili — lecz i Hejnał przestanie wychodzić. Jeżeli zaś Stroński domyśla się czegośkolwiek — czyż to zaprzestanie wychodzenia Hejnału nie będzie potwierdzeniem jego domysłu?

A ci ludzie tam w kraju, nadsyłający z całą ufnością do redakcyi manuskrypty — może teraz siedzący w turmie, a ci ludzie... och!

Zaszeleściło coś u wejścia.

Leon poznał głos Jabłońskiej i okulisty.

— Dajże mi pan pokój — mówiła aktorka — przynieś mi pan lepiej wody... Oka otworzyć nie mogę! Wybiłeś mi pan łokciem oko!...

— To z animuszu... królowo! — tłumaczył się doktor.

— Ładny animusz, oko mam spuchnięte, suknię oberwaną...

— Jeśli oczko wypłynie, wstawię drugie, szklane, mam nawet w domu kilka nieużywanych... dobierze się... królowo... nie gniewaj się... przebaczyć...

Rzucił się widocznie na kolana, bo podłoga aż jęła.

— Daj mi pan pokój!... ja muszę suknię sobie naprawić!

— Naprawimy! a jak pani zechce, ja dla pani rozwiodę się z żoną, uciekniemy, będziemy szczęśliwi...

Jabłońska rzuciła się w kurytarz i otworzyła drzwi do garderoby, w której siedział Leon.

— A pan tu? niech pan patrzy, co ze mną ten doktor powyrabiał...

Aktorka miała jedno oko podbite, suknię oberwaną, włosy rozrzucone. Mimo to była ładna a może ładniejsza, niż dawniej.

Pochyliła się nad lustrem i przyglądać się zaczęła swojej fryzurze.

— Ładnie wyglądam...

Leon patrzył na nią i na drogie kamienie, które migotały w jej uszach i na spięciu ramion...

Pomyślał, iż gdyby ta dziewczyna zechciała dać dla sprawy jeden swój koleczyk, Hejnał mógłby wychodzić jeszcze jeden rok bez pomocy Montalemberta, a on, Leon, mógłby oczyścić się w ten sposób z zarzutu pieniężnych konszachtów z agentem ambasady. Tymczasem Jabłońska, wyjęła z kieszeni pudeleczek z pudrem i pudrowała się przed lustrem, uśmiechając się sama do siebie, rada ze swej urody i ze swych świecideł.

W drzwiach garderoby stał pomięty, spocony, spracowany doktor i rozkochanymi oczami patrzył na plecy aktorki.

— Królowo! — bełkotał — daruj, ja się rozwiodę...

Przez otwarte drzwi słychać było mazurówką, muzykę, hałas, tupanie nóg, szum sukien.

Z kuchni dolatywał brzęk szkła i talerzy. A Leon stał wtulony w kąt garderoby i serce w nim z niepokoju i rozpaczki konało.

IX. Dalszy ciąg rozdziału poprzedzającego. — Pojedynek. — Sekundanci. — Odszczepieństwo Farbacha. — Władka. — Montalembert.

Nazajutrz późnym rankiem zbudził się Leon i z ciężkością otworzył powieki.

Na podłodze, obok siennika, leżał rozciągnięty Chodzik i spał w obrzydliwy sposób. Usta miał szeroko roztwarte, cerę twarzy zgnilo-zieloną, odzienie poplamione i zniszczone. Zwinięty jak wiewiórka, na drugim sienniku, drzemał Farbach, także odziany i odwrócony twarzą do ściany.

Słońce całymi strumieniami płynęło wewnątrz pokoju. Lecz — strawieni nocną hulanką i bezsennością ludzie, byli nieczuli na złoto słonecznych promieni. Trawili swe pijaństwo po zwierzęcemu, „odsypiając“ hołupie i wypite kieliszki.

Leon oparł się na łokciu i zaczął powoli przypominać sobie wypadki dnia wczorajszego.

Po chwili wszystko z fatalną dokładnością zarysowało się w jego umyśle. Teraz — przypomniał sobie Montalemberta, pojedynek — wreszcie klótnię z Wilhelminką, lecz to — postawił na ostatnim planie. I nie zadziwił się nawet, jak wobec spraw partyjnych i honorowych kobieta zmalala i stała się niczem. Postanowił pójść do Wilhelminki, żądać od

niej wyjaśnienia, w razie potrzeby nawet przeprosić, ale przedewszystkiem musiał się udać do Passy — rozmówić z Montalembertem, napiętnować go, jak szpiega, a potem zająć się sprawą ze Strońskim.

Wstał, nerwowo podniecony i usiłował zimną wodą ochłodzić palającą twarz. Napróżno... krew biła mu do głowy całą falą. Wreszcie, oprzytomniał nieco i zbliżył się do stołu. Zaraz zauważył, iż papiery nie leżały tak, jak je ułożył poprzednio.

Już kilkakrotnie spostrzegł ten nieporządek, lecz nie zwracał na to uwagi. Od wczoraj jednak stał się podejrzliwy i ostrożny. Zaczął zbierać wszystkie świstki i podszedł do kuferka, w którym chował swe papiery. Ze zdziwieniem dostrzegł, iż kuferek jest otwarty. Papierów jednak nie brakowało. Widocznie zapomniał zamknąć, nie innego.

Nagle — na podłodze, dostrzegł świstek i schyliwszy się po niego, przekonał się, iż był to jeden z listów, odebranych z kraju za pośrednictwem Londynu. Ktoś więc przewracał w jego papierach, skoro jeden świstek wyrzucił na ziemię. Ogarnęła go wściekłość i trwoga.

Czyż nawet w domu był otoczony szpiegami?

Wzrok jego padł na Chodzika i Farbacha i mimo wszystko, nie mógł i nie chciał podejrzewać ich o ten brudny postępek. — Byli to głupcy i próżniacy, ale nie ludzie podli. Ktoś jednak był blisko niego, który go tropił nawet w domu.

Kto jednak, kto?

Leon pobiegł do łóżka i na stoliku za książkami zaczął szukać rewolweru. Wiedział, iż miał tam rewolwer ukryty i chyba nikt oprócz niego samego o tem ukryciu nie wiedział. Lecz i rewolweru

nie było w skrytce, urządzonej z kilku książek. Widocznie osoba plondrująca po domu ukradła i rewolwer.

Drzwi wchodowe otwarły się cicho.

Stał w nich Władek, bardzo blady i bardzo zmieniony. Miał jednak wyraz twarzy bardzo zdecydowany i energiczny. Stojąc na progu, obrzucił smutnem spojrzeniem Leona, poczem wszedł i drzwi zamknął za sobą.

Leonowi na widok Władka targnęło się serce. Przypomnił sobie swój wczorajszy czyn brutalny i brzydki, lecz równocześnie jakieś podejrzenie zbudziło się w jego duszy. Kto był ten chłopak zuchwały, a psio uległy, zagadkowy, tajemniczy, snujący się dokoła niego tak, jak poprzednio snuł się dokoła Grzegorzewskiego.

I Leon bez zastanowienia dłuższego poskoczył ku chłopcu i porwał go za rękę.

— Słuchaj! — zawołał — kto przewracał mi w moich papierach?

Władek nie zmieszał się, tylko odparł:

— A... pan wie... wreszcie, że pan spostrzegł! Lecz Leon nie chciał znów uchodzić za głupca.

— Nie mów... wreszcie — krzyknął — ja dawno wiedziałem, co się święci, ja dawno to już spostrzegłem, ale chciałem się dowodnie przekonać. Dziś mam dowód!

Nagle z siennika podniósł się Farbach i zaczął ku drzwiom zmierzać — lecz Władek mu drzwi zastąpił.

— Proszę nie uciekać — zawołał — teraz się wszystko wyjaśni. Pan Leon się przekona, z kim właściwie ma do czynienia.

Lecz Farbach porwał swój kapelusz i odtrąciwszy na bok Władka, wyrzekł wyniośle.

— Dajcie mi pokój! ja mam dosyć tego wszystkiego!

Wyszedł spiesźnie, trzasnąwszy drzwiami.

Władek poskoczył ku Leonowi.

— Dlaczego pan go puszcza — zawołał — dlaczego? przecież to on plondrował w pana papierach. Ja nieraz to widziałem...

— Milcz! — krzyknął Leon — nie zrzucaj swej winy na kogo drugiego. Ty i tobie podobni zawsze tak postępują, skoro prawda się wykryje.

— Co? co? pan... mówi że...

Władek cofał się ku ścianie — źrenice jego rozszerzały się w fatalny sposób.

— Mówię, że to ty, a nie kto inny przewracał w moich papierach.

— Ja!... o Jezu!...

— Ty, który jesteś niewiadomo kim, może nasłanym, aby mnie tropić, szpiegować, donosić na mnie i na moich... ty — co mnie prześladujesz swoją usłużnością tak, jak dawniej prześladowałeś Grzegorzewskiego...

Władek wyciągnął błagalnie ręce.

— Niech pan tak nie mówi! niech pan tak nie mówi! — powtarzał zbielełymi ustami, lecz Leon był nieubłagany. Z całą nienawiścią rzucał Władkowi te słowa, które mógł być mówić do Montalemberta, do całej sfery szpiegów, których obecność czuł teraz wyraźnie dokoła siebie. Zapominał, że ma przed sobą niedorosłe chłopię, ale znalazłszy wreszcie ujście tej nienawiści, która go dręczyła, dawał folgę, nie bacząc, że może czynił źle i niesprawie-

dliwie. Przytem błękitne oczy chłopca, które miały zawsze właściwość drażnić go fatalnie i teraz, zamiast łagodzić, podniecały tylko jego wściekłość.

— Niech Pan tak nie mówi! — powtarzał ciągle Władek.

— Milcz... nie skowycz — krzyknął Leon — ja wiem, co mówię. Tyś mi rozrzucił papiery, tyś mi ukradł rewolwer...

Posłyszawszy ostatnie słowo, Władek podniósł głowę.

— Papierów nie dotknąłem, na to przysiądz mogę. Papiery pańskie przeglądał pan Farbach często, pan Chodzik także to widział. Rewolwer zaś... ja... wziąłem.

— Ty? po co? aby mnie zastrzelić?

Władek uśmiechnął się przez łzy.

— Pana? ja panu zrobić jaką krzywdę!... Boże... ja przecież pana tak kocham.

— Że aż mnie okradasz i szpiegujesz! Wynos się stąd... wynos, słyszysz!...

Twarz Władka pobladła trupio. Oczy z błękitnych stały się prawie ciemnymi.

— Pan mnie wypędza, jako szpiega i złodzieja?

— Tak!... jako szpiega i złodzieja...

Zapanowała chwila ciszy. Słychać było tylko przyspieszony oddech Władka. Leonowi było jakoś nie swojo, jakby popełniał bardzo zły uczynek.

— Oddaj mi rewolwer... — wyrzekł wreszcie, odwracając się do okna — oddaj mi rewolwer i wynos się na cztery wiatry.

— Ja panu oddam pański rewolwer — odpowiedział cicho Władek i wysunął się z pokoju.

Leon stanąwszy przy oknie, usiłował sobie przypomnieć, jakie kompromitujące dokumenty miał w owym kuferku, i aż drgnął, gdy przypomniał sobie, iż kiedyś wrzucił weń telegram pneumatyczny, otrzymany od Montalemberta, w którym pułkownik zawiadamia go, że pieniądze na lipiec odebrać może nazajutrz. Leon chciał spalić ów telegram, ale na razie nie miał zapalek i schował kartkę do kufra. Tak, tak, przypominał to sobie dokładnie. Należało czemprowadziej sprawdzić, czy ów telegram był na swoim miejscu.

Leon podszedł do kufra i przyklęknął na ziemi, aby go otworzyć.

Nagle, pod samymi drzwiami, dał się słyszeć wystrzał i równocześnie prawie ktoś oparł się silnie o drzwi z głuchym jękiem.

Leon zmartwiał z przerażenia i chwilę poostał nieruchomy, wreszcie porwał się i do drzwi pobiegł. Otworzył je z trudnością i po za niemi znalazł leżącego na ziemi Władka.

Chłopak był nieprzytomny. Gdy Leon podnosił go z ziemi, z fałdów kurtki wyleciał rewolwer.

Leon zrozumiał, że Władek chciał się zabić pod progiem jego mieszkania.

Jedna tylko myśl ogarniała teraz umysł Leona. Ukryć ten wypadek za jakąkolwiek cenę. Wpadł do pokoju i rzucił prawie bezprzytomnego Władka na łóżko. Potem, wrócił do sieni i podniósł rewolwer. Z bijącym sercem nadśluchiwał, czy nikt z lokatorów nie zaalarmował się hukiem wystrzału. Lecz dokoła było zupełnie cicho. Kamienica była zamieszkała przez ludzi pracujących, a była to godzina pracy. Wreszcie i strzał był niezbyt głośny. Nawet

konsierżka stojąca w tej chwili na ulicy, nie słyszała go wcale.

Leon wpadł do pokoju, drzwi na klucz zamknął i do łóżka, na którym leżał Władek, się zbliżył.

Postępek Władka, jakkolwiek oczyszczał go z zarzutu szpiegostwa, nie wywarł na Leonie sympatycznego wrażenia.

Przeciwnie, ten bezprzytomny, zsiniały chłopak, brzydki w swym omdleniu, wydał mu się jeszcze wstrętniejszym. Należało jednak go ratować, posłać po lekarza....

Leon porwał za karafkę z wodą i przechodząc chlusnął obficie wodą w twarz śpiącego Chodzika. Ten, zachlepnął się, zachnął, ale zaczął się budzić, o co najwięcej Leonowi chodziło.

Teraz Leon zlewał wodą twarz Władka, który nie odyskiwał przytomności. Leon postawił karafkę i zaczął rozpinać odzież na szyi chłopca. Władek był bardzo lekko ubrany w koszulę ruską, zapiętą na boku szyi. Krwi nie było widać nigdzie, ale kurtka była przestrzelona na lewym ramieniu.

Leon zaczął nabierać przekonania, że kula musiała uwięznąć w ramieniu i pragnął się przekonać. Odpiął guzik koszuli i nagle cofnął się zdumiony.

Dziewczyna!

Potok słonecznego światła padł na pierś dziewczęcą, lekko zaróżowioną, nieśmiałą i piękną.

Leon cofnął się i ręce bezwiednie złożył, jakby prosił o przebaczenie. Wczoraj uderzył tę kobietę, dziś ją maltretował, zawsze był dla niej złym, podłym, niegodziwym...

Z podłogi podniósł się Chodzik, rozczochrany, straszny.

— Co się stało? — spytał ochryplym, przepitym głosem.

Ten głos otrzeźwił Leona.

— Władek się postrzelił... — wyrzekł — biegnijcie po doktora.

— Władek się postrzelił? — zadziwił się Chodzik — a to cymbał!... patrzcie... no! no!...

Powstał, przeciągnął się i zaczął ku łóżku zmierzać.

— A cóż sobie postrzelił? nos? ucho? — pytał — ja się znam na ranach, ja opatrzę!

Lecz Leon jednym ruchem łóżko przed Chodzikiem zasłonił i nasuwając koszulę na piersi dziewczyny, wyrzekł:

— Nie potrzeba... Idźcie w tej chwili po Mazię!

— Po Mazię? lepiej po Barumewajga

— Po Mazię, wam mówię!...

Chodzik wyszedł, mrucząc i Leon pozostał sam z zemdloną dziewczyną.

Teraz ogarnęło go jakieś wielkie wzruszenie. To, co było dla niego wstrętne, ta usługowość, ta psia uległość, te głębokie oczy, wpatrzone w niego z uwielbieniem, stawały się dlań zrozumiałe i zamiast drażnić, rozrzewniały go prawie.

Delikatnie, ostrożnie, ujął głowę dziewczyny i podsunął pod nią poduszki. Natarł jej skronie odrobiną octu, otworzył szeroko okno i patrzył teraz na nią zupełnie inaczej, jak poprzednio.

Była to więc dziewczyna, i to dziewczyna w nim zakochana. Bo Leon instynktem odczuł teraz tę wielką miłość i przypominając sobie najdrobniejsze szczegóły, nabierał coraz więcej tego przekonania.

Te drobne subtelne a tak kobiece postępowanie Władka, te kwiatki biedne, tanie, zjawiające się na stole, ta dbałość o każdą wygodę, ta wielka pobłażliwość dla jego przykrego charakteru a zwłaszcza to odczuwanie jego smutków, gdy mu na duszy było smutno, czyż to nie były wystarczające dowody prawdziwie kobiecej miłości, którą czuć musiała ta przebrana dziewczynka dla niego.

Ileż razy, gdy wracał do domu zdenerwowany, zgnębiony, Władek patrząc nań, mówił cichym głosem:

— Jak panu musi być smutno!...

Nikt go tak nie odczuł, nikt, ani Wilhelmina wiecznie strojna, powierzchowna, błyszcząca, ani Mazia w swej żałobie pograżona. — Jeszcze ta ostatnia rozumiała jego patryotyczną duszę, ale tej ludzkiej, tej zwykłej struny, co to jęczy, boli, nie posłyszał nikt, oprócz tej sponiewieranej przez niego dziewczyny.

I nagle Leon ujrzał, jak przed nim zaświeciły dwie duże modre źrenice.

Władka przychodziła do przytomności i otworzyła oczy a błękit ich teraz był tak piękny, tak jasny, tak czysty, że Leon aż doznał olśnienia.

— Co mi... co to? — wyszeptala.

Lecz Leon uśmiechnął się zakłopotany i odsunął się kilka kroków od łóżka.

— Nie... nie... panna Mazia zaraz przyjdzie.

Dziewczyna chwilę leżała w milczeniu, jakby przypominając sobie wszystko, i nagle z wielkim bolem wymówiła:

— Ach!... tak... już wiem, wiem!

I dwie strugi łez puściły się z jej oczów.

Leona lzy te zabolaly, jak ostrze sztyletu.

— Proszę nie płakać!... — wyrzekł błagalnie
— proszę, to wszystko minęło. Ja p ani wierzę...
niech pani będzie spokojna!

— Pa... ni?...

Dziewczyna uniosła z wysiłkiem głowę i spoj-
rzała w oczy Leona.

Zrozumiała, i splonęła tak wielkiem wstydem,
że cała była, jak zorza poranna.

— Och! — wyrzekła — pan... wie...

I instynktownie chciała zacisnąć na piersi ko-
szulę, lecz równocześnie wydała straszny jęk, strza-
skane ramię odmówiło posłuszeństwa i Władka wśród
leż i rumieńców powtórnie zemdląa.

Dojeżdżając do domu, zamieszkanego przez
pułkownika, gorączka Leona coraz bardziej się
wzmagała.

— Bylebym go tylko zastał! — myślał, ści-
skając trzymany w kieszeni rewolwer.

Chciał na tym płatnym śludze pomścić się za
wszystko, co mogło go przez rozkazy „tych z góry“
teraz spotkać. Serce biło mu gwałtownie, gdy wbiegł
na wschody, nie pytając się konsierżki, czy pułko-
wnik jest w domu. Przypadek posłużył mu jednak.
Właśnie Montalembert ubrany w stare i zniszczone
palto, bez wstążeczki w butonierce, wychodził za
drzwi swego mieszkania. W rękę trzymał nie dużą
walizkę. Wyglądał jak człowiek, wybierający się
w podróż. Zobaczywszy Leona, cofnął się, zmieszał,
lecz to trwało krótką chwilę. Natychmiast odzyskał
zimną krew i powracając do dawnego tonu, zawołał
ze zwykłą serdecznością w głosie:

— Dzień dobry młody człowieku! cóż cię spro-
wadza nazajutrz po balu do papy Montalemberta!

Leon drżał cały, tak go ten widok i głos dręczyły.

— Ja muszę z panem pomówić! — wyrzekł
głucho.

— Proszę... proszę... jestem gotów zawsze na
rozkazy! — wyrzekł Montalembert, usuwając się
i wskazując kurtuazyjnie drzwi wejściowe.

Leon przeszedł próg — gdy go przestąpił je-
dnak, poczuł zimny dreszcz, jakby po za plecami
miał całą sforę agentów policyjnych francuskich.
Czuł, iż gra ta jest nierówna, i że on jest śmiesznie
mały i żaden wobec potężnej instytucji, której re-
prezentantem był Montalembert. Lecz cofać się nie
mógł, nie chciał. Pragnął nawet choćby poledz
z ręki Montalemberta. Jadąc, ułożył sobie plan wy-
darcia pułkownikowi owej książeczki policyjnej. Tym
odważnym czynem zrehabilitowałby swą przyjaźń z tym
człowiekiem w oczach całej kolonii.

Tak — tylko to pozostało mu do uczynienia.

— Proszę cię... młody człowieku, wejdź do sa-
lonu — ja zaraz ci służę!

Wszedł jednak z Leonem razem i patrząc się
ukośnie z pod brwi zsuniętych, widocznie starał się
z badać wyraz twarzy Leona.

Gdy weszli — Leona od razu uderzyła pustka
tego mieszkania. Kurz leżał całymi warstwami, za-
duch panował jak w piwnicy. Montalembert prosił
grzecznym giestem, wskazując fotel.

— Usiądź mój młody przyjacielu, zdejmę palto
i jestem na twoje rozkazy.

Ton jego mowy oprzytomnił Leona i podniecił
jego rozdrażnienie. Twarz Montalemberta wydała mu

się w tej chwili twarzą jakiegoś potwora, czyhającego na zgubę całej partii. Krew nabiegła mu do głowy. Miał wreszcie przed sobą, oko w oko, sam na sam jednego z tych, co za pieniądze sprzedają, szpiegują, tropią... Och!... ta cała sfera skoczyła mu teraz na kark i podniecała do zemsty.

Wyciągnął drżące ręce, pochwycił szpieła za kłapy palta i potrząsnął nim gwałtownie.

— Ty... szpiegu! — wycharczał.

Montalembert szybkim ruchem lewą stronę odzieży zasłonił, przyciskając ją do siebie.

Był to instynktowny ruch agenta, broniącego swej „książki“, prawą rękę chciał zanurzyć w kieszeni palta. Lecz Leon ruch jego uprzedził i porwał go całą siłą za tę rękę, która szukała morderczej broni, tak, że ruchy mu zupełnie sparaliżował. Miał w tej chwili ogromną siłę waryata, który jest w stanie stawić czoło dziesięciu ludziom naraz.

Montalembert brwi zmarszczył, usta przygryzł i badawczo jeszcze raz w twarz Leona spojrzał. Widocznie wyczytał w niej tyle szalu, tyle determinacji, iż nie mógł uczynić nic innego, jak tylko salwować się ucieczką.

Spokojnie, bez śladu trwogi w głosie zapytał.

— Młody człowieku! co ci o mnie nagadano?

— Szpiegu! — powtórzył Leon.

Montalembert uśmiechnął się smutnie.

— Byłem pewien, widząc cię wczoraj w tem otoczeniu, że jakaś nowa nikczemność zostanie przeciw mnie uknuta. Powiedziano ci zapewne, że ja jestem szpiegiem — że ja działałem podstępnie na waszą zgubę... co?

— Tak! — krzyknął Leon — powiedziano mi całą prawdę. Wiem, kto jesteś... wiem i wszystkim to dowiodę.

Rzucił się ku Montalembertowi, lecz ten skrzyżował ręce na piersiach i o te skrzyżowane ręce, które niby zdawały się wyczekiwać z rezygnacją ciosu, a w gruncie rzeczy broniły dostępu do kieszeni surduta, obił się Leon jak o mur niedostępny.

— Młody człowieku! — wyrzekł Montalembert z nadzwyczaj zimną krwią — zastanów się... co ty robisz!

Leon chciał wyciągnąć z kieszeni rewolwer, lecz błyskawicznie przyszła mu myśl, iż broń wyzwie broń, a wtedy cel jego nie zostanie dopięty. Rzucił się więc ponownie na Montalemberta, charcząc:

— Ja cię... ja cię...

Lecz agent stał ciągle niewzruszony, silny, chłodnie swemi siwemi oczami patrząc na szalejącego chłopca. Nie drgnął nawet, gdy Leon starał się odciągnąć jego ręce od piersi, tylko twarz jego przybrała wyraz wielkiego smutku.

— Och! młody człowieku! — wyrzekł — jak mnie to boli, że moje dowody życzliwości są niczem w twoich oczach. Jestem obecnie bezbronnym starcem. Możesz mnie nawet zabić. Nie sądź, że będę się bronił. Jeżeli masz broń — strzelaj! Może cię w ten sposób przekonam, jak jesteś względem mnie niesprawiedliwy.

Ręce Leona opadły. Ten człowiek imponował mu swoim spokojem. Gdyby szarpał się z nim i nawet strzelał, podnieciłby go do walki. W ten sposób największą nawet energię zabić można. Nerwy Leona

mimo jego woli, uspokajały się. Montalembert odgadł to łatwo wielką przenikliwością policyjną, wspartą wieloletnią rutyną. Nie sądził jednak, iż bezpiecznem jest rozkrzyżować ręce i w ten sposób odsłonić piersi. Stał ciągle w tej samej pozycji, lecz głos jego nabierał coraz smutniejszych i głębszych tonów.

— Ja wiem... wiem... kto mnie oczernił przed tobą — mówił, nieznacznie cofając się ku drzwiom, prowadzącym do dalszych pokoi. To... Leszcz... on mi darować nie może... zresztą! to smutna honorowa sprawa... stanąłem w obronie mej żony... dziś... on mści się na mnie... Ja dowiodę co mówię... dowiodę... Ja mam jego list, pisany do mej żony, który przejąłem... I to za swe nieudane zabiegi, mści się na mnie ów pan hrabia... Ale ja udowodnię... ja ci przyniosę list, pokażę...

Był już teraz w progu drzwi i bez pośpiechu nacisnął klamkę i uszedł.

Gdyby Montalembert wszedłszy do drugiego pokoju drzwi zamknął za sobą, Leon natychmiast byłby się rzucił za nim w pogoń, lecz on drzwi zostawił otwarte i tylko nerwowe urywane słowa rzucał — szukając zda się owego dokumentu, który miał go uniewinnić.

— Tak!... tak!... to mu się już dwukrotnie zdarzyło... Wczoraj źle zrobił, że nie ostrzegł Leona, co ci panowie o nim mówić będą... on wszystko przewidział...

Głos pułkownika cichł powoli; Leon teraz stojąc na środku pokoju czekał na pojawienie się Montalemberta. Cekał — nie dlatego, aby wierzył w jego niewinność, ale chciał znów znaleźć jakiś bodziec, który pozwoliłby mu rzucić się z wście-

kłością ponowną na szpiega. Nerwy jego bowiem słabły coraz więcej i razem z tem osłabieniem ginęła energia.

Nastąpiła teraz cisza.

Leon przez długą chwilę nie zdawał sobie nawet i z ciszy tej sprawy. Zdawało mu się, że tak być powinno, że cisza ta jest konieczna.

Stał, patrzył — czekał i myśl jego coraz więcej rozplywała się w niepewności. Chwilę zamajaczyła przed nim Władka, którą pozostawił pod opieką Mazi i Barumcwajga, słyszał jęk dziewczyny, gdy sondę zapuszczano w ranę, potem coś zaszeptало mu wspomnieniem Wilhelminy i znów — nicość, cisza, spokój...

Nagle przypomniał sobie wszystko i wrócił do równowagi.

Gdzież jest Montalembert? co robi tak długo w tamtym pokoju? Może się otruł, zabił, powiesił — może gotuje się do jakiegoś skrytego napadu. Niepewność ta szarpnęła Leonem i pobudziła jego nerwy. Lecz równocześnie była mu za ciężką do zniesienia. Podbiegł ku drzwiom zdecydowany na wszystko — przekroczył próg i stanął zdumiony.

Pokój był zupełnie pusty, bez mebli — i w nim nie było nikogo. Na pozór nie było z tego pokoju żadnego wyjścia, lecz wzrok Leona padł na niewielką złotą plamę, świecącą się na pustej ścianie. Była to klamka od ukrytych w obiciu małych drzwiczek. Leon drzwiczki te pocisnął — ustąpiły. Po za niemi była ciemna alkowa. Z alkowy Leon wydostał się do kuchni małej także pustej i widocznie nigdy nie zamieszkałej. Drzwi prowadziły na schody. Leon

chciał je otworzyć, lecz napróżno. Zamknięto je z przeciwniej strony.

Leon przebiegł z powrotem wszystkie pokoje i wydostał się do przedpokoju. Rzucił się ku drzwiom wchodowym, lecz i te zamknięte były, a klucz wyciągnięto z zamku. Leon przez chwilę szarpał się, lecz poczuł, iż jego usiłowania są bezowocne i śmieszne. — Odstąpił od drzwi i powrócił do salonu.

Był złapany jak ptak w samotrzasku.

Ogarniała go złość, gniew, upokorzenie. Czuł, iż Montalembert go wywiódł w pole — iż on teraz oddała się z Passy, drwiąc sobie w duszy z niedoświadczonego i głupiego Polaka. O! jakże żałował, iż nie miał dość energii, aby od razu zastrzelić tę podłą gadzinę i w ten sposób choć pomścić się za to zło, jakie ona społeczeństwu wyświadczać mogła. — Teraz już było zapóźno. Należało tylko wydostać się z samotrzasku i wracać na Glacière. To było wszystko.

Leon otworzył okno i pochylił się na ulicę. Zaczął czatować na pojawienie się odźwiernej.

Wstydział się wołać na pomoc obcych ludzi, którzy mogliby żądać od niego wyjaśnień. Wreszcie zdawało mu się, iż wszyscy wiedzieć muszą, że to mieszkanie jest gniazdem szpiega i że płaci je prefektura policyi.

Czekał długo, nareszcie odźwierna zdecydowała się wyjść z sieni. Wyszedłszy, od razu spojrziała w okna mieszkania pułkownika i zobaczywszy Leona, z trudnością wstrzymywała się od uśmiechu. — Na ciche wołanie Leona odpowiedziała, jak osoba wtajemniczona w całą sprawę.

— Bien, bien, j'y vais !...

Widocznie pułkownik i stróżka trzymali się moralnie za ręce.

Wprędce drugi klucz, który może już służył nie raz w tych wypadkach, uwolnił Leona z pułapki. Leon zeszedł ze schodów, nie mówiąc ani słowa do odźwiernej. Instynktem zaczynał teraz odzuwać osoby, stojące w związku z policyą. Czuł, iż i ta kobieta należy do bandy.

Gdy przyjechał na Glacière, zastał Władkę śpiącą i niezmiernie wycieńczoną przebytem opatrunkiem. Przy oknie z książką siedziała Mazia.

Gdy Leon wszedł, Mazia przyzywała go skinieniem ku sobie. Cicho, podała mu list, który odebrała rano. Transport proklamacyi potrzebnych na oznaczoną datę do rozrzucenia w kraju, już szczęśliwie przeszedł granicę. Teraz należało podnieść go z wiadomego miejsca i rozwieść po kraju. Na to partya paryska musiała wydelegować emisariusza. Los padł tym razem na Paryż — i rozkaz przyszedł do Leona o wybór kogoś z partyi, który miał udać się do kraju.

Leon zastanowił się długą chwilę.

Kogo miał posłać na tę możliwą śmierć, na tę zatrutę, na tę przyszłość w Sybirskiej lodowni? — Przebiegł myślą swe otoczenie i każdego mu się żał zrobiło i nad każdą głową zawahał się niepewny i niezdecydowany.

Zwłaszcza teraz, gdy Montalembert wykradając a może fotografując rękopisy, znał poniekąd wszystkich i wszystkie, czyż ta zagłada emissaryusza nie była prawie pewnością?

I nagle usłyszał głos Mazi, cichy, lecz pełen prośby:

— Ja pojadę... pozwól mi pan pojechać!...

— Pani?

— Ja dawno chciałam pana o to prosić. Chyba zasłużyłam sobie na tę wielką nagrodę...

Leon pochwycił drobną rękę dziewczyny w swe ręce.

— Ale... pani nie wiesz, że jesteśmy otoczeni szpiegami. Jechać teraz, to wielkie, wielkie niebezpieczeństwo.

Mazia podniosła na niego swe wielkie, piękne, szlachetne oczy.

— A czy pan wiesz, że proklamacye nie mogą się znajdować długo w miejscu, gdzie są ukryte. Wszakże ci ludzie, którzy je przechowują, nie wiedzą, co mają u siebie. Należy jak najspieszniej uwolnić ich od tego niebezpieczeństwa. Inaczej... oni padną ofiarą...

— Więc pani chcesz iść na możliwą zgubę?

— Co znaczy moje jedno marne życie! Zrezygnuję pan nie wie... pan nie ma pojęcia, co się w mej duszy dzieje... Czasem śmierć bywa wielką ulgą...

Milczeli oboje, przed nimi, przez okno było dużo słońca i dużo jesiennego złota.

— Czy mogę jechać? — spytała wreszcie dziewczyna.

— Jedź pani — odparł Leon z westchnieniem.

Na łóżku z cichym jękiem poruszyła się Władka. Leon spojrzał na ranną.

— Kto... ona? — zapytał.

Lecz Mazia wzruszyła ramionami.

— Przysłało nam ją z Londynu. Wiem, że

długi czas chodziła po kraju, przebrana za chłopca. Zapalona głowa... nie chce nigdy powiedzieć kim jest w rzeczywistości. Podobno córka jakiegoś rosyjskiego oficera i Polki. Nie badajmy... to bardzo ładna i szlachetna dusza!

Drzwi otworzyły się, zaszeleściło, weszła Wilhelmina. Leon aż drgnął na jej widok. Tyle przeszedł od rana, że zapomniał po prostu o jej egzystencji. Złakł się na chwilę, lecz Wilhelmina z czarującym uśmiechem podała mu rękę, pytając:

— Jakże się spało po balu?

Leon przygotowany był na wszystko, na sceny, na płacze, na wymówki, ale nigdy na dobry humor i na uprzejmość. Nie mógł się nawet na razie zdobyć na odpowiedź, ale Wilhelmina zwróciła się ku śpiącej Władce i zdumiona spojrzała pytającym wzrokiem na Mazię.

Ta, cicho i w krótkich słowach wyjaśniła Wilhelminę o tem, co zaszło, i znów zdumienie Leona wzrosło, gdy posłyszał, jak Wilhelmina, grożąc mu palcem, wyszeptwała wesoło:

— No... no... ręczę, że to z miłości dla pana ta mała waryatka strzeliła do siebie... Co za bałamut!...

Zbliżyła się do łóżka, poprawiła poduszki, przestawiła szklankę z wodą, wyjęła z za paska bukiecik fiołków i złożyła je na koldrze.

— Cześć zwyciężonym! — roześmiała się cicho.

Jakaś sztuczna, niemila atmosfera zapanowała dokoła. Mazia milczała i patrzyła spokojnie przez okno. Leon nie wiedział, co począć z tym „dobrym humorem“, tak bardzo rozdaśanej jeszcze wczoraj

narzeczonej. Czuł jednak, iż powinien się usprawiedliwić, dlaczego nie był u niej od wczoraj.

— Tyle miałem do czynienia... — zaczął się tłumaczyć, lecz ona przerwała mu z wesołą ironią:

— Spodziewam się... panny zabijają się u pana pod progiem...

— Więc pani wiedziałas, że Wladek to...

Wilhelminka ramionami wzruszyła.

— Mój drogi, — wyrzekła z grymasem — tylko ty możesz być tak naiwny, aby nie widzieć tego, co się w oczy rzuca. A toż ślepy byłby spostrzegł, że to kobieta... Zresztą, nie wierzę, ażebyś tego nie dostrzegł...

— Zaręczam ci.

— O mój drogi — nie zaręczaj! Wygodnie ci teraz, gdy się wykryło, udawać, że nie wiedziałeś o niczem. — Zresztą... to już twoje usposobienie. Don Juan także nie był odpowiedzialny za swe postęпки...

Oczy Wilhelmini aż błysnęły złośliwie.

— Naturalnie — tu samobójczyni, tam... artystka, czy szansonetka — tu — narzeczona!... Ah! Dieu... co za profuzya... doprawdy, aż za nadto... szczególnie ta ostatnia, ta narzeczona chyba zbyt teczna...

— Jakto?

— Ja nie lubię być *dans le tas* — ale o tem jeszcze pomówimy. — Teraz uciekam! Jadę do Mendon!

— Sama?

Wilhelminka zawahała się.

— Nie... w towarzystwie. Może i pan z nami?

Lecz Leon przypomniał sobie o Strońskim, o konieczności posłania mu sekundantów i wyrzekł:

— Nie mogę — mam wiele zajęcia. Ale... chciałem zająć do ciebie wieczorem.

Wilhelminka spieszyła się już ku wyjściu.

— Ja nie wiem dokładnie, kiedy wrócę.

Leon przytrzymał ją za rękę.

— Chyba wieczoru w Mendon spędzać nie będziesz.

Ona dość zuchwale spojrzała mu w oczy.

— Dlaczego! cóż to ciebie obchodzić może.

— Daruj moja droga... ale...

— Ja się nie pytam, co robisz — ty. — Dlaczego więc mam ja być niewolnicą, skoro ty bynajmniej w postępowaniu swem się nie krepujesz... Wczoraj dałeś mi tego dowód.

Leon był rad, iż wreszcie Wilhelminka dotknęła tej kwestyi.

— Wczoraj! wyrzekł — byłaś niesprawiedliwa... chciałaś, ażeby postąpił niegrzecznie dla zadowolenia twojej fantazyi, dla czego więcej.

Wilhelminka zmroziła oczy, obrzuciła Leona chłodnem spojrzeniem i rzuciła mu przez ramię:

— A więc tak... nie chciałeś słuchać mej fantazyi — teraz pozwól, że ja nie będę słuchać twojej... Bądź zdrow.

I z szyderstwem wyszła z pokoju.

— Dlaczego pan za nią nie idzie? — spytała zdziwiona Mazia.

— Po co!

— Jakto — po co — pozwala pan jej odejść w tak nieprzychylnem dla siebie usposobieniu. To źle, to bardzo źle...

— Ja mam ważne sprawy do załatwienia — tłumaczył się Leon, lecz równocześnie czuł, iż nie tyle brak czasu, ile jakiś nieokreślony wstręt powstrzymuje go od przedłużania rozmowy z Wilhelminą.

Czuł, że ta kobieta nie stanowi części jego istnienia, że ona idzie obok niego a nie z nim razem i że to „obok“ zaczyna mu być chwilami ciężkie do zniesienia.

Zresztą, teraz całą uwagę wyteżył na wybór sekundantów. Czuł, iż Chodzika misją tą obdarzać nie mógł. Chodzik się zanadto skompromitował pijactwem. Należało wybrać Barumcwajga. Chwilę Leon zastanawiał się, czy nie wybrać również i Zagórskiego, lecz lękał się, aby Stroński zbytnio nie porozumiał się z Zagórskim. Wolał więc wziąć owego doktora, okulistę, który podbił oko Jabłońskiej na balu i który pomimo śmieszności cieszył się opinią bardzo porządnego człowieka.

W chwili, gdy Leon gotował się do opuszczenia pokoju, aby pojechać na ulicę Chateau do owego okulisty, otworzyły się drzwi i wsunął się przez nie Durosier.

Mazia szybko zasunęła firanki łóżka, aby ukryć leżącą Władkę.

Księgarz, socyalista, miał układną kocią minę i natychmiast przystąpił do powodu, jaki go tu sprowadził.

— Przychodzę, aby zapytać się w imieniu drukarni i mojem, co dalej będzie z waszem pismem?

— Dlaczego? skąd to pytanie? — porwał się Leon zdziwiony.

— Dziś zawiadomiono drukarza, aby wam nie kredytował, gdyż fundusze wasze są wyczerpane...

Tak mi mówił drukarz i prosił, abym do was się udał.

Na Leona uderzyły ognie. Widocznie Montalembert podcinał im grunt pod nogami.

— Kto to powiedział? — krzyknął — pismo nasze będzie dalej wychodzić na tych samych warunkach... Abonenci nasi nie odpadają, ale rosną... a my waszego kredytu nie potrzebujemy. Fundusze mamy...

— A tak!... to co innego... i Durosier przybrał układną minę — mówiono tak...

— Kto mówił? — nacierał Leon.

Lecz Durosier stał się jeszcze więcej tajemniczy.

— A... to już nie mój sekret... wydać go nie mogę... za nic! za nic!... tylko...

Zawahał się chwilę, wreszcie dodał.

— Drukarz powiedział, że nie będzie drukował bez zaliczki, musi mieć naprzód zapłacony cały numer.

— Będzie miał! — zawołał Leon zgorączkowany, — a teraz żegnamy pana, bo mamy jeszcze dziś dużo spraw do załatwienia.

Socyalista-francuz wyszedł, obrzucając Mazię i Leona jadowitem spojrzeniem. Dawno już odebrał owe pięćdziesiąt franków za tego sławnego Voltaire'a i teraz ciągle o ile mógł rozmaitemi podejściami wydłubał od partyi pieniądze.

Leon, jadąc omnibusem do okulisty, zaczął znów tonąć w materyalnych kombinacjach. Pozostał teraz bez żadnego funduszu z zobowiązaniami nad możność i siły. Lecz bądź co bądź Hejnał wychodzić musiał dalej, aby zadać kłam, gdyby wypadkiem rozeszła się wieść, skąd Leon do tej chwili brał pieniądze na swe wydawnictwo.

Położenie było rozpaczliwe i Leon głowę tracił w tym odmiecie, w który się coraz więcej pogrążać zaczynał.

Radlicki (nazwisko okulisty) przyjął Leona nadzwyczaj uprzejmie w lanskach i podskokach i wprowadził go do jadalnego pokoju, w którym pod piecem, owinięta szalem, siedziała młoda kobieta z włosami koloru słomy i z oczyma rozciętymi jak u japonki. Twarz jej była kredowej bledkości a usta szerokie i niemal żółte. Odziana w nieświeży biały kaftanik, siedziała, trzymając książkę otwartą na kolanach. Miała minę zadąsaną i gniewną. Meble w jadalni były kosztowne ale źle utrzymane, jedna szyba wybita, założona była poduszką, jak w chłopskiej chałupie. Na stole leżał grzebień i stał słoik konfitur.

— Nińczyś — zawołał Radlicki — przyprowadzam ci gości...

Lecz Nińczyś owinęła się tylko szczelniej szalem i wydała coś naksztalt mruknięcia, nie bardzo przyjaznego.

Radlicki zbliżył się ku żonie i zaczął pajacować, rozkładając ręce.

— Furt w złym humorze?... Nińczyś daj spokój, już się dosyć nadąsałaś. Daj spokój przy obcych.

— To ty mi daj spokój — fuknęła pani Radlicka. Odczep się odemnie!

Nagle zwróciła się ku Leonowi, obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem i wyrzekła dość uprzejmie.

— Niech pan siada!

— Ja... do was w osobistym interesie — tłumaczył się Leon do Radlickiego — to jest poufna sprawa.

Radlicka znów się dąsać zaczęła.

— Dlaczego ja nie mam wiedzieć, niech pan powie...

— Są rzeczy o których kobiety wiedzieć nie mogą.

— Gęsi nie kobiety — fuknęła Radlicka — ja należę do kobiet-ludzi... pan zapomina!

Radlicka była jedną z pierwszych studentek, które przyjechały do Paryża. Próbowwała medycyny, przyrody, prawa, wszystkiego po trosze i skończyła na złapaniu na męża, dającego się łatwo złapać Radlickiemu.

Obecnie rozpoczęła znów nowe studia — uczęszczała na „przyrodę“ i była w przedegzaminowej fazie, w której u tego rodzaju „studentek“ nerwy wybitną grają rolę.

Lecz Radlicki nie dawał się nigdy zbijać z tropu fochami żony. Zaprowadził Leona do swego gabinetu i tam, rozmówiwszy się o powodach przybycia, ucieszył się niezmiernie, dowiedziawszy się, iż ma wystąpić w roli sekundanta.

— Strasznie lubię — mówił, zacierając ręce — strasznie lubię tańczyć mazura i być sekundantem. To bardzo zabawne!... Chodźmy do Barumzwajga.

Wychodząc, wstąpili do jadalni, gdzie zastali panią Radlicką, jedzącą nożem konfitury.

Widząc męża ubranego do wyjścia na ulicę, „przyrodniczka“ wpadła w wielką furę.

— Gdzie idziesz? — zawołała — obiecałaś mi, że pójdziemy dziś do Luwru kupić na suknię...

— Nińczyś, jak Boga kocham, muszę iść z panem Orlickim — tłumaczył się okulista.

— Gdzie? do knajpy?

— Nińczyś, nie posądzaj niesłusznie, bo to boli. Ja idę w honorowej sprawie...

— O! o!... pojedynki? co?...

Lecz Radlicki, chcąc zamarkować swoją wielką dyskrecję, zaczął się śmiać z przesadą.

— Co znowu? Nińczyś... skąd ci taka myśl przyszła...

— Ano — odparła Radlicka — jakże to rozumieć te sprawy „honorowe“. Wy mężczyźni, to zawsze po balu macie jakieś honorowe historie. Zresztą mnie to nie nie obchodzi. Ja chcę tylko mieć nową suknię na egzamin... rozumiesz mnie... nową suknię...

— Masz tę wczorajszą...

Radlicka aż stuknęła nożem o stół.

— Co? wczorajsza stara i granatowa. A ja muszę siadać do egzaminu w czarnej, nowej i kłoszowej. Przez ciebie to ja nigdy nie zostanę samodzielną kobietą...

I projekt na „samodzielną kobietę“ zalał się łzami, a łzy spływały i kapąły do słoika, na którego dnie zółciło się trochę marmolady jabłkowej.

Radlicki złapał się za głowę...

— Wiesz, że nie mam pieniędzy... jak na złość ludzie ślepnąć nie chcą, a potem we Francji rachunki doktorowi płaci się na Nowy Rok...

— Egzamin nie będzie czekał do Nowego Roku...

— Siadaj do egzaminu w starej sukni!

Przyszła laureatka aż się zachlipnęła, tak uczuła się wzburzoną.

— Waryat jesteś... ja na bal pójdę w starej sukni, ale do egzaminu... przecież będą ze mnie brali

zdjęcia fotograficzne do *Soleil*. A jakże! Ja wiem o tem!...

I pani Radlicka, zjadłszy całą marmoladę, zaczęła lkać głośno i bardzo rozpaczliwie.

Radlicki pochwycił Leona pod rękę:

— Chodźcie! chodźcie! — głowa mi pęka. A ty Nińczyś otrzyj oczy i bądź spokojna. Już ja tam wykopię skądkolwiek trochę pieniędzy i suknię będziesz miała!

Wyszedłszy na wschody, dodał, pocierając czoło:

— Hm... nie żęńcie się nigdy ze studentką, bo to plaga egipska te wszystkie Sorbony. Już wolalbym, żeby grała na fortepianie i żeby mi uszy popuchły. — Strasznie, panie łaskawy, ciężko mężowi studentki, ho! ho!...

Lecz już na ulicy śmiać się zaczął, podrygiwać i wciągnął dwukrotnie Leona do kawiarni, pod pozorem, że mu dziwnie „w gardle zasycha“, a to jest niezmiernie dla całego organizmu szkodliwe.

* * *

Wieczorem — Leon oczekiwał na Barumcwajga i Radlickiego z sercem bijącym i nie mogąc dotrwać w pokoju, gdzie atmosfera karbolu była bardzo duszącą, wyszedł przed dom i chodził po trotuarze, wyęzając wzrok, czy nie ujrzy nadchodzących sekundantów.

Nagle z ciemniejącej ulicy wynurzyła się dorożka. Leon nie rozumiał, dlaczego serce w nim zakolało. Wiedział, że jego przyjaciele w dorożce nie jadą lecz przyjdą piechotą. W miarę zbliżania się dorożki niepokój jego rósł. Przytulił się do ściany domu tak, jakby pragnął ukryć się — zniknąć.

Mimo to wzrok wyteżył. Dorożka nie miała zapalonych latarni. Wewnątrz znajdowało się dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna. Kolana ich tonęły w jakiejś złotawej draperii. Przez opuszczone okna można było tylko dojrzeć niewyraźnie ich postacie pochyłone ku sobie. — Przejeżdżając mimo domu zamieszkiwanego przez Leona, kobieta niezmiernie szybko wychyliła się przez okno i cofnęła się zaraz w głąb powozu. — Leonowi zdawało się, że poznał Wilhelminę. Wyciągnął rękę — głos mu zamarł w piersiach. Dorożka jechała dalej, lecz bardzo wolno. Widocznie woźnica odczytywał numeru domów. Leon instynktownie zaczął iść za dorożką.

Powóz zatrzymał się przed domem, w którym mieszkała Wilhelmina. Nie było wątpliwości, to była — ona. Leon cofnął się w tę samą uliczkę, w której stał dawniej, śledząc purpurę bijącą z okien jej mieszkania.

Z dorożki wysiadła Wilhelmina w towarzystwie smukłego mężczyzny w jasnym palcie. Ubranie to poznał natychmiast Leon. — To był ten sam mężczyzna, który czekał w łożu odzwiernej pewnego wieczoru, ten sam, który szedł już dawno, jeszcze za życia Grzegorzewskiego ulicą i tak romantycznie śpiewał sentymentalną piosenkę. Oboje wydobyli z powozu całe pęki gałęzi osypanych żółknjącymi, jesiennymi liśćmi. To więc była owa draperya złota, w której ich kolana tonęły.

Widocznie więc razem jeździli do Mendon. Teraz od przystani statków wzięwszy dorożkę, wracali zgodnie, harmonijnie — wśród złota jesiennych liści — jak dwoje sympatyą związanych... kto wie — może w sobie zakochanych ludzi.

Francuz zapłacił dorożkarzowi, przyczem nie bardzo po dżentelmeńsku targował się o napiwek i podążył w ślad za Wilhelminą.

Gdy oboje zniknęli w sieni domu, Leonowi zdawało się, że ktoś zamknął pierwszy tom jego książki życiowej.

Wyszedł z uliczki i nie oglądając się po za siebie, w stronę swego domu iść zaczął. Miał pewność, że jest zdradzony, oszukany, zapomniany. Nie ogarniała go jednak zapalczywość ani wściekłość — nie. Duma jego tylko wzrosła nagle i pokryła mu sobą wszystko, cały ból, całe cierpienie. Było to dla niego wielkie szczęście, czuł to i uchwycił się tej dumy, jak zbawczyni, która mogła go uratować z rozpaczliwej toni. I dlatego też, gdy Barumewajg i Radlicki nadeszli wreszcie, zastali Leona bardzo bladym z ustami zaciśniętymi, z głęboką bruzdą na chmurnem czole. Sądziło, iż to niepokój o skutek ich negocjacji wprowadził go w ten stan, więc natychmiast Radlicki wykrzykiwać zaczął.

— Nie chce się bić, nie przyjmuje pojedynku!

Taka jest magiczna władza owych spraw pojedynkowych, iż w umyśle mężczyzny niweczą wszystko inne. Leon w tej chwili zapominał o Wilhelminie, o Francuzie, o świecie całym, tylko jedna, jedyna myśl go ogarnęła z punktem, około którego obracać się zaczęła.

Punktem tym — był pojedynek.

— Jakto, nie chce się bić? — zapytał.

— A no... szelma... kanalia... powiada, że on z z a s a d y nie uznaje pojedynków.

— Ależ to niepodobne! ja go zmuszę! ja go na ulicy obije... ja!...

— Cicho! — odezwał się Barumewajg — w ten sposób nie dojdziemy do niczego. Mamy do czynienia z bardzo groźnym przeciwnikiem. Zauważyłem to. Jest tam jedna rzecz, która mnie szczerze zaniepokoiła...

— Co? co?

— On ma taki niepocziwy uśmiech, gdy mówi o „Hejnale...” taki fatalny uśmiech!

Barumewajg pokręcił głową.

— Ja muszę się was koniecznie o coś spytać — wyszeptał prawie półgłosem — ujmując pod rękę Leona.

Po Leonie przebiegł dreszcz, poczuł, iż partya teraz zażąda od niego, aby wykrył, skąd brał fundusze na wydawnictwo...

— A ja mu dam w mordę i będzie miał zasady! — wrzasnął nagle okulista.

Barumewajg spojrział groźnie na podskakującego męża Niuciusi.

— Nie nie zrobicie na własną rękę — wyrzekł prawie rozkazująco — nie! Pamiętajcie, że tu wchodzi w grę cała partya...

— Ja do partyi oficjalnie nie należę.

— Ale pozornie dla ludzi należycie, więc musicie postępować karnie i logicznie.

Leon miał ochotę zaoponować przeciw tej uzurpacji władzy, jaką Barumewajg zaznaczał, ale był tak złamany, iż protestować nie mógł.

Lecz Barumewajg czuł widocznie, co się w leaderze działo, bo zwrócił się ku Leonowi i dodał.

— Zresztą, zastosujemy się do waszej woli!

Szli teraz wszyscy trzej ku ulicy Claude Bernard i wyszedłszy na nią, zaczęli iść trotuarem

w górę. Napotkawszy małą kawiarenkę, prawie jednocześnie zatrzymali się koło stolika i usiedli na krzesłach. Wszyscy trzej byli znużeni bardzo, noc była łagodna i dziwnie cicha. Chwilę w mileczeniu pili podane im piwo, wreszcie Barumewajg pierwszy przemówił.

— To darmo... oni się bić nie będą.

— Więc co począć? co? — spytał nerwowo Leon.

— Nie wiem... należy unikać skandalu. Teraz jednak my musimy posłać mu naszych sekundantów. Okulista aż podskoczył na krzesło.

— My? Bóje się Boga... a to po co, skoro się bić nie będą.

— Musimy. Obraził nas, nie przyjmując wyzwania naszego klienta. Jutro nasi sekundanci powinni być u niego.

— O Jezu!... — jęknął okulista — a skądże ich wezmę? Zresztą ja nie mam czasu, ja mam jutro dwie katarakty.

— Musi tak być, inaczej mogą nas ogłosić za tchórzy.

— A niech sobie głoszą... jak który to powie, to go tak w mordę strzelę, że ruski miesiąc popamięta...

— To nie jest honorowe załatwienie sprawy, zastanówcie się również nad wyborem sekundantów, aby kogokolwiek nie posyłać...

I zaczęły się teraz długie debaty nad wyborem sekundantów. Według Barumewajga należało usunąć przedewszystkiem Francuzów, aby nie wykazywać im, jaka „zgoda“ kwitnie pomiędzy Polakami. Lecz okulista uparł się, aby jego sekundantem był jego

przyjaciół aptekarz, który bardzo „imponująco“ wygląda. Drugim miał być Chodzik, którego pominąć nie należało bez wzbudzenia uwag nieprzychylnych dla jego stanowiska w partii. Barumewajg zaś postanowił prosić Zagórskiego i jednego z Polaków osiadłych na wsi pod Paryżem.

Posłyszawszy nazwisko Zagórskiego, Leon za-protestował żywo, lecz Barumewajg postawił się dość ostro i protestu nie przyjął. Leon zamilkł, gdyż uczuł jakiś bunt w Barumewajgu, jakąś wolę i energię objawiającą się nagle w tym łagodnym olbrzymie, naprzeciw którego czuł się jakby winowajcą.

Długo w nocy siedzieli tak przy stoliku kawiarńianym, trawiając czas na obmyśleniu zbiorowej rzeźni, która według kodeksu honorowego miała wszelkie pozory szlachetnego boju. Wreszcie mąż Niuniusi, wypiwszy jedynaście „boków“ piwa, powstał niepewny i chwiejny i zakonkludował:

— A jednak, prościej byłoby trzasnąć go w mordę i tyle...

Gdy Leon z Barumewajgem wracali na Glaciere, Leon oczekiwał stanowczego zapytania ze strony towarzysza.

Nie czekał na nie długo. Barumewajg ujął go pod ramię i wprost bez ogródek zapytał:

— Za jakie pieniądze wydawaliśmy „Hejnał“?

Leon miał ochotę wyznać całą prawdę, ale jakaś fałszywa duma nakazała mu milczeć. Zachnął się niecierpliwie i odparł:

— Za moje...

— Wyście biedni, nie macie nie!

— Nie waszą rzeczą jest roztrząsać moje sprawy. Pieniądze miałem i tłumaczyć się nie będę.

— Stroński twierdzi, że obecnie „Hejnał“ musi przestać wychodzić.

Leon cisnął się jak szalony.

— Stroński łże! Pojutrze „Hejnał“ wyjdzie i ja mu numerem jego łgarstwa w piersi wtłoczę!

Stanęli już przed domem, w którym mieszkał Leon. Barumewajg ujął rękę rozgorączkowanego chłopca.

— Pamiętajcie... — wyrzekł dziwnie poważnym i zmienionym głosem — pamiętajcie, iż w rękę waszym jest honor całej partii i zarazem... honor nas wszystkich! Dla dumy, dla ambicyi nie poświęcajcie siebie i... cześć naszej... proszę was!

I nie czekając nawet na odpowiedź Leona, odszedł z głową spuszczoną na piersi, jakby zdręczony całym nawalem przeczuć, jakie się za nim cisnęły.

Gdy Leon wszedł do swego pokoju, zastał znów Władkę śpiącą, a Mazię siedzącą z książką przy stole. Chodzik dumiał w kącie. Mazia powitała Leona i prosiła go, aby poszedł do jej mieszkania i tam zasnął. Lecz Leon odmówił. Pragnął uporządkować numer „Hejnału“. Chciał go wydać za jakąkolwiek cenę. Usiadł przy stole i unikając nawet szelestu, zaczął porządkować papiery i manuskrypty. Skonstatował zniknięcie książki, w której miał adresa abonentów. Widoczne było, iż Farbach przenosząc się do partii międzynarodowców, zabrał z sobą tę książkę. Leon zaczął z pamięci spisywać je znowu. Nagle wzrok jego padł na jakąś książkę, leżącą na stole. Były to nowelki narzeczonej Kreckiego. Machinalnie sięgnął po nie. Był tam adres:

„Szarocie“

Fabryka cukru.

Pomiędzy odbiorcami „Hejnalu“ zanotował bezmyślnie: Dyrekcję fabryki cukru w Szarociu!

Pisał długo w noc. Zapomniał o wszystkim. Pograżył się cały w jedynej namiętności, jaka go trawiła. Chciał, aby „Hejnal“ nie upadł, aby dalej wychodził, imponował, olśniewał swych wrogów. Nagromadził na ten numer tyle bogatego materiału, że rzeczywiście mógł imponować tym dobozem. Lecz gdy wszystko było gotowe, zatrzymał się z rozpaczą.

Skąd wziąć pieniędzy, już nie na dalsze wydawnictwo, ale choćby na ten jeden numer? Wydać go trzeba choćby kosztem życia, aby cisnąć go woczy Stróńskiemu i całej jego bandzie — zgłuszyć podejrzenia, gdyby się z powodu Montalemberta wkraść miały.

Lecz skąd wziąć tych pieniędzy?

I nagle — Leon posłyszał głos Mazi, która odłożywszy książkę, siedziała już czas jakiś zatopiona w myślach.

— Ja jestem pewna, że ta panna Jabłońska, to byłaby siłą, gdyby ją dla partyi pozyskać można.

Leon odwrócił się szybko.

Z całego zdania pochwycił tylko jedno słowo, jedno nazwisko — Jabłońska! i równocześnie zamigotały mu brylanty śpiewaczki, zadzwoniły jej bransoletki...

— Ona! Tak ona nie odmówi — do niej iść należy.

I prawie rad, prawie wesół zwrócił się ku zdziwionej Mazi.

— Jabłońska... o to bardzo, bardzo dobra kobieta... ona wszystko dla nas robi, jestem przekonany...

— Nie trzeba jednak działać zbyt porywczo... należy się dobrze zastanowić...

— Nad czym? — zaprotestował gorąco Leon — ja znam Jabłońską, ja doświadczyłem już kilkakrotnie jej uczuć... ja...

Lękał się, czy za wiele nie powiedział, lecz Mazia nie miała zwyczaju podchwytywać za słowa.

— Wydała mi się sympatyczną — wyrzekła z prostotą — szczęśliwa będę, jeśli ona pozostanie przy panu, gdy ja wyjadę. Panu tak jak Grzegorzowskiemu trzeba zawsze serca przywiązanej i chętnej do ofiar kobiety.

Żadne z nich nie wspomniało o Wilhelmince. Urok tego ładnego ptaszka o szeleszczących skrzydłach, zdawał się już niknąć stopniowo — jak wszystko, co jest z fantazji i puchu stworzone.

**X. Sekundanci. — Pojedyunki. — Zagórski. —
Zamieszanie w kolonii. — Jabłońska. — Posta-
nowienie zwolania honorowego sądu. — Pojawie-
nie się Kręckiego.**

Zagotowało się — zawrzało.

Wreszcie Glaciera ożywiła się.

Internacyjaliści poczuli się w obowiązku rozgłaszania, iż Leon przysłał Strońskiemu sekundantów a Stroński zadosyćuczynienia Leonowi odmówił. Widocznie mieli w tem jakieś wyrachowanie i szło im, aby cała kolonia dowiedziała się o tej odmowie Strońskiego.

I rozgłaszanie tych wieści odbywało się na pozór bardzo poprawnie, lecz widoczne były tu w grę wchodzące podsuwane myśli. Nie odwaga Strońskiego podawana była w wątpliwość, ale możność wogóle bicia się z Leonem. Opinia publiczna przechyliła się na stronę międzynarodowców. Bal już się odbył, od partyi Leona nie się więcej spodziewać nie należało. Stroński pociągał wszystkich swą pewnością siebie — Leon odpychał rozterką nerwową, która promieniowała od niego i wytrącała ludzi z równowagi.

Przytem Farbach nie próżnował.

Oderwał od czamarki pętlice, nasadził na głowę jakiś stary internacjonalistyczny cylinder, który mu

spadał co chwila na nos i spacerował po kolonii, zaczepiając każdego słowami:

— Pan wie... lub — pani wie — ja powróciłem do Strońskiego, ja porzuciłem ten „Hejnał“ — a państwo wiedzą dlaczego? Nie wiedzą? To ja powiem! Bo ja mam czyste ręce i czyste sumienie i ja się nie będę w błocie babrał...

I tu, przybierając tajemniczą minę, dodawał.

— I każdemu radzę, co ma coś do stracenia, niech od tych z „Hejnału“ będzie zdaleka!

Na razie nie mówił więcej, tylko, paląc dobre papierosy Strońskiego, oddalał się szybko. Lecz i to wystarczało. W przeciągu dwudziestu czterech godzin na Glacierz wrzało jak w garnku. Opowiadano sobie, że Farbach odkrył straszne, skandaliczne rzeczy w partyi Leona i musiał uciec, aby sam nie popaść w kałużę strasznej podłości. Niektórzy nawet przytaczali pewne fakty i wszyscy ubolewali nad sobą, iż dali się wciągnąć na ten bal, który dawała partya, tak silnie skompromitowana.

Wskutek tego wzruszenia urządzono kilka fikszów, na których wzrosło silnie konsumowanie suchych ciastek, sardynek i bułek. Stroński zaś trzymał obecnie dom otwarty, a posiadając samowar i kilka szklanek, zdał honory owych five o'clocków na Farbacha, który nie szczędził trudów i starań, aby gości podejmować uroczyście i z wielką gościnnością.

Tymczasem Leon — wczesnym rankiem wsiadł w omnibus i pojechał wraz z Chodzikiem na drugą stronę Sekwany. Leon udawał się do Jabłońskiej, Chodzik zaś miał iść do okulisty, aby porozumieć się z nim co do sekundowania w pojedyнку. Chodzik był bardzo rad, iż miał na sobie surdut Roberta.

— Będę mógł w anglezie wyzwać tego pana — mówił, napuszywszy się, jakby honor Wielkiej Brytanii dźwigał na swych barkach. — Zobaczycie, jaką mordę Stroński zrobi, gdy ja przed nim stanę i powiem... a teraz — my, we dwójkę laskawco!...

Leon nie odpowiadał nic, pogrążony w myślach. Zastanawiał się, jakimi słowami zdoła przemówić do Jabłońskiej, jak upozoruje swoje żądanie.

Szło mu o wydobywanie dwustu franków i teraz ta suma urosła w jego mniemaniu do szalonej potęgi. Nigdy nie zdoła przecisnąć jej przez gardło. Ognie były mu do skroni, gdy omnibus stanął na placu Clichy. Należało wysiąść.

Pożegnał się z Chodzikiem i szedł jak na ścięcie, szedł powoli, starając się opóźnić tę fatalną chwilę.

Nadeszła jednak konieczna i rzeczywiście fatalna.

Zastał Jabłońską nieubraną i w złym humorze. Widocznie coś nie szło po myśli aktorki, bo Jabłońska przywitała Leona z roztargnieniem, graniczącym z impertynencją. Prędko jednak opamiętała się i ujrzawszy jego twarz zmienioną, natychmiast zapomniała o swoich kłopotach, aby zająć się nim wyłącznie.

— Co panu? co panu? — pytała, częstując go czekoladkami, likierem, pomarańczami, pomimo wczesnej pory.

Ona jadła wszystko i zawsze, nie zważając ani na porę ani na higienę. Karmiła się jak zwierzątko po za kratami menażeryi.

I z dziwnym instynktem, właściwym kobietom, zaraz odgadła, że chodzi tu o kłopoty materyalne.

— Ja wiem, co panu! — zawołała. — Musicie mieć deficyt w kasie z powodu owego balu. To tak zawsze!... Często w teatrze do benefisu trzeba dołożyć. A jakże!... ja to znam.

I nie dając Leonowi czasu do odpowiedzi, zapytała, siadając z podkurczonymi nogami na kanapie:

— Ile wam brak? Co? Może się to jako załata.

Leon poczuł deskę zbawienia.

— Dwieście franków — wyrzekł prawie arogancko mimo, iż kurez go dławził w gardle.

Jabłońska, z miną niemal obojętną, sięgnęła po bombonierkę.

— Ja wam to dam... Właśnie mi wujcio przysłał na zapłacenie Viardot, ale ja wolę wam pożyczyć. Niech ta stara zaczeka.

I wyciągnęła ładną rękę, w której błękitniały dwie stufrankówki.

— Weźcie... a potem ja jestem wasza dłużniczka. Nie zapłaciłam za mój bilet wstępu na salę, a potem... jadłam i piłam coś w bufecie...

Leon wziął pieniądze i nerwowo miał je w ręku. Czuł, iż powinien powiedzieć Jabłońskiej, że to nie deficyt balowy miał być pokryty jej pieniędzmi.

Lecz w zdenerwowaniu swoim tracił poprostu logiczny sposób myślenia i milczał, choć czuł, że postępuje źle i nieprawidłowo.

Tymczasem Jabłońska terkotała dalej. Opowiadała o swoich lekeyach, o Paryżu, o tem, że ma nadzieję dostać się do Opery komicznej w Paryżu.

— Albo się zaangażuję w Warszawie do Małego teatru, do Śliwińskiego. — On mnie weźmie. Mam sztyk, potem będę nowością... Zobacz pan.

Gdy Leon wyszedł, był odurzony. Szedł szybko, gdyż miał wstąpić jeszcze do okulisty, gdzie miał znaleźć Chodzika. Wchodząc postyszał, jak Nińczyś śpiewała z Chodzikiem: Kochać to żyć, duet Campana:

Bo przyspieszonych serc dwojga bicie
To czar młodości, uroków świat!...

piszczała sorbonistka.

Bo miłość życiem — miłością życie
Kochajmy wiecznie — to szczęścia kwiat!

ryczał Chodzik.

I tak dalej — fortepian sobie, sorbonistka sobie, Chodzik sobie. Naprzeciw Leona wypadł okulista. Był wesół, rad, ale zmarznięty, bo zimno było przenikliwe w mieszkaniu.

— A co, jak śpiewają... — zawołał, zacierając ręce. — Od razu, jak się poznali, głosy ich się zgodziły... pyszności! słuchajcie...

• Kochać to ży-y-y-ć!

jęczał Chodzik.

Leon mimowoli porwał się za głowę. W kuchni służa walczyła z patelniami i czarny dym zalegał przedpokój. Cały dom robił wrażenie szpitala wariatów, albo przechodniej kamienicy.

— Głowa was boli? — pytał okulista. — Chodźcie do mego gabinetu. Dam wam antypiryny. Wczoraj się tam paliło, to jest trochę ciepłej...

Gdy weszli, Leon zdziwił się, ujrawszy siedzącego jakiegoś jegomościa, bardzo bladego, w długim czarnym surducie.

— *Mon ami monsieur* Durand — przedstawił okulista owego jegomościa i zaraz po polsku dodał:

— To mój drugi sekundant — ten aptekarz. Siedzi i czeka, aż Chodzik skończy śpiewać duet z Nińczyś, a potem pójdą wyzwać Strońskiego!

Leon usiadł na krześle i czuł, że brakuje mu po prostu sił, aby mówić cokolwiek. W tem otwarły się drzwi gabinetu i wkroczyła nie młoda dama, silnie czerwona, otyła, ubrana dość skromnie z włosami gładko uczesanymi u skroni.

Na jej widok aptekarz porwał się z miejsca i wybelkotał:

— *Maman!*...

Przybyła zwróciła się natychmiast ku okuliście i nader wymownie, ze zwykłą u Francuzek swadą przedłożyła, po co tu przybyła. Odrazu zmiarkowała, że Louis jest wplątany w jakąś aferę pojedyńkową, bo ona ma węch i wie dobrze, kiedy pojedynek tli pod pokrywką. Ale ona jest matką i ma obowiązek czuwania nad swym dzieckiem. Louis ma obowiązki, musi utrzymywać i ją i całą rodzinę, więc ona nie może pozwolić, aby Louis narażał się, a może jeszcze i życie utracił.

Lecz okulista rozłożył ręce i okropnym akcentem zaprotestował, dowodząc, że Louis będzie tylko sekundatem, niczem więcej. Lecz matka aptekarza odparła, iż kula może się zabłąkać i trafić jej syna, a w takim razie kto będzie ją utrzymywał?

Do rozprawy wniósł się Nińczyś i Chodzik, którzy skończywszy duet, stali w progu gabinetu już od kilku minut. Chodzik wystąpił z miną napuszoną, oświadczając, że on nie dozwoli błąkać się kulom pod żadnym pozorem i potrafi zawrócić każdą z drogi.

Lecz matka aptekarza potrząsała głową.

— Nie, nie, jej nikt nie przekona... ona na to pozwolić nie może — potem są afery z policją, Bóg wie co...

Jako konkluzję zaś dodała:

— *Louis, á la maison!*

Aptekarz wstał posłusznie i zmierzał ku drzwiom. Okulista był pełen komicznej rozpacz. Nińczyś wymyślała matce aptekarza. Chodzik mówił o posłaniu świadków aptekarzowi — we drzwiach pojawiła się służa i widocznie przyjmowała żywy udział w całej pojedynekowej akcji.

Wreszcie Louis i jego matka znikli we drzwiach, a okulista zadeklamował, iż pójdzie i poprosi Wimpfena, aby zechciał być jego sekundatem. Malarz mieszkał aż koło obserwatorium, więc należało się spieszyć. Nińczyś miała widoczną ochotę pojechać z nimi razem. Chodzik jej imponował i widocznie entuzjazmował. Gdy się dobili do obserwatorium, Chodzik miał już z Sorbonistką jakieś tajemnice i szepoty. Okulista zdawał się być z tego uszczęśliwiony.

— To... to... to... — mówił, zacierając ręce — niech się zabawi, rozweseli — to może zapomni o Sorbonie...

Gdy Leon rozstał się wreszcie z tą wesolą trójką, pobiegł do drukarni i tam uiścił z góry żadaną zapłatę. Gdy poczuł, że pozostało mu z tych pieniędzy Jabłońskiej tyle tylko, ile było potrzeba na ekspedycję — doznał wielkiego uczucia ulgi. Przytem ogarnęła go szalona radość na myśl, że choć ten jeden numer jeszcze ukaże się w druku. Przechodząc mimo domu, zamieszkiwanego przez

Strońskiego, miał ochotę zacząć krzyczeć głośno i wołać, iż pojutrze „Hejnał“ wyjdzie, że wychodzić będzie... Przed domem swoim zastał szpitalną lektykę, którą ludzie właśnie podejmowali ostrożnie z ziemi. Koło niej stała Mazia i zasłaniała firanki. Garstka ciekawych stała w oddaleniu.

— Kto to jest w tej lektyce? — spytał Leon.

Mazia cicho odparła:

— To... ona! Przenoszą ją do szpitala. Tam będą nad nią czuwać obcy jej ludzie, którzy nie wiedzą, że ona podawała się za chłopca... Ja muszę jutro jechać... nie mogłam ją przecież u pana zostawić...

— Czy ona jest przytomna?

— Tak — ale bardzo osłabiona. Niech się pan z nią nie żegna. Później pan do niej, do szpitala przyjdzie.

Ludzie podnieśli lektykę i cały ten orszak prawie żałobny, ruszył wolno, kierując się ku bulwarowi Arago. Leon patrzył za nim chwilę — wreszcie wszedł do swego pokoju. Tu spojrzawszy na puste łóżko, doznał uczucia ulgi. Nie mógł zwalczyć przecież uczucia odrzy, jakiej napowrót doznał na wspomnienie Władki. Ta dziewczyna pozostawiła mu niesmak jakiegoś tajemniczego zwierzątka. Tak długo uważał ją za chłopca, iż teraz jej kobiecość przerażała go i po pierwszym wrażeniu odstręczyła.

Na biurku Leon spostrzegł list, w dużej liljowej kopercie, zaadresowany wprawna, śmiałą ręką.

Poznał pismo Wilhelminki. Otworzył go bez żadnego wzruszenia. Piękna panna w grzecznych lecz zimnych słowach zapytywała, czemu ma przypisać tak długą nieobecność narzeczonego?

— Najlepiej ze mną być szczerym.... kończyła, a dużo kropek kazało się domyślać, iż Wilhelmina w tej szczerości dużo usłyszeć pragnęła.

W pierwszej chwili Leon chciał iść do niej, lecz przypomniał sobie wczorajszą scenę, owego Francuza, liście złote jesienne, widoczną galanterię, jaką otaczał jego narzeczoną ten jakiś obcy człowiek. I ogarnął go straszny żal do tej dziewczyny, która wtedy, gdy dusza jego konała w tej strasznej walce — mogła śmiać się i bawić z jakimś obcym przybyszem, który przecież nie powinien był zajmować miejsca w jej życiu.

— Zła jest, zła i serca nie ma... — wyrzekł, rwąc liliowy list na kawałki.

Zastukano do jego drzwi. Leon pobiegł szybko otworzyć. U progu stał Barumewajg i Zagórski. Obaj byli bardzo wzburzeni, a Zagórski był prawie siny. Leon poznał, iż stało się coś bardzo ważnego, coś od czego teraz będzie zależeć całe jego istnienie. Wpuścił więc przybyłych do pokoju i nie pytając ich — stał teraz jak ktoś, mający wysłuchać wyroku śmierci.

Pierwszy przemówił Zagórski.

Otarł pot z czoła i wreszcie wyrzekł:

— To infamja!

Leon nie pytał jeszcze, ale uczył, jakby ktoś oblał go zlodowaciałą strugą wody.

— To infamja... On bić się nie chce... Prawda... ale on nam wytłumaczył... on powiedział, że do Barumewajga nic nie ma, ale on nie może się bić z nikim z partyi, która była i istniała... na...

Zakrzuszył się aż stary, tak mu ciężko było wydusić.

— Na żoldzie... moskiewskiej ambasady!

Leon ani drgnął. On wiedział, wyczytał z twarzy Barumewajga, że Stroński musiał mówić, że powiedział im o Montalembecie, że dowiedział się wszystkiego za pośrednictwem Farbacha. Telegram ów zginął z papierów i Farbach musiał mimo ostrożności Leona wywęszyć, skąd są pieniądze. Leszcz zaś na balu opowiedział Strońskiemu, kto jest Montalembert...

Teraz — wykryło się wszystko.

Barumewajg przystąpił do milczącego Leona i porwał go za rękę.

— Ależ na Boga... mówcie co — usprawiedliwiecie się... przecież słyszycie, co nam zarzucają....

Leon jeszcze milczał, tylko zbłądził tak strasznie, iż zdawało się, że kropli krwi nie ma w jego twarzy.

— Powiedziecie... czy jest w tem co prawdy? — nalegał Barumewajg.

Była to strasza dla Leona chwila. Należało się przyznać do wszystkiego, do lekkomyślności, braku sprytu, przenikliwości — słowem, należało oskarżyć siebie zupełnie i odsądzić od tych zalet, który każdy męski partyjny posiadać pod grozą utraty stanowiska musi.

Lecz wyboru nie było. Dalsze ukrywanie mogło sprowadzić jeszcze groźniejsze powikłania.

— To, co Stroński powiedział, jest... prawdą! — wyrzekł głuchym głosem.

Zagórski i Barumewajg mieli jeden i ten sam ruch instynktowny — odsunęli się od Leona i ten na mgnienie oka doznał uczucia wielkiej pustki i osady.

motnienia. Lecz prędko Barumewajg poskoczył ku niemu, wołając:

— Ale, jakże się to stało... Jak? Mówcie? bo tu oszaleć chyba przyjdzie.

Wówczas Leon, z pozornym spokojem, wskazał im krzesła.

— Siadajcie, proszę was... i pozwólcie mi mówić!

I zaczął swoją spowiedź z całą szczerością, pragnąc tą właśnie szczerością okupić swoją winę. Oni nie przerywali mu, słuchali i widoczne było, że wierzą w prawdę jego słów, tak wielką była szczerość tego głosu. On mówił coraz goręcej, coraz prędzej i teraz krew nabiegła mu na lica, a oczy świeciły fosforycznym blaskiem. Widać w nim było fanatyka, który dla sprawy poświęcał wszystko i stawiał teraz swą dumę, ambicję na jedną kartę, łamiąc sobie skrzydła i ścierając w pył koronę, którą sobie na skroń włożył. Nie usprawiedliwiał się, nie zmniejszał swej winy, lecz całem jego dążeniem była chęć uratowania honoru partii, której był przedstawicielem, a który przez jego arbitralność teraz zachwiany został.

— Wiecie wszystko... — zakończył wreszcie. — Ze mną róbcie co chcecie... ale ratujcie partję, nie dozwólcie, aby na naszą ideę padł cień!... Pamiętajcie o tem!...

Nastąpiła chwila wielkiej ciszy.

Barumewajg siedział zatopiony w myślach, złamany i zgnębiony. Widocznem było, iż ten silny człowiek odczuł strasznie moralną porażkę swego szefa i przyjść do siebie nie mógł.

Leon zasłonił twarz rękami i czekał na jakie słowo, które mogłoby go pocieszyć i uspokoić.

Pierwszy porwał się Zagórski.

Staremu wasy się najeżyły, oczy aż płonęły. Kilkakrotnie potarł się ręką po czole, jakby chcąc zmusić oporny mózg do myślenia.

Wreszcie zawołał:

— Ależ... nie pozostaje nic innego, jak tylko opowiedzieć publicznie całą rzecz tak, jak była istotnie.

— Jak?

— Prostim sposobem. Zwołać sąd honorowy, niech ten wyda na was wyrok uniewinniający.

Barumewajg radośnie podniósł głowę.

— Tak! tak... to myśl wyborna. Sąd honorowy, publiczny, głośny, oczyści nas z zarzutu. Zażądajmy sądu honorowego!

Lecz to, co tamtym dwom wydało się zbawieniem, dla Leona było straszną perspektywą. Jakto? Więc jego upokorzenie miało być tak bardzo głośnem? Miał ponowić swe wyznanie wobec całej kolonii? Dać sobie patent głupoty i niedołęstwa.

Spróbował ocalić się jeszcze — zaoponował.

— Po co mamy to opowiadać wszystkim? Śmiać się z nas będą — wyrzekł nieśmiało — powiedzą, że nas jeden szpicel wywiódł w pole... powiedzą...

— Lepiej niech się śmieją, niż gdyby mieli pogardzać... — krzyknął Barumewajg.

— A zresztą... tu szpicel wywiódł w pole całą kolonię — odezwał się z wielką logiką Zagórski — gdzieście go poznali? Na obchodzie narodowym panie dziu — prawda? Mowę miał przecież...

wszystkie matadory mu rękę ścisnęły — więc panie dziu, dlaczego wy jedni macie być infamisy, za to, żeście się z nim wdawali? Wszyscy muszą iść panie dziu, pod sąd honorowy. Niech się usprawiedliwią naprzód ci, co go wam przedstawili... Ci najwięcej zawinili. Niech oni powiedzą, skąd znają tego ptaszka i dlaczego go do kolonii wprowadzili!

Barumewajg pochwycił się gorączkowo tej myśli.

— Tak! tak! Należy dotrzeć do gruntu, dojść, kto go do kolonij wprowadził. Trzeba przeprowadzić ankietę i to gruntowną. A przedewszystkiem należy zwołać posiedzenie partyi i naradzić się, co mamy uczynić.

Dawna дума ocknęła się w Leonie.

— Po co? — zawołał, brwi marszcząc — ja sam wiem, co mi czynić należy.

Lecz w tej chwili spotkał się z wzrokiem Barumewajga. W oczach tego człowieka wyczytał tyle stanowczości a zarazem jakiejś prawie pogardy dla siebie, że oponować dalej nie śmiał. Natomiast Barumewajg położył mu rękę na ramieniu i z naciskiem wymówił tylko te słowa:

— Pozwólcie, że my teraz n a p r a w i a ć będziemy!

Był to wyrzut więcej niż srogi i Leon odczuł go wybornie. Należało „naprawić“ jego niekonsekwencyę, jego głupotę, jego lekkomyślność...

Tymczasem Zagórski nie tracił rycerskiego animuszu.

— Dopiero po sędzie honorowym, panie dobrodzieju, sprawimy łaźnię tym wyskrobkom. Muszą się bić, albo ja ich panie, na szabli rozniosę! Nauczmy ich gwizdać po kościele!

Leon pomyślał, iż prawdopodobnie teraz Chodzick i malarz Wimpfen słyszą znów z ust Strońskiego, to samo oskarżenie straszne, potworne, iż partya „żyła na żoldzie rosyjskiej ambasady“.

I powstało w nim gorące pragnienie, aby Chodzick wypoliczkował Strońskiego, porwany butą młodzieńczą. Liczył na jego brutalny, zapalczywy charakter i nieledwie modlił się do niego w swych myślach, jak do wybawiciela.

Lecz drzwi się otworzyły i wszedł Chodzick skwaszony, zły i chmurny. Za nim wsunął się okulista, którego małpia twarzyczka miała komiczny wyraz jakiegoś przestachu. Kończył pochód Wimpfen, zawsze ładny, poprawnie odziany, był widocznie silnie wzburzony i poirytowany.

Gdy weszli, Zagórski nie dając im nawet przyjść do słowa, krzyknął.

— My wiemy, co te infamisy wam odpowiedzieli!

Wimpfen wyciągnął rękę uspokajającym gestem.

— Przedewszystkiem — wyrzekł już z lekkim francuskim akcentem — należy nam zaniechać obarczania obelgami tych panów. Oni przedłożyli nam swoje racye, które im bić się z panem Orlickim zabraniają. Dokąd sprawa nie będzie wyświecona, musicie pozostać zupełnie bezstronni.

W tonie mowy Wimpfena była taka lodowata obojętność, taka chęć zamarkowania, że on, Wimpfen, nie ma nic wspólnego z tą partyą, na którą padło tak straszne oskarżenie, iż Leon drgał cały i podniósł głowę.

— Sprawa się wyświekli — wyrzekł silnym głosem — zdecydowałem, aby zwołać sąd honorowy i ten rozstrzygnie...

Wimpfen skłonił głowę.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze... do tej chwili panowie darują, ale... i ja... także... będę czekał...

Skłonił się raz jeszcze i wyszedł.

Leon poczuł, iż tak postąpi teraz „cała kolonia“. Wszyscy będą czekali, lecz każdy odsunie się od niego zdaleka.

Obejrzał się dokoła siebie. Ci, co byli w pokoju, zdawali się być obok niego ale nie z nim razem. Nie było pomiędzy nimi moralnej spójni. Teraz zebrała ich tu razem i utrzymywała wspólna hańba, rzucona na całą partję. — Lecz każdy z tych ludzi bronił idei, bronił siebie, swego honoru, a nie jego — nie Leona, który despotyzmem swoim, arbitralnością, zraził ich i odsunął od swej moralnej istoty.

I w tej chwili targał się w Leonie nie męstwo, nie leader socjalistyczno-narodowej partji ale człowiek, który cierpiał w swych ludzkich uczuciach, który czuł się zmaltretowany, zdręczony i którego dusza była bardzo, bardzo chora.

A człowiek ten nie miał teraz nigdzie punktu oparcia, nigdzie nie czuł sympatycznego ciepła, które złodowaciałe od tajonej męczarni serce ogrzałyby umiało. Czuł, że jeśli go nawet bardzo zaciekle bronić będą — to nie jego, nie człowieka, ale jego ideę! — Odwrócił się od nich do okna, przyłożył czoło do szyby i patrząc na żółte liście drzew i szare mury domów — cierpiał.

Powoli pokój opróżnił się. Zagórski z Barum-cwajgiem i okulistą wyszli. Wesół bowiem mąż Nińczyi oznajmił, że Nińczyś czeka na niego w pobliskiej kawiarni. Chodzik, usłyszawszy to, porwał za

kapelusz i chwyciwszy okulistę pod ramię, wyniósł go prawie za próg pokoju. Wyszli wszyscy — postanowiono zejść się wieczorem u Leona „dla narady“.

Widocznem było, iż rozpoczyna się serya „narrad“ — posiedzeń tak bardzo ulubionych przez kolonię polską w Paryżu. Zanosilo się na awanturę na seryo i nocne seanse zapowiadały się świetnie jak serya rautów i zabaw karnawałowych.

Leon, pozostawszy sam, obejrzał się ze wstrętem po pokoju.

W kącie rozrzucony barłóg* Chodzika przedstawiał się strasznie. Od czasu samobójstwa Władki, nikt nie sprzątał w pokoju. Pył i kurz osiadł wszędzie. Woń szpitalna była nie do zniesienia. Leon po raz pierwszy zaniósł się jakimś spazmatycznym szalonym śmiechem. Co za ruina dokoła, w duszy i dokoła duszy! Dławił się. Uczuł potrzebę uciec. Porwał kapelusz i wybiegł. Na ulicy uczuł jeszcze ten sam spazm, który go łaskotał w gardle. Wrażenie odrazy przedłużało się i po za progiem mieszkania i na tę ulicę, która w tej chwili ciągnęła się przed nim, jak nieskończona, długa cierniowa droga.

O! ta Glaciera! uciec — uciec od niej choćby na chwilę. Dusila go — dławiła sobą — obejmowała ramieniem jak hydra stugłowa. Teraz zdawało mu się, że nigdy już z niej nie wyjdzie, że czarodziejska moc przykuła go do tych fliz trotuarowych pomiędzy więziennym szeregiem kamienic i że on będzie musiał tak dławić się, dusić, cierpieć całe życie — wieczność całą!

I gdy się wydostał na Claude Bernard, gdy pozostawił poza sobą Glaciere i jej zapach ementar-

ny, płynący z pobliskich garbarni, jeszcze mu się zdawało, że ona wlecze się za nim jak cień straszny i nieodłączny, który go ścigać będzie ciągle, nawet gdyby oddzielił się od niej morzami i lądami całemi.

W chęci ucieczki biegł, biegł ciągle naprzód, prawie nieprzytomny, chcąc znaleźć jakąś ciszę, chłód, uspokojenie. Zdawał się być zwierzęciem, ści-ganem przez własną niedolę. Wśród lasu domów i labiryntu ulic, instynktem kierował się ku Sekwanie. Pragnął przebyć mosty — sądził, iż zielone fale rzeki oddziela go od tej „kolonii“, która teraz rosła w jego oczach do potęgi jakiejś krwiożerczej bestyi. Zapra-gnał być człowiekiem pospolitym choć na chwilę, tak jak te setki przechodniów, idących w lśniących cylindrach z minami filistrów. Polityczna jego dzia-łalność była dlań teraz szatą Dejaniry. Zerwać jej nie mógł, wrosła mu w ciało, ale pokryć ją zapra-gnał choć na chwilę, aby, czując ją na sobie — przy-najmniej nie widzieć!

Znalazł się teraz przed Luwrem i prawie bez-wiednie rzucił się ku wejściu do Muzeum. Chłodne sklepienia schodów przyjęły go w swe świątynne ra-miona. I panowała tu wielka cisza, wielki mrok, spokój grobowców królewskich lub podziemnych lo-chów. Po bokach stały sarkofagi kamienne — wiel-kie, smutne łoża, na których wyciągnięte leżały po-stacie rycerzy, ze stopami wspartymi o plecy ka-miennych chartów. Rycerze mieli wielki bezbrzeżny spokój i wypoczynek w liniach swoich ciał. Leon chwilę patrzył na te sarkofagi z zazdrością bardzo zmęczonego człowieka. Ach! gdyby on mógł tak spać snem kamiennym i nieprzespanym!...

Wszedł na górę i zaczął chodzić wśród sal zawieszonych obrazami. Szedł bezmyślnie i błędził bez celu, rzucając spojrzenia na obrazy, których nie widział prawie. Często potykał się o stalugi, przy których jakaś chuda dama kopiowała i karykaturo-wała jakieś arcydzieło. Czasem — potrafił drzemią-cego na krześle dozorcę. Było mu to obojętne. Czuł tylko, iż jest tu wielka cisza i wielki spokój. Gła-ciera nie miała tu wstępu. Pozostała za progiem ze swemi plotkami i zawiścią, małomiasteczkową podłotą. Tu było za wysoko, za cicho, za przejrzys-cie, aby się tu wsunąć mogła. I Leon powoli doznał uczucia ulgi.

Zdawało mu się, że wszedł w jakieś królestwo oderwane od ziemi, odłączone od drobiazgów i pro-zy życiowej. W pałacu tym nie nie przypominało — życia. Były to jakieś umarłe wspomnienia chwil fantazyi twórczej, uwięzione i unieruchomione. To dusze tych, z których nawet i proch nie pozostał, błąkały się tu wśród cząstek siebie samych. I Leona dusza odrywała się od szarości życia i łączyła się z cieniami cieni dusz tamtych — a w połączeniu tem subtelnie piękniała, szlachetniała i spokojem wielkim, bezbrzeżnym oddychać zaczęła. Instyn-kiem kierując się, znalazł się Leon w sali prymi-tystów.

I tu, przy tych złoconych tryptykach, na któ-rych jak mistyczne róże wśród łąnów chórów aniel-skich zakwitwały czarowne postacie Madon spowitych w bizańtyjskie płaszcze, tu gdzie Dziewice Battic-celego chyliły swe jasnowłose głowy, jak kwiaty zbyt rosy pełne, tu, gdzie dusze Ghirlandaja, Cima-bue i innych, pozostawiły jak hymn czarowny, wy-

nik swych wizji nieziemskich, ujętych w harmonię barw i linii — Leon stanął wreszcie, jakby u kresu swej szalonej, bezcelowej wędrówki i otarł zroszone potem czoło.

Cicho tu było — cicho, jak w kościele.

Z obrazów aniołowie nieruchomi z uśmiechem na ustach, adorowali wszędzie całemi girlandami wyciągniętych rąk, jasnych włosów i białych skrzydeł najpoetyczniejszy kwiat — kobietę-Dziewicę, która w swych szatach złocistych lub bieli dziewczęcej, unosiła się, jakby — pociągana ku błękitowi niebios na jej przyjęcie wieczyście rozwartych.

Leon oparł się o jedną ze sztab przeciągniętych przed obrazami i patrzył, patrzył, patrzył.

Gdyby go kto zapytał, „co widzi w tej chwili“, Leon nie znalazłby odpowiedzi. On nie widział — on odczuwał. — I w odczuciu tem odpoczywał cały. Jakiś powiew skrzydeł osunął mu pot z czoła. — Poddawał się temu wrażeniu. Oddychał.

Nagle ktoś go dotknął lekko i Leon posłyszał cichy szept tak, jak w kościele ludzie zwykli się witać.

— Więc pan tu przyszedł!...

Leon spojrzał i zobaczył Kręckiego. — Juliś stał obok niego z oczyma płomiennemi, z ustami pełnemi zachwyconego uśmiechu. Leon wyraz ten znał dobrze. Kręcki miał go zawsze w oczach, w ustach, gdy w niedzielę biegł do Luwru, aby tam poić się widokiem obrazów.

I dopiero wtedy Leon przypomniał sobie, że to musiała być niedziela. W swych szalonych kłopotach stracił nawet miarę czasu.

Tymczasem Kręcki ujął go pod rękę.

— Ja obserwuję pana od kwadransa — wyrzekł — i zdaje mi się, że pan naprawdę musisz być, czy zgnębiony, czy nieszczęśliwy. Czekalem, aż one pana uspokoją... te moje Madonny, które zawsze umieją uspokoić wzburzone dusze. I rzeczywiście masz pan wzrok spokojniejszy, nie wyglądasz pan na potępieńca.

Tylko cóż... wyjdiesz pan za próg i znów się pan gryźć zacznie...

— Skąd pan wiesz... skąd pan wiesz... — wybelkotał Leon.

Kręcki śmiać się zaczął.

— Panie jedyny, Juliś wszystko wie, choć się po Glacierre nie kręci i w kantorze siedzi. A najlepszy dowód w tem, że pan zapomniałeś nawet o tem, że my dwaj rozstaliśmy się nieprzyjaźnie, pan mi nawet nawymyślałeś, odchodząc z kantoru.

Leon mimowoli uczynił gest, jakby od Kręckiego odsunąć się pragnął. Lecz Kręcki pocziwym gestem pochwycił go za ramię.

— Tylko nie tu; nie tu — prosił — nie pomiędzy nami wspominajmy właśnie nieprzyjazne i małostkowe klótnie. Tu niech się modlą nasze dusze a przecież modlitwa, to wielkie pojednanie.... nie więcej!

Leon słuchał słów „handlarza“ i rzeczywiście bardzo pojednawczo i cicho robiło mu się na sercu. Głos Kręckiego, gdy mówił o dziełach sztuki, łagodniał, miękł, nabierał cieplejszego dźwięku. A Leonowi głos taki koniecznie był potrzebny, jak głos nianki, kołyszącej dziecko.

I powoli zamiast się odsuwać od Kręckiego, Leon zaczął się przysuwać do niego, jakby w jego

zdrowej naturze szukał lekarstwa i uspokojenia dla swych rozszalałych nerwów. Gdy po godzinie wyszli z Luwru, Leon miał oczy pełne spokojnych, anielskich postaci i duszę spokojną, jak fałdy ich szat i linie skrzydeł. Kręcki wiódł go pod ramię i uśmiechał się pobłaźliwie.

— Widzi pan!... — mówił — miałem przecież rację! Glaciera pożarła panu duszę. Teraz trzeba koniecznie się stamtąd wyrwać, bo pan zginiesz, jak mucha...

— Nie mogę! — odparł zrozpaczony Leon. — Muszę bronić się i oczyścić przed sądem honorowym.

Kręcki potrząsnął głową ze smutną ironią.

— Sąd... honorowy!... — wyrzekł wreszcie — oto do czego pan doszedłeś! Postawią pana na pręgierzu i sądzić pana będą! Sądzić, za co? Za to, co pan miałeś najpiękniejszego w swej duszy! No!... no!... Wolę już w kantorze siedzieć i szkielka do Moskwy wyprawiać!

I czując nerwowy odruch w ramieniu Leona, szybko dodał:

— Naturalnie, pan dla salwowania swej ambicyi, powiesz, że czyniłeś to dla... idei i nie żałujesz tego. Tak, tak — męczeńska korona nawet jutro, pojutrze zacznie się panu uśmiechać. Gotów pan jesteś udrapować się w tę szatę i rad słuchać koło siebie owe *Ecce homo!*... Ale przypomnij pan sobie wtedy Julisia i to, co on ci powiada. Szczęście ucieka gdy jest tłum, choćby ten tłum bił oklaski. Szczęście może być tylko tam, gdzie jest... dwoje.

I nagle z trochę sentymentalnych żrenie strzelił figlarny płomyk.

— Już nawet głos... trzeciego je wystrasza... choć nie zawsze.

Leon próbował dla formy oponować, ale głos jego był przygasły i sam czuł, że nie ma w nim wcale prawdy i przekonania.

— Ludność z... dwojga się nie składa. Pan, pojmując w ten sposób szczęście, działasz jak egoista.

Kręcki zatrzymał się i spojrzał wprost w twarz Leona.

— Jak egoista? — zapytał. — Proszę! A pan czy nie postępujesz jak samolub?

— Ja?

To oskarżenie było dla Leona tak niespodziewane, iż jego przekonanie, że działa jedynie dla idei dodało mu znów energii i siły.

— Tak, pan! — odparł spokojnie Kręcki. — W panu głównym bodźcem jest nie miłość dla ludzkości, ale ambicya i wielka duma. Dlaczego pan bowiem nie walczysz w szeregu jako nieznany i cichy szeregowiec, ale dążysz pan do stanowiska naczelnego wodza? — Ah!... Za wiele Napoleonów, drogi panie. Za wiele!

Przechodzili teraz nadbrzeżami Sekwany.

Na szerekich, kamiennych płytach roilo się od jakichś biednych ludzkich postaci, pochyłonych nad worami cementu, lub znoszących z trudem paki i ciężary do wnętrza bark i statków.

Kręcki zatrzymał się, oparł się o balustradę i chwilę patrzył na te nędzne mrówki ludzkie, spoczone, źle odziane, dyszące ciężko pod nadmiarem pracy.

— Oto masz pan ludzkość! — wyrzekł, pokazując na nich. — Oto są ci, których pan, według

swych słów, kochasz. Dla nich rzeczywiście tacy, jak pan, powinni walczyć i wywalczyć cokolwiek. Lecz... czy pan rzeczywiście masz dla nich miłość w sercu?... Zbadaj się pan w tej chwili... zbadaj!

Jasnemi oczyma patrzył w źrenice Leona i zdawał się czytać w nich, jak w księdze.

— Ja panu jeszcze moim chłopskim rozumem więcej powiem... Pan masz do tych „nich“... odrazę. Pst! nie rzucaj się pan. Od — ra — zę! Pana estetyczna natura wzdryga się na myśl o ich brudnych paznogiach i zgrubiałych podeszwach — ich odzież razi pana, a woń, która z tej odzieży płynie, przeraża pana poprostu. Pan kochasz ich... z daleka, bo tak wynika z dalszego ciągu idei, ale pan ich nie masz w sercu i oni zawsze dla pana pozostaną... ot!... nieczystymi zwierzętami, które tolerujesz jedynie jako dopełnienie krajobrazu, wymalowanego za pomocą twej artystycznej wyobraźni...

— Nie... nie... — przeczył Leon, lecz w sercu jego słowa Kręckiego dźwięczały silnie i wyraźnie. Zdawało mu się, że ktoś skalpelem rozbiera jego własną duszę.

— Tak! tak! — mówił dalej handlowiec. — Pan deklamujesz o ich nędzy i upajasz się dźwiękiem tych słów, ale gdy pan to mówisz, to pan haftujesz, pan tworzysz, pan deklamujesz. Nie masz pan na myśli ich samych, ale ich obraz, ich cień, przefiltrowany już przez artyzm pana. I dlatego często to, co piszecie, jest fałszywe, bo to obraz, nie oni. I dlatego i do nich nie trafisz pan nigdy, bo pan pomiędzy ich łachmanami, a sobą, postarasz się o rozpylenie środków desinfekcyjnych, aby broń Bo-

że bakcyle, z ich nędzy zrodzone, nie dostały się do organizmu pana i pana nie zabiły!

— Pan mnie nie znasz, jakie pan masz prawo sądzić mnie w ten sposób?

— Ja pana nie znam? — roześmiał się Kręcki — ale ja znam i pana i panu podobnych. Ja jestem przecież chłop i moja uparta ordynarna czaszka mieści pod sobą mózg, który zdrowo i trzeźwo sądzić umie. Pan i mnie nie lubisz... pan i do mnie masz odrazę za mój wielki łeb, grube rysy, pochylone plecy i trywialne połączenia rąk. Pan jesteś, jak ci filosemici, co wołają — żydzi! to nasi bracia! — a skoro zobaczą orli nos, kręcone włosy i poczują chałat, odwracają się ze wstrętem. To już tak jest — tak będzie — i nie tu wielkie krzyki o miłości dla idei nie pomogą!

Stali tak ciągle, oparci o balustradę i niby patrzyli w dal, na Sekwanę, po której płynęły teraz cicho barki, spieszące na swe zimowe leże. Drugi brzeg rzeki tonął w jakiejś żółtej, smutnej mgle, która podnosiła się zwolna z wnętrza fal, jak powiewna zasłona.

Pod niemi, na brzegu — na flisach kamiennych kręciły się wciąż spocone, zgarbione, nędzne postacie pracujących ludzi.

Leon pochylił się ku nim i wysłał tam swoją duszę na zwiady. Chciał, aby ona zbliżyła się ku tym cuchnącym nędzarzom, chciał zbadać ją, jakie uczucie targnie nią na to zbliżenie. I poznał, że Kręcki miał słuszość.

Dusza jego zbuntowała się, i mimo usiłowań Leona, odwróciła się od potu, brudu, głodu i wyzysku. Wyrwała się więzom woli i rozumu i dążyć za-

częła tam, gdzie unieruchomione anioły Ghirlandaja uśmiechały się wśród bieli skrzydeł — tam, gdzie dziewice Botticcellego w obramowaniu jasnych włosów patrzyły łagodnie i wdzięcznie błękitem swych oczów czarownych.

XI. Sąd honorowy.

Dwóch arbitrów — jeden superarbiter. I świadków, świadków bez liku!

Pokój nie duży o dwóch oknach. Tapety ciemne, smutne, banalne. — Okna bez firanek. Wygląd źle utrzymanej prywatnej pensyi. W pokoju tym aż wre i huczy. — Kilkadziesiąt osób zbitych w masę, tłoczy się z gorączkową ciekawością, z tysiącem pytań na ustach. W przedpokoju, w którym zwalono na ziemię całe stosy palt i okryć, aż czarno od dymu papierosowego i ludzi. Duża lampa naftowa zawieszona u stropu oświetla źle i żółto całe zgromadzenie. Kąty pokoju już nikną w ciemnościach i widać tylko całe masy jasnych twarzy, spiętrzonych nad sobą.

Środek pokoju zastawiono ławkami i miejsca na nich zajęły przeważnie kobiety, mając pomiędzy sobą gdzieś jakąś młodzieńczą postać męską...

Są to przeważnie studentki, ubrane modnie, często strojnie. Włosy mają zaczesane bardzo starannie. Wiele z nich ma warkocze opuszczone na plecy na wzór „polskich dziewczec”. Widocznem jest w nich usiłowanie zatarcia wszelkimi siłami klasycznego typu „emancypantki“, o krótkich włosach i zaniedbanym stroju. Przytem kokieteria Polek „z pod

słomianej strzechy“, zasadzająca się na prezentowaniu bujnych włosów i tej niby anielsko-dziewiczej postaci, odbija dobrze od sztucznego wdzięku Francuzek. — Studentki zrozumiały to wybornie i uchwyciły się owego typu „Zosi“, lecz tej, która zamiast sypać „perłowe ziarna“ kurom i latać z marchwią po grzędach — w ich interpretacji wyszła na Zosię, krającą trupa i „badającą“ choroby wewnętrzne wśród sal szpitalnych. Często jasna kosa splaywała na wpół zgnile ciało rozłożone na stole prosekcyjnym, często jakiś preparat przysłaśniała nagle linia ciemnego warkocza...

Profesorowie się gniewali, lecz panny trwały dalej w tej rozmarzającej kokieteryi. Warkocze Polek sływały wśród *quarter Latin*. Była to specyalność narodowa. Studenci francuscy zachwycali się tą nieznaną „fryzurą“. Często studentka-polka, warkoczem pociągnęła za sobą kolegę-francuza, aż przed pana mera, aż przed ołtarz kościelny...

Jakże więc miano zmieniać fryzurę wobec tak dodatnich rezultatów?

I stąd na tym sądzie honorowym warkoczy był las cały — warkoczy złocistych, rudawych, popielatych i czarnych, jak noc bezsenna.

Za stołem, pokrytym zielonem suknem, siedzą arbitrzy.

Jeden z nich, ze strony Strońskiego, jest młody internacjonalista z Genewy o silnie przyciętych włosach i bródce à la Henri IV. Siedzi obojętny na pozór, lecz bacznie rzuca wzrokiem po zgromadzeniu i chwilami porozumiewawczo na Strońskiego spogląda.

Jako arbiter ze strony Leona występuje... Jaskulska.

Wybrano ją w partyi jednogłośnie w jakimś niezrozumiałym dla nikogo popędzie, a po trosze dla jej swady i pewnego tonu, jaki umiała przybierać na publicznych zebraniach.

Superarbitrem zaś jest pan Pocijko, siwiejący mężczyzna, osiadły od dawna na bruku paryskim. Jest on handlowcem, człowiekiem „zasad“ — dość gładkim, nie różniącym się z nikim i mającym to w swej powierzchowności, co Moskal doskonale określa „*dierżytsia wažno*“. Chód, ruchy, mowa pana Pocijki — sposób poprawiania okularów i kołnierzyka — wszystko to ma swój z góry określony charakter. Robi on wrażenie na tłumie, bo na każdym kroku zdaje się mówić do wszystkich: „patrzcie, ja jestem nieposzlakowanym człowiekiem“.

Po stronie Lipskiego (arbiter Strońskiego) gnieździ się Stroński ze swym klanem. Stroński jest jeszcze brzydszy, niż zazwyczaj, a ciemne plamy jego oczu fatalnie się znaczą po za szkłem okularów. Po za nim, obok niego, jego stronnicy, bardzo nawet liczni, wymyśli, wyczesani, wyszczotkowani, o mniej lub więcej inteligentnym wyrazie twarzy. Pomiędzy nimi kilkanaście kobiet rozrzuconych, trochę wyzywających, z dziwnie aroganckimi błyskami w oczach i ustami wydętymi pretensją do wielkości. Są pomiędzy niemi ładne i już „zaręczone“ ze swymi kolegami. Owe „zaręczenia“ są na porządku dziennym i ostatecznie nikogo do niczego nie zobowiązują.

Internacjonalisci mają bardzo swobodne i pewne siebie miny. Wogóle rozmawiają wesoło i rażno. Widać, że ten cały sąd honorowy nie ich stawia pod

pręgiem, a egoistyczna strona ludzkiej natury występuje tu w całej pełni swej doskonałości. Owszem — to, że właśnie oni oskarżać będą, oni będą oprawcami, zadającymi moralne tortury ludziom bezwinnym, podnieca krew w ich żyłach i wprawia ich w bardzo dobre usposobienie. I dziwne, ukośne spojrzenia wybiegają w stronę Leona i jego partii, jakkolwiek siła woli, będąca głównym przymiotem i zasadniczym rysem charakteru całej internacjonalistycznej partii, nadaje tym spojrzeniom pozór najzwyczajszego prześlizgiwania się wzroku po obojętnych przedmiotach.

Po drugiej stronie stołu, naprzeciw Jaskulskiej, siedzi Leon.

Jest bardzo blady i bardzo piękny, tak ma dziwnie zrezygnowany wyraz twarzy. Cały dzień targał się w szaleństwie nerwów. Gdy nadszedł wieczór, gdy wszedł do tej sali Czytelni, wypożyczonej przez zarząd stowarzyszenia Zgody na odbycie w niej sądu honorowego — uspokoił się nagle. Zamarło w nim wszystko, nerwy usnęły. Bez żadnego wstrząśnienia i nienawiści spojrzął na Strońskiego i całą jego świtę. Czuł tylko, że mu krew ucieka z mózgu, z twarzy i jak bryła lodu cięży w sercu. Usiadł na wskazanem mu przez arbitrów krześle. Machinalnie położył przed sobą teczkę, w której było trochę papierów. Nie były to jednak żadne dowody jego niewinności. Dowody leżały w jego moralnej istocie.

Obok niego zajął miejsce Barumcwajg, który przez te kilka dni postarzał się, pochylił, prawie posiwał. Ogromna zmarszczka przecięła mu czoło. Widocznem było, iż odczuł strasznie podejrzenie,

rzucione na partję. Teraz zwłaszcza, gdy ujrzał Wimpfena, łączącego się z partją Strońskiego i siadającego pomiędzy internacjonalistami, zachmurzył się jeszcze więcej.

Wogóle cała sala, wszyscy świadkowie zdawali się przechylać już przed sądem na stronę oskarżających. Wszyscy garnęli się w ten kąt, gdzie górowała buta, arogancja i dziwna pewność siebie. Od Leona i jego otoczenia prawie stroniono, albo przyglądano się im z ciekawością. Dobre porozumienie się, jakie wywołała sala balowa, nikło, a nawet zmieniło się w pewną odrazę. I znów partja socjalistyczno-narodowa stawiała się dla owej reszty kolonij zbiorem okazów dziwacznych, na wzór jakichś zwierząt z bajki, budzących wstręt, postrach i rodzaj specjalny ironicznego szacunku.

Narodowcy czuli to wybornie, a groza oskarżenia, jakie na nich zaciążyło tak nagle i niespodziewanie, mimowoli powiększała ich zewnętrzny niepokój i głowy ku ziemi chyliła. Była ich garstka niewielka, choć w ostatnich dniach niespodziewanie grom ich powiększyło się o kilka osób. Zwykle partja czyniła trudności wielkie w przyjmowaniu nowych członków, lecz wobec niebezpieczeństwa, zapanowała pewna pobłażliwość i zaczęto skwapliwie przyjmować chętnych dla ich strony.

I tak Zagórski, porwany nagle animuszem rycerskim, prawie na krok nie odstępował Leona. Odgrzązał się ciągle i mówił „my“ — wyuczył się nawet w ciągu dni kilku wyrażen, przyjętych w partji i imponował niemi żonie i dzieciom. Zagórska, porwana również animuszem, zjawiała się na posiedzeniu sądu i teraz ulokowawszy się opodal męża z wypie-

kami na twarzy, wojowniczo śledziła cały przebieg sprawy. Lecz ponad wszystkich górowała tu Niuńciusz w nowej sukni granatowej, wspaniała, nastroszona i markująca nie dwuznacznie swój zapal dla Chodzika. Dostawszy suknię od męża, namyśliła się — zrezygnowała z siadania do egzaminu i została nagle zapaloną działaczką — przesiadywała dni całe u Leona, szepcząc po kątach z Chodzikiem, który stanowczo już nie chciał opuścić surduta Roberta.

Obok Niuciusia, zabrała miejsce Jabłońska, sprowadzona tu przez Leona, jako świadek jedyny, znający go jeszcze w kraju osobiście i mogący udowodnić jego ciężką przeprawę przez granicę. Aktorka miała minę cokolwiek wystraszoną. Schowała się w boa i patrzyła na arbitrow, superarbitra, gromadę świadków, zielony stół, z komicznem przerażeniem. Widać jednak było, że brała tę całą historię na „bardzo seryo“ i w duszy obliczała wagę słów i to, co miała na dane zapytania odpowiedzieć.

Cokolwiek dalej, pod oknem, odwrócona prawie tyłem do sali, siedziała Wilhelmina. Miała wygląd znudzony i drwiący. Wezwana kartką na posiedzenie do Leona, nie przyszła, wymawiając się chorobą. Gdy Leon zjawił się u jej drzwi, zastał je zamknięte. Lecz wieczorem Wilhelmina pojawiła się w Czytelnicy i nie pytając nikogo, o co właściwie chodzi, jakby mocą nałogu zajęła miejsce po stronie Leona.

Widocznem jednak było, że myślą całą błądziła gdzie indziej i że tu siedziała z musu, dla konwensu, a bynajmniej nie z moralnej potrzeby i przekonania.

Zimnem, jak stał spojrzeniem obrzuciła Leona i jeszcze zimniej odpowiedziała na jego uścisk ręki. Wprawdzie i on zajęty cały przebiegiem sprawy, na wpół przytomny, nie szukał jej oczów, bo wiedział instynktownie, że ani otuchy, ani siły w nich czerpać nie może.

Mazi nie było wcale. Już dwa dni, jak opuściła Paryż, śpiesząc dla wydostania owych broszur, których odkrycie groziło wielu osobom straszem niebezpieczeństwem. Wyjeżdżając, długo trzymała rękę Leona w swych dłoniach.

— Kto wie, czy się zobaczymy... — wyrzekała, a źrenice jej były tak smutne, jak u skazańca w dzień śmierci.

Leon nie próbował dodać jej otuchy.

— Kto wie!... powtórzył, jak echo.

— Ja będę walczyła z nimi — ciągnęła dalej Mazia z tymi, którzy są naszymi naturalnymi wrogami. Oni są silni, ja słaba. Być może, iż mnie zwyciężą. Ale pan masz przed sobą wrogów chyba cięższych i gorszych.

Pan masz swoich, którzy przejęci niepojętą zaciekłością, walczyć z panem pragną. To gorsze, cięższe chyba. Wrogowi obcemu ręka nie zadrży zadać cios śmiertelny, swojemu choć on ci duszę na szmaty rozdziera, ciężko i prawie niepodobna...

Leonowi, gdy odprowadził Mazię na kolej, zdawało się, że odprowadza trumnę jakiegoś drogiego i dobrego przyjaciela do cmentarnej mogiły. Gdy ujrzał jej bladą twarzyczkę w okienku przedziału trzeciej klasy, targnęło się w nim serce, jakby za kochanką i miał ochotę wyciągnąć ręce, krzyknąć —

plakać, uklęknąć przed tem zjawiskiem, które zaczęło oddalać się od niego i niknąć w przestrzeni.

Było mu tak, jak gdy nagle po dniu słonecznym nastanie ciemna, smutna, chmurna, beznadziejna noc.

Powoli, sala napełniła się doszczętnie tak, że w przedpokoju tłoczyli się ludzie, jak na jakimś bardzo ciekawem widowisku. Wszystko dyszało ciekawością. Pomiędzy siedzącymi, przeciskał się ktoś teraz ku Strońskiemu, mówiąc: „pardon“! na wszystkie strony.

Był to Farbach w kurtce, w kolorowej koszuli, w binoklach, z wszelkimi pretensjami do elegancji. Idąc, uśmiechał się beczelnie, arogancko — czynił hałas, zamieszanie i kiwał przyjaźnie głową Strońskiemu i jego towarzyszom.

Zobaczywszy Leona, stanął chwilę, poprawił binokli, skrzywił się impertynencko.

W tej samej chwili Chodzik poniósł pięść zaciśniętą.

— Małpa-żyd!.. — mruknął przez zęby.

Lecz Nińczyś pochwyciła go za rękaw.

— Proszę!... nie narażaj się pan... — szepnęła mu z omdlewającym spojrzeniem.

Za stołem Jaskulska odziana w nową bluzkę z nadzwyczajnym ferworem pisała ciągle jakieś karteczki, które jak wódz naczelny rozsyłała to do Leona, to do Barumewajga, to do Zagórskiego. Drobną jej twarz aż pociemniała ze wzruszenia. Widocznem jednak było, iż mimo wszystko ta kobieta nie umie pokryć radośnej dumy, która ją przejmowała z powodu owej wysokiej godności, jaką jej poruczono.

Wreszcie, koło godziny dziesiątej, gdy wypalono całe setki papierosów, ochrypnięto od gadania, a oczy aż pomdlały od rzucania złośliwych wejrzeń, rozpoczął się ów „sąd“, który zakrawał na tragicomedję a w gruncie rzeczy był straszną ilustracją polskich stosunków za granicami kraju.

W tej ciasnej przestrzeni tłoczyło się naprzeciw siebie kilkadziesiąt serc polskich, ożywionych nie chęcią wspólnej pracy, wspólnego dobra, wspólnej miłości — lecz rozżartych na siebie, jak drapieżne zwierzęta, drące się o miraż ścierwa — o ułudę padliny wielkości i sławy. I były to serca młode, bardzo młode, pełne energii i siły, które zamiast skierować tę siłę w jednym kierunku, miały miast wiary i miłości — nienawiść dla siebie, a zamiast uścisku braterskiego, jad plwocin i zabójcze żądło śmiertelnych pocisków.

Kilku starszych, poważniejszych ludzi zajęło krzesła bliżej stołu. Była to część komitetu, który zaprosił Montalemberta do przyjęcia udziału w owej uroczystości narodowej. Należało wézwąć ich, aby się wytłómaczyli, skąd przyszli do znajomości z Montalembertem. Tego żądał Leon i sąd żądanie jego uwzględnił. Poważni panowie siedzieli cicho na swych krzesłach i patrzyli z pewnym żalem na obie partye młodzieży, żrące się pomiędzy sobą.

A przecież i oni robili to samo za swych młodych lat i oni robili to nawet teraz, skoro tylko występowała jakaś różnica przekonań lub zdań i gdy cokolwiek nie było po ich woli i chęci. Prywata! prywata!

Straszne widmo, niosące w fałdach swej rozwichrzonej szaty początki rozkładu, demon, siejący

zniszczenie — rozsiadły tryumfalnie na stopniach cmentarnego grobowca podczas rozbiorowych dziejów wznoszonego.

I tu, i w tej ciasnej izdebce, ponad brzegami obcej rzeki — w sto lat niszczące technienie widma szaleje w sercach młodzieńców i ścisła je stalową dłonią nienawiści. I dzieje się to pod osłoną wspólnej idei wszechludzkiego dobra. I jedni i drudzy mienia się być socyalistami, społecznikami, dla społeczeństwa, dla drugih istniejącymi.

Mówią, iż zaparli się swego ja i pracują dla tych, co po nich przyjdą.

Mówią — że oddają swe serce, duszę, życie na usługi ludzkości. Chcą oznaczyć cenę kropli potu robotnika i pozwolić mu jeść tyle, ile je bydlę cały dzień, w plug wprzagnięte. Chcą dać czyste powietrze przekrwionym od wysiłku płucom, chcą dać pokarm duchowy duszom, które nie mają nic dla siebie, nawet lachmana, jaśniejszej chwili, przedzierającej cmentarny mrok ich istnienia!

Wielkie i święte cele — lecz oto zgrzyt miłości własnej i ten gmach spiżowy chwieje się i przyska. I oto stają naprzeciw siebie jedynie już tylko z myślą o sobie, a ludzkość, społeczeństwo — ów chleb dla drugih, ów pot nieopłacony, blednie — zaciera się i gaśnie.

Prywata! prywatna!

Po otwarciu sądu — natychmiast Leon zażądał głosu. Zrozumiał, że w tej chwili gra śmiertelną grę. Postanowił wygrać swą partję, choćby kosztem życia. I jak wówczas nad mogiłą Grzegorzewskiego całą siłą woli potrafił dodać sobie skrzydeł, tak samo teraz wyteżył wszelkie władze umysłowe, aby

nie dać się porwać sentymentom. Tu, wobec... sędziów należało być zimnym, ścisłym i logicznym.

Spokojnie więc napozór, choć czoło miał potem zroszone, zaczął Leon przeciw sobie akt oskarżenia. Była to bardzo zręczna taktyka.

Oskarżenie, wypowiedziane ustami Strońskiego, nabrałoby wielkiej wagi i sprawiłoby szalone wrażenie. Mówione przez Leona, który instynktownie nadawał głosowi swemu intonację lekką i ironiczną, traciło na wadze i robiło wrażenie, jakby sam Leon grał z owemi zarzutami. Stroński zdziwiony podniósł głowę i brwi zmarszczył. Spodziewał się, że on sam w doskonale obmyślonej formie zmiażdży od razu samem oskarżeniem przeciwnika. Wyrwano mu najgorsze jadowite zęby. Tego się nie spodziewał.

W publiczności zapanował dziwny ruch. Zwrócono się do Leona i patrzono na niego z ciekawością i podziwem. Prawda — zarzuty były ciężkie, ale Leon musiał mieć całe masy argumentów na odparcie ich, skoro tak spokojnie sam te zarzuty podnosił. Ta pewność siebie imponować zaczęła. Poczuł to Stroński i nagle chcąc zwrócić na siebie uwagę, zażądał głosu. Lecz równocześnie prawie powstał Barumcwajg i poprosił także o głos. Widocznie więc partya narodowców trzymała się dobrze i nie dozwoli zepchnąć się z wybranego terenu.

Leon mówił ciągle dalej i teraz opanował już siebie i swoją wolę. Czuł, że kieruje sobą z nadzwyczajną łatwością i przeświadczenie to było mu nad wyraz pocieszające. Zwracał się, mówiąc przeważnie do Pocijki — pomijając prawie wzrokiem Lipskiego, który gryzł bezustannie wargi, widocznie niezadowolony z obrotu, jaki rzecz przybierała.

W mowie bowiem Leona ów główny zarzut pobierania pieniędzy od rosyjskiej ambasady na wydawnictwo „Hejnalu“ schodził do podrzędnych rozmiarów. Głównie zaś występowała tu wina lekkomyślności komitetu, który wpuścił Montalemberta do kolonii. Jeżeli kto miał prawo uskarżać się na skutki tej lekkomyślności, to właśnie Leon i jego partya. Zawierzył bowiem starszym i doświadczeńszym ludziom. Widząc, jak na rękach prawie noszono w czasie obchodu „pułkownika“ — otworzył mu serce i pozwolił „pracować“ wspólnie dla sprawy. Czyż za to go winić należy? Czyż raczej nie byłby potępienia godzien, gdyby odepchnął brutalnie ową dłoń, która się tak chętnie z pomocą do wspólnej pracy garnęła?

Owa „wspólna praca“ przyszła Leonowi do głowy już w ostatniej chwili i teraz szczęśliwie postanowił osłaniać temi słowy owe branie pieniędzy od Montalemberta.

On pieniędzy nie brał, on pozwolił pułkownikowi pracować dla sprawy tak, jak pracował on, Barumewajg, Mazia i wszyscy. Wszakże i oni dawali swój grosz ostatni na wydawnictwo „Hejnalu“. Dlaczego więc mieli odrzucać i grosz Montalemberta? A teraz — tu Leon głos podniósł i z tonu ironicznego przeszedł w oskarżający :

A teraz, on ma prawo zapytać się, kto i gdzie poznał Montalemberta. On żąda całej prawdy dla siebie i dla spokoju swej partyi, a wreszcie dla spokoju całej kolonii. Jeśli bowiem jest ktoś, wprowadzający z taką łatwością szpiegów i agentów rosyjskich do grona czy tej, czy tamtej partyi, sam musi być agentem i szpiegiem. To należy wyświetlić

i z osobą taką postąpić jak należy. Spokój tysięcy osób w kraju od tego zależy. Być może, iż dziś za sprawą pana Montalemberta nie jeden już znajduje się w więzieniu rosyjskiem. On, Leon — domaga się ukarania nędznika, który służy za pośrednika w tej zdradzie. I ufny, że sąd potrafi rozwinąć w tym kierunku należytą energię, — sprawę tę oddaje w jego ręce, zaznaczając wszakże, że on i jego towarzysze nie poprzestaną w tym razie na satysfakcyi sądowej, lecz sami ze swej strony sprawiedliwość wykonać będą zmuszeni.

Ostatnie słowa wypowiedział Leon surowym, silnym i spokojnym głosem. Odwrócił się lekko w stronę publiczności, jakby tam szukał winowajcy i z pod zmrużonych powiek oczy mu zabłysły jakimś prawie okrutnym wyrazem.

W niczem w tej chwili nie był podobny do rozmarzonego działacza lub zdenerwowanego, zdrepczonego chłopaka. Była w nim siła, dużo złego, czegoś, co ma jaguar zwinięty w kłębek w kącie klatki. Usta miał skrzywione, złe i namiętne. Czuł, że dominuje teraz nad duszami tych wszystkich, którzy zebrani tłoczyli się w obłokach papierosowego dymu. I sam rozumiał, że w obronie swej własnej, byłby w stanie zacząć szarpać dusze innych ludzi i kaleczyć je tak, jak oni go kaleczyli bezwinnie. I rzecz dziwna, nie ku Strońskiemu zwrócił wściekłość swoją. Przecież z porządku rzeczy wypadało, aby tu właśnie Stroński odpowiadał za to, co się stało. Lecz u Leona zawładnęła chęć oskarżania, ciągnięcia na szafot innych, choćby niewinnych. A nawet — w gruncie rzeczy nie czynił to w swej obronie, zarazek

właściwej naszemu narodowi bliżniej nienawiści, ogar-
nął go.

On teraz rzucał podejrzenia, on teraz pełnym
jadu wzrokiem, mierzył komitet i domagał się nad
nim sądu.

Gdy skończył mówić — zapanowała chwila uro-
czystego milczenia, poczem zaszemrało nagle jak
wczesnym rankiem wśród sitowia. Cała publiczność
zgromadzona w sali, zakolysała się i rozpoczęły się
ciche szepty bynajmniej nie wrogie, ale raczej pra-
wie przychylnie. Co teraz mógł powiedzieć Stroński?
Wszystkie zarzuty były już odparte przez Leona
i w umyśle każdego oskarżenie Strońskiego miało
już gotową odpowiedź.

Mimo to Stroński powstał i wysoką swą po-
stawą, twarzą pyszną i rozkazującą, zadomino-
wał nagle nad tłumem. Pomimo usilnej chęci panowania
nad sobą, widocznem było, iż był silnie rozdrażniony
niespodziewanem wystąpieniem Leona. Czuł wzrok
wszystkich utkwiony w siebie, i po raz pierwszy
może w życiu, te niezliczone oczy wpatrzone w niego,
przenikające jego duszę, zamiast dodawać mu bodźca,
mieszały go w fatalny sposób.

Powtarzać aktu oskarżenia nie chciał. Czuł, iż
to jest teren niebezpieczny i przez Leona wyzy-
skany. W umyśle swoim rozpaczliwie poszukał argu-
mentów, które podzielać musiały na tłum i nagle,
oparłszy się o stół, z miną sędziego śledczego, za-
pytał:

— Przedewszystkiem pragnąłbym wiedzieć, jak
się pan Orlicki naprawdę nazywa?

Pytanie to było tak niespodziewane, tak nie-
taktowne i prawdziwie policyjne, że aż dreszcz jakiś

dziwny przebiegł po zgromadzeniu. Natomiast Leon
czując, iż Stroński od razu grunt traci, odparł pra-
wie spokojnie:

— Jeśli się pan chcesz dowiedzieć... to służę.
Kula rewolwerowa w mózgu panu moje nazwisko
wypisze...

Coś załopotalo złowrogo z temi słowami, które
padły jak uderzenie dzwonu przed burzą wieczorną.

— To nie jest odpowiedź! — odparł wyniosłe
Stroński — to są pozy i sentymenta teatralne. Ma-
jąc przed sobą przeciwnika, muszę wiedzieć, z kim
mam do czynienia...

— W cytadeli jest zapisane prawdziwe nazwi-
sko pana Orlickiego — krzyknął nagle Zagórski
i Leon odwrócił się ku Zagórskiemu, starając się
uspokoić impetyka i wśród ogólnego szmeru wyrzekł
z zupełną pewnością siebie i spokojem, odwracając
się ku Pocięjce.

— Czy mam wyjawić moje prawdziwe nazwisko?

Lecz Pocięjko po chwilowej naradzie z Jaskul-
ską i Lipskim bardzo kurtuazyjnie oświadczył, iż
jest to formalność zupełnie zbyteczna.

— W takim razie, zachnął się Stroński — nie-
podobieństwem mi będzie przeprowadzić dowodu
prawdy. Widzę, że pan Orlicki będzie unikał wszel-
kich wyjaśnień, które mogłyby wyświetlić istotny
stan rzeczy. Naprzykład, pan Orlicki był kiedyś
w ambasadzie rosyjskiej. Czy i na to nie zechce mi
pan oświadczyć, po co tam chodził?

Ponowhcie zapanowała cisza i wielkie zacieka-
wienie w audytorium. Słowo „ambasada rosyjska“
wywierało wiedcznie magiczny wpływ i już dawało
przedsnak zdrady.

Uczuł to Leon i chwilę wytrzymał ten efekt, wreszcie odparł niedbale ze śmiechem:

— Chodziłem po potwierdzenie pozwolenia, jakie mi wydano dla uczęszczania do biblioteki św. Genowefy. I pan tam byłeś w tym celu, wszyscy tam chodziliśmy po owe legitymacye.

Śmiech ten widocznie rozdrażnił jeszcze więcej Strońskiego.

— Pan nie ma legalnego paszportu — wyrzekł wreszcie prawie z sykiem — pana z wielkimi faworami przepuszczono przez granicę. Rząd rosyjski wydał panu przepustkę, zabezpieczającą pana i uwalniającą od wyrobienia paszportu. Po przepustkę tę jeździłeś pan sam do pogranicznego miasta i policmajster wręczył ją Panu osobiście. Czy nie tak? Przyznaj pan, że to oryginalne, jeśli ktoś podejrzały tak silnie, odbiera od rządu faworyzujące go dokumenty. Przecież pan sam odbierałeś ów „pasek“ z policyi?

— Nieprawda!

Słowo to wybiegło z ust Jabłońskiej.

Aktorka porwała się z krzesła ze zwykłą sobie szczerością, mało się znając na formach honorowego sądu.

Stroński otworzył szeroko oczy, wszyscy zaś zwrócili się w stronę Jabłońskiej, która już przerażona swoim wystąpieniem, usiadła na krzeselku, starając się zmniejszyć ile możności, aby uniknąć ciekawych spojrzeń, skierowanych w jej stronę.

— Czy pani żąda później głosu? — zapytał Pocijko bardzo kurtuazyjnie, starając się przybrać jak najśłodsza minę.

— Nie... nie... — bełkotała aktorka.

— Przeciwnie — zaprzeczył żywo Leon — panna Jabłońska wie lepiej, niż wszyscy, w jakich warunkach przeszedłem granicę. Do niej bowiem udałem się wtedy, gdy mnie zewsząd ścigano, jak dzikie zwierzę. Czy nie tak? niech pani odpowie.

Jabłońska nagle odzyskała rezon.

— Tak... — wyrzekła — pan Leon był wtedy bardzo nieszczęśliwy. Przysłał mi go pan Jaś, jego przyjaciel. Poznałam go w Piotrkowie, wtedy gdy byłam z trupą Czystogórskiego, ale nie pana Leona, tylko pana Jasia. Ponieważ pan Jaś urządzał mi owacye i był bardzo dobry dla mnie, więc ja jestem jego przyjaciółką. I dlatego ja dla pana Leona wyprosiłam przepustkę u Tagiejewa. Ale to ja wręczyłam tę przepustkę panu Leonowi — ja sama! Pan Leon musiał się chować. Spał z maszynistami za kulisami, był bardzo biedny... Siedział w dzień pod sceną. Myśmy się wszyscy tak bali, że go Moskale złapią. Ale się nic złego nie stało, dzięki Bogu. Przepustkę dostałam, niby dla kuzyna i oddałam ją panu Leonowi w loży...

Urwała i nagle zwróciła się ku Strońskiemu, widocznie bardzo zła i zagniewana.

— A widzi pan, że pan kłamie! — wyrzekła bez żadnych ustępstw dla form, na sądach honorowych przyjętych.

Serdeczny wybuch śmiechu przyjął jej słowa. Śmieli się wszyscy z taką ochotą, z jaką przedtem słuchali jej ładnego głosu i patrzyli na jej okrągłą upudrowaną twarzyczkę. Malarze poprawiali krawaty, Wimpfen zaczął błyskać oczami i brylantowym pierścieniem, który nosił na palcu. Stroński nato-

miast i jego partya przybrali ironiczne, wzgardliwe fizyonomie.

To szczebiotanie artystycznego ptaszka było im nie na rękę, bo wносиło jakiś świeży europejski powiew w zatęchłą atmosferę zaściankowej ohydnej waśni i bratobójczej poprostu chęci.

Stroński więc bardzo dobitnie wzruszył ramionami.

— Pani twierdzi że tak było!... — wyrzekł ironicznie, cedząc słowa — ale...

Nie mógł dokończyć, bo Jabłońska zaperzyła się jak mały indyk i krzyknęła.

— Ja nigdy nie kłamię!

Jakie wrażenie byłoby wywarło to słowo, przewidzieć trudno, bo równocześnie wszedł drugi „komik“ zgromadzenia, Kręcki.

Juliś wpadł na salę bez żadnego szacunku dla sądu arbitrów i sukna okrywającego stół. Od progu wszczął harmider i szuranie nogami.

Z przesadną elegancją zwracał się na prawo i lewo powtarzając ciągle:

— Pahdon! pahdon!...

Dotarł wreszcie do stołu i tu tubalnym głosem rozpoczął:

— Przepraszam prześwieatny sąd, że się świadek trochę spóźnił, ale świadek miał dużo do roboty!

Pociejkę otworzył szeroko usta i miał ochotę parsknąć śmiechem, bo znał dobrze Kręckiego, który go bawił nieraz całą masą anegdotek. Ale arbiter Lipski zrobił taką najeżoną i godną minę, że superarbiter Pociękko przypomniał sobie, iż to nie przelewki i z całą godnością ręką skinął.

— Proszę miejsce zająć! — wyrzekł do Kręckiego.

Lecz Juliś stał ciągle przed stołem i ku wielkiej ucieśze studentek wyprawiał pocieszne miny.

— Przepraszam bardzo... — wyrzekł pokornie — ale z czyjej strony mam być za owe świadki. Bo nie wiem, czy mam usiąść w tym, czy w tamtym obozie.

Pociękko zastanowił się chwilę.

— Siadaj pan neutralnie, po środku — wyrzekł z powagą.

I Juliś wcisnął się pomiędzy dwie ładne pаниenki, z których jedna miała bardzo ładne, świecące, czarne oczy.

Posiedzenie zaczęło się dalej, lecz było ono dziwne, bez ładu i składu, jakby niewiadomo, o co i nad kim ten sąd się odbywał. Leon spokojny zupełnie, pewny siebie, siedział teraz instynktownie, przybierając pozę niewymuszona, a przecież imponującą. Zagórski, Barumcwajg, Chodzik rozmawiali pomiędzy sobą cicho, jakby nie starając się nawet zwracać uwagi na długie i bezpodstawne oskarżenia. Stroński zły, z oczyma krwią nabiegłymi, co chwila zarzucał Leona gradem pytań, na które ten odpowiadał z chłodem i spokojem.

Jedno z tych pytań brzmiało:

— Więc pan twierdzisz, że dopiero w kolonii poznałeś Montalemberta?

Leon zwrócił się ku Krękiemu.

— Może Pan zechce zaświadczyc (słowo to wymówił z wielką ironią), iż Montalembertowi byłem przedstawiony przez pana Kwiatkowskiego w kantorze w miesiąc po przybyciu do Paryża.

— A jakże! — odparł Kręcki — pamiętam ten dzień doskonale, zimno było psie, w piecu nie chciało się palić. Ten szpicel przyszedł, no i zaraz nas obcałowywać zaczął... Polonais! polonais! Wszyscy się na to łapali, tylko ja nie. Zawsze go za ten tatarski nos cierpieć nie mogłem. Wtedy pana Leona mu patron przedstawił.

Zegar wiszący na ścianie wskazywał dwunastą.

Już trzy godziny siedzieli ci ludzie w tej ciasnocie i zaduchu, mieląc zacięcie mąkę nienawiści. Ile przez te zmarnowane chwile mógł kraj odnieść korzyści! A oni siedzieli i jeden drugiemu rzucał miano „szpieg!“ — w oczy, zapominając, że każda chwila do grobu zbliża, do grobu, w którym trup nie szpieguje trupa i wszystko tonie w zapomnieniu fali.

Jak długo siedzieli jeszcze — nie wiadomo.

Stopniowo umysły się coraz więcej wzburzały, lecz szale sympatyj przechylały się widocznie na stronę Leona i jego partyi. Leon miał wielką przewagę nad przeciwnikiem. Był szlachetnie piękny — podczas gdy Stroński był rażąco brzydki. I gdy Stroński oskarżał, widział i słuchacz mimowoli zrażeni byli jego szpetotą, ciemnością cery, chropawym dźwiękiem głosu. Gdy Leon odpierał zarzuty, oko odpoczywało, patrząc na harmonię delikatnych rysów i słysząc ładny, niski głos o jakimś dziwnym, melodyjnym brzmieniu.

Poważni panowie Miedwiejski, Zymborski i inni, pomimo oskarżenia, jakie rzucił na nich Leon, mając do wyboru pomiędzy dwiema socjalistycznymi partjami, skłaniali się ku tej, która na sztandarze swym wywiesiła słowo „narodowa“.

I choć miano socjalisty dreszczem trwogi przejmowało umysły tych szacownych mężów, jednak ten dodatek „narodowy“ pozwalał im przelknąć to miano bez zaksztuszenia się zbyt czułego.

Natomiast Stroński i jego partya ze swym internacjonalizmem, wydawali się tym ludziom potworami bez Boga i Ojczyzny w sercu. I dlatego porozumiewcze uśmiechy z Pociejką zamieniali poważni panowie — lekkie wzruszenia ramion w czasie mowy Strońskiego — nie wróżyły nic dobrego dla internacjonalistów. Pociejko należał do grona tych panów „poważnych“, a choć miał bardziej śmiało zapatrywania, jednakowoż pod względem patryotyzmu miał najzupełniej wspólne z nimi uczucia.

Stroński odczuł, iż grunt z pod nóg mu się usuwa i każda chwila przedłuża tylko niekorzystne dla niego wrażenie. W tej chwili czuł, iż ze zbyt małym bagażem wybrał się na tę kampanię i że uledek będzie musiał. Nie mógł sobie darować, iż dopuścił Leona pierwszego do zabrania głosu. Należało teraz posiedzenie zerwać i jutro inaczej rzecz rozpocząć. Ale jak? Noc mogła przynieść dobrą radę. Wreszcie korzystne wrażenie mowy Leona się zatrze.

Niuńciś wybawiła go z kłopotu.

Od pewnego czasu już, celem wzbudzenia zażyłości w Chodziku, zaczęła pisać karteczki i przysyłać je Kręckiemu. Ten odczytywał owe świstki z komicznym zachwytem i przyciskając je do serca, pakował w kieszeń od kamizelki. Sorbonistka bowiem bawiła szczerze Julisia, który udawał zawsze, iż chętnie się bierze na jej zaściankowe kokieterye piękności z Łowicza. Lecz Chodzik nie miał ochoty

tolerować podobnego flirtu. Zapragnął przerwać tę zabawę i nagle spojrzawszy na zegar, zawołał:

— Dwunasta! — omnibusy przestaną chodzić!

Jak na komendę zerwał się cały sąd, arbitry, świadki, partye, poważni panowie. To magiczne słowo „omnibusy przestaną chodzić“ — przedstawiło im w całej grozie spacer wiorstowy po nocy po ośli-zgłym bruku paryskim. Wszyscy zaczęli tłoczyć się do wyjścia.

Pociejko jednak wyciągnął rękę.

— Proszę! proszę... jeszcze chwilę!

Część publiczności zatrzymała się. Koło stołu stał Leon, opodał od niego Stroński, przy nim Farbach pokraczny i pokręcony.

— Jutro o godzinie dziewiątej drugie posiedzenie... — wyrzekł dobitnie Pociejko — proszę państwa wszystkich stawić się w komplecie. Jutro rozpoczniemy przesłuchiwanie kolejne świadków. Z elegancją zwrócił się ku Jaskulskiej, która uszczęśliwiona z pomyślnego obrotu sprawy, naciągała na siebie żakiet.

Lecz Kręcki podsunął się ku Leonowi i cicho deklamować zaczął:

O Pociejko lube dziecię
Odezwałeś nam się przecie
Na sądy sprosujesz
A jeść nie dawujesz...

Studentki zaczęły się chichotać, jakby nigdy trupa nie krajały. Nińczy zachwycona zazdrością Chodzika, rzuciła sorbonistyczne spojrzenia w stronę Kręckiego, lecz Stroński zimnem jak stal spojrzeniem zmierzył handlowca od stóp do głów.

— Trudno jest urządzać posiedzenia honorowych sądów... w restauracjach! — wyrzekł z pogardą.

— A szkoda... panie łaskawy! — odparł Kręcki — skoro się już ma czas tracić, to chyba lepiej przy kufelku piwa, niż na głodno...

— My tu czasu nie tracimy panie! — rzucił Stroński, kierując się ku wyjściu.

— Naturalnie... — rzucił za nim Kręcki — strasznie pożytecznie spędziliście te trzy godziny... Dobranoc panu... baronowi!

I w tej samej chwili uderzył się ręką po ustach.

— A przepraszam... bo to może tutaj pan nie jest baronem. *Je perds mon latin*. Wczoraj jeszcze widziałem pana bilet z tytułem.

Lecz internacjonalny socyalista nie obejrzał się nawet, tylko szedł z dumą, a za nim jak ogon komety sunęła procesya jego towarzyszy.

Nagle nastąpiło małe, nieprzyjemne zajście.

Farbach z całą arogancją beczelnego swego szakałstwa, podsunął się prawie pod samą twarz Leona.

— Jutro będzie inaczej! — wyrzekł, zwracając się niby do Lipskiego — my jutro pokażemy.

Leon usunął się, gdyż kręcone włosy Farbacha prawie dotykały jego twarzy.

— My pokażemy, bo my jesteśmy! — mówił dalej Farbach.

Lecz nagle Chodzik wyciągnął rękę i jak piórko odsunął na bok człowieka „który woził wózek pod Hallami“.

— Usunąć się! — ryknął Chodziki — albo lepiej oddać koszulę pana Leona, co się ma jeszcze na grzbiecie.

I rzeczywiście z pod surduta wychyliła się na szyi Farbacha jedna z koszul Leona.

Farbach pociemniał cały ze złości. Spojrzał na Chodzika, lecz zobaczył w jego twarzy silną chęć do bitki, więc zwrócił się do Leona.

— Ja z takim... nie gadam... zasyczał — ale ja się z panem rozprawię, jak sąd orzeknie, że się z panem uczciwy człowiek bić może.

Tego było za wiele.

Leon spojrział na pokraczną postać swego byłego lokatora i przez zaciśnięte zęby rzucił jedno słowo.

— Kanalia!...

W tej chwili Pocijko wmieszał się pomiędzy zwaśnionych.

— Przepraszam panów! — wyrzekł z powagą — warunkiem sądów honorowych jest zawieszenie na czas ich trwania wszystkich waśni i awantur... Później, skoro wola — mogą panowie dać upust swej krewkości, do chwili wyroku jednak obowiązkiem moim jest nie dopuścić do żadnych niewłaściwych postępków.

Zagórski przyświadczył.

— Tak panie dzieju, tak się należy. Chodźmy Leonie!

Mówił już teraz „ty“ całej partyi. Porwany animuszem, uszczęśliwiony, rozpromieniony na myśl, że dawne szlacheckie swady odżyły na tym paryskim bruku, ujął Leona pod ramię i poszedł z nim ku wyjściu. Lecz nagle Leon posłyszał za sobą szelest jedwabiu. Instynktownie zwolnił kroku. Koło niego

przechodziła Wilhelmina. Szła jakby niezdecydowana, wreszcie, zrównawszy się z nim, wyciągnęła ku niemu rękę.

— Bonjour! — wyrzekła prawie obojętnym tonem.

Była bardzo piękna w nowym futrzanym kołnierzu z wysokim puszystym kołnierzem. Leon zauważył, iż była jakaś inna, zmieniona. Coś w niej było fałszywego, czego na razie zrozumieć nie mógł. Gdy podeszła bliżej światła, włosy jej nagle zaczęły się gorącymi tonami mahoni. Na całej masie tych kręconych ślicznych loków, widniał toczek podpięty turkusowym aksamitem. Wszystko to nadawało Wilhelmince prawdziwie paryską cechę. Nie w niej już nie było Polki. Razem z kruczym odcieniem włosów, ginęło to, co ją wyodrębniało od reszty paryżanek, a nadawało jej niezaprzeczone piętno Warszawianki.

Teraz, cały tłum schodził powoli, krzycząc i hałasując zwyczajem polskim na schodach.

Przodował tu naturalnie Kręcki, który zgromadził dokoła siebie całe stadko rozchichotanych panien, zapominających o powadze, o przebytych egzaminach, o projektach rywalizacji z Charcotem i Penem. Dziewczyny śmiały się wesoło, pusto, dziecinnie. Niuniusz, co chwilą stawiała na schodach i rzucała na Kręckiego zabójcze wejrzenia, na które on odpowiadał równie zabójczo. Lecz Chodziki zirytowany, sprowadził okulistę i widocznie usiłował go namówić, aby zrobił żonie scenę za „niewłaściwe zachowanie się“. — Wkrótce wszystko troje zniknęło w pobliskiej kawiarni, reszta zaczęła dążyć ku omnibusom. Niektórzy biegli nawet, bojąc się spóźnienia.

Wszyscy jednak byli widocznie podnieceni i rozba-
wieni, jak po wyjściu z jakiegoś widowiska. Dla ich
umysłów, spragnionych mało-miasteczkowych awantur,
była to widocznie ożywcza rosa. Wszyscy mniej wię-
cej traktowali tę sprawę dość wesoło i jakkolwiek
przyszli w usposobieniu tragicznem i grozy pełnem,
jednak przebieg tego sądu zmienił tragedję na po-
czątek komedyi.

Czuł to wybornie Leon i cieszył się serdecznie
w duszy z tego widocznego zwrotu na jego właśnie
korzyść. Otoczony Zagórskim, Barumcwajgiem, Ja-
skulską i innymi, szedł spokojnie napozór, jakkol-
wiek miał ochotę śmiać i weselić głośno. Nie prze-
widywał takiego obrotu sprawy. Był nad wyraz rad
i prawie pewien teraz, iż oskarżyciele jego żałować
muszą tak niefortunnego wystąpienia.

Po za sobą czuł obecność Farbacha, który
szedł, rozmawiając głośno, szydząc, śmiejąc się i ro-
biąc najniewłaściwsze docinki i uwagi.

Mówił, iż zdecyduje się prawdopodobnie na-
wet na spotkanie z osobami, które będą się czuć
uszcześliwione, iż istnieje porządny człowiek, ofiaru-
jący im honorową satysfakcyę.

— Mnie to będzie mało kosztować!... — mó-
wił drwiąco — a im to zrobi tyle przyjemności...

Patrzano na niego i uśmiechano się. On w tych
spojrzeniach czuł zachętę i coraz silniej akcentował
swoje wyzywające zachowanie się.

Nagle ktoś go silnie trącił w bok.

Był to arbiter Lipski, który przez chwilę w sie-
ni naradzał się cicho ze Strońskim.

— Milezcie! — wyrzekł — i chodźcie z nami!

Wilhelminka szła ciągle w grupie, otaczającej
Leona, lecz widocznem było, iż mimo, że jest „bli-
sko“, jest jednak „daleko“. Leon jednak tak był
wesoly i czuł się tak lekko na duszy, że wrócił mu
dawny sentyment dla narzeczonej. Na ulicy już pod-
sunął się ku niej i podał jej ramię.

— Chodźmy! — wyrzekł tym samym tonem,
jak dawniej, z pocziwym i serdecznym uśmiechem.

Lecz ona usunęła się z wytwornym grymasem.

— Zwracam panu uwagę — wyrzekła — iż
panna Jabłońska, sprowadzona tu przez pana na
świadka, jest sama, a mieszka bardzo daleko...

W głosie jej jednak nie było ani złości ani
rozdrażnienia. Było natomiast coś lekceważącego dla
Leona, dla Jabłońskiej, jakaś nuda, chęć znalezienia
pretekstu, który uwolniłby ją od niemiłego jej towa-
rzystwa.

Lecz Jabłońska natychmiast zaprotestowała.

— Ja pójdę sama, ja znajdę dorożkę — to
głupstwo...

Nikt jednak nie miał ochoty do kilkukilometro-
wego spaceru po ulicach Paryża o północy. Szcze-
ściem znalazł się Kręcki.

— Ja idę w tamtą stronę... — zawołał — pa-
ni pozwoli, że się jej przedstawię i zaraz zabiorę
panią pod pachę. Pójdziemy złączeni przez świat ten
dziki... i tam dalej!...

— Doskonale! — odparła, śmiejąc się Jabłoń-
ska — chodźmy! zegniam! do jutra!...

I ze śmiechem, szelestem i szuraniem wesoło
para znikła w mgłę jesiennej.

Razem z niemi zniknął i promień wesołości,
jaki rozjaśniał przed chwilą całe zgromadzenie

Wszyscy uczuli się senni i znudzeni. I sennie i znudzenie iść do domów zaczęli. Wilhelmina szła przodem sama jedna, nie oglądając się na nikogo.

Jaskulska zagadła do niej, lecz otrzymawszy niechętną odpowiedź, zostawiła ją w spokoju.

Przez chwilę Leon chciał się zbliżyć do narzeczonej i zażądać od niej kategorycznego wyjaśnienia, lecz postać jej zdała mu się tak daleką, a cała moralna istota tak obcą, że nie śmiał i w umyśle swym nie znajdował słowa, którem mógłby ową rozmowę rozpocząć.

Wszyscy mówili i komentowali wypadki wieczoru. Radzi, winszowali sobie, że rzeczy taki obrót biorą. Zagórski tryumfował i sypał dyablami, kanalljami, sobakami z wielkim ferworem.

Jaskulska brała na seryo swoją rolę arbitra i ciągle powtarzała zaciętrzewiona.

— Państwo... na Boga, umiarkowanie przed wyrokiem sądu!

— Daj mi pani spokój z wyrokiem sądu — burczał Zagórski — jaki tu może być wyrok? skazać tych internacjonalistów na dwadzieścia pięć kijów każdego i to bez dywana, bo to pewnie panie dziu nie szlachcice, tylko jakie smarowozy — nie innego!

Szli dalej z animuszem i fantazją, ale w miarę, jak zbliżali się do Glasiery, fantazja ta nikła. I gdy Leon wszedł wreszcie na glasierski trotuar, doznał nagle uczucia, jakby po chwilowej swobodzie powracał do zgnilego i dusznego więzienia.

Po obu stronach wznosiły się mury kamienie, niebo było czarne, tumany mgły snuły się w tej ciasnej i nieskończenie długiej przestrzeni. Był to deptak, na którym konały dusze w dobrowolnej katordze... nie więcej.

XII. Katastrofa.

Wczesnym rankiem zastukano do drzwi Leona.

Chodzik, który od pewnego czasu wstawał wcześniej, bo miewał „randki“ z Nińciusem pod Sorboną — mył się właśnie z szumem i pluskiem, jak młody tryton, nurzając głowę w miednicy.

Nagi do pasa, oblany wodą, parszający nozdrzami, otworzył drzwi i cofnął się zdziwiony. Przed nim stało dwóch internacjonalistów, odzianych w wymowne czarne tużurki.

Ich napuszone miny, nadęty ton głosu, którym zapytali się o Leona, aż nadto świadczył o celu ich wizyty.

Ktoś z ich grona zapragnął „honorowej“ satysfakcji.

Leon zbudzony przez Chodzika, usiadł na łóżku i zaspanemi oczami patrzył na nadętych młodzików. Ci widocznie brali swą misję „na seryo“, usiedli na podanych im przez Chodzika krzesłach i półgębkiem, błędząc wzrokiem po ścianach, zawiadomili Leona, iż... pan Farbach, czując się obrażony słowami wymówionemi przez Leona wczoraj w sali Zgody, zdecydował się „mimo wszystko“, zażądać od Leona natychmiastowej satysfakcji.

— Farbach?

Leon mimowoli parsknął śmiechem.

Wtórował mu Chodzik, który mył się dalej, parszcząc i rozpryskując wodę aż na tużurki dwóch godnych młodzieńców.

— Farbach? Nie, to szczyt komizmu!

Lecz sekundanci Farbacha byli niewzruszeni. Jeden z nich nawet dość cierpko wyraził swe zdziwienie, dlaczego właśnie Farbach ma być „szczytem komizmu“.

Lecz przerwał mu Chodzik, który pełnym głosem wrzasnął:

— Niech pierwszej odda koszulę Leona, którą ma jeszcze na grzbiecie... Niech odda buty, za które Leon zapłacił... Niech...

Sekundant skrzywił się z pańska.

— Darujcie — wyrzekł — to są drobnostki, a misya nasza...

— Piękne drobnostki! — huczał Chodzik. — Tyle par skarpetek... a chustki do nosa zużył wszystkie, bo ma ciągle katar, a tyle chleba, co zjadł, a długie na sardynki i masło, co w sklepiu porobił... to są drobnostki. Niech to odda, a potem będzie bestya o honorze gadał.

I w świętym oburzeniu dodał z całą głęboką naiwnością:

— Świnia! pasożyt! próżniak!...

Leon giestem nakazał mu milczenie.

Przestał się śmiać i wolno, spokojnie, lecz z wielką ironią odparł, iż nie może bić się z Farbachem, który w domu jego odegrał rolę szpicla, wdzierając się w jego tajemnice, kopiując listy, a nawet je wykradając.

— Uważam go za to samo, za co mam agenta policyjnego. Mogę nim pogardzać, ale bić się z nim nie będę. Musiałbym w takim razie bić się i z Montalembertem... a to przecież, panowie sami przyznają, jest niemożliwe.

„Panowie“ wstali z krzeseł, skłonili się i ku drzwiom zmierzali.

— Przytem — dorzucił jeszcze Leon — panowie zechcą zauważyć, iż zasady sądu honorowego wymagają, aby obie strony wstrzymały się najzupełniej od wszelkich nieprzyjaznych manifestacyj podczas trwania tegoż sądu... Później — nie mówię... Skoro się sąd skończy, pan Farbach otrzyma należną satysfakcję...

Sekundanci zatrzymali się u progu.

— Więc pan później z nim się bić będzie? — zapytali.

— Nie, łaskawi panowie — odparł Leon — ja się z nim bić nie będę, ja go obiję!

Sekundanci spojrzeli na Leona, na siebie i nagle szybko otworzyli drzwi i wyszli.

Chodzik śmiać się zaczął.

— Szubrawcy! — wyrzekł, kładąc świeżą koszulę Leona, widząc, że przegrali sprawę, więc chcą nadrobić teraz pojedynkami. Myśleli może, iż ta pokraka was postrzeli, bo i to stać się mogło. Właśnie to było im na rękę...

— Lepiej nie myśleć o tem — odparł Leon.

Wczorajsze wesołe usposobienie znikło.

Zaczęła go znów męczyć zmora, jakimi pieśniami wydadzą dalsze numera Hejnału. Nie należało nadużywać dobroci Jabłońskiej, choć czuł, iż aktorka i dalej pomocy swej może nie odmówi. Je-

dnak było to źródło niepewne i owo utrzymywanie partyjnego organu za pieniądze jednej kobiety miało nie bardzo rycerską cechę — tembardziej, że kobieta owa do „partyi“ wyraźnie nie należała.

Pozostał jeszcze Zagórski.

Do niego, a raczej do nich obojga należało się zwrócić obecnie. Trzeba było się spieszyć, aby wyzyskać rozgorączkowanie zapalczywego Zagórskiego. W ten sposób można było zapewnić sobie jeszcze jeden numer Hejnału.

Co dalej będzie?

Jakoś to będzie!

I doszedłszy do tego rezultatu, Leon wstał i zaczął się ubierać. Nie sporo mu było wyjść dziś na ulicę. Przytem czuł, iż pomiędzy nim a Wilhelminką powinno przyjść do jakiegoś wyjaśnienia. Tak dłużej być nie mogło. — Ten stan rzeczy mógł trwać tydzień, dwa tygodnie, ale czemże usprawiedliwić go nadal?

Po upływie zaledwo dwóch godzin zeszedł Leon na ulicę. Nigdy mu chyba nie szło tak leniwie owo „zejście“ i nie zrozumiał, dlaczego prawie na każdym stopniu wahał się z dalszym krokiem.

Wreszcie — stanął na trotuarze i szedł ku bulwarowi Arago z dziwnem uczuciem zgnębienia, jakkolwiek dokoła świeciło ładne i prawe wesołe słońce.

Idąc — znów zaczął myśleć i kombinować materialne zasoby wydawnictwa Hejnału. Z kraju nie mógł się spodziewać zasilków — zresztą — Mazia ma przywieść wiadomość, czy partya jest w stanie przyjść mu z pomocą. Stanowcza wiadomość, czy Mazia przebyła granicę i dobiła się do miejsca, gdzie

ukryto pisma, miała nadejść jutro, najdalej pojutrze. Właśnie brak wieści miał być owym strasznym zwiastunem pojmania dziewczyny przez władze w Królestwie. I w jednej chwili troska o nią rozprószyła inne myśli Leona. Co się z nią dzieje w tej chwili, nie z ideą, ale z nią samą, z tą skromną, cichą, do-dobrą dziewczynką?

Jeśli ją zaaresztują, osadzą w więzieniu, co się stanie z jej młodością, krasą, sercem, inteligencją i tym wielkim czarem, tylko jej właściwym?

Zamyślił się głęboko Leon. Szedł z głową, opuszczoną na piersi i w ruchu tym kapelusz zsunął mu się na twarz. Zapragnął go podnieść i w tym celu ujął ręką brzeg kapelusza. Lecz — równocześnie poczuł na ręce ból i jakaś kresa czarna śmignęła mu przed oczyma.

Cofnął się i ujrzał przed sobą Farbacha, który błądy bardzo, cofając się w tył, groził mu trzymaną w rękę szpicrutą.

— Ja sobie zrobię satysfakcję!... — wypluł Farbach, stając w obronnej pozycji — ja sądu honorowego nie potrzebuję!...

Leon rzucił się na niego i w tejże chwili Farbach znów podniósł szpicrutę. Leon pochwycił go za rękę i wyrwał mu szpicrutę, którą połamał i cisnął na ziemię. Wówczas Farbach zaczął szybko uciekać w stronę bulwaru Arago, w kierunku stojącej i otwartej dorożki.

Jak pajac wskoczył w dorożkę, która natychmiast pomknęła wzdłuż murów szpitalnych.

Wówczas dopiero Leon obejrzał się dokoła i dostrzegł, że jest otoczony całą masą gawiedzi, przypatrującej mu się z ciekawością.

— Sans doute pour une femme! — zakonkludował jakiś młody robotnik.

Dwie szwaczki w czarnych fartuchach uśmiechnęły się i rzuciły jakiś podejrzany koncept.

Publiczność śmiać się zaczęła, gdyż we Francji wszystkie tragedye kończą się wesołością.

Leon chwilę miał uczucie, iż wszyscy dokoła niego są piani i on wypił także nad miarę.

Na trotuarze o kilkadziesiąt kroków spostrzegł nagle Wilhelminkę w towarzystwie tego samego Francuza, z którym studentka jeździła do Mendau.

Musiała być świadkiem całego zajścia, bo szła wprost ku niemu i Leon przeraził się wyrazu jej oczu i całej twarzy.

Wilhelminka patrzyła na niego „szklannym wzrokiem“, to jest patrzyła, a nie widziała go wcale. I te szklane źrenice, dobrowolnie obojętne i niezbrane, były stokroć straszniejsze, niż gdyby w nich wzgarda i nienawiść się mieściły.

Leon uczuł, iż należało mu czempredziej usunąć się z ulicy. Odszedł więc z ustami zaciśniętymi konwulsyjnie — pozostawiając na ulicy złamaną szpicrutę. Jeszcze przed chwilą zdawało mu się, iż dostrzegł, że się ktoś po ową szpicrutę schylił, lecz dokładnie sobie z tego nie umiał zdać sprawy. Chciał tylko schować się, ukryć i zastanowić nad tem, co mu dalej uczynić wypadało.

Przyszedłszy do domu, posłał natychmiast Roberta po Jaskulską, Barumcwajga i Zagórskiego.

Poczem, zamknawszy się, długo coś radzili, sprzeczała się, aż wreszcie wszyscy przystali na jedno.

I znów sala natłoczona po brzegi i znów studentki, stół zielonem suknem pokryty i niknący w tumanach papierosowego dymu.

Sąd jeszcze się nie rozpoczął.

Leon nie przybył jeszcze. Nie ma również ani Barumcwajga, ani Zagórskiego, ani Chodzika.

Jedna Jaskulska stoi koło okna, wzburzona i cała zgorączkowana.

Stroński wraz z całą swoją kliką już się znajduje na dawnych miejscach i twarze internacjonalistów są wesołe, rozjaśnione, uszczęśliwione.

Farbacha nie ma pomiędzy nimi. Widocznie uznano, iż lepiej będzie, aby się nie pokazywał.

Ponieważ nacjonalisci i Leon przyszli do przekonania, iż wystąpienie Farbacha wyszło z inicjatywy Strońskiego i jego partyi, postanowiono, iż w chwili otwarcia posiedzenia Leon zażąda głosu i rzecz całą, jak była, opowie. Poczem podda tę sprawę pod sąd ogółu i zapyta: czy możliwem jest przeprowadzenie sądów honorowych z ludźmi, nie umiejącymi uszanować przepisów, wzbraniających podczas trwania sądu jakichkolwiek zaczepnych kroków.

Co zaś do Farbacha, Leon rezerwował sobie satysfakcyę czynną cokolwiek później. Wobec fatalnego i brutalnego postępu międzynarodowców należało działać niezmiernie poprawnie i logicznie, aby szalę sympatyj przechylić na swoją stronę.

Nad całym zgromadzeniem ciężcy zaczął jakiś gorączkowy niepokój. Pomimo wesołości Strońskiego i jego partyi, wszyscy zdawali się oczekiwać czegoś niezwykłego i fatalnego. Nawet sam Kręcki, który przybył razem z Jabłońską, usiadł w kącie obok aktorki i miał jakąś dziwną skwaszoną minę. O zaj-

ściu porannem prawie nikt z obcych nie wiedział, oprócz interesowanych.

Nagle, jak rój białych motyli, zaczęły się pojawiać na sali drukowane kartki papieru. Kto je puścił pierwszy w kurs, dociec było trudno. Rozeszły się jednak z szaloną szybkością i w mgnieniu oka prawie każdy z obecnych miał taką kartkę w ręku.

Kartka ta brzmiała jak następuje:

„W dniu 18 listopada 18... r., pan Leon Orlicki został obity szpicrutą przez pana Stanisława Farbacha przy zbiegu ulic Glaciers i bulwaru Arago. Obity nie tylko iż się nie bronił, ale zachowaniem się swoim zdradził jak największe tchórzostwo.

Podpisano

Stanisław Farbach“.

Świstki te — dostały się przedewszystkiem do rąk arbitrów i superarbitra.

Twarz Pocijki przy czytaniu owego druku zdradzała niemal przestrach. Jaskulska aż pociemniała od krwi napływającej jej do twarzy. Jeden Lipski nie okazał najmniejszego zdziwienia i zaczął uważnie czytać ową kartkę z miną niezmiernie srogą i poważną.

Zaciemniało, zaszumiało nagle w całej sali i nagle również ucichło, jakby każdy, przeczytawszy owe słowa, doznał olśnienia. Wszyscy milcząc, spoglądali po sobie, niektórzy odkładali owe kartki, inni zwijali je i chowali. Wszyscy jednak zdawali się uważać te druki za rodzaj prologu, wstępu do dramatu, który rozegrać się będzie musiał. I mimowoli oczy zwracały się ku arbitrom, którzy po za stołem, wsunęci w nisz okien, trzymając w rękach owe nie-

szczęsne kartki, stali nieruchomi i jakby w ziemię wrośnięci.

Nagle do Pocijki podszedł Lipski i gięstem poprosił Jaskulską, aby zbliżyć się zechciała.

— Łaskawy pan daruje — wyrzekł Lipski szeptem — ale ja jako arbiter zmuszony jestem prosić, ażebyśmy zastanowili się, czy możemy sądzić... honorowo człowieka, który został obity, nie bronił się i dał dowody tchórzostwa!...

— Rzecz miała się inaczej! — przerwała gorączkowo Jaskulska.

— Czy Farbach nie uderzył szpicrutą pana Orlickiego?

— Uderzył, ale...

— A więc fakt pierwszy stwierdzony. Teraz — idźmy dalej, czy pan Orlicki Farbachowi uderzenie oddał?

— Orlicki wyrwał Farbachowi z rąk spicrutę i połamał ją...

— Farbach inaczej twierdzi.

— Farbach po dokonaniu swego podłego czynu uciekł i wskoczył do dorózki.

Lipski uśmiechnął się ironicznie.

— Pan Orlicki mógł silnem uderzeniem zmusić Farbacha do pozostania na miejscu...

Jaskulska aż skoczyła.

— Jakże to? bić się na ulicy?... i tak dosyć Polacy są ośmieszeni w Paryżu — nie należy więc dodawać jeszcze im tematu do nowych drwin.

Pocijko nie nie mówił, tylko tał czoło i głową poruszał niespokojnie.

— Mojem zdaniem — podjął znów Lipski — jest konieczną rzeczą, ażebyśmy się nad tem wszyst-

kiem dobrze naradzili. — Może przejdziemy do przyległego pokoju i tam postanowimy, co nam uczynić należy.

Pociejko natychmiast skierował się do drzwi, po za którymi znajdował się mały pokój, w którym znajdowały się półki, pokryte książkami i trochę pism polskich. Widocznem było, iż superarbiter potrzebuje uciec od tych wszystkich spojrzeń, skierowanych ku niemu z rodzajem zapytania.

Z uprzejmego zwrócenia się Pocijki ku Lipskiemu, Jaskulska odgadła natychmiast, że wynik narady wypadnie na zgubę Leona. — Widocznem było, iż Pocijko powziął wstręt do człowieka, którego „obito szpicrutą“. I rzeczywiście człowiek taki może być sto razy niewinnym i zdradziecko napadniętym, zawsze nosić będzie na sobie rodzaj fatalnej plamy, odstręczającej od niego sympatyę ogółu, jakby jakiś fatalny stygmat trądu lub innej choroby.

Gdy Pocijko z Lipskim znikali już za dzwiemi pokoju, rozległ się szmer i zgromadzeni rozstąpili się z oznakami jakiegoś trwożliwego wstrętu.

Do sali wszedł Leon w towarzystwie Chodzika, Zagórskiego i Barumcwajga.

Zapanowało gluche milczenie.

Tylko wśród tej ciszy posłyszano lekki szmer jedwabiu i dzwonięcie portebonheurów. To Wilhelmina wysunęła się do przedpokoju aby opuścić zgromadzenie.

Przechodząc mimo Leona, skrzyżowała się z nim wzrokiem. I znów Leon ujrzał ów „szklany wzrok“, który zmroził krew w jego żyłach.

Lecz zastanawiać się nawet nad tym faktem nie mógł. Podbiegła ku niemu Jaskulska i drżąc całą wyszeptala:

— Przeczytajcie... zróbcie co z tem natychmiast... chcą zerwać sąd i ogłosić was niegodnym nawet sądu... Starajcie się... ja będę zwłóczyć...

Wcisnęła Leonowi w rękę kartkę z oświadczeniem Farbacha i zniknęła we drzwiach, po za którymi znajdowali się Lipski i Pocijko.

Leon przeczytał ów druk i uczył, jak pot wystąpił mu na czoło. Należało coś zrobić natychmiast. Leon czuł, iż wszyscy patrzą na niego i czekają.

Oparł się o krzesło, które napotkał na drodze i patrzył przed siebie. Żałował w tej chwili, iż nie miał przy sobie rewolweru. — Strzeliłby na osłep w tę całą zbitą masę, która go żarła z całą nienawistną ciekawością wzrokiem, nie zdając sobie sprawy, iż dla zadowolenia swoich rozpróżnionych ambicji skazuje duszę ludzką na śmiertelną moralną torturę.

Lecz już Barumcwajg, Chodzik, Zagórski przeczytali porzucone wszędzie na stole, na krzesłach, na ławkach kartki i jedną pchnięci chęcią zgromadzili się wszyscy dookoła Leona.

— Co czynić? — pytał szeptem Zagórski, tracąc widocznie w tym odmiecie głowę i nie mogąc w swej czystej, uczciwej duszy starego entuzyasty, znaleźć radę na bagno, które się powoli dookoła wznosiło.

Lecz Chodzik zacisnął pięści i rzucił przez zęby jedno tylko słowo:

— Walić...

— Tak! — potwierdził Barumcwajg — należy bić, zanim arbitrzy z narady wyjdą... Chodźmy!...

Lecz Leon powstrzymał ich jednym ruchem ręki.

— Zostawcie mnie... tu o mój honor chodzi!... wiem, co zrobię!

W jednej chwili wyprostował się, zapiał tużurek i oczy mu zaiskrzyły się pod ściągniętymi brwiami, jak dwa dziwne światelka.

Nie spiesząc się, pewnym, spokojnym krokiem podszedł ku Strońskiemu, który rozmawiał w tej chwili z udaną nonszalanecją z jednym ze swych stronników.

I w wielką, niemal uroczystą ciszę wpadł nagle odgłos silnie wymierzonego policzka i równocześnie trochę drżącym głosem wymówione przez Leona słowa:

— Za lokaja biją pana!...

I znów była cisza, która trwała sekundę jedną, ale była pełna grozy dziwnej, niemal tragicznej. Nagle porwał się okropny krzyk, łoskot, hałas przerażający.

Zawrzało, skłębiło się i zewsząd rozległy się krzyki.

— Infamia! infamia!...

Stroński był trupio blady. Natychmiast zaczął szukać ręką w kieszeniach tużurka i wyciągnął z nich rewolwer, który skierował przeciw Leonowi. Ten widział wybornie skierowaną ku sobie broń, lecz stał na miejscu, jak zahipnotyzowany.

— Tem lepiej... niech się to skończy! — przemknęło mu przez głowę.

Strzał padł, lecz kula przeleciała nad głową wszystkich i utkwiała we drzwiach. To Chodzik kastetem, który nadział na rękę, podbił ramię Strońskiego. W tej samej chwili ktoś ze strony internacjonalistów rzucił krzesłem w stronę Barumzwajga. Krzesło padło na głowę jednej ze studentek i rozkrwawiło jej czoło.

I w tej ciasnej, zadymionej Izbie, zdaleka od kraju, młodzież wysłana nieraz kosztem ciężkich ofiar ze strony rodziny na naukę, zabijała się, mordowała wzajemnie, pchana do tego po prostu żądzą wywyższenia się, szaloną ambicją osiągnięcia przewagi pierwszego... stanowiska nie w kraju, nie dla przewodniczenia w jakiejś szlachetnej pracy, ale jedynie dla zaspokojenia własnej pychy i wrodzonej chęci wicherzenia i nienawiści.

Krzyk, hałas, krzyżujące się razy i słowa, zlewały się w straszliwy chaos. Jakaś studentka chora na serce, dostała ataku, inni deptali po niej, nie zważając na prośby kobiet, które chciały ją z pod butów wydostać. Chodzik, uderzony silnie pięścią w piersi przez samego Strońskiego, otwierał już ostry sztylecik, który miał przytwierdzony do kastetu.

Lecz Barumewajg dojrzał ten ruch i wydarł mu z ręki mordercze narzędzie. Z pokoju przyległego wybiegł Pocijko blady, przerażony, za nim Jaskulska, która natychmiast rzuciła się w sam wir waleczących. Padł drugi strzał i kula znów utkwiała w ścianie tuż koło głowy Leona. On ciągle przeżuwał tylko jedną myśl — „niech się to już raz skończy!...” Nagle Kręcki pochwycił go za ramię.

— Chodź pan ze mną!... — krzyknął prawie rozkazująco.

Lecz Leon oparty o ścianę, zdawał się ciągle oczekiwać na to... zakończenie, i nie ruszał się z miejsca.

— Chodź pan ze mną!... — powtórzył Kręcki i pchnął Leona w otwarte drzwi przedpokoju.

Tu porwała ich masa rozsądniejszych, mniej zapaleczywych, którzy szukając swych palt, okryć,

kapeluszy uciekali, do domu. Leon usiłował wyrwać się z rąk Kręckiego.

— Ja tam, ja tam... muszę... — belkotał, rwąc się do sali, w której huczało.

Kręcki ścisnął go tak za rękę, iż zdawało się, że ma ochotę kości Leonowi zgruchotać.

— Chcesz pan, żeby panu w łeb strzelono? — zapytał.

— Mniejsza z tem! — odrzucił Leon.

— Dia pana... tak!... o pana nie chodzi, ale czy pan nie raczy zastanowić się nad tem, że tam w pomieszkaniu pana są całe stosy kompromitujących papierów i adresów?... Więc znów ma zejść policya, pieczętować — i oddawać ambasadzie wyroki śmierci na ludzi, żyjących w kraju, którzy ci zaufali, wolność i życie swoje składając niebacznie w pańskie ręce?

Kręcki mówił szorstko, brutalnie. Twarz jego wyrażała wielką siłę i pogardę. Leon w jednej chwili oprzytomniał. Odczuł, iż Kręcki ma słuszość i rozumiał, że bezcelowe pozwolenie zabicia się w bratobójczej walce byłaby donkiszoteryą. Obowiązek kazał mu bronić powierzonego sobie bezpieczeństwa tylu ludzi. Kręcki odszukał swoje palto i zarzucił mu na ramiona. Trwało to wszystko zaledwie kilka sekund. W sali wrzawa potęgniała z każdą chwilą. I nagle dał się słyszeć ochrypły głos Lipskiego.

— Panowie i panie — byliście świadkami zdradzieckiej napaści... ogłaszamy tedy pana Orlickiego za... *infamisa!*

Ostatnie słowa pokryła straszna wrzawa.

Kręcki popychał przed sobą Leona i szarpiąc go, wyprowadził wreszcie na schody.

— Ja pana do domu odwiozę — wyrzekł — i radzę nie wychodzić nigdzie z domu, dopóki pan nie poniszczy wszystkich papierów i śladów swej działalności. Mogą pana zastrzelić na ulicy a inni za pana będą cierpieć... Tak nie uchodzi, dość było awantur po śmierci Grzegorzewskiego...

Leon czuł najzupełniej słuszość słów Kręckiego, lecz w tej chwili nienawidził handlowca za jego logikę, zimną krew — za traktowanie możliwej jego śmierci w tak chłodny, obojętny sposób.

I gdy wsiadłszy w dorożkę, jechali w kierunku Glacjery, Leon zamykał oczy, aby nie widzieć upartej głowy i chłopskich rysów twarzy tego, który jego życie cenił tak mało a bezpieczeństwo i swobodę tych „dalekich“ stawiał tak wysoko.

XIII. Infamia.

Na drugi dzień rozwinęła się już nie serya pojedynków, ale literalnie jakaś epidemia pojedynkowa. Całe dnie uwijali się po Glacierre „panowie“ w tużurkach i rękawiczkach. Często jedno i te same tużurki funkcyonowały od świtu do zmierzchu, bo sekundanci nie mieli nader zasobnej garderoby, więc pożyczali sobie wzajemnie owej karawaniarskiej, a tyle znaczącej odzieży.

Zaprzestano zupełnie chodzić na wykłady, studentki latały jak frygi i żyły przeważnie bułkami i tabliczkami czekolady, nie mając czasu na usmartenie nawet tradycyjnego bifsztyku. Tu i owdzie widać było gromadki Polaków i Polek, szepejące na ulicy w sposób tajemniczy. Nagle pojawiały się duże, czarne postacie w tużurkach. Szepejący milkli i patrzyli z ciekawością na przechodzących. Ci — przybierali zaafierowane miny, pełne tajemniczej niedyskrecyi, która cechuje zwykle mężczyzn w chwilach gorączki pojedynkowej.

Gdy nikli w której sieni — stojąca na ulicy gromadka, zbijała się w jeszcze ciaśniejszy kłębek i plotki szły już jak na maszynie Singera.

„Koleżanki“ — nie mogąc się wyzywać na pojedynki szermowały nie mniej dzielnie na języki.

Panna, która dostała ataku sercowego i miała pół ciała podeptane obcasami, była nacjonalistką. Z tego powodu internacjonalistki zaopiniowały, iż nacjonalisci z tchórzostwa podmówili „koleżankę Goldenspiegel“, aby „koleżanka Goldenspiegel“ udała atak sercowy. Sądzieli prawdopodobnie, iż cała uwaga zostanie zwrócona na spazmującą dziewczynę. I koleżanka Goldenspiegel podpadła także pod wyrok infamii za to, że dała swe serce użyć do takiego celu. Postanowiono nie mówić z nią i ostentacyjnie nie podawać jej ręki.

Komentowano również zachowanie się Wilhelminy. Piękna panna po odczytaniu druku Farbacha wyszła natychmiast z sali, nie czekając na awanturę. Zamanifestowała przeto swoją pogardę dla Leona i tem samem zerwała owo przyrzeczenie małżeństwa.

— Zresztą... i tu „koleżanki“ uśmiechały się dwuznacznie. Mój Boże! wiedziano, co wiedziano i to już od dawna... Ten student medycyny, Francuz, p. Cazalis, przystojny, rosły, blondyn, mający bogatą rodzinę na południu Francyi, oddawna szalał za Wilhelminą. Ona, umiejętnie prowadziła rzecz całą i z kokieteryą przebiegłej Warszawianki, przynętami flirtu wiodła owego południowca, aż do drzwi merostwa, aż do stóp ołtarza. Dziś, Cazalis nie tał się, że płonie chęcią poślubienia pięknej Polki. Ona — ciągle się wahała, ale dziś rano widziano ich razem, jak szli do szpitala pod jednym parasolem uśmiechnięci i szczęśliwi.

Jasne więc jest, jak słońce, iż z Leonem nastąpiło zerwanie i Wilhelmina pójdzie za Francuza.

Zresztą, to było do przewidzenia.

Wilhelminka przecież zaczęła sobie farbować włosy!

I znów przejście dwóch sekundantów i znów milczenie w gronie „koleżanek“.

Hm... mężczyźni nie na żarty sobie poczynają. Ale, słyszeliście? Z Leonem przecież nikt się bić nie będzie, nikt się bić nie może, bo on jest pod... infamią! Co też on robi?

I rada w radę „koleżanki“ uradziły, iż Orlikiem nie pozostaje nic, jak tylko strzelić sobie w łeb!

Uradziwszy to ważne postanowienie, rozbiegły się, jak stado podskubanych wróbli, roznosić dalej swe plotki i błoto wykrzywionych bućków. Internacjonalistki, spotkawszy nacyonalistki, odwracały głowy, natomiast nacyonalistki, spotkawszy internacjonalistki, obrzucały je wyzywającemi spojrzeniami. Widocznem było, iż partya Leona jest zrozpaczona i usiłuje nadrobić pewnością siebie.

I rzeczywiście. Położenie Leona było fatalne.

Ogłoszony za infamisa słowem i drukiem (zaraz nazajutrz pojawiły się nowe druki, ogłaszające rzecz całą i opatrzone kilkudziesięciu podpisami), Leon tracił głowę, mając przed sobą jedyną drogę zabicia Strońskiego w morderczy sposób, ponieważ ten od pojedynku się uchylał.

Do samego świtu w pokoju Leona partya cała zebrana, radziła nad dalszem postępowaniem.

Uradzić nic nie było można.

Dokola nich była sieć nadzwyczaj misterna i tak utkana, że wszystko, co Leon by przedsięwziął, obróciłoby się przeciwko niemu samemu.

Na druk jednak należało odpowiedzieć — drukiem. Partya uradziła, iż trzeba wystawić Leonowi świadectwo... „uczciwości“ — i opatrzyć owe świadectwo równą liczbą podpisów, jaką nosił manifest Strońskiego. Ponieważ Jabłońska znalazła się nagle razem ze wszystkimi w mieszkaniu Leona, od niej „pożyczono“ potrzebną kwotę na owe druki. Aktorka rozegzaltowana, rozgorączkowana, patrząca na całą sprawę z oświecenia teatralnego, przysięgała, iż odda „ostatnią koszulę“, aby zgnieść „tamtych“.

Zredagowano więc tekst owego ogłoszenia i szło teraz o uzyskanie kilka „firmowych“ podpisów oprócz mniejszego tłumu. Leon rzucił nazwisko Leszcza, Farensheima, owych „grubych ryb“, obecnych na balu. Zagórski, który na owo posiedzenie sądu honorowego wybrał się z żoną i dziećmi, aby pokazać im, jak to rodacy w zgodzie żyją — musiał odprowadzić do domu rodzinę silnie poturbowaną i posiniaczoną. Niemniej przeto zjawił się, choć późno u Leona i dowiedziawszy się o przebiegu narady, natychmiast swoje nazwisko na pierwszym miejscu zamasyście położył. Poczem — oświadczył, jak Jabłońska, iż gotów jest oddać „ostatnią koszulę“ dla sprawy.

Świt ukazywał się szary, gdy całe grono wygłodniałe obradowało jeszcze. Chodzik rozpromieniony, dumny z okazanego męstwa, co chwila wyjmował z kieszeni kastet i nakładał go na rękę. Niuńciusz wydawała wtedy krzyki strwożonej kury, co w ekstazę wprowadzało Kręckiego i Jabłońską. Aktorka i handlowiec nadzwyczaj prędko się porozumieli, zawarli przyjaźń i teraz wyglądali jak dwóch rozbawionych uczniów podczas pauzy klasowej. — Kręcki wyśmiewał zapał Jabłońskiej i po cichu wy-

kazywał jej komiczne strony tej glaciarskiej tragedii. Okulista co chwila zaofiarowywał się z interwencją, z pomocą, z jakimś stanowczym wystąpieniem i spełniał w ten sposób rolę Augusta w cyrku. Jaskulska była chora i splakana, Barumcwajg chmurny i niezadowolony. Nad ranem wypito wszystką herbatę — zjedzono okruszyny bułek i nareszcie zdecydowano się na rozejście.

Barumcwajg miał udać się do „grubych ryb“ z żądaniem podpisów.

Leon niczemu już nie oponował. Czuł, że gra rolę fatalną, nieudolną, prawie śmieszną. Miał uczucie jakby dobrowolnie przechodził przez różgi. Fatalny zbieg jednak okoliczności nie dozwolił mu zerwać więzów. Należało teraz brnąć dalej.

Był już... zdrajcą — teraz został... infamisem. Cóż mu jeszcze ta glaciarska przyszłość ukrywała w sobie.

Następnego dnia, w południe, przyszedł Barumcwajg z jeszcze bardziej chmurną twarzą. Powracał od „grubych ryb“ z niczem. Uprzedził go już Stroński i wydostał ich podpisy na swój nowy dokument.

Miał bowiem znów wyjść „druk“ powtarzający mniej więcej treść poprzedniego lecz bardziej rozwlekły i ubarwiony dosadniejszymi wyrażeniami. Stroński bowiem wierny był lekarskiej zasadzie, iż należy często podawać choremu lekarstwo, aby tenże pamiętał, iż jest chory. Starsi panowie nie wchodząc bardzo w grunt całej sprawy, dali „baronowi“ swe podpisy. Prosił grzecznie, zresztą pochodził z dobrej rodziny. Dlaczegoż mu odmawiać tej przysługi?

Gdy Barumcwajg zjawił się w godzinę później, zastał bardzo zakłopotane miny starszych panów

i otrzymał odmowną odpowiedź. Nie nalegał, powrócił na Glacière i zajął się wydrukowaniem odezwy, tak jak była, bez szumnych nazwisk. Teraz, zaczął się literalnie turniej drukowanych świstków, które sypały się na całą kolonię polską, niemal codziennie. To co przeciwnik jeden ogłaszał, drugi demontował. Wreszcie trudno już było połapać się, gdzie prawda a gdzie kłamstwo. Kolonia bawiła się w najlepsze. Od dawna nie pamiętano tak ożywionych fixów. Dwom studentkom wypowiedziano mieszkania z powodu owych licznych posiedzeń, przeciagających się do dnia białego.

Pewnego poranku wpadł do Leona okulista.

— Gdzie szpiceruta! — zawołał z progu.

Leon cały poranek strawił na oczekiwaniu listonosza z umówioną wieścią od Mazi. Lecz — czekał na próżno. Widocznie dziewczynę schwytano, on jednak jeszcze się łudził i ciągle czekał.

— Jaka szpiceruta? — zapytał nagle wyrwany z koła smutnych myśli.

— No... ta... Farbacha..., patrzcie, co oni piszą.

I rzucił na stół nowy druk, w którym Farbach tryumfalnie udowodniał, iż Leon uciekał przed jego razami, pozostawiając mu plac boju, nawet bez próby obrony.

Leon przeczytał, lecz powoli te wrzyski obelgi, kłamstwa, paszkwile zaczynały na nim wywierać dziwne wrażenie. Zdawało mu się, że to nie o nim mowa, że to ktoś inny jest w tej całej sprawie zainteresowany.

— Więc jakże... gdzie szpiceruta? Należy udowodnić, że wyrwaliście mu szpicerutę z ręki i porwa-

liście ją w kawałki. Potem spisujemy nowe oświadczenie i wydrukujemy.

Drzwi otwały się z łoskotem.

Weszła Niuniuś, za nią nieodstępny Chodzik. Niuniuś miała minę kobiety zdecydowanej na wszystko, Chodzik zaś mężczyzny, który zdziałał wiele. Sorbonistka odziana była w kolet z wysokim kołnierzem i na czubku głowy miała amarantowy aksamitny kapelusz. Dół sukni za to był porządnie obłożony, a rękawiczki ujawniały zupełny brak guzików.

Amaryllis bił jak maczugą od jej łona, a modne te perfumy wypełniły natychmiast całą przestrzeń pokoju Leona.

Nie witając się z mężem, Niuniuś zasiadła na krześle, rzucając ciągle ukośne wejrzenia na Chodzika, ten zaś rozpoczął rozmowę od rzucenia na stół nowego druku Farbacha.

— Właśnie... ja to samo przyniosłem... teraz należy odnaleźć szpicrutę i ogłosić, że jest tam i tam do obejrzenia. Gdzież szpicruta?

Leonowi zdawało się, że ten wyraz jest świrdem, który mu się w mózg wkręca.

— Nie wiem! — odparł. — Rzuciłem na ziemię. Ktoś podniósł...

— Ale kto?

— Nie wiem.

— Może zauważyliście kogoś ze znajomych wśród tłumu, ten może być świadkiem.

Leon przypomniał sobie, iż Wilhelmina przechodziła właśnie, lecz zaciął usta i nie wymówił jej imienia. Od chwili owej katastrofy Wilhelmina nie dała znaku życia o sobie. On zaś w swem zgnę-

bieniu moralnem nie chciał pierwszy zwracać się po jałmużnę dobrego słowa...

Lecz Niuniuś wpadła na dobry pomysł.

— To się stało przy zbiegu ulic! — wyrzekła. — Tam jest piekarnia, ludzie musieli wyjść ze sklepów, widzieli. Tam znajdziemy świadków.

— Raeya! — wrzasnął okulista. — Niuniuś z ciebie czysty Lecoq. — Chodźcie Leonie...

Lecz Leon potrząsnął głową.

— Ja nie pójdę!

— Ależ... dlaczego?

Chodzik stanął przed nim i ręce szeroko rozłożył.

— Tu idzie o wasz honor!

Leon uśmiechnął się smutnie.

Jego... honor! Co miało znaczyć to słowo!

Czyż to był jego honor, to coś moralnego, abstrakcyjnego, na co rzucała się cała banda ludzi i opluwała błotem, oszczerstw i insynuacyi.

— Nie pójdę! — powiedział raz jeszcze, zdecydowany nagle usunąć się od owego „oczyszczania“ swego honoru, które było sto razy więcej hańbiące, niż sam fakt „infamii“.

— To idziemy sami... — zawyrokował okulista — musimy iść... to nasz obowiązek!

I krzyknął na Niuniusię i Chodzika:

— Dzieci, marsz naprzód!

Wyszli więc wszyscy troje wesoło, gwarnie, jakby na rozkoszną przechadzkę, albo do teatru.

Leon pozostał sam.

Usiadł koło stołu i nagle, bez przyczyny, uczuł, iż łączy mu cisną się do oczów.

Nigdy nie uczuł się tak sam, tak strasznie sam, jak w tej chwili. Zdawało mu się, że podarto na nim odzienie i on teraz owija się już tylko w strzępy, ale te go nie chronią od przejmującego zimna.

Ten chłód, to pustkowie moralne było dokoła niego, wnikało w jego duszę, wkładało się pod czaszkę. I przed sobą widział także nicosć — idea rozwiewała się w puch, uciekała, jak miraż chłodny i obojętny, nie mając dla nieszczęśliwego ani śladu promieni, ani śladu ognia, którym go z początku zagrzewała.

I znów stanęła mu w myśli Mazia.

Teraz już nie było wątpliwości.

Dziś ostateczny i dobrowolnie niemal przedłużony przez Leona termin upłynął. Mazia została zaarrestowaną!

Jasna, promienna dziewczyna. Tak cicha, uległa i wielka. Tak piękna w swem poświęceniu, w swej pracy „w szeregu“, bez ambicji, bez próżności, bez chęci rozkazywania, panowania nad innymi.

Ona w tej chwili przechodzi może śledztwo w gubernialnym więzieniu, jakiś żandarm utkwiał w nią swe stalowe źrenice i bada ją... bada!

Ona milczy — i milczeć będzie.

Nie wyda nikogo i przechodzić będzie samotność więzienną, brak światła, budzenia nocne, brak wody, tysiące subtelnych, a na pozór nie znaczących mąk, które i on już przeszedł i które go często o szaleństwo przyprawiały.

Lecz jej wina jest cięższa, ona będzie surowiej badana, surowiej więziona, częściej budzona

w nocy i sama, wiecznie sama, na długie bardzo lata!

I nagle Leon wyciągnął ręce, jakby chciał po-
wstrzymać przy sobie tę, która była tak daleko i tak strasznie na świecie, a już nie dla świata. Wyciągnął ręce w próżnię jakby za kochanką, co odeszła na zawsze i więcej powrócić nie miała.

Zastukano do drzwi gwałtownie.

Leon odwrócił głowę i zanim zdołał wypowiedzieć jakie słowo — już przed nim stał Kręcki.

Juliś miał twarz strasznie zmienioną. Był tak blady, że prawie zielony, tylko tu i ówdzie plamy czerwone wystąpiły mu pod skórą. Usta miał spuchnięte i drżące. Oczy od łez zaczerwienione, oddychał ciężko.

Leon otworzył usta, aby go zapytać, co się stało, gdy Kręcki pochylił się nad nim i z całą nieważnością, chrapliwym głosem zawołał:

— Co wyście mi zrobili! Co wyście mi zrobili!

— Kto?

— Wy!... wasza szajka, wasza partya... wasza narodowo-socjalistyczna partya... wasza... Glaciera!...

Leon powstał i usiłował sam dojść do równowagi.

— My? panu?... Ależ myśmy panem nigdy się nie zajmowali!

Kręcki wybuchł bolesnym śmiechem.

— Naturalnie — mną — nie. Ja byłem za nędznym filistrem dla waszych pojęć. Ja byłem tylko groszorem, który cały dzień jak koń w pługu chodził, aby od nikogo nie prosić, nie nie żądać i z niczyjej łaski nie żyć. Wyście mną pogardzali, jak

nieczystem zwierzęciem, bo ja chciałem sam siebie uspołecznąć pierwiej, zanim się zabiorę do uspołecznienia drugich. Ale dlaczego wy i moi ch nie zostawiliście w spokoju?

— Nie rozumiem pana!...

— O, tak — podjął znów Kręcki, z coraz bardziej wzrastającym rozdrażnieniem — pan nie rozumiesz i to nie mnie, ale nawet zadania, którego się pan podjąłeś!... Panu się zdaje, że to nie — machnąć czyjś tam adres i wysłać pod nim do kraju zakazane pismo! Pan kontent, że więcej o jeden egzemplarz wysłał i nie pyta o nic więcej, urąga wszystkiemu, nie dbając, co będzie dalej, co się stanie tam w kraju z tym, do którego owo pismo było adresowane!

Leon brwi zmarszczył i usiłował odzyskać dawny, chłodny ton partyjnego przewódecy.

— Pan się myli! — wyrzekł wyniośle — u nas wszystko się robi z rozmysłem i my nikogo nie narazamy lekkomyślnie naszymi wysyłkami.

— Milczeć, milczeć i słuchać! — krzyknął Kręcki, a głos jego był tak straszny, iż mimowoli mróz przebiegł nerwy Leona.

— Milczeć... a ja powiem wszystko! Wysłałeś pan numer Hejnału pod adresem mej narzeczonej do cukrowni w Szarociu. Skąd pan wzięłeś adres — nie wiem... może wyludziliś go odemnie jako... Numer ten władze przejęły i narzeczoną moją, jej ojca i jej brata aresztowano. Czy pan rozumiesz... aresztowano, odstawiono do gubernij, a teraz skierowano ją i brata na Petersburg... ojciec pozostał w cytadeli warszawskiej.

Zatrzymał się chwilę — otarł pot z czoła, wreszcie upadł na krzesło i wyszeptał:

— Zrozumiałeś teraz, coś ty uczynił?

Leon stał nieruchomy, nie mogąc znaleźć słowa na usprawiedliwienie.

Tak, tak — postąpił tak lekkomyślnie — uczynił to nie dbając o następstwa. Przypomina sobie dokładnie tę chwilę, gdy nie zdając sobie sprawy z tego co robi, wysłał pod adresem cukrowni jeden numer Hejnału.

Kręcki zaczął mówić, jakby sam do siebie.

— O, tak... łatwo działać wtedy, gdy się oddzieliło od żandarmów i Sybiru — setkami mil i kilkanaście granicami. Łatwo zdobywać sobie sławy i laury patryotów i działaczy, siedząc gdzieś tam za ścianami, gdzie ani aresztować, ani wtrącić do więzienia nie mogą! Wielkie bohaterstwo — straszne poświęcenie, strzelanie z poza murów fortecznych tak silnych, że żadna kula nieprzyjacielska przebić je nie zdoła.

Porwał się z krzesła i zaczął biegać po pokoju jak szalony.

— Ale tamci, tam w kraju — których wy wolnością, życiem igracie, dla zadowolenia często jedynie próżności swojej — oni muszą płacić za was często całym mieniem, życiem, swobodą, rozumem. Ot moja dziewczyna — moja kochana, moja srebrna, moje wszystko, siedzi teraz gdzieś w jakiejś więziennej norze, sama, splakana, zziębnięta. Ona cierpi na silne newraglje, ona pewnie tam jęczy teraz z bólu... moja... ta moja...

Łzy mu twarz rosły teraz obficie. On je ocierał z chłopską, rękawem surduta i szlochał głośno, złamany i zrozpaczony.

— Oni przekonają się, że narzeczona pana niewinna... wypuszczą... wyrzekł wreszcie Leon, czując doskonale, że to, co mówi, jest fałszywe, głupie i nieprawdziwe.

— Oni ją wypuszczą!... Oni?... krzyknął wśród łez — a kto ich przekona, że to wina pana, jedynie pana? Kto? Przecież nie pan, bo ty im nie powiesz, tyś się ulokował z a granicą bezpiecznie i stamtąd ludzi na zatracenie wysyłasz. A gdyby nawet ją wypuścili — to jaką! jaką zdręczoną... zlaną na życie całe. My, mężczyźni, a nas cytadela często o szaleństwo przyprawia, a cóż taką małą dziewczyninę, biedną, trwożliwą, nerwową... Co z nią się stanie! co z nią się stanie!...

Odetchnął głęboko — wziął cylinder, który rzucił na ziemię i stanawszy przed Leonem dodał:

— Ja dziś jeszcze tam jadę. Rzucam miejsce, łamię swoją przyszłość... ale jadę. Co ja tam pomogę, nie, to więcej jak pewnie, ale pojechać muszę. Przyszedłem, aby panu powiedzieć, że postąpiłeś... nikczemnie!

Leonowi pociemniało w oczach.

— Panie!.. — krzyknął zdławionym głosem.

— Tak jest, nikczemnie!.. — powtórzył Kręcki. — Pan się na mnie nie rzucaj, bo ja z panem pojedynkować się nie będę. Ale nie dlatego, że pana ci wiele politycy z Glacjery ochrzcieli infamisem, ale dlatego, że ja jestem chłop i pańskich wymysłów i komedji pojedynkowych nie uznaję. A to, co mówiłem panu o Glacjerze, sprawdziło się do joty. Zabrano panu tu wszystko, bo nawet cześć pana, nawet sumienie, które nie pozwala igrzać z bezpieczeństwem ludzi niewinnych, nawet poczucie honoru i obo-

wiązku, które nakazuje każdemu — odpowiadać samemu za to, co czyni, a nie chować się tchórzliwie i stamtąd dyktatora udawać. Skoro stąd wyjdę... oblicz się pan z sobą, zastanów się, do czego cię doprowadziła twoja pycha i pchanie się na świecznik... W miłość idei byłbym uwierzył, gdybyś został w szeregu i to pierwszym a nie wydawał rozkazy z bezpiecznego punktu. Dla mnie zwycięzcą na polu bitwy, jest skromny żołnierzyna, którego trup służy za podścielisko dla innych zwycięskich szeregów! Pióropusze dowódców nie imponują mi nigdy... Bywaj pan zdrow.

Głos Kręckiego przy końcu tych słów brzmiał już donośniej, dźwięczniej i nabierał dawnych tonów ironij. Otarł łzy kulakiem, wstrząsnął hyrą i wyszedł, trzaskając drzwiami, zataczając się jednak jak człowiek bardzo nerwowo wstrząśnięty.

Ściemniać się już zaczynało, gdy Leon powstał od stołu, przy którym siedział jak przykutym.

Straszną przeszedł chwilę.

Był to obrachunek, jaki uczynił sam ze sobą i w tym kierunku potępił się surowo.

Nie miał żadnych łagodzących okoliczności. Prawda — przystąpił do pracy społecznej z sercem czystym, gorącym, pełnym entuzjazmu, lecz co uczynił z tem sercem w miarę zagłębiania się w ową pracę? Dokola tego czystego brylantu nagromadzać się zaczęło tyle ambicyi, tyle pychy, tyle chęci osiągnięcia władzy, iż z serca pozostał proch bezużyteczny, teraz rozwiany marą tak, że nawet iskry już wykrzesać zeń nie było można. I za tem sercem mu teraz było żal, bo mimo całej siły nie mógł już

w tej masie osobistych pragnień odszukać prawie śladu promiennego siebie dawnego, za którym teraz dusza mu się rwała, jakby za kimś, co żył, kochał, był kochany — i istnieć wolno przestał.

Samobójca, przeżył samego siebie. I teraz stał nad swą własną mogiłą zdrczony i rozpaczy pełen. O! gdyby mógł powrócić do siebie dawnego, gdy rwał się myślą do owej Głaciery, gdy na wspomnienie Grzegorzewskiego płonął i drżał cały!

Jakiż on wtedy był bez winy — jak czysty przystępował do tej świętej pracy z wyrazem „poświęcenia“ na ustach.

Dziś, strącono go w przepaść, zszargano — zdrczono, podeptano go nienawiścią i zazdrością, lecz i cierpienie jego było bezowocne i nie zasługujące na współczucie, bo w nim było więcej jego samego, niż zszargania idei, dla której on pracował.

On — w tej chwili czuł dobrze. Zwalczono w nim lidera, wodza partii a nie partię samą — starto w pył człowieka, a nie ideę, i to człowieka, który początkowo z idei tej miał bóstwo a powoli uczynił ją sługą, aby sam zająć pierwsze miejsce na ołtarzu, gdzie ona, ona jedna tylko znajdować się powinna.

I wobec obrachunku tego zmalowały w sercu Leona zaściankowe napaście Strońskich, ich awantury, bicia szpicrutami, druki, słowem cała nędza komedii partyjnych menderów wystąpiła jak podła drobna nie znacząca plama — lecz stan jego duszy, on sam, on tak strasznie próżny, lekkomyślny, że dlań było niczem narażać nawet swobodę i szczęście nieznanym mu ludzi jedynie dla powiększenia liczby odbiorców — ten on ambitny, despotyczny

i próżen już zupełnie ofiarnej miłości — stawał przed nim jak druga jakaś odrębna istota, jak winowajca nagle zakuty w łańcuchy i kazał się sądzić, roztrząsać i na potępienie skazywać.

Całą Golgotę przeszedł Leon w tej chwili, bo zaiste śmiertelną bywa dla człowieka taka godzina, gdy stanie sam naprzeciw siebie i spojrzy sobie w duszę nieubłagany wzrokiem. I niema straszliwszego, bardziej nieubłaganego sędziego, i nie ma straszniejszej nienawiści, jak ta, którą wtedy człowiek do siebie zapłonie — a nie ma bardziej srogiego wyroku, jak te, który na siebie samego rzuci.

Mazia — narzeczona Kręckiego — brat jej i ojciec, ci inni, których zwerbował do partii, tu już na miejscu, uniemożliwiając im później podróż do kraju — ci współpracownicy Hejnału, których manuskrypta tak niebacznie oddawał do drukarni, a Montalembert fotografował i fotografie te oddawał, ambasady — wszyscy ci „emisariusze“ wysyłani często prosto w ręce żandarmów, podczas kiedy on siedział na swej Głacierz, jak za wałem fortecznym bezpieczny — wszystkie te smutne cienie płynęły teraz ku niemu milczące a przecież oskarżeń pełne.

I stał pomiędzy nimi blady, zgnębiony, czując że wobec nich był tchórzem, a nie wobec szpicruty Farbacha, któremu nie oddał karczemnym kułakiem za karczemną napaść.

Nie to, co ludzie uważali za powód do ogłoszenia go infamisem, było prawdziwą infamią — ale takie wysyłanie ludzi po za kratę cytadeli, lekkomyślne targanie przyszłości tych, którzy mogli być rzeczywiście krajowi pożyteczni i drodzy.

I teraz znów należało wysłać emisariusza, aby przekradłszy się przez granicę, dostał się do swych książek ukrytych w pomieszkaniu ludzi, którzy nie wiedzieli nawet, co kryją a laśa chwila mogli za to dostać się do więzienia i być zesłanymi na Sybir.

Dopiero dziś — dopiero w tej chwili Leon uczuł, iż taka rzecz byłaby zbrodnią. Przywykł w partyjnej zaciekłości szafować tak drugimi ludźmi. Lecz teraz nie chce tego uczynić, nie może.

I nie szuka już w myśli, kogo wyznaczyć emisariuszem.

W tej godzinie agonii abdykuje sam przed sobą ze wszelkich zaszczytów i godności. Przestaje być samodzierżcą — i schodzi z tronu do rzędu prostych żołnierzy. I nietylko staje w szeregu odarty ze wszystkich zaszczytów, ale idzie pierwszy, sam jeden naprzeciw nieprzyjaciela z piersią naprzód podaną, jakby proszącą o wymiar kary za bezmiar pychy, którym grzeszyła, z rękami wyciągniętymi prośbą o kajdany — z oczyma utkwionemi w szare niebo Polski, która mu teraz będzie nie środkiem, lecz... celem.

Wieczorem — Niuciś, Chodzik, okulista, Jaskulska wpadli jak bomba do mieszkania Leona. Uderzył ich straszny swąd spalonych papierów. Wszystkie rzeczy spalono i wyniesiono do Barumcwajga. Na łóżku bez pościeli siedział Leon. Przy nim leżała nieduża torebka podróżna. Po pokoju chodził Barumcwajg. Twarz miał mniej chmurną, jakby rozjaśnioną wewnętrznem zadowoleniem.

— Zwycięstwo! — zapiała od progu Niuciś — znaleźliśmy dwóch robotników, którzy byli świad-

kami zajścia. Jeden z nich nawet podniósł szpicrutę. Oto, ich świadectwa.

Wyjęła z za gorsu pomięte éwiartki papieru, na których widać było koszlawe i niewprawne pismo.

— Oto świadectwo ślusarza z ulicy Monffetard a to robotnika z kompanii gazowej — ciągnął tryumfalnie okulista — zaświadczaają, iż widzieli, jakieście palnęli Farbacha i wydarli mu szpicrutę. O! oto ich podpisy...

— Nie chcieli nam wydać tych świadectw, bali się, ale póty ich prosiliśmy, aż to wreszcie zrobili — szczebiotła Niuciś — chcieliśmy zaraz przyjść, ale wstąpiliśmy z panem Chodzikiem na obiad i tak jakoś zeszło...

Byli bardzo radzi, weseli, a Jaskulska promieniała z radości.

— Jutro ogłosimy to drukiem, a mam nadzieję, że się sąd ponownie zbierze za jakich dni kilka...

Leon nie ruszył się z miejsca.

Patrzył na nich wszystkich tak, jakby ich po raz pierwszy w życiu widział. Wydali mu się wstrętnie płytey, samolubni, nędzni i bardzo pożałowania godni.

Zwrócił pytający wzrok na Barumcwajga — czy już powiedzieć? — mówiły jego oczy.

Barumcwajg położył palec na ustach. Leon odetchnął, bał się ich krzyków, zapytań, protestów na wiadomość, że wyjechać ma do kraju. Z pewnością słowo „honor“ wystąpiłoby tu w całej pełni. Według nich, według tych małych ludzi — honorem było to, co mógł obić szpicrutą pierwszy lepszy chłystek na ulicy, lub w jakim ciasnem przejściu.

I Leon nie powiedział im nic. Na pytania ich, co zrobił z rzeczami, powiedział, iż nie czując się bezpiecznym w tym domu, przenosi się na Glaciere, ale nieco dalej.

Wszyscy pochwalili jego zamiar, tylko Chodzik zafrasował się, gdzie on spać będzie. Lecz okulista ofiarował mu natychmiast swoje mieszkanie do dyspozycji.

Chodzik przyjął tę ofertę z nadzwyczajną skwapliwością, zapowiadając Leonowi, że jutro, skoro Leon już się na nowem mieszkaniu zainstaluje, on na współlokatora powróci.

Poczem okulista zaproponował zejście na dół do kawiarni. Barumcwajg i Leon odmówili. Gdy tamci wyszli, oni z uczuciem ulgi drzwi za nimi zamknęli.

— Czas na kolej! — szepnął Barumcwajg.

— Czas! — powtórzył Leon.

Barumcwajg sięgnął do kieszeni, i wydobył zeń pomięty stufrankowy papierek.

— Oto, co wydobyłem... Późno było i tak załedwie Piwnicki dał mi to na weksel.

Leon wziął pieniądze i uściśnął silnie dłoń towarzysza.

— Jeśli nie wrócę... wy po mnie. Dobrze?

Lecz Barumcwajg potrząsnął odmownie głową.

— Nie! nie! Ja czasu nie mam. Wy wiecie, ja na wsi, rodzina mi zjeżdża. Dwóch braci, których sam będę musiał kształcić i chować... Jeżeli was wezmą, to już z Londynu — z góry tam wyznaczają... Nie kłopotcie się...

Leon zaczął się ubierać. Barumcwajg już przy drzwiach zwrócił się ku niemu jakby zafrasowany.

— Dlaczego wy sami jedziecie? Darujcie, to nie bywało nigdy... Mogliście wysłać kogoś...

— Ja też wysłałem... siebie — odparł gorączkowo Leon — bo ja chyba tylko do siebie samego mam prawo i sobą rozporządzać tylko mogę!

Zeszli obaj w milceuui.

Na dole Glaciera rozciągała się wąską linią, tonąc cała w żółtej mgle.

Leon stanął nagle i w mgłę tę wzrok zapuścił. Zamajaczyły mu purpurowe okna Wilhelmini, lecz serce w jego piersi nie targnęło się nawet boleśnie.

Widocznie — kochać przestał. Pomiędzy niemi dwojgiem zerwała się nie... Nie chciał pożegnania.

I poszli z Barumcwajgiem w kierunku bulwarów. Kroki ich rozlegały się głośnie wśród nocnej ciszy. Dotarli do Bulwaru. Skręcili. Za nimi Glaciera cała żółta, ledwie poznaczona punktami gazowych światełek, zdawała się być uspijonym węzem, który wabił ku sobie młode, niedoświadczone serca po to, aby je chłonać, niszczyć i zmieniać w pyszne, fałszywe i wystygłe kamienie...

XIV. Zaszumi las!

— Granica!

Szara platforma smutna, fatalna, jakby dzie-
dziniec szpitalny. Tu i owdzie drzemią żandarmi —
lecz już pociąg nadjeżdża. Na platformę wychodzi
smukły, zgrabny oficer o stalowem spojrzeniu. Idzie
krokiem sarny, zgrabny, odziany w podbity futrem
mundur.

Patrzy po szybach wagonów, jakby miał rysy
wzrok i przez ściany wagonów „podejrzane lica“
umiał zgadnąć.

Leon jest dziwnie spokojny.

Siedzi na swej ławce, nie czując żadnej trwogi.
Ma fałszywy paszport, który uzyskał po drodze,
ale jest przygotowany na to, że go poznają. Przy-
czernił włosy — zmienił się trochę, jednak czynił
to prawie bezwiednie, bez tej gorączki, każącej przy-
kładać drobiazgowo starania do zatarcia wszelkich
śladów dawnego siebie, jaka charakteryzuje prze-
jeżdżające w takich warunkach przez granicę osoby.

Drzwiczki wagonów otwierają się kolejno. Przed
niemi staje żandarmski oficer — za nim, dobrze
znane Leonowi, długie siermięgi i kołpaki żandarm-
skich żołdatów. — Wszyscy oddają paszporta. Ko-
lejno wypuszczają pasażerów z wagonu, jak zwie-

rzęta z klatki. Leon jest ostatnim, podaje swój pa-
szport i w tej samej chwili spotyka się ze wzrokiem
żandarma. Stalowy błysk bije mu prosto w źrenice,
lecz ani drgnienia trwogi nie budzi w sercu Leona.

Leon wysiada i wchodzi do tamożni.

Ciemno i zimno jest w tej sali. Kilka lamp pali
się tu i owdzie. Pomiedzy kuframi uwijają się po-
sługacze, odziani w białe fartuchy.

Dokoła balustradnych stołów cisną się pasażerowie
mleczący i jakby grozą przejęci. I wszystko
jest już jakieś strwożone, smutne, pomimo grzeczno-
ści i niemal aroganckiej uprzejmości, z jaką tamożni
urzędnicy zwracają się ku przejeżdżającym. To nie
jest jeszcze więzienie, ale prawie przedsionek wię-
zienia — a ostrogi żandarmów, brzęczące po flizach,
dziwnie na pamięć przywodzą brzęk kluczy w rękach
więziennych dozorców, czasem nawet brzęk kaj-
danów...

I pomimo wszystkie usiłowania, aby było ina-
czej, wstępuje się tu jakby w tuman śniegowy, prze-
kracza się granicę świata i wchodzi się w mgłę
niepewności, w mgłę rozpacz, zwątpienia. Idzie się
po za tą granicą już po omacku, ciągle oczekując,
że się przytrafi coś nadzwyczajnego, że się przy-
trafi jakaś straszna chwila, która będzie kresem ży-
cia. I gdy dni mijają normalnie, mimowoli nastę-
puje zdziwienie. Dlaczego ten olbrzym śpi? Ten
olbrzym żelazny, do wnętrza którego weszło się
przez ten niewielki kolejowy budynek, obstawiony
soldatami w długich szarawych szynelach. I laska
jego wydaje się jeszcze groźniejszą. Zostawił swo-
bodę, możliwość poruszania się według woli — ale co
będzie za chwilę?

I znów się czeka, a tymczasem ciasnym budynkiem kolejowym wchodzą i wychodzą tyciące ludzi, opatrzonych w kilka kartek papieru zeszytych i ostemplowanych.

Te kartki, te stemple, to jak monogramy rzeźników, którymi znaczą woly na rzeź przeznaczone.

Leon stoi około stołu. Otworzył swą torebkę i on czeka na tę katastrofę, na owo aresztowanie. Urzędnik przyklepił już na jego torbie białą łatkę z orzelkiem i poszedł dalej. Leon wciąż stoi i czeka. Wreszcie tamożenna sala wypróżnia się powoli.

Leon ogląda się i widzi, że jest prawie sam wśród stołów i błota. Kieruje się tak jak inni ku restauracyi — tam siada w kącie i znów czeka.

Patrzy — jak do restauracyi wchodzi znów smukły żandarm, siada przy stole, na tem samym miejscu, na którem siedział wówczas, gdy Leon uciekał z kraju — i pije herbatę. Żandarmski oficer nic się nie zmienił. Jest zawsze takim samym ładnym chartem, jak dawniej. Podchodzi ku niemu służbowy żandarm i mówi coś po cichu. Oficer wstaje i wychodzi.

Do Leona podchodzi żyd z siwą brodą i proponuje zmianę pieniędzy. Mówi po polsku, lecz wtrąca słowa rosyjskie. Kelner liczy się z gośćmi po rosyjsku, akcentem żydowskim. Leon wszystko to słucha, chłonie w siebie i jest mu strasznie, nie-wypowiedzianie ciężko na duszy.

Wreszcie dzwonek — i odjazd.

Leon wstaje, wychodzi na drugą platformę i tam widzi stojący szereg wagonów. Ciemno jeszcze, choć już niedługo świtać zacznie. Tam, gdzieś

w oddali z czerni horyzontu wylania się jasny pasek. To już dzień wstaje nad polską ziemią. I ten dzień, rzecz dziwna, zdaje się być nawet inny. Smutniejszy, wahający, nieśmiały. To nie tryumfalne wkroczenie światła w dziedzinę ciemności. Tu światło kryć się musi i skradać, jak myśl w mózgach ludzi, jak mowa rodzinna w ustach dzieci...

Leon wsiadł do wagonu i machinalnie patrzy przez okno.

Na platformie stoi grupa ludzi. Stary, siwuteński kapitan żandarmów, kilku urzędników z tamożni w czapkach z zielonemi opaskami. Stoją blisko latarni tak, że twarze ich występują bardzo dobrze w tem oświetleniu. Pochyleni, obserwują siedzącego na ziemi psa, który najeżył się jak potwór i przybrał wojowniczą postawę.

— Skaży mama, tata... — prosi stary kapitan — maja sobaczka gawarit — priamo kak czelawiek.

— Da! da! — potwierdzają znudzeni urzędnicy.

— Ona piered wysoczajszemi licami, fokusy dielała — ciągnie dalej żandarm.

Więc nie się prawie nie zmieniło — myśli Leon — nic, mimo że tam, na Bagneux umarł taki Grzegorzewski, mimo że taka Mazia płacze teraz w cytadeli... wszystko to samo — nieublagane, obojętne, straszne uzbrojeniem w rozkazy wydawane z góry...

Tymczasem strojny oficer wchodzi do wagonów i oddaje podróżnym paszporta. Leon wstał i czeka swej kolei — rzecz dziwna, teraz jest pewien, że go tu nie zaaresztują, że on zdoła ocalić jeszcze tamtych ludzi i odebrać od nich broszury. To też gdy porucznik oddaje mu paszport, ręka Leona sięga po

niego śmiało a oczy spotykają się spokojnie z oczyma Moskala.

— Pardons!... — mówi petersburszczyk i idzie dalej spełniać swój chareci urząd.

— Pardons! — machinalnie powtarza za nim Leon.

Na stacyi X. — Leon wysiada i szybko iść zaczyna. Zna drogę i wie, jak się trzeba oryentować, aby trafić do miasteczka N.. gdzie mieszkają ludzie, u których złożono cały transport książek. Idzie szybko, bo chłód jesienny przejmuje go do szpiku. Nie ma za co wynająć koni, a nawet lęka się wzbudzać podejrzeń. Później wróci znów na stację i pojedzie dalej.

Dzień już zupełny, szary, mglisty smutny.

Dokoła czuć już zimę. Listopad beznadziejny szarzeje w przestrzeni. Tu i owdzie stoją kałuże wody, która zdaje się marznąć już białawo. Lada chwila a posłyszysz się krakanie wron, z burzanów wychyli się czarny ptak w wieczystej swej żałobnej szacie i krakać zacznie nad ziemią żałobną — kra! kra!

Leonowi coraz ciężiej, coraz boleśniej.

W oddali kraj zdawał mu się spowity w wielki majestat, w kiry królewskiej draperyi. Była w tem moc skrępowanego olbrzyma, wspaniała w swej rozpacz.

Zbliża draperya królewskiego płaszcza zmieniła się na poszarpaną siermięgę skazańca. Tylko tu i owdzie widać było łaty przyczepione niby ręką troskliwego rządu. Były to jednak raczej kości rzucone zbyt zgłodniałemu psu, który leżał na pograniczu i którego przy życiu, dla straży utrzymy-

wać należało. Leon wszedł teraz w las i szedł drożyną po butwiejącym pokładzie liści, które już spadły tu na zimowy sen. Nad nim sterczały bezlistne gałęzie drzew. Przez nie przeglądało niebo szare i ciężkie.

I nagle, w tym bezlistnym lesie zrobiło się Leonowi jakoś lżej, lepiej na duszy. Sięgnął myślą w przeszłość i to, co do tej chwili uczynił, przedstawiło mu się jako dobra, uczciwa praca. Poblądził dumą, pychą, lekkomyślnością — aleć garnął się do tej pracy jedynie z miłości dla kraju, dla tej ziemi szarej i smutnej, dla tych ludzi, którzy nawet swe myśli więzić jak ptaki zbyt lotne musieli. On pracował, jak mógł i umiał, pracował i teraz gdy szedł tak zbłocony, zmęczony, głodny, bez pewności, że jutro będzie mógł jeszcze nazwać się wolnym i swobodnym człowiekiem.

Ogarnęło go wielkie wzruszenie. Stał, oparł się o pień drzewa i patrzył w górę.

Gałęzie drzew były nieruchome, milczące tak, jak ten kraj, który zdawał się być cały przepojony więzienną tajemnicą i dreszczem ciągłej trwogi. Lecz Leon czuł, wiedział, iż gdy zima przeminie, czarne gałęzie drzew pokryją się młodym zielonym liściem, lecz Leon czuł, iż gdy trwoga będzie już zbyt silna, aby ją dusze ludzkie znieść mogły, trwoga w pragnienie czynu się zmienia i ujścia będzie szukała, a wtedy, nadejdzie wiosna, nadejdą liście, nadejdą serc ludzkich zbudzenia i drzewa, ludzie, kraj cały — mileczeńce przestaną.

Wicher nadejdzie, wicher nie z zachodu, ale het od wschodu, od tych, co mrą głodem i biją za kęs chleba pokłony — ten wicher zaszeumrze, zało-

pocze jak stado orłów co spało wśród wierzchołków skał.

Wicher nadciągnie, wiodąc ze sobą purpurowy sztandar, który uderzać będzie o przeszkody z siłą olbrzymów i wszyscy się zbudzą, myśl wreszcie więziona porwie się w górę, do lotu.

I praca takich Leonów będzie jedną z tych myśli więzionych a rwących inne za sobą i budzących dusze. Odrzucając samolubstwo, to, co zdziałali dla idei, w chwili zbudzenia wyda swoje owoce. Nie pójdzie tam na marne ani jedna ofiara, ani jedna łza, ani jeden grosz, ani jedna noc bezsennie strawiona. Z tych wdowich nędznych ofiar złoży się gwiazda utkana z klejnotów, która jak słońce zabłyśnie w sercu każdego człowieka.

Leon wsłuchał się w tę ciszę, panującą dokoła i w ciszy tej snąć musiał posłyszeć pełne nadziei słowa. Twarz jego nabrała wyrazu gorącej wiary i chęci do czynu. W uniesieniu porwał w ramiona pień bezlistnego drzewa i wstrząsnął nim tak silnie, iż dokoła zaczęły lecieć czarne zeschłe gałązki, odrywające się z drzewa. Lecz on nie smucił się tymi bezlistnymi badyłami ani tą ciszą tak smutku pełną.

Z nadzieją w duszy wyszeptał słowa zmarłego swego przewodnika:

— Zaszumi las! Zaszumi las!..

Lugano, w 1898 roku.



67304

SPIS RZECZY TOMU II.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Następca.

I. Za co pochowano Grzegorzewskiego. — Nieprzewidziany cios. — Jeszcze jeden dowód wolności francuzkiego republikańskiego rządu.	5
II. Robert i Jules bronią honoru republiki. — Pogrzeb Grzegorzewskiego. — Ludwik Stroński.	35
III. Pierwsze strzały. — Leon zapoznaje się z działaniem partyi. — Starcie z Kręckim. — Montalembert.	62
IV. Hajnał.	90
V. Noc zawiści.	113
VI. Walka.	125
VII. Konferencya i bal.	159
VIII. Jabłońska. — Zabawa. — Pijaństwo Chodzika. — Awantura na balu	178
IX. Dalszy ciąg rozdziału poprzedzającego. — Pojedynek. — Sekundanci. — Odszczepieństwo Farbacha. — Władka. Montalembert.	237
X. Sekundanci. — Pojedyunki. — Zagórski. — Zamieszanie w kolonii. — Jabłońska. Postanowienie zwołania honorowego sądu. — Pojawienie się Kręckiego.	272
XI. Sąd honorowy.	297
XII. Katastrofa	325
XIII. Infamia	340
XIV. Zaszumi i las!	360